



D E N N I S E . T A Y L O R



G D Y Ź ■ ■ J E S T ■ ■ N A S
■ ■ ■ W I E L U ■ ■ ■

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Motto

1. Bóg z Nieba Bob, luty 2167, Delta Eridani
2. Osada Howard, wrzesień 2188, Wolkan
3. Życie w Camelocie Bob, marzec 2167, Delta Eridani
4. Wodny świat Mulder, październik 2170, Eta Cassiopeiae
5. Postęp Howard, grudzień 2188, Omikron-2 Eridani
6. Kontakt z Billem Mulder, kwiecień 2171, Posejdon
7. Do roboty Riker, lipiec 2171, Układ Słoneczny
8. Farmy orbitalne Howard, kwiecień 2189, Wolkan
9. Coś się tam czai Bob, wrzesień 2169, Delta Eridani
10. Ludobójstwo Mario, listopad 2176, Zeta Tucanae
11. Taniec godowy Bob, listopad 2169, Delta Eridani
12. Mówi Bob Bill, maj 2171, Epsilon Eridani
13. Śledzenie Innych Mario, maj 2180, Gliese 54
14. Sabotaż Riker, grudzień 2170, Układ Słoneczny
15. Wizyta Billa Mario, listopad 2180, Gliese 54
16. Kto tu na kogo poluje Howard, wrzesień 2189, Wolkan
17. Straciliśmy drona Bob, maj 2171, Delta Eridani
18. Coraz gorzej Riker, wrzesień 2172, Układ Słoneczny
19. Łup Bob, czerwiec 2172, Delta Eridani
20. Pasożyt Howard, październik 2189, Wolkan
21. Kolejne ataki Riker, grudzień 2174, Układ Słoneczny
22. Skutki Bob, grudzień 2173, Delta Eridani
23. SZLAG Riker, wrzesień 2175, Układ Słoneczny
24. Z wizytą u Marvinina Bob, marzec 2174, Delta Eridani

25. Króliki Howard, listopad 2189, Wolkan
26. Jak sprzedać Posejdona Riker, grudzień 2175, Układ Słoneczny
27. Powrót Luke'a Bob, marzec 2178, Delta Eridani
28. Et Tu, Homer Riker, grudzień 2175, Układ Słoneczny
29. Sytuacja awaryjna Howard, kwiecień 2190, Wolkan
30. Coś znalazłem Nieśmiałek, listopad 2187, Gliese 877
31. Pierwsze kroki w biznesie Howard, styczeń 2191, Wolkan
32. Linus Bill, maj 2178, Epsilon Eridani
33. Kłopoty w rajku Bob, styczeń 2180, Delta Eridani
34. Łoś Bill, czerwiec 2185, Epsilon Eridani
35. Akwizycja Howard, wrzesień 2192, Wolkan
36. Holownik asteroid Bill, marzec 2187, Epsilon Eridani
37. Nie ma Homera Riker, sierpień 2176, Układ Słoneczny
38. Więcej o Innych Hal, maj 2188, Gliese 877
39. Zgromadzenie Bobów Bill, sierpień 2188, Epsilon Eridani
40. Mam cię Riker, luty 2178, Układ Słoneczny
41. Ofiary Bob, lipiec 2182, Delta Eridani
42. Biznes Howard, marzec 2193, Wolkan
43. Wymiana zdań Riker, marzec 2178, Układ Słoneczny
44. Baseball Bill, marzec 2189, Epsilon Eridani
45. Replikacja Howard, sierpień 2193, Wolkan
46. Klaunomobil Rudy, luty 2190, Epsilon Indi
47. Nowa Wieś Bob, wrzesień 2182, Delta Eridani
48. Operacja Howard, wrzesień 2193, Wolkan
49. Przylot Mulder, marzec 2195, Posejdon (Eta Cassiopeiae)
50. Druga ekspedycja Loki, listopad 2195, 82 Eridani
51. Ślub Howard, kwiecień 2195, Wolkan
52. Superktoś Bill, grudzień 2195, Epsilon Eridani
53. Testowanie Hal, kwiecień 2196, GL 877
54. Się dzieje Hal, październik 2197, w drodze do GL 54
55. Kontakt Bill, październik 2204, GL 54

56. Potomstwo Bob, styczeń 2183, Delta Eridani
57. Zgromadzenie Bobów Bill, październik 2204, Epsilon Eridani
58. Nowiny Howard, lipiec 2198, przestrzeń międzygwiazdna
59. Kolejny świat Bill, kwiecień 2205, Epsilon Eridani
60. Przylot Claude, maj 2205, Gamma Pavonis
61. Od początku Oliver, wrzesień 2205, Alfa Centauri
62. Odlot Mulder, listopad 2201, Posejdon
63. Pawonisi Jacques, luty 2207, Delta Pavonis
64. Zgromadzenie Bill, marzec 2207, Epsilon Eridani
65. Dziadek Bob, styczeń 2195, Delta Eridani
66. Się dzieje Howard, grudzień 2210, HIP 14100
67. Złe wieści Howard, grudzień 2210, HIP 14101
68. Rejestracja Jacques, wrzesień 2212, Delta Pavonis
69. Stypa Howard, styczeń 2211, Wulkan
70. Rozmowa Howard, maj 2211, HIP 14101
71. Charlie Bob, czerwiec 2213, Delta Eridani
72. Bitwa Bill, luty 2217, Delta Pavonis
73. Porwanie Fineasz, luty 2217, Delta Pavonis
74. Obserwacja procesu Bill, maj 2217, Delta Pavonis
75. Spotkanie Howard, styczeń 2216, HIP 14101
76. Pogrzeb Bob, listopad 2220, Delta Eridani
77. Dokończenie Bill, kwiecień 2221, Delta Pavonis

Słowniczek skrótów

Postacie

Dennis E. Taylor

GDYŻ JEST NAS WIELU

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2020**

Tytuł oryginału: *For We Are Many*

Copyright © 2017 by Dennis E. Taylor

Copyright for the Polish translation © 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-586-5

Wylączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

*Dedykuję tę książkę wszystkim,
którzy lubią dobrą, staroświecką space operę.*

Podziękowania

Jestem naprawdę zachwycony i wdzięczny za przyjęcie, z jakim *Nasze imię Legion, nasze imię Bob* spotkało się wśród fanów fantastyki. Reakcje były oszałamiające i pouczające zarazem. Dziękuję wam za to. To była długa podróż... a w podróży pomagało mi wiele osób.

Przede wszystkim chciałbym podziękować mojemu agentowi Ethanowi Ellenbergowi za to, że chciał mnie w nią zabrać, a później był moim przewodnikiem. Twoja pomoc była nieoceniona. Oraz Steve'owi Feldbergowi, który dostrzegł potencjał pierwszej powieści i całej serii... dziękuję, że otworzyłeś przede mną tę perspektywę. Betsy Mitchell dziękuję za redagowanie moich tekstów i słowa zachęty.

Aby powstała powieść, potrzebne jest całe miasteczko – beta czytelnicy, krytycy, graficy, redaktorzy, wydawcy, a teraz także aktor-narrator. Dziękuję Rayowi Porterowi za ożywienie postaci Boba Johanssona.

Wyróżnić chciałbym także członków grup Ubergroup i Novel Exchange w serwisie scribophile. Wdzięczny jestem za wasze uwagi. Serdecznie dziękuję beta-czytelnikom.

Szczególne podziękowania należą się:

Sandrze i Kenowi McLarenom

Nicole Hamilton

Sheenie Lewis

Patrickowi Jordanowi

Trudy Cochrane

oraz mojej żonie Blaihin...

...za czytanie brudnopisów i pierwszych wersji.

Nie znajduje się ona na żadnej mapie; prawdziwie znaczne miejscowości nigdy nie są bowiem na nich umieszczane.

Herman Melville, *Moby Dick*
(przeł. Bronisław Zieliński)

1. Bóg z Nieba

Bob, luty 2167, Delta Eridani

Z kupy suchych gałęzi dobiegł gniewny pisk. Dwaj Deltanie przystanęli gotowi do ucieczki. Kolejnej reakcji nie było, więc dalej obrzucali to miejsce kamieniami. Osobnik, którego nazwałem Bernie, z sierścią zjeżoną wzdłuż kręgosłupa i uszami stojącymi na baczność z podniecenia, wołał:

– No chodź, *kuzi, kuzi, kuzi*.

Cofnąłem drona obserwacyjnego, żeby zejść im z oczu. Nie przeszkadzało im, że obserwuję polowanie, ale nie chciałem ich dekoncentrować w sytuacji, gdy najdrobniejszy błąd mógł skończyć się obrażeniami lub śmiercią. Mike podniósł wzrok, widząc ruch, ale poza tym Deltanie w zasadzie nie zwracali uwagi na drona wielkości piłki nożnej.

Ktoś chyba dobrze trafił kamieniem. Dzikoid wyskoczył z kryjówki, rycząc jak wściekły parowóz. Dwóch rzucających kamieniami zbiegło mu z drogi, zastąpili ich inni myśliwi. Każdy wbił w ziemię drzewce swojej włóczni i przydepnął je nogą, żeby się lepiej trzymało.

Dzikoid dotarł do grupy w niecałą sekundę, rycząc z furii. Deltanie stali na miejscu z odwagą średniowiecznych pikinierów naprzeciwko szarzy kawalerii. Nawet ja, choć patrzyłem na wszystko z daleka, przez latającego drona, poczułem, że moje dolne partie kurczą się ze strachu. W takich chwilach zastanawiałem się, czy nie przegiąłem trochę z poziomem szczegółowości mojego wirtualnego środowiska. Po co mi w ogóle były dolne partie, nie mówiąc już o kurczeniu się?

Nie zwolniwszy ani trochę, dzikoid nadział się na czekające włócznie. Szybki – tak. Bystry – nie za bardzo. Nigdy nie widziałem, by próbowały ominąć te grotty. Jeden z myśliwych, Fred, poleciał na bok, gdy jego dzida wygięła się, a potem pękła. Krzyknął, z bólu, albo ze strachu, z nogi trysnęła mu krew. Jakaś odklejona część mojego umysłu zarejestrowała, że deltańska krew ma prawie taki sam odcień czerwieni jak ludzka.

Pozostali trzymali się mocno i dzikoid poleciał w powietrze na dźwigni z włóczni. Na moment zawisł, potem zwałił się na ziemię z ostatnim piskiem. Deltańscy łowcy patrzyli, czy się rusza, ze ściągniętymi wargami odsłaniającymi ich imponujące kły. Zdarzało się, że dzikoid, nawet tak potraktowany, podnosił się i ruszał do kolejnej

rundy. Nie chcieli się dać zaskoczyć.

Bernie podszedł z włócznią w jednej ręce i kijem w drugiej. Sięgając włócznią jak najdalej, dźgnął dzikoida w ryjek. Gdy nie było reakcji, odwrócił się do kolegów i uśmiechnął.

Oczywiście niedosłownie. Deltańskim odpowiednikiem uśmiechu było strzyżenie uszami, ja jednak tak się już przyzwyczaiłem do ich zachowań, że w ogóle nie musiałem ich świadomie tłumaczyć. A oprogramowanie tłumaczące zajmowało się mową, przekładając idiomy i przenośnie między angielskim i deltańskim. Poprzypisywałem też poszczególnym osobnikom arbitralnie wybrane ludzkie imiona, żeby łatwiej ich odróżniać.

W istocie bez takiego tłumacza ludzie i Deltanie nie byliby się w stanie porozumieć. Deltańska mowa brzmiała dla ludzkiego ucha jak ciąg chrząknięć, pomruków i czknięć. A według Archimedesa, mojego głównego kontaktu wśród Deltan, ludzka przywodziła im na myśl parę dzikoidów w rui. Nieźle.

Deltanie przypominali krzyżówkę świni z nietoperzem – beczkowate ciała, cienkie kończyny, wielkie, ruchliwe uszy i ryjki całkiem jak u dzika. Sierść mieli przeważnie szarą, z ciemnobrązowymi wzorami na twarzy i głowie, innymi u każdego osobnika. Byli pierwszą pozaziemską inteligentną rasą, którą w życiu spotkałem, w zaledwie drugim układzie, który odwiedziłem od opuszczenia Ziemi ponad trzydzieści lat temu. Dało mi to do myślenia: może inteligentne życie rzeczywiście jest tak powszechne, jak przekonuje *Star Trek*?

Bill regularnie przysyłał mi swoje blogowe wpisy z wieściami z Epsilon Eridani, ale kiedy je odbierałem, miały dziewiętnaście lat. Jeśli któryś z innych Bobów znalazł inteligencję, możliwe, że Bill jeszcze się o tym nie dowiedział, nie mówiąc o retransmisji do reszty Bobów.

Skupiłem się z powrotem na Deltanach, bo przeszli do zakończenia polowania.

Myśliwi zajęli się Fredem, który siedział na kamieniu, klął po deltańsku i przyciskał ranę, żeby zatamować krwawienie. Przysunąłem się dronem, żeby lepiej się przyjrzeć, a oni się rozstąpili.

Fred miał szczęście. Rana od złamanej włóczni była postrzępiona, ale niezbyt głęboka i wydawała się czysta. Gdyby dzikoid dorwał go w swoje zęby, już by nie żył.

Mike udawał, że dźga go w ranę włócznią.

– I jak, boli? Boli?

Fred pokazał zęby.

– Bardzo śmieszne. Następnym razem ty bierzesz kiepską włócznię.

Mike uśmiechnął się niezrażony, a Bernie klepnął Freda w ramię.

– No nie bądź dzieckiem. Prawie już nie leci.

– Wieszamy i wykrwawiamy – rzucił Mike i nie tracąc czasu, odwinął

rzemień, którym był owinięty. Zarzucił go na odpowiednią gałąź, a Bernie obwiązał nim tylne nogi dzikoida.

Z wiązaniem węzłów – kiepsko. Prymitywne mieli te węzły, pewnie często im się rozwiązywały. Zapisałem sobie w pamięci, żeby pokazać Archimedesowi parę żeglarskich.

Mike'owi i Berniemu w końcu udało się powiesić tuszę i zaczęli ją na miejscu oprawiać, podczas gdy reszta Deltan zaintonowała dziękczynny śpiew. Gdy patrzyłem, przydarzyła mi się jedna z tych niespójności – prawie się spodziewałem, że przyczepią dzikoidowi do ucha plakietkę myśliwską. Nie to stulecie, nie ta planeta, nie ten gatunek. To oczywiste.

* * *

Odwróciłem się od okienka z wideo z drona i zachichotałem, sięgając po kubek z kawą. Marvin, który obserwował mnie przez ramię, spojrział na mnie dziwnie, ale nie odczułem potrzeby tłumaczenia się. Kurde, powinien pamiętać, że Pierwszy Bob był kiedyś z tatą na polowaniu, dawno temu. Wzruszyłem ramionami. Domyśl się, typie.

Marvin przewrócił oczyma i wrócił na fotel z podnóżkiem, który zawsze materializował w mojej VR-ce. Oczekałem, aż Jeeves doleje mi kawy. Jak w każdej wirtualnej rzeczywistości, która miała moduł SI Jeevesa, przypominał Johna Cleese'a we fraku.

Po pierwszym łyku – jak zawsze znakomitym – rozejrzałem się po bibliotece ze swojego zabytkowego fotela-uszaka. Regały od podłogi do sufitu, wielki staroświecki kominiek oraz wysokie, wąskie okna, za którymi było wieczne popołudnie, żeby słońce idealnie oświetlało wnętrze. Do tego, jak gigantyczna pięść do oka, czerwony sztruksowy fotel z podnóżkiem, zajmowany przez klona piszącego te słowa.

Wszystko to oczywiście w VR. Fizycznie to z Marvinem byliśmy dwiema jarzącymi się optoelektronicznymi kostkami, zainstalowanymi w dwóch statkach orbitujących wokół Deltę Eridani 4. Ale byliśmy kiedyś ludźmi i takie wirtualne otoczenie pozwalało nam zachować zdrowie umysłu.

Podeszła Kolczatka, wskoczyła Marvinowi na kolana i zaczęła mruzczyć. SI kota była realistyczna, włącznie z całkowitym brakiem lojalności. Prychnąłem z rozbawieniem i odwróciłem się z powrotem do okienka wideo.

* * *

Łowcy skończyli oprawiać łup. Dzikoid tak naprawdę nie przypominał

dzika. Jego generalny plan ciała kojarzył się raczej z niedźwiedziem, zajmował jednak tę samą niszę, co dzik, włączając takie samo pogodne usposobienie i radosne zachowania.

Jednakże polowanie na nie to nie była bułka z masłem. Deltanie ryzykowali życie za każdym razem. Fakt, zwykle na koniec dzikoid ginął, ale czasami udawało mu się powalić jednego czy dwóch myśliwych. Choć ostatnie ulepszenie, krzemienne groty, trochę zmieniało równowagę. Tak. Wiem. Pierwsza Dyrektywa, sra-ta-ta-ta. Pfff. To nie *Star Trek*, mimo że Riker tak się nazwał i taką scenografię zrobił w swojej VR-ce.

Deltanie przywiązali łup do dwóch włóczy, czwórka z nich dźwignęła je na barki. Mike kiwnął zapraszająco dłonią, ja przesunąłem drona, żeby polatywał obok niego. Dwóch pozostałych objęło Freda ramionami i postawiło na nogi. Jeszcze krwawił, do tego wyraźnie kulał, ale do wioski dojdzie.

Maszerowaliśmy triumfalnie ku domowi Deltan, a dwóch myśliwych śpiewało zwycięską pieśń. Reszta przerzucała się życzliwymi żartami i docinkami, jednocześnie wymieniając się uwagami z polowania. Nigdy nie przestawało mnie zdumiewać, jak podobnie do ludzi się zachowują. Czasami wręcz czułem nostalgię za autentycznym kontaktem z drugim człowiekiem.

Szybko dotarliśmy do wioski, gdzie powitano nas śmiechami i wiwatami. Zabity dzikoid zawsze był powodem do radości – wieczorem *hexghi* będzie ucztować, a jedzenia wystarczy na tydzień. „Hexghi” tłumaczyło się mniej więcej jako „rodziny od naszego ognia”. Oczywiście po deltańsku brzmiało to znacznie lepiej. Ta grupa myśliwych należała do *hexghi* Archimedesesa, które mniej czy bardziej traktowałem teraz jak własną rodzinę.

Zaprowadzili Freda na posłanie rodziny, a jego partnerka zaczęła się nad nim trząść. Jeden z łowców pobiegł po znachorkę Cruellę i jej uczennicę. Westchnąłem i przygotowałem się na kolejną kłótnię.

Posłaniec wrócił chwilę później z Cruellą i jej czeladniczką. Pochyliła się, żeby obejrzeć ranę, a ja podleciałem bliżej dronem. Ale chyba za blisko. Cruella walnęła go wyprostowaną ręką, tak że odskoczył o dobry metr, zanim MSI zdążyła go ustabilizować. Reszta Deltan cofnęła się wstrząśnięta, a jeden wyglądał, jakby miał uciec albo zemdleć. Dron był mały i nietrudno go było odepchnąć. No ale wiecie, bóg z nieba...

Dawno się przekonałem, że znachorka nie boi się niczego i nikogo. A w słuchaniu rad też nie jest za dobra. Zacisnąłem zęby we frustracji, zastanawiając się, czy usłucha czegokolwiek, co jej powiem.

Fred, zdaje się, myślał o tym samym.

– To byłby dobry moment, żeby wypróbować tę gorącą wodę, jak mówiło *bawbe* – rzucił do niej.

Cruella łypnęła groźnie na niego, potem na mojego drona.

– To może niech ono opatrzy ci ranę, bo ja tu już nie jestem potrzebna.

– Och, na jajca przodków, Cruella – odezwał się Mike. – Spróbuj czegoś nowego, raz tylko. *Bawbe* jeszcze nigdy nam źle nie poradziło.

Cruella warknęła na niego. Po chwili w bitwie na warkoty uczestniczyli wszyscy myśliwi i Cruella. Myśliwi byli moimi najgorętszymi zwolennikami. Groty włóczni, prostownice do drzewiec, ręczne topory – te wszystkie moje udogodnienia znacznie podnosiły im jakość życia. Przynajmniej oni uważali, że na sercu leży mi dobro Deltan.

W końcu Cruella uniosła ręce i warknęła:

– Dobrze! Zrobimy po waszemu. Ale jak ci noga odpadnie, to nie przychodź do mnie z płaczem.

Odwróciła się do swojej czeladniczki i wywarczała rozkaz. Ta położyła uszy po sobie i pobieгла.

Parę minut później wróciła z bukłakiem i miękką skórą. Cruella wskazała bukłak i powiedziała:

– Przetworzona woda. – Uniosła wysoko kawałek oskrobanej skóry. – Wypłukany w gorącej wodzie. – Potem łypnęła prosto w kamerę drona. – A teraz zejdz mi z drogi.

Patrzyłem z zadowoleniem i zdziwieniem, jak starannie czyści ranę skórką, moczoną w gorącej wodzie. To był już postęp. Oczywiście bardzo pomogli myśliwi, którzy się jej postawili, ale jeśli wejdzie jej to w zwyczaj, szansa na infekcję dramatycznie spadnie.

Kiwnąłem dronem potakująco i odesłałem go na wartę na obrzeżach wioski. Wróciłem do swojej VR-ki, usiadłem i zamknąłem okienko drona. Zmiana procedury przez znachorkę była dużym sukcesem i z przyjemnością zszedłem jej z drogi. Dzięki temu zachowa twarz i następnym razem nie będzie się tak upierać.

Nie obejrzę reszty uroczystości, ale przyszły los dzikoida miał być standardowy, dobrze znany i dobrze udokumentowany. I zapewne przepyszny. Pomyślałem o żeberkach w sosie barbecue i aż się zaśliniłem. Jako komputer i tak dalej nie potrzebowałem nic jeść, ale w VR-ce mogłem zrobić, co tylko chciałem. Skoro mogliśmy zaprogramować symulację kawy, to czemu by nie zaprogramować sobie grillowanych żeberek?

Kolczatka weszła mi na biurko, miauknęła i zwała się na klawiaturę. Przyjąłem od Jeevesa dolewkę kawy i zwróciłem się do Marvinina:

– No dobra. Koniec imprezy. Co tam? Chcesz o czymś porozmawiać?

Marvin kiwnął głową. Wstał, zniknął fotel z podnóżkiem i podszedł do mojego biurka. Zmaterializował krzesło i wywołał globus Edenu,

z zakreślonym na czerwono małym fragmentem kontynentu.

– To jest obecny zasięg Deltan. Starej wioski nie uwzględniłem, skoro ich tam już nie ma...

– ...zresztą to był raczej azyl niż trwała siedziba – dodałem. – Nawet jednego pokolenia tam nie przeżyli.

Marvin pokiwał głową.

– W każdym razie trochę grzebałem tu i tam – czasami nawet dosłownie – i mam w miarę przyzwoite oszacowanie ruchów ich populacji w czasie.

Popatrzył na mnie wyczekująco, a ja wykonałem gest dłonią, żeby kontynuował.

– Wygląda, że oni w ogóle nie pochodzą z tego terenu. Rozumny podgatunek wyewoluował tutaj... – Obrócił globus i wskazał całkiem inną część kontynentu. – Potem przemieścił się w obecne miejsce.

– A tam już ich nie ma? Dlaczego?

– Tego właśnie nie rozumiem. Znalazłem mnóstwo śladów po opuszczonych wioskach, trochę miejsc pochówku, ale o wiele za mało grobów, by wytłumaczyć populację, jakiej bym oczekiwał.

– Drapieżniki?

– Możliwe, ale z drugiej strony znajduję gdzieś tam szczątki Deltan, przynajmniej kupki kości. A widziałeś, co zostawiają goryloidy, jak zjedzą. Porządne to one nie są.

Potarłem podbródek, wpatrując się w globus.

– To się kupy nie trzyma. Z tego, co piszesz, w tym pierwotnym obszarze w ogóle nie było goryloidów. Czyli przemieścili się z terenu bezpiecznego na niebezpieczny, a na bezpiecznym zanikli.

– A potem uciekli z terenu niebezpiecznego i rozłożyli się w jeszcze gorszym. – Marvin pokręcił głową. – Tylko że oni nie są debilami. Stają się właśnie samoświadomi na ludzkim poziomie, ale zdrowy rozsądek mają dawno. Czegoś musimy nie wiedzieć.

Wzruszyłem ramionami i zakręciłem globusem.

– Jakaś zagadka, Marvin, a my uwielbiamy zagadki. – Wymieniliśmy się uśmiechami. W końcu jesteśmy Bobami. – Ważne jest jedno: tutaj są o wiele bezpieczniejsi w porównaniu z miejscem, gdzie ich znaleźliśmy. Ładnie się w Camelocie zagospodarowali, dobrze im się poluje, a do goryloidów chyba już trochę dociera, bo prawie przestały próbować ich atakować.

– Naprawdę chcesz to miejsce nazwać Camelot? – Marvin popatrzył na mnie jak na idiotę. – Za każdym razem, jak to mówisz, wyświetlają mi się Rycerze Okrągłego Stołu.

Wyszczrzyłem zęby i poruszyłem brwiami.

– To tylko model.

Przewrócił oczyma i zatrzymał globus.

– W każdym razie ja będę nad tym pracował. Tylko że my jesteśmy tu upośledzeni. Na Ziemi naukowcy wychodzili od istniejącej wiedzy o świecie, który rozumieli. Na Edenie zaczynamy od zera.

– No właśnie, a i tak niektóre rzeczy zajęły im masę czasu, na przykład ustalenie, co się stało z ludem Anasazi. – Usiadłem prosto i pokręciłem głową. – Tak, ja rozumiem, Marvin. Przyznam, że bardzo się cieszę, że się wkręciłeś w ten projekt. Ja po wylądowaniu zrobiłem trochę podstawowych badań, trochę eksploracji, ale dla mnie to nie był priorytet.

Marvin zachichotał, kiwnął mi głową na pożegnanie i zniknął z VR-ki.

2. Osada

Howard, wrzesień 2188, Wulkan

W fantastyce kolonizacja nowej planety zawsze była taka prosta. A nie, wróć. Nigdy nie była prosta. Zawsze coś wyłaziło z lasu i zagrażało kolonii. No to w tej kwestii mieli rację. Trochę.

Na plus można policzyć to, że nic nie wyłaziło kolonistom z klatki piersiowej. Ale zakładanie ludzkiej kolonii na Wulkanie zaczynało wyglądać trochę jak zadziobanie na śmierć przez kaczki. Bardzo duże kaczki. Z zębami i pazurami. Notatki Milo oraz katalog planet jasno mówiły, że aby się tu zainstalować, trzeba mieć opracowaną strategię obronną. Ekosystem jest bogaty i stanowi bardzo mocną konkurencję.

Statki-kolonie *Exodus 1* i *2* orbitowały wokół Wolkana, większość kolonistów z enklawy ZSE wciąż hibernowała, czekając, aż pionierzy przygotują miejsce. Ekipy budowlane, ochrona i inżynierowie pracowali dniami i nocami nad wycięciem odpowiedniej połąci dżungli i przygotowaniem domu dla pierwszej fali osadników.

Do kolonistów ZSE należało także zapewnienie wsparcia ludziom z kolejnych statków. *Exodus 3* był zaledwie kilka miesięcy za nami, a kolejne będą przylatywać tak szybko, jak Riker nadąży je budować.

Jakbyśmy potrzebowali jeszcze dodatkowej presji.

Pięć dni po tym, jak ludzka stopa stanęła na Wulkanie, planeta zabrała pierwszą ofiarę.

* * *

[Wiadomość od szefa ochrony. Był atak]

Kiwnąłem głową Gupikowi, potwierdzając, że przyjąłem. Zminimalizowałem okienko monitoringu, które unosiło się w powietrzu przede mną, i kazałem budowlanym MSI kontynuować na własną rękę. Spokojnie dadzą sobie radę z większością zadań związanych z budową rolnego obwarzanka, a jeśli natrafią na coś, za co im nie płacą, wyślą mi wiadomość.

Odwróciłem się w fotelu i uniosłem brew, prosząc Gupika o więcej informacji. Jednakże interfejs GUPIK, pod postacią awatara podobnego do admirała Ackbara, sam z siebie nie był skłonny podawać niczego

poza podstawowymi faktami. Wielkie rybie oczy mrugały na mnie, czekając na polecenie. Pogodziwszy się z koniecznością, zrobiłem gest ręką, a on przesunął ku mnie okienko wideo.

W okienku był szef bezpieczeństwa osady, Stéphane Brodeur, z miną sygnalizującą haj adrenalinowy – wytrzeszczone oczy, warstewka potu, rozszerzone nozdrza. Zaczął mówić, jak tylko mnie zobaczył.

– Był atak. Te drapieżne terapody, które nazywamy „raptorami”. W północno-zachodnim rogu, na końcu budowanego ogrodzenia.

Mówił z wyraźnym akcentem z Quebecu. Zastanowiłem się mimochodem, skąd wziął się w kolonii ZSE, ale uznałem, że pytanie jest bez związku. Na chwilę wszedłem na wyższe obroty i posłałem na plac budowy ogrodzenia parę dronów, po czym wróciłem do normalnej częstotliwości. Człowiek nawet nie zauważyłby tego milisekundowego przycięcia mojego obrazu.

– Ofiary?

– Jedna.

– Zginęła?

– Nie, ale potrzebna jej będzie blacharka. – Brodeur wyszczerzył zęby.

Uniosłem brew, a on ciągnął:

– Mała grupka raptorów zaatakowała koparkę. Trzeba ją będzie trochę wyklepać i odmalować. Zabiliśmy większość, a reszta uciekła. Jeden poszedł do doktor Sheehy na sekcję.

– To co mogę zrobić?

Szef bezpieczeństwa pokręcił głową.

– W kwestii ataku to nic. Stało się, poradziliśmy sobie. Ale mam nadzieję, że możesz zorganizować jakiś monitoring.

Rozsądne. Pokiwałem z namysłem głową.

– Mam parę dronów, które od biedy mogłyby pilnować, ale nie są do tego zoptymalizowane. Bill w Epsilonie Eridani już od kilkadziesiąt lat rozwijał drony obserwacyjne i eksploracyjne. Ściągnę od niego jakieś plany i zacznę drukować coś odpowiedniego. Zajmie to z tydzień czy dwa, zanim będą gotowe. Tyle wytrzymacie?

– Porozmawiam z kierownikiem budowy i zobaczę, czy da się coś wstrzymać, póki ich nie ma. Bo my teraz nie wiemy, w co ręce włożyć.

– Proszę tak zrobić. Będę dawał znać, jak postępy.

Rozłączyłem się i wysłałem maila do Billa z prośbą o informacje o jego dronach obserwacyjnych. Projektował je głównie do eksploracji nowych systemów, ale i do moich potrzeb powinny się nadać.

* * *

Kiedy drony dotarły na plac budowy ogrodzenia, wciąż roilo się tam od ochrony. Na ziemi było pełno krwi, na szczęście wyłącznie z raptorów. Z boku stała bardzo smutno wyglądająca koparka, z długimi rysami i zadrapaniami na jaskrawożółtym lakierze. Zastanowiłem się mimochodem, czy sterująca nią MSI nie potrzebuje terapii.

Ludzie ładowali padlinę na ciężarówki. Raptory przypominały filmowe velociraptory na tyle, by każdy, kto widział Park jurajski mógł mieć koszmary. Ale zamiast kołkowatych zębów typowego karnozaura, miały zęby podobne do rekinich – trójkątne, ząbkowane i ostre jak brzytwy. Jak dotąd, ogień z wojskowej broni automatycznej nie stępił ich entuzjazmu dla świeżo przybyłej grupy pokarmowej.

Odnalazłem nadzorującego prace porządkowe Brodeura i podpłynąłem do niego.

Odwrócił się i uśmiechnął się szeroko.

– I pomyśleć, że nie chciałem pracy za biurkiem.

W odpowiedzi uprzejmie parsknąłem śmiechem.

– Witamy na pograniczu. Załatwiliście wszystkie?

– Nie. Daliśmy uciec jednemu czy dwóm, żeby przekazały reszcie, że ma się bać ludzi.

– I co, sprawdziło się?

Brodeur zaśmiał się i pokręcił głową.

– Po południu spotykam się z pułkownikiem. Może też byś mógł przyjść.

– Już mnie zaprosił. Do zobaczenia.

Brodeur kiwnął głową dronowi, po czym odwrócił się, by pomagać w porządkach. Uznałem, że skorzystam z okazji i przyjrę się postępom w budowie.

Ogrodzenie otaczało już około jednej trzeciej terenu pod planowane miasto. Miało pięć metrów wysokości i było zbudowane z rodzimego drewna i metalu. Wolkańskie drzewa były na tyle podobne do ziemskich, że ekipy bez trudności je zaadaptowały. Ścinali je w bezpośredniej bliskości ogrodzenia, tak że powstawała dodatkowa oczyszczona strefa bezpieczeństwa. Miałem wątpliwości, czy płot jest na tyle wysoki, by powstrzymać brontozaury, ale nikt nie pytał mnie o zdanie. Choć oczywiście bronty nie zjadały ludzi, ani nic takiego. Były raczej zagrożeniem z kategorii „przypadkiem rozdepcze”.

Na zachodzie nieba wisiała siostrzana planeta Wolkana, Romulus, z wyraźnie widocznymi chmurami i morzami. Kiedy przybędzie *Exodus 3*, jego pasażerowie z enklawy WIARY i ze Spitsbergenu będą się tam instalować. Przewidywałem, że po powstaniu kolonii WIARY życie stanie się interesujące. Wątpliwe, żeby dziewiętnaście lat hibernacji poprawiło usposobienie pastora Cranstona. Przywódcę WIARY trudno było określić mianem życzliwego dla ludzi, a jego stosunki z Bobami rozwinęły się

w otwartą wzajemną nienawiść.

Skierowałem drugiego drona kilkaset metrów dalej i kazałem mu krążyć i obserwować ruchy miejscowej fauny. Nic się tam akurat nie czaiło, pewnie ze względu na huk broni automatycznej.

Wszystko się na oko uspokoiło i ludzie wrócili do pracy. Wyszedłem z drona i wszedłem do mojej VR-ki. Z westchnieniem potarłem czoło. Czasem brakowało mi snu zajmującego jedną trzecią doby. Dobre wytchnienie od rzeczywistości.

– Gupiku, mam parę zmian do harmonogramu drukarek.

Gupik pojawił się i w milczeniu czekał, aż powiem coś więcej. Patrząc na niego, myślałem, czy nie powinienem zmienić tego admirała Ackbara. Ale na co? Nic nie przyszło mi do głowy, zresztą stał się już wśród Bobów nową świecką tradycją.

– Potrzeba więcej dronów obserwacyjnych.

[Wszystkie grupy drukarek są zajęte produkcją części do farm orbitalnych. Mam to przerwać?]

– Hmm. No, nie do końca. Połowa niech robi drony, niech wyprodukuje cztery pełne eskadry. Potem niech wracają do produkcji obwarzanków.

[Tak jest]

Gupik wpadł w szal wydawania rozkazów przeprogramowujących drukarki 3D. Odwróciłem się z powrotem do okienek wideo z aktywnych dronów. Zbuduję im ich więcej, jak proszą, ale miałem obawy, że zanim ukończą płot, będzie paru kolonistów mniej.

* * *

– Dzień dobry, panie pułkowniku.

Okienko wideo przedstawiało pułkownika Butterwortha, jak zwykle nieskazitelnego i bez jednej zmarszczki. Ciekawe, jak on to robi.

– Dzień dobry, Howard. – Kiwnął głową mojemu obrazowi na swoim biurkowym telefonie. – Cieszę się, że jesteś. Słyszałem o dzisiejszym ataku.

Przez chwilę byłem zdziwiony. Nie przypominałem sobie, żeby Butterworth na Ziemi kiedykolwiek tak serdecznie witał Rikera. Nie byłem pewien, czy powinienem się obrazić w jego imieniu, czy cieszyć we własnym.

Przywódca enklawy ZSE skonfliktował się z Rikerem od dnia zero. A ja oczywiście miałem te wszystkie wspomnienia, aż do chwili, kiedy mnie wyklonował. Nazwać go „upartym” to byłoby niedomówienie, lecz przynajmniej zawsze zachowywał się profesjonalnie.

Wzruszywszy w myślach ramionami, postanowiłem się tym nie

przejmować. Inne czasy, inne miejsce, no i... spójrzmy prawdzie w oczy – Riker.

– Tak. Następnym razem nie będziemy mieć tyle szczęścia – odparłem. – Raptory są bystre. Zorientują się, że koparki nie są jadalne. Jeśli mają dobre widzenie barwne – a to bardzo prawdopodobne – to pewnie zaczną kojarzyć jaskrawożółty z niejadalnymi, twardymi rzeczami. I wtedy skupią się na miękkich i galaretowatych dwunożnych.

Butterworth prychnął.

– Widziałem, jaką strategię przyjąłeś z tymi dronami. Właśnie czytam twój plan na system monitoringu. Wydaje się dopracowany. Ale mam parę drobnych sugestii, które możemy przegadać, kiedy będziesz miał czas.

Potaknałem bez słowa. Sugestie pułkownika na pewno będą sensowne i na pewno je wdrożę.

– A gdzie Brodeur? Nie miał tu być?

– Miał. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Ale coś mu wypadło. Przekażę mu wszystko oddzielnie i zadzwonię do ciebie, gdyby coś jeszcze trzeba było przegadać.

Kiwnąłem głową, a potem spojrzałem mu przez ramię na ścianę, gdzie wisiał plan osady. Wskazałem na nią podbródkiem.

– Staroświeckie trochę, nie? Papierowa mapa na ścianie?

– Papier też ma swoje zalety, Howard. Jest o wiele większy niż obraz na tablecie, poza tym mogę na nim pisać kolorowymi mazakami. Oczywiście od czasu do czasu robię zdjęcia. – Rzucił mi swój firmowy suchy uśmiešek. – A tak poza tym, jesteśmy gotowi, żeby wybutlować specjalistów od rolnictwa. Brodeur mówi, że za tydzień wygrodzą teren na pola uprawne.

– Świetnie. Bert i Ernie już nie mogą się doczekać, kiedy wszystkich wyładują.

Butterworth skrzywił się, gdy wymieniłem imiona obu statków-kolonii. Nie byłem pewien, co było bardziej zabawne, czy to, że nie apróbował naszych przybranych imion, czy to, że rozpoznał, do czego jest to nawiązanie.

– Jeszcze około miesiąca, Howard, i będziemy mogli świadomie podjąć tę decyzję. – Sięgnął poza kadr. – A może, zanim *Exodusy* dolecą na Ziemię po kolejny ładunek, ktoś znajdzie inny układ nadający się do zasiedlenia i przestaną nam tu dowozić nowych ludzi? – Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

3. Życie w Camelocie

Bob, marzec 2167, Delta Eridani

Archimedes starannie ułożył krzemienne narzędzie i uderzył w nie kamieniem. Odskoczył odłamek, Mojżesz kiwnął z aprobatą głową. Archimedes przesunął narzędzie do następnego uderzenia i spojrzął na Mojżesza, wysuwając uszy do przodu. Mojżesz nieznacznie kiwnął ręką. Archimedes minimalnie przesunął narzędzie w lewo i zwinął uszy w skupieniu, ponownie uderzając.

Drugi Deltański podrostek, którego ochrzciłem „Richard”, obserwował Archimedesa, a potem spróbował go naśladować. Jednakże narzędzie zsunęło mu się z kamienia i dziabnęło go w stopę. Zaczął skakać na drugiej nodze, przeklinając z zapalem.

Po paru chwilach zauważył uśmiech Archimedesa i się zjeżył. Warcząc, porównał Archimedesa do odchodów dzikoida i poszedł sobie, utykając.

Mojżesz i Archimedes byli najlepszymi plemiennymi ekspertami od krzemienia i wytwórstwa narzędzi. Sądząc po wynikach Richarda – jedynymi. Według deltańskich standardów Archimedes był nastolatkiem – dojrzałym płciowo, ale jeszcze niezupełnie dorosłym. Za to z dużym zapasem był najinteligentniejszym Deltaninem w wiosce. Co, wnosząc z naszych badań, oznaczało najinteligentniejszego Deltanina na planecie Eden.

Wyglądało na to, że był pierwszym od lat, który rozumiał wskazówki Mojżesza, jak łupać krzemień. Paru innych młodzieńców, na przykład Richard, zainteresowało się na chwilę, ale nie było w stanie skupić się na tyle długo, żeby skończyć narzędzie. Bardzo prawdopodobne, że Archimedes będzie musiał poczekać, aż dochowa się własnego potomstwa, żeby mieć własnych uczniów.

– Mojżesz nie za dobrze wygląda – zauważył Marvin, zaglądając mi przez ramię.

– Wiem, wiem. Chyba ten marsz ze starej wioski okazał się cięższy, niż myśleliśmy. Zaraz po przybyciu tutaj zmarła dwójka innych starszych Deltan.

Wspomniałem o swojej teorii dotyczącej uczniów Archimedesa, a on parsknął śmiechem.

– Przychodzą mi do głowy co najmniej dwie samice z jego grupy,

które aktywnie nad tym pracują.

Ech, podrostki. Archimedes, z umiejętnością łupania krzemienia i ogólnie wyrabiania narzędzi, ze swoją pozycją rzecznika *bawbe*, miał poziom charyzmy zupełnie nieprzystający do kogoś tak młodego. Musiał się podobać dziewczynom.

* * *

Archimedes odłożył krzemień i narzędzia, wstał i przeciągnął się. Zamienili z Mojżeszem parę słów, ten wstał i poszedł. Deltańskie społeczeństwo nie znało ośmiogodzinnego dnia pracy. Robiło się, kiedy się robiło. Wyglądało na to, że w tym momencie mają dość.

Rozglądał się, póki nie wypatrzył drona, z którego go obserwowałem. Uśmiechnął się i kiwnął głową w stronę placu ćwiczeń. Pokiwałem dronem potakująco i poleciałem za nim, kiedy ruszył w tamtą stronę.

Zagailem:

– Sytuacja chyba się poprawiła. Wszyscy się już zadomowili.

Skinął głową. Przez chwilę szedł w milczeniu.

– Arnoldowi odpowiada ta nowa wioska, ten... *Camelot*? – Raz rzuciłem moją nazwę, nie przepuszczając jej przez tłumacza. Archimedes próbował fonetycznie powtórzyć to słowo. Próbował dzielnie, ale żaden człowiek by tego nie rozpoznał.

– Używajmy waszego słowa. Mój język nie tłumaczy się za dobrze na deltański.

– Dobrze. Aż gardło mnie rozboleło. W każdym razie Arnoldowi podoba się, że wystarczy bronić dwóch ścieżek, a nie wszystkiego naokoło.

Camelot mieścił się na małym płaskowyżu, otoczonym prawie ze wszystkich stron piargami i urwiskami. Kojarzył mi się trochę z lotniskowcem, miał nawet pośrodku skalne wzniesienie przypominające jego nadbudówkę. Jedyne wejście i wyjście stanowiły dwie ścieżki, około 120 stopni od siebie – chyba że umiało się latać. O wiele lepiej niż w starym miejscu, które było po prostu leśną polaną. Tam musieli non stop pilnować się przed atakiem goryloidów, a i tak przegrywali tę walkę.

– Tylko że przez ostatnie dni mimo to zginęły dwie osoby, prawda?

Archimedes wzruszył ramionami.

– Goryloidy to problem. Są zawsze głodne. A po tej stronie gór jest ich sporo. Dużo trudniej się upilnować, kiedy ludzie wychodzą z wioski.

Tym szybciej trzeba sprawić, żeby nie musieli tak często wychodzić. Hodowlę już miałem na liście rzeczy do nauczenia. Trzeba było jednak znaleźć odpowiednie zwierzę hodowlane do udomowienia. Odwróciłem

się na moment od okienka drona, tylko po to, żeby westchnąć i pokiwać głową. Lista zadań stale rosła.

Znalazłem się w jednej z sytuacji typu „wszystko albo nic”. Podjąłem decyzję, że pomogę Deltanom uniknąć wyginięcia. Zaczęło się od małej, anonimowej interwencji, ale szybko stało się pracą na pełen etat dla *bawbe*, boga-rezydenta. Liczyłem, że w końcu będę ich mógł pozostawić własnemu losowi, ale pewnie nie było mi to pisane wcześniej niż za pokolenie czy dwa.

Dotarliśmy na plac ćwiczeń, co oczywiście było bardzo szumną nazwą. Był to po prostu płaski teren przy stromym wzniesieniu łączącym się ze środkowym masywem skalnym. Deltanie ustawiali na pochyłości cele i ćwiczyli się w tej nowej technologii rzucania włócznieami.

Patrzyliśmy przez parę minut. Większość Deltan umiała na ogół rzucić w dobrym kierunku, grotem naprzód. Co innego, żeby faktycznie trafić w któryś cel – to było wielkie osiągnięcie i z reguły kończyło się tańcami i drwinami z innych trenujących. Dla większości jakakolwiek dokładność była mrzonką. Niektórzy byli kompletnie beznadziejni, a jeden czy dwóch miało kłopot z zapamiętaniem, którym końcem naprzód się rzuca. Ci przeważnie zajmowali się polowaniem na dzikoidy, podczas którego włócznie nie wypuszcza się z dłoni.

Archimedes był wyjątkowo celny, ale brakowało mu siły w górnych partiach ciała, żeby rzucić na sensowną odległość. Za to, kiedy osiągnie dorosłość, będzie niesamowity.

Drugim mistrzem nowej technologii był Arnold. Miał intuicję do wszystkiego, co wiązało się z zabijaniem. Urodzony wojownik – pierwszy Deltanin, który zabił goryloida ręcznym toporem, jednym ciosem roztrzaskując mu czaszkę. Arnold był prawie wielkości młodego goryloida, więc ogólnie mało kto mu podskakiwał.

Chodził tam i z powrotem, poprawiając technikę kolegów i wykrzykując słowa zachęty. Zachichotałem, ale nie puściłem tego przez drona. Bo zaprogramowałem tłumacza tak, żeby przekładał go z austriackim akcentem. Wciąż mnie to bawiło.

– A jak sprawy ze znachorką? – zapytał Archimedes, wyrywając mnie z zamyślenia.

To była jedna z zadziwiających cech Deltan: absolutny brak podziwu dla boskiego autorytetu *bawbe*. A Cruella była w tym mistrzynią świata. Plemię ludzi pierwotnych chłonęłoby każde moje słowo, Deltanie natomiast byli o wiele bardziej sceptyczni i skłonni do zadawania pytań. Wciąż miałem lekką urazę po pierwszej próbie zapoznania ich z namiotami.

– Nie za dobrze. Albo w ogóle nie wierzy w to, co mówię, albo po prostu nie chce niczego u siebie zmieniać. Od czasu do czasu wycisnę

z niej jakieś drobne ustępstwo, ale strasznie ciężko to idzie.

Archimedes uśmiechnął się do drona.

– Witamy w moim plemieniu. Może powinieneś ją walnąć latającym kamieniem.

Zaśmiałem się, nie tyle z tej uwagi, ile z faktu, że Archimedes zabrzmiał zupełnie jak ja. Ironiczny humor podłapał prawie od razu, choć reszta Deltan, może poza garstką, zupełnie go nie pojmowała.

To było kuszące – przywalić czarownicy niszczycielem. Trudno się kłócić z samoczynnie latającą dwudziestokilową stalową kulą.

– Rozważę to. Powinna przynajmniej posłuchać rad o oczyszczaniu ran. Ona nie jest tak do końca zamknięta, po prostu strasznie konserwatywna.

Archimedes wzruszył ramionami. Sam miał przez całe życie do czynienia z takim konserwatyzmem i ciągle go śmieszyło, że mnie to tak dziwi.

Ruszyliśmy dalej ścieżką prowadzącą na szczyt centralnego wzniesienia. Był płaski, mniej więcej wielkości małego domu. Wystawiony na wiatr nie nadawałby się do mieszkania, ale widok roztaczał się z niego imponujący. W pogodne dni, jak ten, wielu młodych Deltan zbierało się tutaj w tym samym celu, co nastolatki na drugim końcu wszechświata – żeby mieć święty spokój od dorosłych.

Musieliśmy znieść parę chwil ogólnego gapienia się, gdy Archimedes wszedł na szczyt z polatującym nad ramieniem dronem wielkości piłki nożnej. To nie było jednak nic nowego i młodziaki szybko wróciły do tego, co robiły – czyli, na oko, do gry w rindzhaksę, coś w rodzaju bierek z zakładami. I znów uderzyło mnie to, jacy oni są ludzcy. Wprawdzie mieliśmy tylko dwie obserwacje, ale człowiek już zaczynał się zastanawiać, czy rozwój i zachowanie inteligentnych gatunków nie rządzą się jakimiś uniwersalnymi prawami.

Archimedes pomachał do Diany, która siedziała z przyjaciółkami. Uśmiechnęła się i odmachała, potem łypnęła z ukosa na drona i się odwróciła. Zdecydowanie nie jest moją fanką numer jeden. Nigdy nie dałem jej powodu, żeby mnie nienawdziła. Przynajmniej świadomie. Może po prostu byłem konkurencją o względy Archimedesas.

Ten usiadł, zwrócony twarzą na północny wschód, w stronę łańcucha górskiego dzielącego tę część kontynentu. Obniżyłem drona na taką wysokość, żeby się wygodnie rozmawiało, i sam przez chwilę cieszyłem się widokiem.

Na niebie wisiał jeden z dwóch księżyców Edenu, pozornie dwa razy większy od ziemskiego Księżyca. Słońce, nisko na zachodzie, podświetlało rzadkie chmury na złoto. Las, ciągnący się od horyzontu po horyzont, wyglądałby całkiem naturalnie na Ziemi, zanim ludzie wyrabali wszystko do zera.

Archimedes wskazał dalekie góry. Większość była na tyle wysoka, że przez cały rok pokrywał ją śnieg.

– To była trudna podróż. Nawet w tę stronę było ciężko, mimo że ty nas prowadziłeś i wiedzieliśmy, dokąd idziemy. Kiedy nasi rodzice i ich rodzice szli w tamtą stronę, musiało być jeszcze trudniej. Nie wiedzieli, co tam zastaną.

Spojrzał w dół, na wioskę rozciągającą się pod nami na płaskowyżu.

– Tu jest o wiele lepiej. Żeby tylko nie te wszystkie goryloidy. – Pokazał zęby, co automatycznie przetłumaczyłem jako zmarszczenie brwi.

– To dobrze, Archimedesie. Chcę, żeby twoje plemię się rozwijało. Nie wiem, czy na wszystkich światach w niebie jest wiele inteligentnych ludów, ale każdy z nich jest bezcenny. Na razie moi bracia nie znaleźli żadnych innych.

– To ile takich *bawbe* jest na świecie?

Uśmiechnąłem się, słysząc to pytanie, ale Archimedes tego nie widział.

– Nie wiem, tak naprawdę. Zanim odleciałem z poprzedniej gwiazdy, zrobiłem czterech kolejnych, ale oni pewnie potem też. A tutaj, jak dotąd, zrobiłem trzech. Dwaj odlecieli, a Marvin został i mi pomaga.

– To ty robisz sobie braci?

– To skomplikowane. Ja nie jestem zrobiony z ciała, jak ty. Każdy mój brat to moja kopia, z moją pamięcią i całą resztą. Ale przeważnie ma trochę inny charakter. Marvin na przykład jest ostrożniejszy ode mnie i nie pozwala mi na bardziej szalone rzeczy.

Archimedes gapił się przez dłuższą chwilę na drona, potem odwrócił wzrok.

– Pytania powodują kolejne pytania i to nigdy nie ma końca. Powinienem trzymać się rzeczy, które są ważne dla moich ludzi.

Parsknąłem śmiechem, co tłumacz przełożył na deltański odpowiednik humoru.

– To nic, Archimedesie. Ja mam bardzo podobny problem. U mnie to się nazywa „lista rzeczy do zrobienia”. Rośnie i rośnie i nie ma końca.

Archimedes uśmiechnął się szeroko i odwrócił w stronę widoku przed nami. On usiadł, a ja zawisłem w milczeniu, zachwycając się krajobrazem.

4. Wodny świat

Mulder, październik 2170, Eta Cassiopeiae

Eta Cassiopeiae była długookresową gwiazdą podwójną. Jaśniejszy składnik, Eta A, był klasy G3V, tylko trochę jaśniejszy i większy niż Słońce. Kawał drogi – 19,5 roku świetlnego od Epsilonu Eridani, ale wszystkie bliższe dobre kandydatki były już zaklepane. Zatem jako członek trzeciego miotu Billa musiałem się chyba zadowolić resztkami. Większość gwiazd jest klasy K lub M, a ja po prostu nie uważałem, żeby planeta siedząca prawie w chromosferze swojej gwiazdy i obracająca się synchronicznie była fajnym miejscem na wakacje. Znalazłem się więc tutaj, dwadzieścia parę lat później. Homer i Riker na pewno już dotarli na Słońce i w ten czy inny sposób poradzili sobie z tamtejszą sytuacją.

Zachichotałem, przypomniawszy sobie pierwsze dni z Epsilonu Eridani. Homer był naprawdę dziwny. Chyba wybrał sobie to imię tylko po to, żeby drażnić innych Bobów. Zastanawiałem się, czy Riker nie zabije go „przypadkowym” bratobójczym strzałem. Roześmiałem się głośno na tę myśl, aż Gupik popatrzył na mnie z rybią obawą.

Zdjąłem Kolczatkę z kolan i położyłem na biurku, potem wstałem i wyszedłem na słońce. Moja VR-ka była tropikalną wyspą, z trzcinowymi chatami, trochę w stylu Wyspy Giligana. W prawdziwym świecie byłoby to zdecydowanie niepraktyczne, ale w VR-ce można było wszystko.

Gupik wyszedł za mną.

[Przyszły wyniki. Nie ma planet jowiszowych]

– W ogóle? – Zmarszczyłem czoło. – Ciekawe, czy to dobrze, czy źle.

[Za mało informacji]

Kiwnąłem w roztargnieniu głową i odwróciłem się z powrotem do plaży.

Przez minutę rozkoszowałem się słońcem na twarzy i szumem fal. Przypuszczalnie kiedyś mi się ta sceneria znudzi, ale raczej nie szybko. Żałowałem, że póki żyłem, nigdy nie zrobiłem sobie tego typu wakacji.

Wziąłem głęboki wdech, ominąłem Gupika i wszedłem z powrotem do chaty. Holo pokazywało diagram układu, z 95% pewnością. Może się trafić jeszcze parę pomniejszych ciał, które przegapiliśmy, ale raczej nic istotnego.

Drugi składnik, Eta Cassiopeiae B, orbitowała w odległości 36 au

w periastronie, co oznaczało, że powyżej dziewięciu au od gwiazdy A mało prawdopodobne były jakiegokolwiek planety. Oznaczało to także, że orbity ciał z Oorta i Kuipera były wiele razy zaburzone. Wszystkie planety w układzie musiały nie raz zebrać porządne bombardowanie. Dobra wiadomość była taka, że prawdopodobnie niewiele tam już zostało.

– O, ta. – Wskazałem trzecią planetę. – Jest w samym środku strefy komfortu. Coś na temat wielkości?

[Nie. Ale spektroskopia pokazuje prążki tlenu i wody]

– Znakomicie.

[Występuje też oscylacja, co wskazuje na istnienie satelity]

– Coraz lepiej. Dobra, Gupik, wyznacz kurs na trzecią planetę.

[Roźmieścić drony skanujące i wydobywcze?]

– Nie, zobaczmy najpierw, czy w ogóle warto zostawać w tym układzie.

Gupikowi jakimś cudem udało się zrobić rozczarowaną minę, choć gdyby mnie naciskać, za żadne skarby nie potrafiłbym opisać, jak wygląda rozczarowana ryba.

Popatrzyłem w zamyśleniu na unoszący się przede mną obraz. Znaleźliśmy cztery inne skaliste planety, dwie w ekosferze i dwie poza nią, ale żadnych jowiszowych. To mnie trochę niepokoiło, bo planety jowiszowe praktycznie chroniły wewnętrzną część układu, zaburzając tory wszystkiego, co przylatywało z zewnątrz.

Jeszcze bardziej niepokojący był brak znaczącego pasa asteroid. Plan projektu NIEBO polegał na wykorzystaniu bogactwa minerałów pasa asteroid do budowy stacji kosmicznej i kolejnych Bobów. Brak tego pasa mógł oznaczać kłopoty.

E tam. Po kolei.

Dotarcie na miejsce zajęło parę dni. Przez ten czas robiłem dokładne skany układu, szukając jakichkolwiek rzadszych skupisk asteroid, poprzednio przeoczonych. Nic z tego. Układ był wymieciony do czysta. Miałem do dyspozycji pięć planet, ich ewentualne księżyce, i tyle. A żeby zorganizować wydobywanie na planetach, trzeba będzie sporo rzeczy przemyśleć na nowo.

Zorientowałem się też w księżycach trzeciej planety. Były dwa większe, jeden jak połowa ziemskiego, drugi jak jedna piąta oraz dwa mniejsze i bliższe, takie większe skały. Sama planeta była odrobinę mniejsza od Ziemi, z 0,87 ciężenia na powierzchni i dwudziestosześciodzinnym okresem obrotu. Atmosfera była zachwycająco ziemska, może trochę zbyt bogata w tlen.

Wszedłem na biegunową orbitę i zacząłem pogłębione skany. Było dużo chmur, tak jak na Ziemi. Dobrze, bo to sugeruje trwałe układy pogodowe. Było też dużo wody. Właściwie nie widziałem niczego poza

wodą.

– Wykryliśmy już jakiś ląd?

[Niestety]

– No cóż... to jest trochę irytujące. Powiadom mnie, jak coś znajdziesz.

[Tajest]

* * *

[Skany zakończone]

– Ale miałeś mnie powia... aha.

Spojrzałem na skany i zacząłem się śmiać. Mówię wam, porządny śmiech nadal jest przyjemny, nawet w VR.

Planeta miała wodę, o tak. Jeszcze jak miała! A czego nie miała? Lądu. Nic. Zero. Nul. Choćby najmniejszego atolu. Jedna wielka oceaniczna kula. Nawet czap lodowych nie było, żeby dało się na czymś stanąć.

Powstawało pytanie, skąd w takim razie bierze się ten tlen. Na Ziemi robią go zielone rośliny. Ale rośliny, nie owijając w bawełnę, potrzebują ziemi. Gleby.

– Gupik, jesteś pewien z tym chlorofilem?

[Potwierdzam]

Hmm. Dziwne. Z czegoś nie zdawałem sobie sprawy. Trzeba się bliżej przyjrzeć.

Jeszcze w locie dostałem od Billa wiadomość z planami dronów do eksploracji planetarnej, ale nie miałem surowców. Przerąbane.

Westchnąłem teatralnie i odwróciłem się do Gupika, stojącego jak zawsze na spocznij.

– Musimy przeskanować cały ten układ. Wyznacz kurs przez wszystkie planety po kolei. Zacznijmy od zbadania księżyców tej.

[Tajest]

Oblot wszystkich innych planet i ich satelitów zajął dwa tygodnie. Kiedy kręciłem się po układzie, udało mi się skatalogować parę asteroid o dość wydłużonych orbitach. Siadłem sobie na leżaku na plaży, z kubkiem kawy, i przejrzałem wszystkie raporty. W układzie była masa metalu. Nawet trochę więcej niż w Słonecznym. Ale wszystko leżało na planetach. Wyglądało na to, że śmieci, których normalnie pełno w układzie, tutaj właściwie w stu procentach się z czymś pozderzały. Mogłem się domyślać, że wpływ drugiego składnika gwiazdy binarnej, połączony z brakiem Jowisza wywołał jakiś ciąg zdarzeń, które doprowadziły do wyczyszczenia układu. Byłem przekonany, że astrofizyk od ręki znalazłby wyjaśnienie, i obiecałem sobie, że jak będę miał czas, zastanowię się nad tym.

Poleciałem na czwartą planetę, której drugi księżyc miał duże złoża

rud tuż pod powierzchnią. Umieściłem na orbicie autofabrykę i nakarmiłem ją kilkoma moimi dronami i szopami. Tydzień później wyprodukowała dwa małe statki transportowe. Załadowałem je dronami górniczymi i wysłałem całą tę ekipę na dół, na powierzchnię księżycy.

Czekając, przeglądałem skany trzeciej planety i głowiłem się. Wyczytałem gdzieś kiedyś, że cała ziemska woda mogła pochodzić z jednej lodowej komety o mniej więcej tysiąckilometrowym promieniu. Zważywszy ilość ciał w słonecznym Obłoku Oorta, to było tyle co nic. A skoro w tym układzie cały obłok był wyczyszczony, można było spokojnie założyć, że planeta obrywała od samego początku.

Gdy drony wydobywcze trudziły się, ja się zastanawiałem, czy warto w ogóle zgłaszać ją do potencjalnej kolonizacji. No tak, miała tlen, miała wodę, ale zbudowanie jakiegokolwiek bazy to będzie ogromny wysiłek. Wiedziałem z bibliotek, że w XXII wieku na Ziemi zaczęto budować i zasiedlać pływające miasta, ale one mogły funkcjonować tylko przy wsparciu przemysłu lądowego.

No cóż, to nie będzie moja decyzja. Ja tylko wyślę raport i niech władze go przemiela. O ile są tam jeszcze jakieś władze. Wojna mogła równie dobrze zmasać z mapy całą ludzkość. Wtedy ćwiczenie nie będzie miało sensu.

W końcu jednak Riker zamelduje o wszystkim Billowi, a Bill roześle wieści w jednym ze swoich regularnych wpisów na blogu. Póki nic nowego do mnie nie przyjdzie, będę dalej grał sondę von Neumanna. Jestem to winien doktorowi Landersowi.

* * *

[MSI sterująca budową włączona]

– Super, dzięki, Gupik. Niech zacznie od dwóch Bobów, potem stacja orbitalna.

[Tajest]

Maszynowa Sztuczna Inteligencja była w stanie kontrolować rutynową budowę na podstawie planów, a gdyby coś wykraczało poza zakres jej oprogramowania, skontaktuje się ze mną.

Ta konstrukcja miała zająć całe miesiące, więc przeleciałem się z powrotem na trzecią planetę, z dwoma dronami eksploracyjnymi, żeby się trochę rozejrzeć. Zacząłem od pogłębionego skanu oceanu. Musiałem trzy razy regulować czujniki, zanim udało się wykryć dno. Osiemset kilometrów głębokości. Obłęd po prostu. Zacząłem myśleć o sztucznych wyspach, ale jeśli gdzieś tam w dole nie ma jakiejś Góry Konkret, to nie ma szans się do czegoś zakotwiczyć. Albo na czymś oprzeć.

Patrzyłem na te wyniki z niedowierzaniem, potem zwróciłem się do Gupika:

– Zrób szczegółowe pomiary dna oceanu, używając obecnych ustawień SUDDAR-u. Daj znać, kiedy będziesz mieć cały glob.

[Tajest]

Obserwacje teleskopowe sugerowały jakieś zielone plamy na oceanie, wysłałem więc drona, żeby to zbadał. I zaraz mieliśmy źródło atmosferycznego tlenu. Rośliny odkryły, że kiedy wystają nad wodę, mają o wiele lepsze światło. Stworzyły wielkie, zbite dywany – a mówiąc „wielkie”, mam na myśli dosłownie kilometry średnicy. Wysłałem tam biologicznego drona, żeby pobrał próbki.

Pod wodę drony nie mogły zejść. Napęd SURGE konkretnie by się od tego rozwalił. Już atmosfera wymagała starannego dostrojenia, żeby pole się nie psuło. Jednakże skan SUDDAR-em z bliska ujawnił, że podwodny ekosystem jest bogaty ponad wszelkie wyobrażenie.

– No, i nagle się okazuje, że to wcale tak źle nie wygląda. Jeśli coś z tego jest jadalne, ludzie mogliby tu żyć i pracować na górze.

Czekałem na reakcję Gupika. Właściwie nie wiem po co.

Drony od analizy biologicznej przez kilka tygodni badały dywany i ich okolicę. Wyglądało na to, że tak naprawdę składają się z wielu powiązanych symbiozą gatunków roślin. Zwierzęta też się zorientowały, że tam jest darmowe jedzenie, i wokół dywanów i na nich rozwinął się cały kwitnący komensaliczny ekosystem.

Pod koniec drugiego miesiąca zebrałem i przejrzałem wyniki badań.

Duża biozgodność. Według raportu – wyjątkowa. Właściwie, nie licząc paru aminokwasów i witamin, ludzie mogliby spokojnie wejść w rolę tubylców na tych dywanach, o ile nie ma tam czegoś trującego.

Poskładałem kompletny raport i przesłałem go MSI stacji orbitalnej, żeby nadała go do Billa, kiedy skończy się budować. Autofabryka ukończyła już dwie macierze komputerowe i ich platformy, zrobiłem więc sobie kopię zapasową i odtworzyłem ją na tych macierzach. HIC3821-1 i 2 wystartowali.

Powiększyłem swoją VR-kę, żeby zrobić miejsce, i zaprosiłem ich do siebie.

Dwaj Bobowie pojawili się po drugiej stronie biurka. Podsunałem im leżaki, Jeeves przyniósł kawę. Uśmiechnąłem się do nich.

– Pewnie się zastanawiacie, po co was tu wezwałem.

H-1 przewrócił oczyma.

– To śmieszne, ale wiedziałem, że tak powiesz.

To z kolei mnie rozśmieszyło. I było trochę niespodziewane – moje klony już zaczynały się ode mnie różnić.

– To jak, jakieś pomysły na imiona?

– Dla mnie: Skinner – odezwał się H-1.

Zrobiłem zachwyconą minę.

– Pozostajesz w klimacie. Miło mi.

– Mnie bardziej pasuje Jonny Quest – powiedział H-2.

Skinner i ja zachichotaliśmy jednogłośnie.

Po grzecznościowej przerwie wyciągnąłem diagram z powiększonym obszarem autofabryk.

– Gdybyście mogli tu trochę pomóc, póki wasze kadłuby nie będą gotowe... A co potem – to już oczywiście zależy od was.

Obaj Bobowie kiwnęli głowami.

– Pomóc mogę na razie, nie ma problemu, ale jak tylko statek będzie gotowy, to ulatniam się z tego zadupnego systemu – powiedział Jonny i odwrócił się do Skinnera. – A ty, jak chcesz, możesz zostać albo nie. Ja osobiście wolę poszukać sobie czegoś ciekawszego.

Trochę obcesowo. Ale oczywiście to jego decyzja. Skinner tylko wzruszył ramionami.

Wskazałem stację kosmiczną.

– Prawie gotowa. Kiedy wyśle meldunek do Billa, ustawiamy drony wydobywcze na full automat i to w zasadzie kończy nasze obowiązki tutaj. Jakies pytania?

Obaj Bobowie pokręcili głowami.

– Ja może tu jeszcze trochę zostanę i zrobię jeszcze jedną rundę Bobów – ciągnąłem. – Bo ciekawi mnie życie na Trójce. Hmm. Myślę, że można ją nazwać Posejdon. Pasowałoby.

– Ooo, nazwa i w ogóle. Ty faktycznie jesteś z tych sentymentalnych.

Jonny ewidentnie był sarkastycznym palantem. Stwierdziłem, że nie mogę się doczekać, kiedy sobie poleci.

Skinner chyba zgadzał się ze mną, bo patrzył z ukosa na Jonny'ego. Znów coś jak Mario czy Milo. Przypomniałem sobie, jak Bob 1 się zastanawiał, co zrobi, gdy się okaże, że któregoś klona wyjątkowo nie lubi. Wychodziło na to, że to bez znaczenia. Galaktyka jest duża.

5. Postęp

Howard, grudzień 2188, Omikron-2 Eridani

Ogrodzenie było prawie ukończone, układ miasteczka został zaprojektowany, miało też oficjalną nazwę. Może niezbyt kreatywną – „Przyczółek”, ale wszyscy uważali, że pasuje.

Miałem telekonferencję z pułkownikiem Butterworthem i Stéphane'em, w sprawie ostatnich ofiar. Pułkownik miał w ręce tradycyjną szklaneczkę Jamesona. Stéphane dzwonił z terenu, był więc w oddzielnym okienku. Telekonferencje zdecydowanie zrobiły się łatwiejsze niż za życia Pierwszego Boba. A szczególnie mnie ułatwiały życie, bo w takim kontekście byłem równie realny, jak wszyscy inni.

– Dwie osoby zginęły – powtórzył Stéphane, kręcąc głową. – Dwa raptory schowały się za ciężarówkami z drewnem i po prostu weszły niewidocznie do obozu. Cwane one są. Pewni jesteśmy, że nie są inteligentne?

Pułkownik Butterworth poruszył brwią.

– Zakładam, że masz na myśli samoświadomość na ludzkim poziomie. Zatem odpowiedź brzmi „nie”, na ile jesteśmy w stanie ustalić. Rozmawiałem wiele razy z doktor Sheehy i jej ludźmi. Zapewnili mnie, że raptory nie używają języka, poza stereotypową sygnalizacją głosową. Nie używają broni, w sumie zresztą jej nie potrzebują, nie widzieliśmy żadnych oznak budowania schronień. – Wzruszył ramionami. – Nie ma żadnych dowodów, musimy więc zakładać, że to tylko zwierzęta. Sprytne, ale nic więcej.

– Pułkowniku, to nie musi być wszystko albo nic.

Butterworth popatrzył na mnie, wciąż z uniesioną jedną brwią.

– Filozoficznie – tak, rozumiem. Ale, Howard, w rzeczywistości my przybyliśmy tutaj, żeby rozprzestrzeniać nasz gatunek. Nie da się tego zrobić z zerowym śladem w środowisku. Chętnie bym przestał strzelać do raptorów, gdyby dało się je przekonać, żeby nie zżerały kolonistów. – Uśmiechnął się. – A dopóki to nie nastąpi, będziemy mieć z nimi takie interakcje, jak zawsze w historii między konkurującymi gatunkami.

Stéphane kiwnął głową i wyszczerzył zęby.

– I tu właśnie wkraczamy my.

Wiedziałem, że nie ma na to dobrej odpowiedzi, zresztą głowę zaprzętały mi inne rzeczy.

– A tak zmieniając temat... kiedy można będzie wybutlować resztę kolonistów? Zgodnie z planem?

– Jeśli drugi obwarzanek uzyska pełną zdolność produkcyjną, to tak. – Butterworth łyknął whiskey i popatrzył w zamyśleniu na szklaneczkę. – Będę to musiał sobie bardziej racjonować. Bo kolejna beczka jest szesnaście lat świetlnych stąd. O ile w ogóle jeszcze istnieje. – Otrząsnął się i popatrzył na mnie.

Uwagę o Jamesonie zignorowałem.

– Idzie zgodnie z planem, pułkowniku. Bert i Ernie już nie mogą się doczekać, kiedy ruszą na Ziemię po kolejnych.

Czyli za jakieś trzydzieści pięć lat kolejne dwadzieścia tysięcy ludzi będzie musiało sobie znaleźć miejsce do życia na Wolkanie lub Romulusie. Czy ja tu jeszcze będę? Czy zdam wszystko któremuś ze swoich klonów?

– Ochrona jest gotowa – powiedział Stéphane. – Płot będzie gotowy za maks czterdzieści osiem godzin. Twoje drony obserwacyjne bardzo pomogły.

– Na razie to taka trochę improwizacja. Docelowo powinien to być porządny, zautomatyzowany system. – Odwróciłem się z powrotem do pułkownika. – Farmy-obwarzanki też są gotowe i mam już zakumulowaną pewną nadwyżkę na wypadek zwiększonych potrzeb.

– Dachy nad głową też wystarczy, choć jeszcze przez miesiąc czy dwa sporo osób będzie skoszarowanych. – Butterworth popatrzył na nas po kolei. – Według mnie jesteśmy gotowi. Możesz dać znać pilotom *Exodusów*.

Uśmiechnąłem się szeroko. Wreszcie. Wielkie Otwarcie.

* * *

Zaakceptowałem pingnięcie od Berta i wskoczył do mojej VR-ki. Zauważyłem, że już nie ma na sobie munduru z *Gwiazdy bojowej Galaktyka*. I dobrze, trochę już się ten żart zużył.

– Cześć, Howard. Dostałem twojego maila. Butterworth zgodził się wyładować resztę kolonistów?

Był wyraźnie podekscytowany. Domyślałem się, że to kwestia dumy – Bert i Ernie chcieli już być w drodze, wozic kolejnych kolonistów. Orbitowanie wokół Wolkana w roli latającego magazynu to żadna atrakcja.

Usiadł i przyjął kawę od Jeevesa.

– Wygląda na to, że w połowie przyszłego roku przyleci też *Exodus 3*.

– Tak. Riker mówił Samowi, żeby nie cisnął, żebyśmy mieli tu więcej czasu na ogarnięcie się. Umawialiśmy się tylko, że zgarniemy Szpiców

z Ziemi w pół roku po pierwszych dwóch statkach. O czasie przylotu w ogóle nie rozmawialiśmy.

– No tak, prawnicza gadka. Dzięki niej wszechświat się kręci.

Uśmiechnąłem się i spoważniałem.

– Potrzebny nam był ten czas. Milo nie żartował, kiedy mówił o ekosystemie Wolkana. Ogrodzenie trzeba było dwa razy wzmacniać, a potem dodać jeszcze druty pod prądem, żeby bronty go nie podgryzały. Nie wpuszczać raptorów i tych olbrzymich wężopodobnych i tych kopiających tunele pancernikopodobnych... – Pokręciłem głową. – Postępowanie oczywiście jest, ale momentami to idzie jak krew z nosa.

– Dobra, to nie mój problem. – Bert upił łyk kawy. – Dzisiaj po południu wahadłowce zaczną ich zwozić na dół. Żebyście tylko mieli gdzie ich pomieścić. Bo ja już prawie jestem gotowy, żeby zawisnąć nad lądowiskiem, przechylić statek i wszystkich ich tam wysypać. – Wyszczrzył zęby, dając do zrozumienia, że nie mówi poważnie. Przynajmniej nie w stu procentach.

– Dobra, Bert, przekażę Butterworthowi.

Dopił kawę, zniknął kubek, pomachał mi i sam też się rozpląnął.

6. Kontakt z Billem Mulder, kwiecień 2171, Posejdon

Uniwersalny Nadajnik-Odbiornik Podprzestrzenny. Trochę na siłę, ale mieliśmy całą tradycję takich kulawych skrótów, odziedziczoną jeszcze po WIERZE. W wiadomości radiowej od Billa był kompletny zestaw planów i instrukcja obsługi.

Zbudowałem więc UNOP-a na ich podstawie i byłem gotowy na wielką chwilę.

Żeby tylko się nie sfajczył. Wcisnąłem wyłącznik, a na konsoli natychmiast przewinęły się informacje:

Układ Słoneczny

Epsilon Eridani

Alfa Centauri

Omikron-2 Eridani.

Wszedłem w menu i zarejestrowałem się w sieci, po czym wybrałem „Epsilon Eridani” i podłączyłem się. Pojawiła się ikonka „nadawanie” i zacząłem mówić.

– Cześć Bill, tu Mulder z Ety Kasjopei. Znalazłem...

Bill wskoczył mi do VR-ki.

– No cześć, Mulder. Co tam u ciebie?

– Kur... – Aż zaniemówiłem. Do Epsilona Eridani miałem prawie dwadzieścia lat świetlnych, a tu proszę, Bill. Siedzi naprzeciwko mnie w mojej rzeczywistości.

Bill parsknął śmiechem.

– To mi się nigdy nie znudzi. Witam w BobNecie. Natychmiastowa łączność w przestrzeni międzygwiazdnej. – Poruszył brwiami w naszej standardowej minie à la Groucho Marx i łyknął kawy.

Powoli, z podziwem, pokiwałem głową.

– Zawsze robisz takie wejście?

– No pewnie. I odznaczam je sobie. Nacięcia na kaburze broni, czy coś takiego.

Obaj się roześmialiśmy. Też zmaterializowałem sobie kawę. To była wielka rzecz. Łączność w czasie rzeczywistym zmienia wszystko. Koniec z dziesięcioleciaми pomiędzy wiadomościami.

– No to co u ciebie? Coś ciekawego? – Bill machnął kubkiem w ogólnym geście „gdzieś tutaj”.

– Chyba tak. Obiekt do kolonizacji. Może nie idealny, ale nie wiem, czy już możemy wybrzydzać. Albo czy w ogóle potrzeba jakiejś „kolonizacji”. Riker coś znalazł?

Pchnąłem mu paczkę plików. Bill przez chwilę się zacinał, absorbując ich zawartość. Kiedy się odetkał, zrobił zadowoloną minę.

– Nieźle. Ale rozumiem, co masz na myśli. Koloniści musieliby od razu mieć bazy na orbicie. Ale odpowiadając na twoje pytanie: nie. Na razie nie możemy wybrzydzać. I tak, Riker coś znalazł. Zajrzyj do jego bloga na BobNecie.

Przez parę sekund wymienialiśmy się nowinami, obiecałem też, że przeczytam wszystkie blogi. Bill pomachał mi i zniknął.

No, to było ciekawe. Zdaje się, że trzeba będzie trochę popracować nad przygotowaniem tego układu. Zgodnie ze standardowym planem na przybycie kolonistów powinienem mieć tu zapas oczyszczonych metali. Trzeba też będzie napisać szczegółowy bestiariusz. Bo niektóre stwory na tej planecie były naprawdę imponujące pod każdym względem. Zwłaszcza krakeny zasługiwały na osobny rozdział.

Trzeba się będzie do tego na poważnie zabrać.

7. Do roboty

Riker, lipiec 2171, Układ Słoneczny

Spojrzałem na swoją listę zadań na ten dzień i westchnąłem. Trochę mnie zaskoczyło, że tak bardzo tęsknię za rodziną. Julia i Klan Bobów byli na pokładzie *Exodusu 3*, w hibernacji, lecieli na Omikrona-2 Eridani. Nie będzie z nimi kontaktu, póki nie dolecą na miejsce i nie zostaną ożywieni. Powtarzałem sobie, że w mojej skali to okamgnienie, ale jakkolwiek by na to patrzeć, będę musiał przeżyć każdy dzień z tych siedemnastu lat. Dwudziestoczworogodzinny dzień, bo przecież ja nie śpię, przeżywany w milisekundowych interwałach.

Wyglądało na to, że ten ciąg myśli grozi mi głęboką depresją. Wysiłkiem woli zabrałem się do pracy.

Pierwsze było jak zawsze sprawdzenie stanu budowy statków-kolonii. Zamiast osobistej inspekcji zerknąłem tylko w okienko statusu. Jeśli nie ma akurat jakiegoś ważnego etapu, nie potrzeba mikrozarządzać.

W tym momencie do mojej VR-ki wskoczył Charles.

– Cześć, Riker.

Jeden z pierwszych klonów, które zrobiłem w Układzie Słonecznym. Został na miejscu i pomagał. Znał się na ziemskiej polityce prawie tak dobrze jak ja, a na lokalizacji wszystkiego w Układzie – o wiele lepiej. Jeśli kiedyś postanowi odlecieć, będzie to dla mnie trudne.

– Charles. Co tam?

– Mam wieści o sabotażu.

– Coś znalazłeś?

– Hmm... zdaje się, że to są dwie różne grupy. SZLAG na pewno stoi za atakami na infrastrukturę. Zostawili swoje wizytówki, jak zawsze. Wszystko jest zawsze wymierzone w produkcję żywności. Są bardzo ogarnięci technicznie i ewidentnie znają się na rzeczy.

SZLAG, jak się domyślaliśmy, był radykalnie ekologiczną grupą, której ostatecznym celem było uratowanie świata przez usunięcie z niego ludzkości. A jeśli chodzi o etyczną stronę ich metod, nie byli zbyt wybredni.

Charles wyświetlił parę obrazów i próbki ich oświadczeń. Chciał, żebym je przejrzał przed dalszą dyskusją. Niektóre były typową nadętą gadaniną jakichś bufonów przekonanych o własnej słuszności – same

wykrzykniki i mocne twierdzenia, napisane z wysoko zadartym nosem. Inne potrafiły być zjadliwe, a nawet ironiczne. Ostatnie było z tej drugiej kategorii:

*Uprzejme przypomnienie: jesteście zakałą wszechświata.
Bądźcie tak mili i zniknijcie z niego.*

Tę informację publiczną rozpowszechniło:

*Samoistne Zaniknięcie Ludzkości –
Alternatywna Genezis.*

Gdy wróciłem do niego, Charles kontynuował.

– Tylko że ataki na Florianópolis nie pasują do tego profilu. Nie ma oświadczenia, a same ataki są zorientowane na maksymalizację ofiar, a nie na niszczenie infrastruktury. I nie są zbyt wyrafinowane, przeważnie po prostu duża ilość materiałów wybuchowych. Według mnie to są po prostu ataki na Brazylię, czy też na to, co z niej zostało. Mnóstwo ludzi wciąż ich nienawidzi za wojnę.

Kiwnąłem z namysłem głową. To potwierdzało moją prywatną opinię.

– To znaczy też, że ta druga grupa to może nie być jedna grupa czy organizacja. To może być więcej grup albo w ogóle indywidualne osoby.

– Zgoda. Prawda, tu zginęło o wiele więcej ludzi, ale długoterminowo to nie jest aż taki problem, miejscowe organy powinny sobie z tym poradzić. SZLAG martwi mnie o wiele bardziej.

– Aha, no. Nie dotarli jeszcze do naszych kosmicznych obiektów, ale zważywszy, jaki mają poziom technologiczny, wcale bym się nie dziwił, gdyby znaleźli jakiś sposób.

Już chciałem opisać kroki, które podejmę, żeby ich wysledzić, lecz nagle się zawahałem. Nie byłem do końca pewien dlaczego – nie mogłem realistycznie podejrzewać Charlesa o nic – ale nagle ogarnęło mnie przeczucie, że powinienem trzymać karty przy orderach. SZLAG był dobry. Możliwe, że umieją łamać komunikację między Bobami.

Uruchomiłem pełne monitorowanie całej łączności w Układzie Słonecznym. Sześć MSI monitorowało wszystkie przesyłane informacje, szukając słów kluczowych i prawidłowości. Trochę na rympał, ale nie za bardzo miałem inne opcje. Nie było powodu informować o tym innych Bobów. Zresztą i tak chciałem, żeby zachowywali się naturalnie.

Charles wyrwał mnie z zamyślenia.

– A budowa jak idzie?

– A... ten... właśnie to sprawdzałem. Generalnie to zgodnie z planem. Zresztą miałem zaraz pogadać z Homerem o produkcji żywności.

Charles skinął głową.

– Dobra, to daj znać, jeśli będziesz gdzieś potrzebował pomocy.

Ja również kiwnąłem głową, a on mi zsalutował i zniknął.

Następna na liście była właśnie produkcja żywności. Wysłałem Homerowi szybkie pytanie o orbitalne farmy, a on odpowiedział, że w branży tryby kręcą się jak należy. Uśmiechnąłem się, widząc tę odpowiedź. Ostatnio zacząłem go nazywać „magnatem rolnym” albo wręcz „obszarnikiem”, a on zamiast się obrazić, zaśmiewał się z tego. Cały Homer.

Kiedy otworzyłem załączony arkusz, uśmiech zniknął. W miarę pogarszania się klimatu produkcja żywności na Ziemi ciągle spadała. Bombardowanie, które nastąpiło podczas wojny, wpędziło planetę w nową epokę lodowcową. W miarę jak lodowce i śnieg posuwały się coraz dalej od biegunów, ziemie uprawne zamieniały się w tundrę, a potem tundra w lód. Musieliśmy bilansować produkcję żywności, przesuwać enklawy z dużych szerokości geograficznych w stronę równika. I farmy orbitalne Homera znacząco łagodziły tę presję. W miarę uruchamiania kolejnych udawało się przesunąć Szacowany Czas Przetrwania (SzCzaP) o kolejne lata. Farmy-obwarzanki były pomysłem Homera i zarządzał nimi jak operacją wojskową.

Jednakże trzydzieści tysięcy ludzi, których udało nam się dotąd wywieźć z planety to była kropla w morzu. Z gatunku *homo sapiens* zostało piętnaście milionów istot – mało, ale mnóstwo, jeśli myśleć o transporcie. Tysiąc pięćset statków albo tysiąc pięćset lotów.

Odłożyłem dokument i przez chwilę masowałem czoło. Posiedzenie ONZ zaczęło się parę minut temu i powinienem się na nie wdzwonić. Kulminacyjny punkt mojego dnia.

Tylko że nie.

Od wyprawienia ZSE i Szpiców pierwszymi dwoma statkami właściwie nie miałem nikogo, z kim bym regularnie rozmawiał. Wszystkie pozostałe enklawy trzymały nas bardzo na dystans, z wyjątkiem paru, jak Nowa Zelandia, które były otwarcie wrogie. To oraz fakt, że cała moja rodzina była w hibernacji, sprawiało, że czułem się teraz bardzo osamotniony.

Dobrze, że chociaż dzisiejsze posiedzenie będzie ciekawe. Od Muldera z Ety Kasjopei dostaliśmy wieść o Posejdonie. Biologia była tam zgodna, a układ miał dość zasobów, żeby pozwolić na budowę pływających miast. Parę co mniejszych wyspiarskich enklaw od razu wyraziło zainteresowanie.

Problem stanowiły priorytety. *Exodusy 4* i *5* były prawie skończone. Mamy wysłać jednego na Posejdona czy oba na Omikrona-2 Eridani?

Mówiła reprezentantka Malediwów, Sharma. Mocno orędowniła za podzwrotnikowymi wyspiarskimi enklawami. Choć chłopski rozum mówił, że powinny być ostatnie, bo miały wciąż najłagodniejszy klimat.

– Tak, jak wiele razy powtarzał przedstawiciel wyspy Vancouver, Malediwy i inne równikowe kraje wciąż mają umiarkowany klimat. Nie powiedział natomiast ani razu, dlaczego to takie ważne. Mianowicie, kiedy wyemigrujemy, nasze tereny będą dostępne dla innych, z trudniejszych regionów. Zatem, tak czy owak, poprawia to ich sytuację. – Wskazała zdjęcie Posejdona. – Ważne pytanie jest takie: zasiedlamy drugi układ, czy nadal pakujemy wszystkich emigrantów do Omikrona-2 Eridani? Jako gatunek jesteśmy już w o wiele lepszej sytuacji niż kilka lat temu. Jesteśmy rozprzestrzeni po dwóch układach gwiazdnych. Ale jeszcze lepsze byłyby trzy albo nawet cztery. Przy niezmiennych obecnych warunkach powinniśmy próbować zasiedlić przynajmniej trzeci. Delegat wyspy Vancouver oraz inni oponenti: prośba, byście wykazali konkretnie, jakie warunki się zmieniły lub zmienią, a nie wykręcali się mylnymi skojarzeniami.

Wystawiła bojowo podbródek, odczekała teatralnie do końca taktu i zwolniła scenę.

Chciałem bić brawo, ale nie wypadało. Dla mnie samego stawka tej gry była żadna, zgadzałem się za to, co do rozproszenia ludzkości jak najszerzej. Ten gatunek dopiero co prawie sam się wybił w jednym układzie. Można by pomyśleć, że czegoś się nauczy.

Spojrzałem na listę. Palila się ponad połowa „podniesionych rąk”. Westchnąłem, odłączyłem się na moment od mojego publicznego awatara i po raz tysięczny zachodziłem w głowę, jak ja się w ogóle dałem wciągnąć w te obowiązki.

Miejmy nadzieję, że już dziś poddadzą to pod głosowanie.

8. Farmy orbitalne

Howard, kwiecień 2189, Wolkan

Holo pękało w szwach od nakładających się okienek konkurujących o moją uwagę. Parę mrugało czerwono, domagając się natychmiastowej reakcji. Podkreśliłem sobie trochę częstotliwość. Nie aż tak, żeby VR-ka zaczęła się zacinać, tylko tyle, by za wszystkim nadążyć.

– Gupik, ty koordynujesz karawanę dronów?

[Potwierdzam]

Dobrze. Bo już myślałem, że głowa mi eksploduje.

Byliśmy w trakcie rozkręcania trzeciej farmy-obwarzanka, która miała zwiększyć naszą zdolność produkcyjną w samą porę na przybycie trzeciego statku-kolonii.

Farma 1 i *Farma 2* pracowały już pełną parą, generując na obręczy przyjemne 0,25 g. Riker i Homer dowiedzieli się metodą prób i błędów, że poniżej takiego ciężenia rośliny nie funkcjonują dobrze.

Wyspecjalizowane drony obsługiwały sektory farmy, gdzie rosło kudzu w ilości „jesz, ile chcesz”. Mniam. Oczywiście ja go jeść nie musiałem, będąc komputerem i tak dalej, ale ludzie nie mieli takiego szczęścia. Póki kolonie nie osiągną samowystarczalności, prawie połowa dziennego zapotrzebowania na kalorie każdego człowieka będzie pochodzić z kudzu. A z uwagi na jego trawienne skutki uboczne posiłki i inne towarzyskie wydarzenia odbywały się przeważnie na zewnątrz. Albo chociaż przy otwartych oknach.

Jedno z okien statusowych zadzwieczało. Gupik rozpoczął rozkręcanie *Farmy 3*. Po długiej debacie, wypełnionej dyskusjami o żyroskopach, dyszach na sprężone powietrze i tradycyjnych rakietowych silnikach wspomagających, Homer zadowolił się bardzo staroświeckim systemem kręcenia farmą orbitalną. I nadal go używaliśmy. Cztery drony przyczepione do stacji linkami, co 90 stopni, latające w kółko, póki nie osiągną zadanej prędkości kątowej. Prymitywne, ale działa.

Obserwowałem status, gdy *Farma 3* się rozpędzała. Żadnych problemów. I co ważniejsze, żadnego sabotażu. Wyglądało na to, że SZLAG albo nadal ogranicza się do Układu Słonecznego, albo nie był w stanie podrzucić nam żadnych agentów. Nie wiedzieliśmy jednak, ilu „spiochów” mogło się zabrać na statkach koloniach. Trzeba być

czujnym, póki ludzkość nie odrośnie na tyle, żeby móc przeżyć własną głupotę.

Pokręciłem głową. Dość tych niebieskich migdałów. Puściłem ostatnie testy *Farmy 3* i kazałem Gupikowi rozpocząć obsadzanie. *Farma 3* miała rodzić normalne rośliny. Warzywa, pszenicę, owoce, rzeczy, które ludzie naprawdę chcą jeść. I to będzie musiało zadziałać, inaczej w powietrzu będzie wisiał lincz.

* * *

– Docieram do bikonu. Pięćdziesiąt kilometrów. – Obok diagramu układu pojawił się wizerunek Sama. *Exodus 3* miał za chwilę zatrzymać się w punkcie L4 pomiędzy bliźniaczymi planetami, Wolkanem i Romulusem. Kolonia na Wolkanie ogłosiła święto, bo i tak było mało prawdopodobne, żeby komuś się chciało coś robić. Ja im transmitowałem wszystkie moje ekrany, a oni rozsyłali to po wszystkich telewizorach w mieście Przyczółek.

Exodus 3 płynnie, nawet nie zakołysawszy się, zawisł obok bikonu. Sam przeszedł przez listę kontrolną wyłączania systemów i zmienił tryb na utrzymanie.

Mając formalności z głowy, wskoczyłem mu do VR-ki.

– Witaj, Howard. Siadaj. – Machnął kubkiem z kawą mniej więcej w kierunku wiktoriańskiego uszaka.

Rozejrzałem się po jego VR. Miała klimat dawnego angielskiego salonu, w stylu Sherlocka Holmesa. Sam pił kawę, ale szybki rzut oka w menu powiedział, że wybór napojów jest obszerny.

Postanowiłem sprawdzić, jak mu się udało zasymulować koniak. Złożyłem zamówienie u Jeevesa i usiadłem.

– Zacząłem wybutlowywać ekipy pionierów – powiedział Sam. – Przejrzałem te twoje mapy i opisy złóż. Bardzo dokładne. – Skrzywił się na ułamek milisekundy. – Ale Cranston i tak znajdzie jakiś powód do narzekań.

Wziąłem od Jeevesa kieliszek koniaku i smakowałem go przez chwilę. Niezły. Nawet bardzo dobry. Sam wyraźnie poświęcił sporo czasu, żeby go dopracować. Wrzuciłem sobie na listę, żeby poprosić go o szablon.

Odstawiłem szkło i nachyliłem się do niego.

– Twoi koloniści naprawdę będą musieli się ostrożnie obchodzić z Romulusem. Milo miał rację, on jest świeżo po masowym wymieraniu i ekosystem dalej jest bardzo płytki. Żadnych masowych czystek, a szczególnie nie wolno wypuścić na wolność niczego z ziemskiej bioty. Dopilnuj, żeby to dotarło do obu grup kolonistów.

Wpatrzony w nieskończoność Sam kiwnął głową. Z wyraźnym

wysiłkiem skupił uwagę z powrotem na mnie.

– Ty naprawdę masz szczęście, Howard, że możesz obserwować te pierwsze kroki kolonii. To o wiele ciekawsze niż jeżdżenie autobusem. Bo ja za miesiąc czy dwa pojadę po nowy ładunek.

– Jasne, Sam, ale ja piszę o wszystkim na blogu. I wrzucam też masę wideo, jeśli są choć trochę interesujące. Jasne, to nie jest w czasie rzeczywistym, ale teraz przecież wszechświat to nasz plac zabaw, nie?

W odpowiedzi wyszczerzył zęby. Przez parę sekund wymienialiśmy się najnowszymi plotkami, a potem przeszliśmy do spraw poważnych – zakładania na obcej planecie kolonii na dziesięć tysięcy ludzi. Czyli jak co dzień w robocie.

* * *

Minęły tylko dwa dni od wybutlowania pierwszych kolonistów WIARY i Szpiców, a już zaczęli się żreć. Czy raczej wrócili do normy. Trójstronna bitwa o koje na pierwszym statku pomiędzy enklawami Szpiców, ZDE i WIARY była megamęcząca dla Rikera na Ziemi. Wyglądało na to, że niewiele się zmieniło i problem przelazł na mnie.

Oczywiście na wideokonferencji nie mogli sobie dać po mordach, ale aż nadto nadrabiali to wrzaskami i furią. Ująłem głowę w dłonie i pokręciłem nią powoli.

Zauważyli to dopiero po paru sekundach i krzyki powoli ustały.

– Słuchajcie – powiedziałem – a co powiecie na udeptaną ziemię o świcie i pistolety? Trzy pistolety. To by było interesujące.

Prezydent Valter zrobił minę spłoszoną, pastor Cranston oburzona, a pułkownik Butterworth rozbawiona. Ale chociaż się zamknęli. Trzech liderów kolonii opadło za biurka i czekało, co powiem dalej.

– Pewien stopień rywalizacji rozumiem – dodałem, patrząc na każdego po kolei. – Ale izolacjonizm doprowadzi tylko do zguby. A ja na pewno nie będę wspierał takiego nastawienia.

Twarz Cranstona poczerwieniała.

– Nie ty tu dowodzisz, replikancie. Sami będziemy podejmować decyzje o tym, co dla nas najlepsze. Skąd w ogóle pomysł, że masz prawo nam coś dyktować? Albo że masz w ogóle jakąś moralną wyższość?

Przechyliłem głowę i uśmiechnąłem się niewinnie do przywódcy kolonii WIARY.

– No zaraz... niech no sobie przypomnę. Proszę: wszyscy, którzy nie brali udziału w wojnie, która praktycznie zniszczyła ludzką rasę, niech podniosą rękę. – Podniosłem rękę i odczekałem chwilę, czy ktoś nie okaże się aż tak bezczelny. – To ja tu jestem bezstronny, panie Cranston. Nawet wobec chamów, którzy traktują mnie jak sprzęt, zamiast zwracać

się do mnie po imieniu. I ja robię to z własnej woli. Będę pomagał, komu zechcę; jak zechcę, to stąd odleczę. Jako dobry przywódca powinien pan brać te informacje pod uwagę, kiedy podejmuje pan decyzje o tym, jak bardzo chce się pan okazać debilem.

Łypnąłem groźnie na trzy okienka wideo. Nikt nie odpowiedział.

Po chwili niezręcznej ciszy odezwał się Valter:

– Dobrze, sprzedamy trochę naszego wybutlowanego bydła. Jeśli to konieczne, wynagrodzenie może być w przyszłości. Howard, mam nadzieję, że pomożesz w rozliczeniach.

– Absolutnie, panie Valter. I dziękuję. Panie pułkowniku, parę sztuk rozplodowego bydła pomoże wam, póki nie dorosną nowe sztuki w sztucznych macicach. – Zwróciłem się do Cranstona. – Panie pastorze, pan w zamian powinien wyprodukować i uruchomić dużą liczbę sztucznych macic, żeby złagodzić presję na Szpiców. Obaj możecie oddać im pożyczkę z procentem, kiedy już będziecie mieli odpowiednio dużą hodowlę.

Spojrzałem po poszczególnych okienkach. Nikt nie odpowiedział. Wzdychając, sprawdziłem, co jest następne w agendzie.

* * *

– Jesteś o wiele bardziej cierpliwy niż Riker. – Pułkownik Butterworth przepił do mnie szklaneczką jamesona.

– Dziękuję, pułkowniku. Chyba. My, Bobowie, bardzo się różnimy między sobą. Ciekawe, czemu tego nie zauważyli na Ziemi, kiedy pracowali nad całą tą replikacją.

Wzruszył ramionami. Takie uczone kwestie nie interesowały go, chyba że miały wpływ na jego pracę.

Dźgnął palcem stos papierów na biurku.

– To miejscowe pnącze, o którym wspominałem. Coraz więcej z nim problemów. Jest inwazyjne jak mało co na ziemi, może poza bambusem. Jeśli go nie opanujemy, może się okazać, że całą energię zużywamy, żeby je zwalczać.

– Hmm. Miejscowy ekosystem ma tę przewagę, że jest u siebie. A coś miejscowego się tym nie żywi?

– Moi naukowcy mówią, że podobno zawiera jakąś toksynę, nieprzyjemną dla miejscowych roślinożerców. Nawet bronty tego nie jedzą, a w życiu nie widziałem mniej wybrednych zwierząt.

Parsknąłem śmiechem. Bronty pochłaniały prawie wszystko, co dawało kalorie netto. Potrafiły zjeść wszystkie liście z drzewa, potem mniejsze gałązki, potem korę z pnia i gałęzi. To, co zostało, wyglądało bardzo żałośnie. Na szczęście wolkańskie drzewa były w stanie przeżyć

po okorowaniu.

Bronty zaczęły nawet podgryzać ogrodzenie, kiedy udawało im się na tyle zbliżyć. Parę pasm drutu pod prądem wykorzeniło ten nawyk, zanim się rozpowszechnił.

– A jak to działa na ludzi?

Butterworth pokręcił głową.

– Samo pnącze nie jest jadalne. Ale na ziemską biologię toksyna prawie nie działa. Jak tylko będziemy mieli jakieś zwierzęta hodowlane, zobaczymy, czy nada się na paszę.

W milczeniu kiwnąłem głową. Kolonizacja obcej planety była – jak wszystko – bardziej skomplikowana niż na filmach i w telewizji. Oczyszczenie terenu i zbudowanie domów to był dopiero początek. Nie mieliśmy ani zasobów, ani woli, by mordować ekologię na planetarną skalę, zresztą to by też skazało kolonię na śmierć. Ale żeby nauczyć się żyć tutaj, trzeba było iść na pewne ustępstwa.

Na szczęście na razie żadne obce choroby nie uznały ludzi za zgodnych. Nie dziwiło mnie to. Nawet ziemskie wirusy przeważnie specjalizowały się w konkretnych gatunkach lub niszach. W końcu coś przeskoczy, ale do tego czasu, miejmy nadzieję, przygotujemy się na to.

Pułkownik wspomniał jeszcze parę pomniejszych kwestii, a potem się pożegnaliśmy. Na razie wszystko szło dobrze, lecz mój umysł, wychowany na filmach, wciąż czekał na nieuniknioną katastrofę.

9. Coś się tam czai

Bob, wrzesień 2169, Delta Eridani

Marvin wskoczył do mnie i parę razy bezskutecznie próbował coś powiedzieć. Nie potrafiłem zinterpretować jego miny, ale przypominał mi rybę, która właśnie zjadła cytrynę. Coś tu się musiało kroić.

Właśnie układałem z Gupikiem plan dla autofabryki. Odwróciłem się z powrotem do niego.

– Chyba nie ma żadnych niespodzianek. Wprowadź te zmiany, o których mówiłem, i daj znać, jeśli będą jakieś odstępstwa od planu.

[Tak jest]

Gupik zamrugał wielkimi rybimi oczyma i zniknął.

A Marvin nadal całkiem udatnie odgrywał rybę. Wyszczrzyłem się do niego.

– No, wykrztuś to. Wiesz, że chcesz.

Wziął głęboki wdech.

– Coś, a kiedy mówię „coś”, to znaczy, że za cholerę nie wiem, co to takiego, wybiło Deltan prawie do zera w ich pierwotnej lokalizacji.

– Eee... że co?

– Znalazłem sporo rozczłonkowanych szczątków. W różnych miejscach, zatem to nie był jednorazowy wypadek. Nie wyglądało to na robotę goryloidów. Widzieliśmy, jak one jedzą. Leniwe są, ogryzą mięso, nawet nie do końca, i rozglądają się za nową ofiarą. Tam to było coś, co ogryzło wszystko dokładnie. A ślady zębów na kościach wskazują, że było o wiele większe od goryloida.

Usiadłem i przez chwilę w zamyśleniu pocierałem podbródek.

– Czyli mamy tu jeszcze jednego drapieżnika alfa. Super. Może trzeba wyciągnąć drony eksploracyjne i niech badają wszystko kilometr po kilometrze?

– To chyba byłby dobry pomysł. Jeśli mamy jakieś wolne przebiegi w drukarkach, może dorobić ich jeszcze parę kompletów?

– Oczywiście. Gmeranie przy harmonogramie autofabryki to w ogóle nie jest żaden kłopot.

Wstałem, przeciągnąłem się i poszedłem na koniec biblioteki wpatrzony w pustkę. Namysłiwszy się chwilę, powyciągałem notatki z moich pierwszych eksploracji Deltę Eridani 4. Wiedziałem, że nie były zbyt dokładne. Nie byłem jednak zawodowym egzobiologiem,

zakładając, że w ogóle taki zawód kiedykolwiek istniał. A kiedy znalazłem Deltan, wszystko poszło trochę w odstawkę.

Zastąpiłem regały biblioteki pustą ścianą i rzuciłem na nią wszystkie zdjęcia skatalogowanej przeze mnie fauny. Ruszyłem wzdłuż nich i próbowałem sobie wyobrazić każde zwierzę z kolei zdolne upolować dorosłego Deltanina.

Marvin zmaterializował sobie fotel z podnóżkiem i rozwalił się w nim z kawą. Kolczatka natychmiast potraktowała to jako zaproszenie i wskoczyła mu na kolana.

Kolaż nie przyniósł inspiracji. Odpowiednik lamparta i goryloidy były w zasadzie jedynymi napotkanymi zwierzętami, które polowały na Deltan. I nie pasowały do obrazka.

Machnąłem ręką i zgasilem kolaż. Sfrustrowany wyłączyłem VR-kę z biblioteką i włączyłem deltańską wioskę. Marvin podskoczył zaskoczony, a Kolczatka zerwała się i uciekła. Przez chwilę czułem się winny, że go nie uprzedziłem.

Marvin podniósł brew jak Spock, ja odpowiedziałem przeproszającą miną, odwróciłem się i ruszyłem przez wioskę.

Nagranie było niesamowicie szczegółowe, ale to było jednak tylko nagranie – nie pozwalało na żadną interakcję. Po raz milionowy pożałowałem, że nie mogę mieć kontaktu z Deltanami przez coś bardziej bezpośredniego niż latająca mechaniczna piłka.

Wreszcie odwróciłem się z powrotem do Marvina, który uparł się, by korzystać ze swojego fotela. Póleżał zrelaksowany, pijąc kawę, dokładnie w środku grupy Deltan skórujących dzikoida. Parsknąłem śmiechem, on też się uśmiechnął.

– Dobra, Marvin. Idziemy na poszukiwania. Gupik?

Pojawił się Gupik.

[Pan dzwonił?]

Milusie. Podejrzewałem Marvina, że podsuwa mu teksty, tylko po to, żeby się ze mną podrażnić.

– Gupiku, zmiana harmonogramu drukarek. Wydrukuj jeszcze cztery pełne eskadry dronów eksploracyjnych. Zdaje się, że będziemy coś tropić.

Gupik zamrugał swymi wielkimi oczyskami.

[To spowoduje kolejne opóźnienie projektu uzbrojenia. Przypominam, że nadałeś temu projektowi duży priorytet]

– To nie szkodzi. Z goryloidami chyba sytuacja opanowana. Próby ataków spadły prawie do zera. Mamy wystarczająco niszczycieli, żeby porozwalać im głowy, jeśli poważą się na jakiś masowy atak.

Gupik kiwnął głową i się rozpląnął.

Marvin wstał i machnięciem ręki zniknął fotel.

– Zacznę dokładne obserwacje, jak tylko będą gotowe. A na razie

zaplanuję, jak mają wyglądać.

Pomachaliśmy do siebie i poszedł. Zamknąłem VR-kę wioski i wywołałem z powrotem moją bibliotekę.

10. Ludobójstwo

Mario, listopad 2176, Zeta Tucanae

Przełot z Bety Hydri na Zetę Tukana zajął mi siedem lat z groszami, choć niecałe trzy lata czasu pokładowego. Przez prawie całą podróż przeglądałem materiały z Bety Hydri 4. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś mógł coś takiego zrobić. Bardzo chciałem, żeby to się okazało jakąś naturalną katastrofą.

Jednakże dowody były, jeśli nie niezbite, to przynajmniej cholernie przekonujące. Ktoś zabił całą planetę i zabrał wszystkie trupy – dosłownie, całe zwierzęce życie – a potem wydrenował cały układ z metali. W głowie odtwarzały mi się wszystkie filmy, w których obcy przylatywali, żeby obrabować Ziemię. To jednak było coś gorszego. Zabili wszystko i nie zostawili nic. Ale jak? I po co?

Westchnąłem i po raz tysięczny dałem sobie spokój z teoretyzowaniem. Trzeba mieć więcej informacji, inaczej to nie ma sensu. Ale nie zamierzałem czekać. Musiałem o tym zameldować Billowi. Trzeba ostrzec wszystkich Bobów.

Nie wiedziałem z góry, czy i Zeta Tucanae nie będzie wysprzątana z metalu. Jeśli tak, polecę po prostu do następnego układu i następnego – albo znajdę dobre źródło surowców i zbuduję stację kosmiczną, albo wrócę i zbliżę się na tyle, że będę mógł nadać wiadomość pokładową anteną.

Wykonałem standardowe ostrożne podejście do układu, wypatrując Medeirosów, obcych, innych sond... byłoby to śmieszne, gdybym się tak nie denerwował.

Nie wiedziałem naprawdę, czy w galaktyce są jeszcze inne klony Medeirosa, ale skoro Brazylia planowała produkować je w dużych ilościach, obawa była rozsądna. W Epsilonie Eridani Bob z nim wygrał, ale to był bardziej fuks niż cokolwiek innego.

Rozpoznanie układu zajęło około tygodnia. Gwiazda była odrobinę bardziej świetlista od Słońca, o nieco mniejszej masie. Metaliczność układu była niższa, ale nie aż tak niska, żeby utrudnić mi produkcję, o ile Inni jeszcze go nie wyczyścili.

Znalazłem jeden pas asteroid i kilka wewnętrznych skalistych planet. Układ był tak podobny do Słonecznego, że aż trochę zatęskniłem za domem. Ruszyłem do pasa asteroid, cały czas nasłuchując aktywności.

Obleciałem mniej więcej pół pasa i zrezygnowałem. Tutaj też Inni wszystko wysprzątałi. Postanowiłem, że szybko zerknę na jedyną planetę w ekosferze, a potem polecę do kolejnego układu na liście.

Niczego gorszego nie mogłem znaleźć.

Badając planetę kamerami różnych dronów, widziałem, że coś spowodowało na niej ogromne zniszczenia. Zrujnowane budowle wskazywały, że rozebrano całe miasta. Betonowe pylony sugerowały mosty rozpięte kiedyś nad rzekami. Potężne wymyte przez wodę obszary – miejsca, gdzie rozebrano zapory, nie patrząc na skutki. Obiekty przypominające drogi były zasypane śmieciami – zapewne tym, co zostało po zebraniu metalu i pasażerów.

– Gupiku, trzeba zrobić pełny skan planety. Wyślij drony na orbity biegunowe i obleć całą powierzchnię.

Gupik kiwnął głową i wpadł w szał wydawania poleceń. Poczulem wibracje, gdy startowały drony. Usiadłem, żeby poczekać.

* * *

Gdybym jeszcze był żywy, zwymiotowałbym. A tak, po prostu nie byłem w stanie patrzeć.

Zniszczenie było całkowite i globalne. Ci, kimkolwiek byli, ci Inni beznamiętnie zabili miliardy istot rozumnych, tak jak ekipa budowlana oczyszcza grunt przed rozpoczęciem budowy. A przychodził mi do głowy tylko jeden powód, by zbierać wszystkie trupy.

Kiedy ich spotkamy, będzie wojna.

11. Taniec godowy

Bob, listopad 2169, Delta Eridani

Deltanie wchodzili w sezon godowy i napięcie w Camelocie rosło. Wcześniej tłumili to czynniki stresowe, jak zagrożenie ze strony goryloidów. Trudno się wdawać w amory, kiedy co parę sekund trzeba się oglądać przez ramię. Ale tego roku Deltanie w swoim środowisku rządzą. Do goryloidów wreszcie dotarło, jaka jest nowa kolejność dziobania. Od prawie miesiąca nie było żadnego ataku.

W znacznej mierze dzięki niszczycielom. Każdy goryloid zbliżający się na pewną odległość do *Camelotu* spotykał się czołowo z dwudziestokilową stalową kulą. Zderzenie było śmiertelne dla obu, ale ja byłem w stanie produkować niszczyciele szybciej, niż goryloidy nowe goryloidy. Deltanie, słysząc sporadyczny grom dźwiękowy, już właściwie nie podnosili głów.

Po poprzednich latach wiedziałem mniej więcej, czego się spodziewać. Deltanie konkurowali o uwagę Deltanek na wiele różnych sposobów. Zawody zapaśnicze, udawane walki, próby zręczności, nawet stara dobra gadka i przechwałki. Zabawnie było na to patrzeć. Generalnie nikomu nie działa się krzywda.

Jednakże w tym roku Archimedes wprowadził nową konkurencję – rzucanie włócznią. A wyzwania nie można było odmówić. Nie do końca poszło po jego myśli. Inni młodzi szybko nauczyli się unikać rywalizowania z nim w rzucaniu, rzucali mu więc pierwsi wyzwania, głównie siłowe. Na nieszczęście Archimedes, jak na Deltanina, był raczej typem mola książkowego. Zacząłem się zastanawiać, czy nerdowatość nie jest czasem cechą ogólnowszechświatową.

Po tym, jak w kilku starciach wylądował na głowie, postanowiłem nauczyć go podstaw jiu-jitsu. Było trudniej, niż się spodziewałem, bo deltański szkielet nie zawsze zginał się w tych samych miejscach co ludzki. Musieliśmy zaimprovizować parę dźwigni i rzutów, dostosowując je do ich fizjologii.

Zasady się jednak nie zmieniły, a Archimedes był zmotywowany. Ograniczyliśmy się do mniej więcej pięciu najbardziej przydatnych technik. Cały dzień ćwiczył je jak pantomimę, wbijając je sobie w pamięć mięśniową, zanim wyszedł na arenę.

I prawie od razu dwóch młodych twardzieli próbowało go pchnąć,

żeby pokazać, kto dominuje. Zareagował powoli i łagodnie, ale idea była całkiem nowa, więc nawet nie zdali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, póki nie leżeli zdziwieni na ziemi. Potem Archimedes chodził po wiosce, jakby to wszystko było jego.

Marvin parsknął śmiechem, patrząc na te figle.

– Jestem przekonany, że w tym jest jakiś element zemsty. Ty aby na pewno nie odgrywasz się pośrednio na wszystkich prześladowcach z dzieciństwa?

– Wiesz co, Marvin, denerwuje mnie, że ciągle analizujesz moje motywy. Zwłaszcza że to byli tak samo moi, jak twoi prześladowcy.

To smutne, ale chyba miał rację co do moich pobudek. Robiłem, co mogłem, żeby Archimedes wypadł w tym metaforycznym tańcu godowym lepiej niż ja jako nastolatek. Im więcej potomków spłodzi, tym bardziej całe plemię zbliży się do jego poziomu inteligencji. A to według mnie było korzystne dla wszystkich.

– Jakby tylko się dało na niego wpłynąć, żeby zmienił zdanie – zauważył Marvin.

– Tak, wiem.

Po kolejnym zwycięstwie Archimedes robił podejście do Diany. Musiała być naprawdę powalającej urody w deltańskich oczach, bo nie mogłem dojąć, co jeszcze w niej widział. Nie cierpiała dronów i w ogóle się do nas nie zbliżała, kiedy ja z nim gadałem. Dla mnie był to oczywisty objaw niskiej inteligencji.

* * *

Marvin pojawił się bez ostrzeżenia.

– Zrobiło się trochę groźnie.

Uniosłem wzrok znad okienka obserwacyjnego. Sezon godowy prawie dobiegł końca. Większość dobrała się w pary, ale do niektórych to jeszcze nie dotarło. Można to było poznać po tym, że taki łobuz (a czasem łobuzica) dostawał solidarnie po głowie od obu stron związku, w którym usiłował mieszać. Przeważnie to wystarczało, choć było ze trzech, czy czterech takich osobników, którym proste „spadaj” nie wystarczało. Jednakże Archimedes i Diana sformalizowali swoją parę bez dalszych wyzwania, zatem z mojej strony była to czysto naukowa ciekawość.

Łypnąłem na Marvina gotowy rzucić sarkastyczną uwagę na temat przerywania mi, ale gdy ujrzałem jego minę, zmieniłem zdanie. Zwykle raczej spokojny, teraz był naprawdę podenerwowany. Włączyłem nagrywanie w okienku wideo i zminimalizowałem je.

– Marv. Co tam?

Pstryknięciem palca wywołał w powietrzu obraz przedstawiający wiekową kupkę kości. Zналиśmy się już na tyle na wszystkim, co deltańskie, że rozpoznawaliśmy nawet ich szkielety. A ten nosił ślady zębów i pazurów takie, jak poprzednie znaleziska Marvina.

– Wygląda jak kolejna ofiara tajemniczego drapieznika. Coś szczególnego?

– Znalazłem ją niecały kilometr od Camelotu.

– O kurde.

Jeśli zasięg tego stwora obejmował to miejsce, a stwór nadal istniał, to możliwe, że przyproWadziłem mu Deltan na talerz. Przypomniałem sobie pewne dyskusje, zaraz po przybyciu w to miejsce. Szczególnie jeden ze starszych nie był usatysfakcjonowany tłumaczeniem, że to goryloidy poprzednio ich stąd wyгнаły. Niestety na poparcie tego odczucia miał tylko niewyraźne wspomnienia.

Złapałem drona i zacząłem szukać Mojżesza albo Archimedes. W pierwszej kolejności znalazłem Archimedes, na szczęście nie z Dianą, i wyjaśniłem mu sytuację.

– To niedobrze – powiedział. – Jeśli tam byliśmy bezpieczniejsi, a ty sprowadziłeś nas tutaj...

– Wiem, Archimedesie. Nie musisz mi jeszcze przypominać. Na szczęście może mamy trochę czasu, żeby się przygotować. Ale muszę znaleźć tamtego starszego, który wtedy protestował.

– Myślę, że Mojżesz będzie kojarzył.

Mojżesza znaleźliśmy bardzo szybko. Zawłaszczył sobie miejsce po południowej stronie wzniesienia, gdzie popołudniami grzał się na słońcu, łagodząc bóle w zeszywniałych stawach. Pozwoliłem sobie na chwilę zasmucenia. Mojżesz wszedł już na tę długą równię pochyłą problemów ze zdrowiem, tak powszechną w podeszłym wieku. Opowiedziałem mu wszystko od początku.

– Brzmi znajomo – powiedział po namyśle. – To chyba musiał być Axler. – Mój program tłumaczący przekładał deltańskie imiona na łatwe do wymówienia dla ludzi. Zapamiętywał daną parę imion i kojarzył je na stałe. – Niestety trzy czy cztery dłonie temu zmarł. I nie ma chyba nikogo, kto miałby tyle lat, co on.

– Wspaniale. Archimedesie, Mojżeszu, nie mówcie o tym nikomu. Nie chcę wzbudzać paniki, nie mając lepszych informacji. Zbadamy to z Marvinem. Ustawimy też więcej stróżujących dronów, w szerszym pierścieniu. Jeśli ktoś to zauważy i zapyta, powiedzcie, że zajmuję się liczeniem goryloidów.

Kiwnęli głowami, ale miny mieli bardzo zaniepokojone.

– Ale gdzie one się podziały? – Marvin drapał się po głowie, patrząc na globus.

– Posłuchaj, może Deltanie nie były ich głównym pożywieniem? Może odkryły, że są bardzo smaczni i dlatego skupiły się na nich. Ale kiedy odeszli, mogły wrócić do tego, na co zwykle polowały.

– No tak, dlatego poszerzyłem obszar poszukiwań. Ale spójrzmy prawdzie w oczy – to są miliony kilometrów kwadratowych. Drapieżnik potrafi mieć duży zasięg.

Rozmawiając, Marvin dzielił obszar kontynentu na sektory. Po metadanych widziałem, że do każdego przydziela jednego drona.

Usiadł prosto i przyglądał się wynikom. Po paru chwilach namysłu dał to Gupikowi do realizacji i odwrócił się do mnie.

– Jak stoimy z niszczycielami?

Uniosłem brwi.

– Cholera. Masz rację. Nie nadążałem z produkcją. Po tym, jak goryloidy niespodziewanie dostały zbiorowej mądrości, a my zaczęliśmy wciskać drukarkom te dodatkowe drony eksploracyjne, zostało nieco ponad dziesięć.

Marvin wyszczerzył zęby.

– No to szkoda. Chyba harmonogram znowu leci do kosza.

12. Mówi Bob

Bill, maj 2171, Epsilon Eridani

[Połączenie przychodzące UNOP. Nowy węzeł sieci]

Gupik obwieścił to z taką samą pokerową miną, z jaką poinformowałby o końcu świata. Uniosłem wzrok i uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Garfield porzucił projekt, nad którym pracował, i też przybiegł. Jak dotąd tylko garstka Bobów odebrała rozsyłane przeze mnie plany UNOP-a i zbudowała własny nadświatlny nadajnik-odbiornik. Każde nowe połączenie było wielkim wydarzeniem.

Przeciągałem tę chwilę, jak tylko mogłem. Dopiero gdy Garfield nabrał powietrza, żeby na mnie krzyknąć, powiedziałem do Gupika:

– Odegraj wiadomość.

– *Tu mówi Bob. Bill, ty naprawdę roztrzaskałeś łączność nadświatlną? Niesamowity jesteś!*

Uniosłem pięść, a potem z Garfieldem krzyknęliśmy i przybiliśmy sobie piątkę – taką nerdowską, że się nie trafia.

Logicznie rzecz biorąc, Bob 1 nie był ważniejszy niż którykolwiek inny Bob, ale to nie była kwestia logiki – Bob 1 był jak Odyn Praojciec. Od niego się to wszystko zaczęło. Dla mnie też był kimś szczególnym, bo to on mnie sklonował. A dla Bobów trzeciego pokolenia i późniejszych był jak żywa legenda.

To mnie oczywiście nie powstrzymało od standardowego numeru.

Bez ostrzeżenia, z kawą w dłoni, wskoczyłem mu do VR. Kiedy VR-ki się synchronizowały, zauważyłem, że sporo rzeczy sobie dorobił i ulepszył. Nie stały się niekompatybilne, ale wideo musiało się trochę sypać. Trzeba będzie go zaktualizować do mojej najnowszej wersji, żeby był w pełni zgodny z BobNetem.

– Ja pier... – Bob podskoczył zdumiony, a Kolczatka uciekła z biurka, na którym siedziała.

Roześmiałem się.

– Działa za każdym razem. Witamy w BobNecie.

Uśmiechnął się, udając, że uchyla kapelusza. Przez milisekundę rozglądałem się po jego VR. Wyglądała jak powierzchnia planety, jak wioska. Grupy tubylców zajmowały się swoimi sprawami – ewidentnie byli inteligentną rasą, bo mieli włócznie, topory i inne takie. Wyglądali trochę jak chodzące nietoperze z przymieszką świni, bo mieli długie ryje

z płaskimi nozdrzami. Sierść mieli krótką, przeważnie szarą, z brązowymi plamami. Dość brzydki.

Poziom szczegółowości był niesamowity, nie przypominałem sobie też żadnego filmu czy książki, w którym występowałiby tacy obcy. Zerknąłem na Boba, który starał się ukryć samozadowolenie – i słabo mu to wychodziło.

Aż podskoczyłem, kiedy dotarło do mnie, że to musi być prawdziwe. A przynajmniej oparte na rzeczywistości. To był Pierwszy Kontakt.

Zachowując neutralną minę, obróciłem się, podziwiając całą scenę.

– A ci sąsiedzi to kto?

Bob, szczerząc się już otwarcie, omiół ręką wirtualne obozowisko.

– To jest nagranie wioski Deltan. Zrobiłem sobie coś takiego, żeby lepiej rozumieć ich środowisko. Wczuć się w to, jak żyją.

– Interesujące. Nawiązałeś kontakt?

Z boku ktoś roześmiał się głośno. Obejrzałem się i zobaczyłem kolejnego Boba. Wróciłem wzrokiem do Boba 1 i zdziwiłem się, widząc, że się zaczerwienił. Takiego poziomu realizmu moja VR-ka nie obsługiwała. Postanowiłem że, zanim go zaktualizuję, muszę zintegrować nasze kody.

– Bill, to jest Marvin. – Bob wskazał przybysza ręką. – Jest upierdliwy i bezczelny. A to i tak jego najlepsze cechy.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z Marvinem i kiwnęliśmy głowami.

– Wiem, co to za śmiech – powiedziałem. – Rozumiem, że Bob przegiął.

Marvin skrzywił się drwiąco.

– Można tak chyba powiedzieć. Został wielkim bogiem z wulkanu. Widziałeś te dzidy i topory?

– Ej! – przerwał Bob. – Ale to nie do mnie tak, do mnie nie. Ja jestem raczej bogiem z nieba.

Zaśmialiśmy się wszyscy. Przykrywałem to żartami, ale jednak byłem trochę poruszony. Pierwszy inteligentny gatunek, na który natrafiliśmy. Można było przewidzieć, który blog na BobNecie będzie przez jakiś czas najpopularniejszy.

Bob zaprosił mnie na kanapę ze stolikiem do kawy, niepasującą do niczego pośrodku wioski tubylców.

– No, Bill, to co tam nowego w galaktyce?

– Wow. Co nowego? – Zastanowiłem się. – No... na przykład Milo odkrył dwie nadające się do zamieszkania planety w Omikronie-2 Eridani. Nazwał je Wolkan i Romulus.

Bob parsknął śmiechem.

– No bo jak inaczej miał nazwać?

Też się zaśmiałem, a potem spoważniałem.

– Riker i jego klon Homer mieli w Układzie Słonecznym wielką bitwę

z resztkami brazylijskiej marynarki kosmicznej, a potem odkryli, że ludzkość prawie się wyniszczyła w wielkiej, ogólnoukładowej wojnie. Budują statki-kolonie i liczą, że uda im się wywieźć część ludzi na Wolkana, zanim Ziemia przestanie się nadawać do życia.

– Ilu ludzi przeżyło? – zapytał Bob.

– Mniej więcej piętnaście milionów.

– A jak duże są statki kolonie?

Kiwnąłem głową, widząc, do czego zmierza.

– Dziesięć tysięcy pasażerów. Tak, wiem. Tysiąc pięćset statków albo tysiąc pięćset lotów. Ale tyle możemy zrobić.

Bob również kiwnął głową. Minę miał zaniepokojoną i nie dziwiło mnie to. Z Rikerem regularnie odbywaliśmy tę rozmowę. Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnego obejścia.

Spróbowałem zmienić temat, żeby trochę poprawić nastrój.

– A po galaktyce lata teraz minimum ze dwudziestu Bobów, tak szacuję. – Machnąłem nonszalancko ręką. – Tak, że wiesz. To, co zawsze. Bla, bla, bla...

Bob otrząsnął się z przygnębienia i spróbował się uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że pokazałeś wszystkim, jak się robi centrum łączności. Tak, że na kolana psy. A coś oprócz UNOP-a się tam dzieje, w twoim Epsilonie Eridani?

– Powoli sobie terraformuję Ragnaröka. Riker wysłał mi kolejnym Bobem trochę nasion i próbek roślin. Powinny dotrzeć jakoś za trzy lata. Wtedy spróbuję wysiać proste mchy czy porosty. A, i jeszcze Projekt Android. Mam działającego – mniej więcej – czworonożnego robota i potrafię nim zdalnie sterować. Ale idzie mi to bardzo powoli, zresztą to kupa roboty.

– Jak będzie gotowy, to ja też takiego chcę – powiedział Bob. – Chciałbym zejść na Eden jako fizyczna osoba, a nie latająca kamera.

– Mhm. – Kiwnąłem głową. Zdaje się, że Bob naprawdę wkręcił się w życie tych Deltan. Zresztą, czy można się dziwić?

13. Śledzenie Innych Mario, maj 2180, Gliese 54

Tym razem miałem szczęście. W odróżnieniu od Bety Hydri i Zety Tucanae, Gliese 54 była nietknięta.

Nie miałem pojęcia, co mogło decydować o kursie istot, które wyeksploatowały tamte dwa układy. Jeśli lecieli jako jedna jednostka, a do tego po linii prostej, możliwe, że nigdy się z nami nie spotkają. Moja główna obawa brzmiała: skoro wydobywają tak ogromne ilości metalu, to pewnie coś budują. Oczywiście odpowiedź? Budują więcej takich. A to by było bardzo źle.

Sam układ nie był szczególnie interesujący. Główna gwiazda była małym K, prawie czerwonym karłem. Miała jedyną samotną planetę, orbitującą bardzo blisko, oraz trochę kosmicznego śmiecia. Oczywiście mnie potrzebne były właśnie te śmieci. Choć ogólna metaliczność układu była niska, większość metali nie pozbijała się w planety.

Proces produkcyjny był rutynowy, mimo że pamiętałem tylko jedną realizację, jako Bob 1 w Epsilonie Eridani. Zbudowanie i uruchomienie stacji orbitalnej zajęło parę miesięcy. Kiedy wstała, pocisnąłem do Billa wszystkie informacje, które miałem o Innych, co do ostatniego bitu. Stacja miała jeszcze tę zaletę, że mogłem do niej nadawać z każdej z pobliskich gwiazd, a ona przekazywałaby to do Epsilona Eridani.

Stwierdziłem też, że nie mam ochoty być sam, zacząłem więc budowę czterech kolejnych Bobów. Nieśmiałek, Gapcio, Śpioszek i Głodek zgodzili się wspólnie ze mną stawić czoła potencjalnemu zagrożeniu. Tak, wzięli sobie imiona od krasnoludków. Tak, wiele razy ktoś powtarzał, że w bajce nie było żadnego Głodka. On miał to gdzieś. Podobno potrafię być bardzo perwersyjny. I uparty.

W każdym razie jest taki kawał o pięćdziesięciu krasnoludkach¹...

Siedzieliśmy wokół biurka w moim domku na drzewie, popijając tropikalne drinki z parasolkami. Jedynie Głodek odmówił dopasowania się do motywu. Pił kawę. Zasugerowałem, żeby przechrzcić go na Gburka, ale w odpowiedzi zobaczyłem środkowy palec.

Dyskusję otworzył Śpioszek.

– Musimy ustalić wektor i wielkość frontu tej inwazji, zarazy, czy jak to nazwać. Idzie w kierunku Ziemi? Czy przeciwnym?

– I po co im ten cały metal. Jeśli budują z niego kolejne statki, musi to być gigantyczna flota. Jak więc mogliśmy jej nie zauważyć? – Gapcio spojrzał po nas, rozkładając ręce. – A jeszcze, hmmm... całe to... jedzenie...

– No... – Kiwnąłem powoli głową. – Tak naprawdę nic nie wiemy. Trzeba ich znaleźć. I wysłać informację z powrotem, nie stając się ich łupem. Te ich mrówki są zadziwiająco skuteczne. Paru rzeczy się od nich nauczyłem i już to wszystko posłałem w kierunku Billa.

Wokół stołu zapadła cisza. Wszyscy trawili te informacje.

– Czyli każdy z nas wybiera jeden z bardziej zewnętrznych układów i leci tam – powiedział Śpioszek. – Trzeba będzie przez cały czas mieć otwarty kanał łączności, żeby było wiadomo, kiedy ktoś znika.

– Tak – zgodziłem się. – Kanał aż do Billa. Jeśli potrzeba, zatrzymać się i zbudować stację przekaźnikową. Przez cały czas prowadzić komentarz, nagrywać obserwacje i wysyłać regularne przyrostowe kopie zapasowe. Na wszelki wypadek...

Śpioszek, zanim odpowiedział, upił łyk drinka.

– No to mamy plan. Chociaż implikacje mi się nie podobają. Jeśli mnie zniszczą, ten Bob, którego odtworzycie, to tak naprawdę nie będę ja.

– Co, zakładasz istnienie duszy? U nas? – Gburek, znaczy Głodek, przewrócił oczyma. – Załoga *Star Treka* miała ten sam problem filozoficzny za każdym razem, kiedy się teleportowała.

Śpioszek też przewrócił oczyma, przedrzeźniając Głodka.

– Jeju, znowu ten fantastyczny serial. To z niego bierzecie całą mądrość życiową?

Głodek zmarszczył czoło.

– Sam chyba dobrze wiesz, nie?

– No, dzieci, dzieci. Mam was rozdzielić? – Popatrzyłem na nich gniewnie. – Możemy się na razie skupić na tych niszczycielskich, rabujących planety obcych nie wiadomo jakich stworach?

Śpioszek i Głodek zrobili zażenowane miny. Po chwili ciszy ciągnąłem:

– Proponowałbym też, żebyśmy wbudowali sobie jakiś mechanizm samozniszczenia. Może czuwak. Ja tam bym nie chciał czuć, że ktoś mnie powoli rozmontowuje, jeśli mnie złapią, a już na pewno bym nie chciał, żeby się czegoś ze mnie dowiedzieli.

– To już się robi makabryczne. W sumie to już nie jestem tak źle nastawiony do tych kopii...

Zachichotałem.

– No to wybieramy układy, zestawiamy te łącza i w drogę.

1 „Kiedy liczba krasnoludków spadła z pięćdziesięciu do ośmiu, wszyscy zaczęli podejrzewać Głodka (przyp. tłum.).

14. Sabotaż

Riker, grudzień 2170, Układ Słoneczny

Popatrzyłem w wideo i zaciąłem usta z niesmakiem i złością. Pół stada krów leżało martwe w swoich boksach – pięćdziesiąt sztuk, według weterynarza otrutych czymś dodanym do paszy. W drugim okienku wideo bez słowa czekała pani Sharma, przedstawicielka Malediwów. Próbowwała zachować kamienną twarz i nie wychodziło jej to.

Ta masakra była trzecim atakiem terrorystycznym w tym tygodniu. SZLAG awansował z dokuczliwego szkodnika do stuprocentowego zagrożenia. Po raz pierwszy też były ofiary śmiertelne, nawet jeśli tylko zwierzęce. Nie powiedziałem tego na głos, ale uznałem to za wypowiedzenie wojny. Jeśli znajdę tę grupę i dojdzie do wymiany ognia, nie będę mieć żadnych problemów etycznych z ich zabiciem. Choć przyznałem się sam przed sobą, że nie wiem, czy będę w stanie pociągnąć za spust. Gadać o wojnie to jedna rzecz, a naprawdę pozbawiać ludzi życia to zupełnie inna kwestia.

Ale na pewno będę chciał. Tego byłem pewien.

W miarę pogarszania się klimatu na Ziemi produkcja żywności stawała się coraz bardziej krytyczna. Ponad połowa z trzydziestu pięciu ocalałych enklaw była przynajmniej częściowo zależna od dostaw jedzenia z naszych farm orbitalnych. Malediwy wciąż były formalnie samowystarczalne, ale ten atak na ich hodowlę oznaczał, że trzeba będzie ich wesprzeć, przynajmniej krótkoterminowo.

Delegatka Sharma w końcu pękła.

– Co za bezmyślność! Bezmyślność! Co im te krowy zrobiły? Co w ten sposób udowodnili? Co osiągnęli? Tchórze!

Zgadzałem się z każdym jej słowem. Delegaci, non stop kłócący się na forum ONZ, jednoczyli się w nienawiści i pogardzie dla SZLAG-u. Po takim zdarzeniu spokojnie mógłbym, bez specjalnej dyskusji i bez sprzeciwów, przepchnąć dowolne drastyczne decyzje.

Niestety nie miałem w kolejce niczego takiego.

– To będzie bolesne. To było stanowiło dużo wysokojakościowych kalorii, już nie wspominając o zdolności rozplodowej. – Zerknąłem w dane o hodowli. – Zagrożenia głodem nie ma, ale szkoda jest znaczna. Zresztą, gdyby pracownicy nie zauważyli, że zwierzęta chorują, moglibyśmy stracić całe to stado. A to by było katastrofalne.

– Jutro na posiedzeniu ONZ złożę wnioski o stworzenie specjalnej grupy – odpowiedziała Sharma. – Zdaje się, że do teraz wszystkim się wydawało, że jeśli nie będziemy zwracać na nich uwagi, której w oczywisty sposób pragną, to się poddadzą. Już tak nie jest.

Skinąłem głową. Oświadczenie SZLAG-u miałem w drugim okienku wideo. Tym ludziom ewidentnie brakowało paru klepek, nie było jednak wątpliwości, że są śmiertelnie poważni. Ich przesłanie sprowadzało się do tego, że ludzkość zniszczyła cały Układ Słoneczny, więc powinna się wycofać i dać wszechświatowi czas na regenerację. A ponieważ ludzkość sama zaniknąć nie ma ochoty, SZLAG pomoże jej zrealizować ten szczytny cel.

Super. Brutalne, przekonane o własnej słuszności szajbusy. Jakby mało było problemów.

Przesłałem wiadomość Homerowi, Charlesowi i Ralphowi, dodałem w kopii także Billa. Pewnie nie będzie miał jakichś konkretnych pomysłów, ale informowanie go o wszystkim weszło mi w nawyk. Uśmiechnąłem się przelotnie na tę myśl. Wszechświatowe archiwum.

Homer wskoczył do mnie parę milisekund później.

– Dwójka, muszę przyznać, że brak mi słów. Ci debile samym swoim istnieniem przebijają wszystko, co mógłbym powiedzieć.

– Dokładnie. Już myślisz, że ludzkość dotarła do granic głupoty, a tu pojawia się coś takiego i przesuwają wskaźnik poza skalę. – Pokręciłem głową. – Musimy skorygować harmonogramy, żeby zbilansować kalorie, które miały pochodzić z tych krów. Jakies pomysły?

Homer pokiwał głową na boki.

– Może i tak. Możliwe, że ja raportowałem trochę mniejsze zbiory, niż były w rzeczywistości, żeby zgromadzić małe zapasy. Chyba teraz będzie dobra pora, żeby wykryć tę pomyłkę w raportowaniu i westchnąć z ulgą.

Wyszczrzył zęby, ja odpowiedziałem tym samym. Homer. Człowiek-niespodzianka.

Na razie to wystarczało. Ale jeśli SZLAG uderzy kolejny raz? Miałem złe przeczucia. Będzie coraz gorzej, nie coraz lepiej.

15. Wizyta Billa

Mario, listopad 2180, Gliese 54

Gapilem się w osłupieniu na nagłówek najnowszej wiadomości od Billa.

Uniwersalny Nadajnik-Odbiornik Podprzestrzenny (UNOP). Plany.

Ja. Pier. Dzie. Lę.

No, tym razem stary dowiózł. Przejrzałem plany i dołączone do nich notatki. Bill otwarcie przyznawał, że to wczesna wersja i pewnie będzie się sypać. Nie był też pewien, jaki jest zasięg. Dobra, może to sobie opakowywać zastrzeżeniami, jak chce. Ponad sto lat po naszej śmierci, a my wciąż musimy wrzucać wykrętne usprawiedliwienia, jak prawnicy. A, i podtrzymywać tradycję WIARY w tworzeniu nieudolnych skrótów.

Prosta matematyka sugerowała, że inne gwiazdy już odebrały plany. Nie wiedziałem, czy w któryś z nich zostali jeszcze Bobowie, a nie tylko MSI. Sami musieli o tym zdecydować. Była jednak spora szansa, że połączę się bezpośrednio z Billem. Specyfikacja mówiła, że system sam ogarnia wykrywanie węzłów, trasowanie pakietów i szyfrowanie. Zajebiste!

Miałem szczęście, że byłem w układzie, kiedy to przyszło. Bill na pewno rozsyłał plany do wszystkich gwiazd w jakimś przyjętym promieniu wokół Epsilon Eridani, ale gdybym był w locie, na pewno by mnie to ominęło.

Bez dalszych ceregieli zawiesiłem wszystkie inne projekty i rzuciłem wszystkie drukarki i wszystkie szopy, które miałem do budowania sobie tego... no, UNOP-a.

* * *

Wizualnie to nie zachwycał. Jakby zmajstrowany na szybko, prawie steampunkowy. Wstrzymałem wirtualny oddech i pstryknąłem wyłącznikiem. Po chwili na konsoli zaczęły się wyświetlać potwierdzenia połączeń:

Tau Ceti

Omikron-2 Eridani

Słońce

Epsilon Eridani

Epsilon Indi

Alfa Centauri

Delta Eridani

Pi-3 Orionis

Eta Cassiopeiae A

Kappa Ceti

Przejrzałem menu na konsoli i stwierdziłem, że mogę się zarejestrować w globalnym katalogu, co da mi dostęp do maila, wiadomości i czatu.

Fajne.

Skonfigurowałem sobie konto i pingnąłem Billa.

– Bill, słucham.

– Wow. Niesamowite jest to coś. Bill, mówi Mario z Gliese 54. Mam...

– Naprawdę? Mario? – I z tymi słowy Bill pojawił się w mojej VR-ce, siedząc po drugiej stronie mojego biurka.

– Ja pier...

Uniósł w powitalnym geście kubek kawy. – Stary! Kopę lat!

– Widzisz... tak to jest, jak się poleci gdzieś dalej. – Rzuciłem mu drwiący uśmiech, a potem spowaźniałem. – Wiesz, radiowa wiadomość pewnie dotrze do ciebie za kilkadziesiąt lat, ale wygląda na to, że mamy tu poważny problem. Proszę, zobacz dane. – Pchnąłem mu zestaw plików.

Awatar Billa zaciął się na parę milisekund, gdy podkręcił sobie zegar i przeglądał pliki. Kiedy wrócił, wyglądał na przygnębionego.

– Całe planety... cały inteligentny gatunek.

– Niestety. Myśleliśmy, że nasz największy problem to Medeiros. Ale w tej skali to on w ogóle nie jest zauważalny.

Bill przez chwilę wpatrywał się w swój kubek z kawą. Rozumiałem ten szok, więc mu nie przerywałem. Niech to na spokojnie przepracuje.

Wreszcie uniósł głowę.

– To ma konsekwencje wszędzie. Musimy się martwić także o ludzi. – Widząc zdziwienie na mojej twarzy, machnął lekceważąco ręką. – Działy się tu różne rzeczy. Jak będziesz miał chwilę, przeczytaj sobie „Sprawy bieżące” na moim blogu.

Odstawił kubek na moje biurko, a ja przez chwilę zachwyciłem się, jak świetnie synchronizują się nasze VR-ki – na odległość dwudziestu trzech lat świetlnych.

– Nie tak sobie wyobrażałem Pierwszy Kontakt – mruknąłem. – Mam nadzieję, że to nie jest norma we wszechświecie. Chociaż to by tłumaczyło paradoks Fermiego.

– Drugi Kontakt. – Bill uśmiechnął się blado. – Bob wyprzedził cię o parę lat. Ale u niego to raczej dobrze poszło. Jak mówiłem: poczytaj

sobie bloga.

Wyraźnie się otrząsnął.

– Ja rozkręciłem tu parę projektów. UNOP to tylko jeden, najbardziej spektakularny. Zbiorę parę innych plików i ci pošlę. Różne rzeczy, których można użyć jako broni.

Kiwnąłem głową.

– Wszystko, co może się przydać. Raczej mi nie wygląda, żeby niszczyciele wystarczyły na kogoś, kto potrafi porazić całą planetę.

– Tak. Podkrecę priorytety na wszystkim, co na oko nadaje się na broń. – Podniósł kubek. – I rozesłę to wszystkim Bobom w katalogu. Nie masz pojęcia, jakie pomysły się pojawiają, kiedy stado Bobów się zbierze i zrobi burzę mózgow. Ale wy tam na razie i tak jesteście zdani na siebie. Nawet gdybyśmy zmontowali tu flotyllę, i tak doleci do was za kilkadziesiąt lat.

– Już zacząłem. Na początek zbudowałem czterech – Nieśmiałka, Gapcia, Śpioszka i Głodka. Serio-serio.

Bill odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

– No... Gapcio? Naprawdę?

– Któryś pierwszy zaproponował imię krasnoludka i jakoś już tak pojechało. Zanim nabrali trochę zbiorowego rozumu, już byli krasnoludkami i koniec.

Bill zachichotał i złapał się palcami za nos.

– Głodek... Czyli z pięćdziesięciu krasnoludków?

Też się roześmiałem.

– Na to wychodzi. Pięćdziesiąt lat później dalej wszyscy pracujemy na tym samym materiale źródłowym.

* * *

Pracowałem nad kolejnym miotem Bobów. Warto było je trochę opóźnić, żeby dołożyć do planów łączność nadświatłą i zaktualizować je do wersji 3. I tak nie spodziewałem się, żeby pierwsza gromada dała znak życia przez najbliższe dziesięć lat. Jeśli wyślę za nimi kolejnych, w tym samym kierunku, to za cztery lata przechwycą ich wiadomości i przekażą mi UNOP-em.

Harmonogram dla drukarek po raz kolejny trafił do kosza.

16. Kto tu na kogo poluje Howard, wrzesień 2189, Wolkan

Niszczyciel trafił raptora z prędkością prawie Mach 1, rozbryzgując jego strzępy po myśliwych, innych raptorach i pobliskiej roślinności. Czerwony odcień na zieleni przydał scenie niesamowitej, groźnej aury.

Chociaż dziesiątka głodnych raptorów nie potrzebowała żadnej pomocy, żeby wyglądać groźnie.

To było trzecie polowanie w tym tygodniu, które trafiło w zasadzkę raptorów, i cieszyłem się, że postanowiłem wziąć na wycieczkę dwa niszczyciele. Drapieżniki nabrały śmiałości, odkąd udało im się pożreć dwóch osadników. Komisja planistyczna Miasta Przyczółek wciąż cierpiała z tego powodu, bowiem to ich decyzja, żeby poprzemścić strażę gdzie indziej, doprowadziła do tych ofiar.

Spektakularna śmierć pobratymca sprawiła, że stado raptorów zawahało się, na tyle, by ludzie zdążyli się przegrupować i zacząć do nich strzelać. Raptory były odporne, ale nie wyewoluowały aż tak, by wytrzymać pocisk z XXII-wiecznego karabinka szturmowego.

Padły w parę sekund. Myśliwi przygarbili się, dysząc, bardziej ze zdenerwowania niż z wysiłku. Mój dron obserwacyjny wisiał nieopodal, wciąż pilnując.

Dowódca grupy, Stéphane, zerknął na niego.

– No, dzięki, mocarzu. Znikąd się te skurwysyny pojawiły.

Kiwnąłem raz dronem, potakując. Raptory wciągnęły myśliwych w zasadzkę i prawie im się udało. Były inteligentne – cały czas trwała dyskusja: jak bardzo. Pierwotnie trzyosobowe, ekspedycje myśliwskie były teraz dwukrotnie liczniejsze. I każdy ich uczestnik brał swoje obowiązki bardzo poważnie.

– Nie ma problemu, Stéphane. Od czasu do czasu odrobina bilardu niszczycielem to wielka frajda.

Stéphane parsknął śmiechem, a oddział z powrotem ustawił się w ukośną linię. Trzeba było obejść jeszcze kilometr granicy. Bez słowa ściągnąłem z orbity kolejnego niszczyciela i zawołałem drona górniczego, żeby pozbierał resztki tego, którego właśnie zużyłem.

Niszczyciele siły żywej Boba były uniwersalnym środkiem do obrony przed fauną. Wciąż nie byłem przekonany, czy nie bardziej ekonomicznie byłoby wyprodukować uzbrojone drony. Postanowiłem,

że jeśli kiedykolwiek znajdę pięć wolnych sekund na pogawędkę z Bobem, przedyskutuję sprawę przerobienia ich pancerzy na plastikowe.

Okazywało się, że bezpieczeństwo jest o wiele trudniejszym zagadnieniem niż planowaliśmy. Ekosystem tej planety był niesamowicie bogaty, zróżnicowany i konkurencyjny. Nawet niektórzy roślinożercy mieli uzbrojenie, które dałoby ziemskiemu drapieżnikowi do namysłu. Pod tym względem bardzo przypominało to popularne wyobrażenie epoki dinozaurów.

Przedsmak dostaliśmy już w pierwszym tygodniu na Wolkanie, kiedy stado raptorów przemaszerowało przez budowane miasto, jakby było ich, i bez żadnego „proszę” i „dziękuję” spróbowało zjeść jedną ze sterowanych przez MSI koparek.

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. Koparce nic się nie stało, trzeba ją były tylko odmalować, lecz komisja planistyczna nagle uświadomiła sobie, że nie panuje nad sytuacją. Przynajmniej na razie. Oddziały myśliwskie i wartownicze zostały wzmocnione i na ogół udawało się unikać kontaktu ludzi z raptorami. Na ogół.

A właśnie. Miałem coś do zrobienia. Wysłałem drona tysiąc metrów w górę, żeby zrobił dokładny skan. Kolonia rozciągała się pode mną, bardzo podobna do XXI-wiecznych przedmieść, z wyjątkiem otaczającego ją prawie na całym obwodzie bardzo wysokiego płotu. Był wyposażony w dźwiękowe odstraszacze odganiające co bardziej krnąbrną zwierzynę, a za nim była jeszcze półkilometrowa strefa bezpieczeństwa, z wykarczowanymi drzewami. Na skraju lasu grupa brontów obgryzała drzewka. Podobnie jak raptory, przypominały raczej apatozaury i były o połowę mniejsze od swoich imienników. Przy nazywaniu miejscowej fauny koloniści dostali lekkiej manii na punkcie dinozaurów, bo w wielu przypadkach skojarzenia były dość naciągane.

Szybko obleciałem strefę bezpieczeństwa. Nie pokazało się nic dużego. Usatysfakcjonowany zawróciłem do Przyczółku.

Parę większych budynków pośrodku miasteczka stanowiło centrum administracyjne, wokół którego w trójkącie stały dwa centra produkcyjne i znajdowało się lądowisko. Towary i ludzie byli przewożeni publicznymi pojazdami kierowanymi przez MSI, dostępnymi we wszelkich rozmiarach, od małych samochodzików po autobusy. Koloniści postanowili zacząć nowe życie na Wolkanie od paru zmian społecznych, na początek od likwidacji prywatnych pojazdów.

Zaledwie trzy miesiące po wylądowaniu miasto miało klimat i wygląd stabilnego i bezpiecznego. Naprawdę ich podziwiałem za to, jak szybko to wszystko postawili. Oczywiście ekipy ZSE miały dosłownie dziesiątki lat na dopracowywanie planów kolonizacji, kiedy tkwili od wojny w swojej enklawie. Nic dziwnego, że udało im się pozbyć większości

błędów.

Dokończyłem oblot. Wyglądało na to, że na razie z raptorami mamy spokój. Zadzwoiłem do Stéphane'a.

– Czysto, wodzu. Nic więcej nie wylazło.

Stéphane uśmiechnął się do telefonu.

– *Bon!* Ekipa od płotu będzie musiała wymyślić coś nowego. Bo ciągle im się wydaje, że już skończyli...

Obaj się roześmialiśmy.

Ekipa Budowy Ogrodzenia ostatnio ciągle obrywała.

– A, Howard... – ciągnął po chwili. – Po pracy idziemy do Pijalni, spróbować najnowszego eksperymentu piwnego. Przeleczysz się z nami?

– Przyjdę trochę później. Mam spotkanie z pułkownikiem. Ale uwielbiam patrzeć, jak padacie pod stół.

Stéphane wyszczerzył zęby.

– Wiesz, ostatnia partia już trochę kojarzyła się z prawdziwym piwem. Niedługo powinni się nauczyć.

Kiwnąłem głową i obiecałem, że przyjdę.

* * *

– Dzień dobry, Howard.

– Dzień dobry, pułkowniku. – Zauważyłem, że znowu wyciągnął butelkę Jamesona. Nie żebym potępiał, ale nie mógł już tego mieć dużo, a producent był szesnaście lat świetlnych stąd. I zapewne nie istniał, ale czy to ważne? Na boku, tak, żeby nie pokazało się w okienku pułkownika, rzuciłem do Gupika:

– Mam już na liście punkt, żeby zbudować destylarnię?

[Potwierdzam. Z wysokim priorytetem]

No, ciągła praca, i to o suchym pysku... Zachichotałem i połączyłem się z powrotem z moim publicznym awatarem.

Pułkownik przez cały ten czas gadał. Przyśpieszyłem się na chwilę i odegrałem wideo, żeby to nadrobić.

– Przez ostatnie trzy dni żadnych ofiar na patrolach. Mam nadzieję, że sytuacja z raptorami jest opanowana.

Założyłem ręce za głowę, zastanawiając się nad tym stwierdzeniem. Raptory tak naprawdę nie były dinozaurami. Właściwie nie miały żadnego odpowiednika na Ziemi. Były dwunożnymi drapieżnikami, nieco większymi od welociraptorów w *Parku Jurajskim* jedyńce. Miały wielkie paszcze pełne zębów, ale bardziej podobnych do zębów rekina niż kołkowatych zębów typowego karnozaura. Odkryły – jednocześnie z osadnikami ZSE – że biozgodność działa w dwie strony. Sądząc po nagłym zintensyfikowaniu ataków, ludzie okazali się pysznym

przysmakiem.

– Nie spoczywajmy na laurach. To inteligentne zwierzęta. Nie będą wiecznie wchodzić w zasięg strzałów jak horda zombiaków.

– Tak. – Pułkownik machnął lekceważąco ręką. – Dlatego podoba mi się ten system monitoringu z powietrza, który budujesz. A w nocy kamery termiczne. I likwidujemy każdego, który zapanuje się w określony promień.

– Myślę, że komisja już nie będzie ci robić wyrzutów za tę decyzję.

Pułkownik prychnął, kiwnął mi głową i się rozłączył.

Dogadywałem się z nim o wiele lepiej niż kiedyś Riker. Trudno powiedzieć, czy to była różnica charakterów, czy może sam pułkownik był teraz mniej zestresowany.

Westchnąłem i potarłem brodę dłonią. Pora wracać do pracy.

Poświęciłem chwilę na sprawdzenie statusu projektu Sztucznych Macic. Mieliśmy w nich w przyspieszonym tempie wyhodować miot zwierząt hodowlanych, w samą porę na ukończenie budowy bezpiecznej zagrody. Jeśli raptorom smakują ludzie, to krowy po prostu będą uwielbiać. Lepiej być przygotowanym.

Wszystko wyglądało, jak trzeba, zwołałem więc spotkanie z Bobem i Billem. Nawiązanie połączenia zajęło kilka milisekund i zaraz wskoczyli mi do VR-ki i usiedli wokół ogniska.

– Cześć, Howard – przywitał mnie z uśmiechem Bob. – Motyw ogniskowy zawsze smaczny i zdrowy.

Uśmiechnąłem się, podałem obu patyki i rozłożyłem kiełbaski i pianki. Sporo się napracowałem, żeby ognisko wyglądało, jak należy. Takie wieczory były jednym z moich najmielszych letnich wspomnień z czasów, gdy tato zabierał nas do leśnej chaty. Nawet jako dziecko czułem duchowość i ponadczasowe *zen*, siedząc przy ogniu i patrząc na majaczące w półmroku drzewa.

W ognisku było w sam raz tyle szczap z topoli, żeby od czasu do czasu trzaskało, ale nie brzmiało jak kanonada. A owady wyciąłem – prawda, że jesteśmy trochę obsesjonatami w kwestii realizmu, no ale po cholere komu komary?

Gdy już urządziliśmy się ze wszystkim i zaczęliśmy marnować całkiem dobre pianki, zagałem dyskusję.

– Jedna z grup myśliwych trafiła dzisiaj na kilkanaście raptorów. Urządziły zasadzkę i to całkiem niezłą. Musiałem pacnąć jednego niszczycielem, bo mielibyśmy jednego myśliwego mniej.

Bill wzruszył ramionami.

– Pewnie się powtarzam... wiem, że to wygląda na naprawdę inteligentne zachowanie, ale ziemskie drapieżniki stadne też tak robią, przez cały czas. To się daje wyjaśnić instynktem. Weźcie już sobie wybijcie z głowy ten *Park jurajski*.

Bob szczerzył się do mnie, więc tylko uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową.

– Dobra, jasne, przyjąłem. W każdym razie automatyczny monitoring Boba powinien dawać sobie radę, jak tylko go ustawimy. Zwłaszcza do kupy z nową ulepszoną bronią. Też od Boba.

– Na Edenie Gupik przez lata sterował monitoringiem – stwierdził Bob. – Ale ciekawie byłoby zrobić takiego dedykowanego Gupika, specjalnie do tego. Bez nadzoru replikanta. Pewien jesteś, Howard?

– Nie do końca – przyznałem. – Ale przecież nie ośmielę się proponować, żeby marnować zasoby na kolejnych Bobów, tylko do pilnowania wartowników, nie?

Bill i Bob zareagowali w idealnym unisono:

– Bo Butterworth dostanie piany.

Wszyscy padliśmy ze śmiechu. Nie licząc paru słynnych wyjątków, poczucie humoru Bobów było bardzo podobne. Co śmieszyło jednego, śmieszyło wszystkich.

Na parę milisekund zapadła kontemplacyjna cisza. Zerknąłem na Boba.

– A co tam słychać u Deltan?

Uśmiechnąłem się smutno i wzruszył ramionami.

– Rodzina się Archimedesowi powiększa. Czas leci. Ludzie się starzeją, wiesz? Trochę już mnie to przeraża. Patrzę, jak znane mi istoty dożywają swoich dni, starzeją się...

Pokiwaliśmy z Billem głowami. Na Ziemi nieśmiertelność brzmiała jak świetny pomysł, jednak wiązały się z nią koszty, zwłaszcza kiedy ktoś przywiązywał się do efemeryd. Wiem, że Billa drażniło to określenie. Ale przecież nie czyta mi w myślach. Mam nadzieję, że poczucie winy nie maluje mi się na twarzy.

Dobry moment, żeby zmienić temat.

– Ogólnie to wyprzedzamy trochę plan. W tym tygodniu pewnie skończymy wybutlowywać osadników z *Exodusu 3*. Riker się ucieszy z kontaktu z rodziną.

Kiwnęli głowami, a Bob powiedział:

– Ja też lubię oglądać te rozmowy, ale muszę przyznać, że dla mnie te rozmowy z nimi byłyby zbyt bolesne. Dobrze, że Riker jest na to gotowy. Ja w twarzach tych ludzi ciągle widzę podobieństwo do moich siostr i aż mnie ściska.

Uśmiechnąłem się nieznacznie. Nie wiem, czy ktoś już powiedział mi to prosto w oczy, wszyscy uważali jednak, że Bob 1 dostał dodatkową dawkę stanów lękowych Oryginału. Strasznie się zadreślał takimi właśnie rzeczami.

Rzuciłem do Billa:

– A właśnie, póki pamiętam. Muszę się skontaktować z Rikerem.

Muszę spytać, czy da radę znaleźć drewno dębowe i zeskanować je dla mnie.

– Dębowe? – Bill uniósł brew.

– Jeśli uda mu się je dobrze zeskanować, to wydrukuję sobie parę prawdziwych dębowych beczek.

– Ale wiesz, wydrukowanie czegoś biologicznego zajmie wieki.

– Wiem, Bill. To bardziej taki pilotowy projekt. Dam do tego jedną drukarkę, nie będzie robiła nic innego, tylko klepki do beczek, aż narobi tyle, ile potrzeba.

Bill przez chwilę miał zdezorientowaną minę, potem się wyszczerzył.

– Firmę otwierasz?

– Nie, raczej chodzi mi o podtrzymanie morale.

Parę kolejnych milisekund rozmawialiśmy o czym popadnie, a potem się rozłączyli. Od razu wyskoczył Gupik z moim następnym zadaniem z listy.

A. Tym. Tym, które bez końca odkładam...

* * *

Butterworth się wściekł. To nie była taka zwykła piana. To była piana z pięciu wozów strażackich. Słuchałem, z opadniętą szczęką, jak przetyka swoją tyradę różnymi wyrazami. Nawet nie wiedziałem, że zna słowa na „k” i na „p”. A on okazał się ekspertem od ich form rzeczownikowych, czasownikowych, przysłówkowych, przymiotnikowych oraz ich użycia jako paru różnych znaków przestankowych. Dopilnowałem, żeby to się nagrywało.

Wreszcie się uspokoił. W porównaniu. Tak jakby.

– Czyli ci... ci... Inni – co za debilna nazwa, swoją drogą – lecą sobie i wyludniają planety? Tak po nic?

– No... według Maria... – Zauważyłem, że nie był w stanie powstrzymać się od przewracania oczyma. Nie zachwycały go wybrane przez nas imiona. – To oni zabijają całe życie na wszystkich planetach w układzie, a potem ekstrahują z niego wszystkie metale i rzadkie pierwiastki.

– A my tu siedzimy jak tłusty kąsek!

Spuściłem wzrok i zanim odpowiedziałem, postarałem się powstrzymać swoją skłonność do sarkazmu.

– Pułkowniku, na Ziemi wcale byście nie byli bezpieczni. Przeciwnie, to Wolkan jest trochę dalej od obszaru, w którym wydają się działać. A do tego Ziemia od kilkuset lat rozgłasza swoją obecność na falach radiowych.

Pułkownik skinął głową, zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Zrobiło

mi się go żal. Na pewno myślał, że po wylądowaniu na Wolkanie najgorsze już jest za nimi. Teraz wszyscy trafiliśmy z powrotem pod rynnę.

– I co Bobowie planują w tej sprawie?

To już był trochę bardziej neutralny grunt.

– Mario zbudował grupę Bobów-zwiadowców, które badają pobliskie układy. Będzie ich budował kolejne partie, a oni będą się rozprzestrzeniać, aż zrobią mapę obrabowanych gwiazd. Wtedy się zastanowimy, co robić. Bill z kolei skupił się na ich metodach niszczenia. Niestety prawdopodobnie wyprzedzają nas technologicznie. Musimy się sporo podciągnąć.

– Dawaj mi znać, co się dzieje. – Podeszedł do biurka, usiadł ciężko i potarł czoło. Kiedy patrzył w swoje zapiski, delectowałem się paroma sekundami ciszy.

– Obwarzanki rolnicze – uniósł wzrok. – Przekraczają oczekiwania.

– Tak jest, panie pułkowniku. Bill, kiedy rozmnażał rośliny, żeby wysadzić je na Ragnaröku, wprowadził do nich masę ulepszeń. Bo on ma coś takiego, co się nazywa „wolny czas”. Mam nadzieję, że któregoś dnia też mi się uda to przeżyć.

Butterworth prychnął i uśmiechnął się. Obaj pracowaliśmy na pełnych obrotach przy postawieniu kolonii na nogi. A fakt, że replikanci nie muszą jeść ani spać, oznaczał tylko, że byłem dostępny siedem dni w tygodniu, dwadzieścia dwie godziny i trzysta minut na dobę. Albo trzydzieści jeden czterdzieści dziewięć, na Romulusie. Co ciekawe, nie przypomniałem sobie żadnych książek science fiction, które poświęciłyby chwilę rachubie czasu na nowej planecie.

– A to znaczy – ciągnął pułkownik – że uda nam się w przyspieszonym tempie osadzić na planecie kolonie Szpiców i WIARY. Chyba cieszysz się, że twoi krewni się odhibernują?

– Najbardziej cieszy się Riker. – Wyszczrzyłem zęby. – Ale muszę przyznać, że to dość popularny program na BobNecie.

Butterworth się skrzywił.

– „Na BobNecie”. Z siedmiu miliardów ludzi, którzy żyją na Ziemi na początku XXI wieku, WIARA wybiera do zreplikowania jakiegoś nerda łamane przez inżyniera z fikcją na punkcie *Star Treka*. – Uśmiechnął się szeroko, żeby złagodzić tę uwagę, i wyciągnął rękę, by przerwać połączenie. – No to do jutra...

17. Straciliśmy drona Bob, maj 2171, Delta Eridani

Rozmowa z Billem była jednocześnie wspaniała i załamująca. Przygnębiająca była wieść, że z ludzkości zostało tylko piętnaście milionów. Z drugiej strony, wyglądało na to, że niewiele brakowało, by ta liczba spadła do bardzo okrągłego zera.

Po stronie plusów – nie byłem zaskoczony, że roztrzaskał zagadnienie podprzestrzeni, ale niesamowite, że zrobił to tak szybko. Powstawało drobne, ale niedające spokoju pytanie: czy mnie to by się też udało? Jak bardzo Bill się ode mnie różni?

E tam. Nieważne. Problem jest już rozwiązany, pracujemy z Billem nad scaleniem źródeł VR z naszych dwóch odrębnych gałęzi, a łączność między Bobami w czasie rzeczywistym jest rzeczywistością – przynajmniej co do zasady. Uśmiechnąłem się sam do siebie na wizję galaktycznego Internetu. Wielu tych Bobów na razie w sieci nie było, ale to się zmieni w miarę jak wiadomość Billa będzie się rozchodziła po sferze z prędkością światła.

Niezmiernie się ucieszyłem, że mam zaklepaną pozycję oficjalnego Pierwszego Kontaktu. Wątpię, bym był jedyny.

Luke i Bender jeszcze nie dali znaku życia. Liczyłem, że w końcu odbiorą transmisje Billa i będziemy w stanie pogadać. Na wszelki wypadek kazałem lokalnej stacji orbitalnej okresowo retransmitować w ich kierunku plany UNOP-a. Tak czy inaczej, w końcu je odbiorą.

Trochę rozczarowujący był brak postępów w Projekcie Android Billa. Sporo tych technologii rozwinęło się na Ziemi w czasach, kiedy jeszcze żył Pierwszy Bob. Trudno jednak było poskładać to wszystko do kupy w sztuczne ciało funkcjonujące jak jeden spójny organizm. Zresztą... Wcześniej czy później Bill dokona jakiegoś przełomu. A na razie mam swoje własne projekty.

Marvin zajął się przewozem grup dronów eksploracyjnych i rozmieszczał je w siatkę pokrywającą pierwotne terytorium Deltan. Przy takim poziomie szczegółowości, jaki był nam potrzebny, powinien skończyć w jakieś trzy miesiące.

– Właśnie straciłem drona. – Marvin wskoczył mi bez zapowiedzi do VR. Miał zdezorientowaną minę.

– Co znaczy „straciłeś”?

– A sam zobacz.

Wyświetlił okienko wideo. Przedstawiało panoramiczny widok Edenu z wysokości kilkuset metrów. Dron leciał kursem poszukiwawczym, wypatrując polan, na których potencjalnie mogły się znajdować dawne wioski. Nagle obraz zaczął gwałtownie wirować i się zacinać. Mniej więcej pół sekundy później zniknął.

– Cholera – burknąłem. – Rozumiem, że atak był z góry?

– Tak wygląda. Zrobiłem analizę klatka po klatce i jedyne, co znalazłem, to to. – Otworzył zdjęcie. Było nieostre i poprzecinane liniami zakłóceń, ale dawało wrażenie, że coś drona gryzie lub przegryza.

– Przepuściłem to przez parę filtrów odszumiających i ostrzących. Częściowo to jest ekstrapolacja. – Przełączył na kolejny obraz, wciąż ziarnisty i mało szczegółowy. Ale widziałem na nim coś, co wyglądało jak wielki dziób lub paszcza pełna zębów.

– Wow – powiedziałem. – Zdecydowanie bym nie chciał, żeby to była ostatnia rzecz, którą w życiu widzę.

– Gupik, dostajemy jakąś telemetrię z tego drona? – zapytał Marvin.

[Niestety. Atak prawdopodobnie uszkodził zasilanie]

– Trzeba by się przyjrzeć wrakowi. Zrobię skany SUDDAR-em. Czysty metal powinien się świecić jak psu jaja. – Wstał, zasalutował mi i zniknął.

* * *

Wrak drona obracał się powoli w holo. Marvin znalazł go parę kilometrów na południe od ostatniej znanej pozycji i zrobił pełny, szczegółowy skan SUDDAR-em.

Dron był przegryziony prawie na pół, a na skorupie miał dwa równoległe ślady pazurów. Urządzenia miały być lekkie i w odróżnieniu od niszczycieli nie miały żadnego pancerza, lecz i tak coś, co potrafiło tak wgnieść metal, musiało być niebezpieczne. A do tego latało. Brrr.

– I jeszcze to. – Marvin wyświetlił parę innych obrazów. Na jednym były zbliżenia uszkodzeń drona, na innych jakieś kości.

– Interesujące... – Wyciągnąłem rękę i wskazałem miejsce na obrazie.

– Bardzo podobne do śladów zębów na dronie.

– Tak. Mam dużo podobnych eksponatów. Cokolwiek to jest, kiedyś żywiło się Deltanami.

– Może to dlatego Deltanie wyemigrowali ze swojego pierwotnego terytorium? – Aż wytrzeszczyłem oczy na tę myśl. Oni nie przenieśli się

w bardziej niebezpieczne miejsce. Goryloidy były mniejszym złem.

– Albo o nich nie wiedzieli, albo może się nimi nie przejmowali. –
Marvin mówił prawie szeptem.

– A potem goryloidy wyгнаły ich za góry, w miejsce, gdzie ich
zastaliśmy.

Siedzieliśmy w milczeniu przez parę milisekund.

Wreszcie Marvin je przerwał.

– Nadal mam za mało informacji, żeby zawęzić poszukiwania.

– Przynajmniej wiemy, że to coś jest na tyle duże, żeby zjeść
Deltanina.

– Albo zdjąć drona z nieba.

Nie podobało mi się to. Ani trochę.

18. Coraz gorzej Riker, wrzesień 2172, Układ Słoneczny

Za policyjnymi taśmami zgromadził się tłum. Udręczone twarze, niektórzy płakali; rodzice trzymali dzieci za rękę, pary się obejmowały, miny mieli załamane. Ludzie, którym wszędzie byłoby lepiej niż tutaj.

Jak dotąd potwierdzono sześćdziesiąt trzy ofiary śmiertelne. Blok mieszkalny, zapuszczona pięciopiętrowa budowla bez balkonów, miał teraz na poziomie parteru wygryzioną ogromną dziurę. Oczywiście, że trzeba go będzie wyburzyć. Bardziej się obawiałem, że zaraz się zawali i zmiążdży wszystkich gapiów.

Okolica nie była za dobra. Według przedwojennych standardów byłaby slumsem. Od czasu wynalezienia niezawodnej fuzji termojądrowej wszystkie budynki miały własne źródła zasilania, ale ulice były zaśmieczone, nieoświetlone i pokryte graffiti. Okna i drzwi na parterze dawno opancerzono albo zamurowano. Po ścianach budynków biegły schody, pokryte łuszczącą się farbą, rdzą i ptasimi odchodami.

W tej faweli nie mieszkał nikt ważny. Nie byli to ludzie z rządu, wojskowi, nikt, kto byłby usprawiedliwionym celem. Prości ludzie, najpewniej bezrobotni, na skraju ubóstwa. Większość nie miała żadnej nadziei, żadnej przyszłości, poza ewentualną perspektywą wyemigrowania do innego układu gwiazdowego.

Co za sens? Czemu ktoś to robi? Sprawcy zaatakowali ludzi, którzy nie mają prawie nic, i zabrali im nawet to. Czasem wstydziłem się na myśl, że kiedyś byłem człowiekiem.

Odebrałem połączenie od brazylijskiego premiera.

– Riker, to trzeci atak w tym miesiącu. I nie ma postępu w ściganiu sprawców. Możesz mnie jakoś zapewnić, że coś z tym zrobicie?

Wyglądał bardziej na przerażonego niż rozgniewanego. Chyba bał się o swoje stanowisko. Ale to nie był czas, żeby się kłócić.

– Panie premierze, ja nie jestem odpowiedzialny za to śledztwo. Bo ja jestem odpowiedzialny tylko za jedną rzecz – globalny projekt emigracyjny. A tutaj jestem, no cóż, jako doradca. Pomogę w śledztwie, na ile mogę. Ale fizycznie muszą się nim zająć wasze wewnętrzne służby. Plus to, co może ewentualnie zrobić ONZ. – Widziałem po twarzy Benedita, że nie zachwyca go moja odpowiedź. Ale tylko tyle miałem.

Udostępniłem ekipom ratowniczym drony górnicze, żeby pomogły

szukać i wydobywać zwłoki lub ocalałych ludzi. Wokół strefy rozstawiłem drony obserwacyjne, na wypadek gdyby terroryści pokusili się o powtórny atak. Dopilnowałem, żeby szefowie ekip mieli do mnie bezpośredni kontakt. A przede wszystkim czekałem.

To był, tak jak mówił, trzeci atak w tym miesiącu. Terroryzm, czysty i jawny. Do tego, o ile mi było wiadomo, niemający żadnego politycznego celu. Żadnych oświadczeń, żadnych żądań. Ktoś po prostu chciał zniszczyć Brazylię. A skoro z dawnego imperium zostało tylko Florianópolis, było oczywistym celem.

Tysiąc pięćset statków albo tysiąc pięćset lotów. Nieubłagana matematyczna logika drwiła ze mnie.

* * *

Minister Gerrold, delegat Nowej Zelandii po raz kolejny wytykał mi błędy i wady, tak prawdziwe, jak wyimaginowane. Z jakiegoś powodu naprawdę od pierwszego dnia mnie nienawidził. Nie żebym się tym przejmował – w końcu to był palant – ale mój uporządkowany umysł lubił znać kompletny ciąg przyczynowo-skutkowy. Poza tym, jeśli już u kogoś budziłem taką reakcję, to chciałem, żeby to było w jakimś celu. Walka z przypadkowym debilem była stratą energii.

Dzisiejsza tyrada traktowała o sabotażu i tym, że nie umiemy sobie z nim poradzić. Kazałem mojemu publicznemu awatarowi wyglądać na czujnie zainteresowanego, choć sam w VR-ce przewracałem oczyma.

W końcu się wygadał, a ja przygotowałem się do riposty, jednak delegatka z Malediwów mnie uprzedziła. A to nie byle co, wyprzedzić komputer. Może powinienem sobie zrobić testy wydajnościowe.

Przewodniczący udzielił głosu minister Sharmie, która wstała.

– Chciałabym podziękować panu ministrowi za streszczenie nam swojego przemówienia z poprzednich obrad. Które, jeśli dobrze pamiętam, było streszczeniem przemówienia z wcześniejszych obrad. Doceniłabym je bardziej, gdyby było wstępem do jakichś nowych informacji. Albo chociaż gdyby było dowcipne. Panie ministrze Gerrold, pan ewidentnie ma problem z replikantami. Proszę się nim zająć poza tą salą, żebyśmy mogli skupić się na sprawach, które są ważne.

Światelka głosów zamrugały szybko, co było zdalnym odpowiednikiem oklasków. Twarz Gerrolda zachmurzyła się i usiadł, splatając ramiona.

Zanotowałem sobie, żeby napisać do Sharmy z podziękowaniami. Ale miała rację. On rzeczywiście miał jakiś kwas do replikantów w ogóle, a do mnie w szczególności.

Następny punkt w agendzie dotyczył pogarszającego się klimatu. Parę

enklaw w wyższych szerokościach geograficznych zbliżało się do progu przeżywalności. W tym miesiącu miały wystartować dwa kolejne statki, *Exodus 4* i *Exodus 5*. ONZ potwierdziło, że wyspiarskie narody będą wysłane na Posejdona. Na stole pozostała kwestia: czy zmieniać kolejność emigracji, czy po prostu przenieść problematyczne enklawy na zwolnione miejsca. Każdy miał swoje zdanie. Ilu delegatów, tyle zdań.

Rozparłem się w fotelu i rozejrzałem się dokoła. Dotarło do mnie, że nie ma tu Homera. Przeważnie się pojawiał, żeby się ponabijać z posiedzeń ONZ. Chyba zaczynałem się uzależniać od jego satyrycznego spojrzenia na te sprawy – pomagało mi to przetrwać męczące obrady.

Najwyraźniej tym razem trzeba będzie sobie poradzić po staroświecku. Włączyłem Piaskowego Boba i przekazałem mu okienko wideo. Wolność!

19. Łup

Bob, czerwiec 2172, Delta Eridani

Archimedes cierpliwie związywał dwa kawałki pnącza, a młode patrzyło. Uśmiechnąłem się, obserwując tę scenę w okienku wideo. Jego partnerka Diana miała drona na oku. Nigdy ich nie lubiła, podobnie jak mnie, i robiła się przy nich nerwowa. A odkąd miała pod opieką dziecko, jeszcze trzy razy bardziej.

Archimedes nie zwracał na to uwagi. Był zajęty był uczeniem młodego podstawowych umiejętności. Młode wzięło pnącza i wystawiając język z kącika ust, związało je w idealny węzeł babski. Archimedes westchnął i poprawił go na płaski. Młode uśmiechnęło się do ojca, a ja poczułem ukłucie... hmm, czegoś. Dumy? Zazdrości? Tęsknoty? Może wszystkiego naraz. Trudno ustalić. Oczywiście zaszczyły mi łzami i musiałem powstrzymać nagłą ochotę, by znów obejrzeć którąś z nagranych rozmów Rikera z rodziną.

Zminimalizowałem okienko i odwróciłem się. Marvin na mnie patrzył. Nic nie powiedział, a po chwili opuścił wzrok i zajął się swoją pracą.

Parę razy odetchnąłem głęboko i wyciągnąłem okienko z powrotem. Młodemu udał się węzeł płaski, choć wciąż chyba nie rozumiało, jaka jest różnica. Zachichotałem. Jakiś czas temu pokazywałem Archimedesowi parę węzłów żeglarskich, a on uczył się ich jednego po drugim. Zdaje się, że chce przekazać tę wiedzę potomstwu.

Uroczyste nadanie imienia chłopakowi miało nastąpić, gdy tylko wypowie pierwsze słowo. I Archimedes, i ja spodziewaliśmy się, że stanie się to wcześniej od przeciętnej. Deltanie całkiem rozsądnie uważali, że mowa różni ich od zwierząt, i pierwsze użycie języka było dowodem, że dziecko ma, z braku lepszego słowa, duszę. Deltańskie słowo oznaczało trochę co innego, ale blisko.

Diana wciąż patrzyła na mnie spode łba, uznałem więc, że dam jej już spokój. Powiedziałem Archimedesowi, że się przelecę.

Wzniosłem się dronem mniej więcej na kilometr i zacząłem się powoli obracać. Był wciąż wczesny ranek, piękny wiosenny dzień, na drzewach i trawie perliła się rosa. W tej części Edenu dominował las, było jednak wystarczająco dużo polan i łąk, żeby wielcy roślinożercy mieli się gdzie paść. Postanowiłem, że będę przy każdej okazji nagrywać

takie panoramy. Kiedyś, może za dziesięć tysięcy lat, Deltanie zbudują cywilizację i pewnie zrobią z Edenem coś podobnego, jak ludzie z Ziemią w XX wieku. Byłoby fajnie móc im pokazać, jak kiedyś wyglądał ich świat. Ciekawe tylko, czy ja tu jeszcze wtedy będę...

Rany. Trzeba się otrząsnąć z tej melancholii. Lubiłem towarzystwo Archimedesesa, lecz od czasu do czasu przypominało mi rodziców i siostry. Kiedy tak się działo, trzeba było natychmiast zmienić scenerię.

Kazałem dronowi polecieć do Camelotu i wrócić na posterunek, a sam przełączyłem się na drugiego, stacjonującego na jednej z autofabryk w punkcie Lagrange'a.

Projektowi zbrojeniowemu i tak od dawna należał się przegląd. Miałem miejsce, starannie oddzielone od wszystkiego innego, gdzie eksperymentowałem z materiałami wybuchowymi i produkcją amunicji. Bawiłem się ideą pocisku, który nie byłby napędzany prochem, ale plastycznym materiałem wybuchowym. Detonator wyzwalany prądem elektrycznym pozwalały zrezygnować z iglicy. A wykorzystanie glikolu etylenowego dawało materiał nadający się do użycia w każdych warunkach, także w ekstremalnie niskich temperaturach. No i nie robił się niestabilny z czasem. A, no i łatwiej z nim było bezpiecznie pracować niż z prochem strzelniczym.

Przemieściłem się do głównej autofabryki. Cztery macierze replikantów były na ukończeniu. Miały ożywić ustawione nieopodal statki *Niebo 3*. Nie zdecydowałem jeszcze, czy sam też się przesiądę. Jasne, trójki były o wiele szybsze od mojego statku w wersji 2, ale też nigdzie mi się teraz nie śpieszyło. W układzie Deltę Eridani wszędzie mogłem dolecieć dronem. W ogóle rzadko mi się zdarzało odpalać własny napęd SURGE. Właściwie, jeśli się zastanowić, od lat nie opuszczałem orbity Edenu.

Mimo wcześniejszej niechęci do powielania się, czułem się moralnie zobowiązany do wysyłania we wszechświat swoich kolejnych kopii. Poza prostym faktem, że więcej Bobów-eksploratorów to więcej ciekawych odkryć, była jeszcze obietnica złożona doktorowi Landersowi – miałem wykonać zadanie, do którego mnie wskrzesił. W prostej linii wynikało z tego, że mam obowiązek wobec niedobitków ludzkiej rasy. Riker robił cuda, żeby wywieźć ich z Ziemi. Do reszty należało znalezienie im nowych domów.

Rozmyślenia przerwała mi tekstowa wiadomość od Marvinina. *Był atak.*

Ustawiłem drona na autonomiczne pilnowanie i wszedłem z powrotem do VR-ki. Marvin już czekał.

– Goryloidy? – zapytałem, siadając.

– Nie, to chyba będzie nasz Giga Pazur. Grupa zbieraczy szukała pożywienia, gdy coś chwyciło jednego z nich. Mówią, że właściwie go nie

widzieli, mieli tylko wrażenie, że jest naprawdę duże. Odleciało z ofiarą, a reszta w te pędy uciekła do Camelotu.

– Jak to „właściwie nie widzieli”? Zeskoczyło na nich z drzewa?

– No... nie, nie o to chodzi. Patrzyli prosto na niego, ale go nie zauważyli. W deltańskim właściwie nie ma na to słowa i program tłumaczący strasznie się zacinał, aż w końcu zdecydował się na „niewidzialny”.

– Rany boskie. Czyli to jest coś wielkiego i latającego, co do tego potrafi robić się częściowo lub całkowicie niewidzialne, albo się maskować... – Patrzyłem na Marvinie, który coraz bardziej wytrzeszczał oczy. – Co?

Przewertował archiwa i wyciągnął kawałek nagrania wideo z moich wczesnych badań Edenu, zanim jeszcze znalazłem Deltan. Wideo przedstawiało zwierzę, które nazwałem „hipogryfem”. Stworek był mniej więcej wielkości wróbla, miał cztery nogi i parę skrzydeł. Był drapieżny i umiał się kamuflować, bo...

...zmieniał kolor, dopasowując się do tła. Jasna cholera.

– Muszą być dużo większe niż ten tutaj, ale to pasuje do opisu tego, co widzieli Deltanie. – Kiwnąłem głową. – Super, że to znalazłeś. Ale wciąż nie wiemy, skąd one się biorą, tak?

Pokręcił głową.

– Cały czas szukam, coraz dalej od Camelotu. W jednym kierunku dotarłem już do oceanu, w pozostałych mam jeszcze masę lądu do przeszukania. Skłaniam się ku pierwotnym terenom Deltan, ale to też nie jest nic pewnego.

– Podstawowe pytanie – powiedziałem powoli. – Czy widział to któryś z naszych dronów?

– Sprawdzalem. Na tym obszarze nie było żadnego. Wszystkie, które były wolne, są na poszukiwaniach. A ten stwór jakimś cudem zakradł się do środka obszaru.

– Zajebicie. Po prostu zajebicie. Mało, że wpakowałem Deltan na talerz drapieżnikom, to jeszcze dwóm różnym. Niezły bóg, nie ma co!

* * *

Obserwowałem z oddali naradę starszych plemienia w sprawie tej najnowszej tragedii. Nie zaprosili mnie, bo zapewne miałem być przedmiotem dyskusji, a nie chciałem się pchać na siłę. Kazali za to przyjść Archimedesowi, który denerwował się za nas dwóch. Zanim wyszedł, wymienili z Dianą przerażone spojrzenia.

Spotkanie ciągnęło się długo, z masą gestykulacji i wrzasków. Chyba nie wspominałem nigdy Deltanom o mikrofonach kierunkowych,

dlatego nie mogę ich winić, że nie zdali sobie sprawy, że wszystko słyszę.

Archimedes przekazał im moje teorie – z perspektywy czasu widzę, że tylko pogorszył swoją sytuację. Ale to by wyszło wcześniej czy później. Głównie skupili się jednak na kwestii: czy ja jestem złośliwy, czy jestem tylko idiotą. Tak czy owak, większość sądziła, że w starym miejscu byli bezpieczniejsi.

Obiektywnie to nie było prawdą. Powoli wymierali i po jednym czy dwóch pokoleniach przestaliby istnieć. Ale tłumaczenie trendów demograficznych ludziom, którzy prawie nie umieli liczyć, było skazane na porażkę. Śmierć, która następowała na ich oczach, rozumieli o wiele lepiej niż wyniszczenie.

Narada trwała około dwóch godzin. Kiedy Archimedes wrócił do siebie, wyglądał na bardzo przybitego. Usiadł i przyjął od Diany kawałek suszonego mięsa.

– Są podzieleni mniej więcej po połowie – wyjaśnił. – Połowa myśli, że przyprowadziłeś nas tutaj na łup tych latających stworów. Druga połowa pyta, skąd miałeś o nich wiedzieć, skoro my nie wiedzieliśmy. A my jesteśmy stąd.

Pomyślałem o tym i westchnąłem. Gdyby Deltanie byli ludźmi, też powstałyby takie dwa obozy, ale w żadnym razie nie byłyby podzielone po połowie. Byli zdumiewająco racjonalni.

– Nie narobili ci żadnych kłopotów, co?

– W zasadzie nie. – Zerknął na Dianę i uśmiechnął się smutno. – Ale moje te... notowania spadły. Chyba tak to się po twojemu mówi.

– Tym się nie przejmuj, Archimedesie. I tak jesteś najlepszym wytwórcą broni w... znaczy... wszędzie. Jeśli potrzebujesz na jakiś czas się ode mnie odciąć, to nie ma sprawy. Ale my z Marvinem i tak będziemy uważać na hipogryfy.

Archimedes kiwnął głową. Jego młode przyczłapało i zważyło mu się na kolana. Głową naprzód.

* * *

– No, to wszystko wyjaśnia – powiedział Marvin. – Zatrzymałem się z obserwacjami na brzegu, i to był błąd. Stwory mają główną kolonię na tej wyspie... – Wskazał dużą wyspę kilometr czy dwa od brzegu. Ewidentnie wulkaniczną, mocno pofałdowaną, prawdopodobnie usianą mnóstwem szczelin magmowych – idealnych schronień dla dużych latających stworów.

– Ile ich tam jest?

– Pewności nie mam. – Wzruszył ramionami. – W ciągu dnia cały czas przylatują i wylatują, ale musiałbym je jakoś obrządkować, żeby się

doliczyć. Nie wiem, ile gniazd, nor, czy czegoś tam mają w tych jaskiniach. Ale dziesiątki dorosłych osobników to minimum.

Zmarszczyłem czoło.

– Duża populacja drapieżników. Czym one się żywią, jeśli nie upolują Deltan?

Marvin machnięciem ręki wywołał zdjęcie.

– Fokami. Znaczący... odpowiednikami fok. Czy może bardziej morsów. Wypełniają tę samą niszę. Przez większość czasu odpoczywają, grzejąc się na plaży, a polują w wodzie. Są chyba trochę bardziej ruchliwe niż foki czy lwy morskie, ale na lądzie są mega łatwym celem. Chociaż myślę, że tymi kłami mogą zrobić komuś krzywdę...

Patrzyłem na zdjęcie przez parę milisekund, pocierając podbródek. Potem skupiłem się na globusie i powiększałem go, aż pokazywał tylko wyspę oraz obecny i dawny zasięg terytorialny Deltan.

– Czyli hipogryfy odkryły Deltan, którzy zapewne byli łatwiejszym łupem i wyparły ich z ich pierwotnego terenu...

Marvin dokończył myśl:

– A potem poszły za nimi, kiedy weszli na terytorium goryloidów. Z goryloidami Deltanie sobie radzili, mając broń z krzemiennymi grotami, ale z oboma drapieżnikami naraz nie za bardzo. Dlatego wycofali się za góry...

– ...i uwolnili się od hipogryfów, ale stracili źródło krzemienia. A bez tego przestali sobie dawać radę z goryloidami – dokończyłem.

– A potem my, a dokładniej to ty, zaprowadziliśmy ich z powrotem nad złoża krzemienia. I znowu znaleźli się w menu. – Marvin spojrzał na mnie unosząc brew. – I co teraz?

Usiadłem, przywołałem kawę i rozparłem się w fotelu, myśląc.

– Chyba możemy się zgodzić, że opcja nierobienia nic nie wchodzi w grę? – Kiwnął głową, więc ciągnąłem: – Podobnie namawianie Deltan, żeby znowu się gdzieś przenieśli. Pewnie nie zdecydowałiby się nawet, gdybyśmy pokazali im dobre i bezpieczne nowe miejsce.

– Poza tym wioska z krzemieniem naprawdę jest najbardziej perspektywiczna.

[Wykryto zbliżającego się drapieżnika]

Obaj podnieśliśmy głowy na ostrzeżenie Gupika. Wszystkie dostępne drony ustawiliśmy w ciasnym pierścieniu wokół Camelotu i kazaliśmy im uważać konkretnie na wszystko co duże i latające. Chyba coś się złapało.

Otworzyłem podsunięte przez Gupika wideo. Trudno było dostrzec hipogryfa. W pogodny dzień byłby niemal niewidoczny – niebieska skóra idealnie pasowała do błękitu nieba. Jednakże dziś było tyle rozproszonych chmur, że nie mógł się dobrze zakamuflować pod każdym kątem. Leciał prosto na Camelot. Nie miałem wątpliwości, jakie

miął intencje. To był prawie na pewno ten, który dwa tygodnie temu porwał Deltanina.

– Dobra, rozwalamy go. – Przywołałem niszczyciela i dałem go na pełne przyspieszenie.

Wystrzelił w kierunku hipogryfa, lecz ten w ostatniej chwili ominął pocisk. Dosłownie. Jego szybkość i zwrotność w powietrzu była niewiarygodna.

Obaj przez parę milisekund wytrzeszczaliśmy oczy, potem zawołałem kolejne niszczyciele.

– Tylko nie przeginaj – zauważył Marvin. – Dowiedzmy się, na ile go stać. Wiadomo, że damy radę, jak rzucimy dość niszczycieli. Musimy się dowiedzieć, ile to jest „dość”.

Kiwnąłem mu głową i kazałem większości drugiej fali się zatrzymać. Posłałem tylko dwa, w tym szyku „jeden za drugim”, który tak świetnie sprawdził się Rikerowi w Bitwie o Układ Słoneczny.

I znów hipogryf wyminął pierwszego niszczyciela. Szybkość to zwierzę miało naprawdę imponującą. Ale drugiego wyminąć nie zdołało. Rozchlapało się w chmurę drobnej czerwonej mgły, która powoli osiadła na lesie w dole.

– Słabo to wyglądało – stwierdził Marvin. – Trafiliśmy drugim, ale niewiele brakowało. Jeśli mamy je w przewidywalny sposób trafiać, trzeba je będzie okrążyć trzema albo czterema niszczycielami.

– Tylko czy to był jakiś jednorazowy wypad, czy może jakaś trasa patrolowa? Może już więcej żaden tu nie przyleci?

Marvin nie był przekonany.

– Drapieżniki prawie zawsze mają jakieś trasy patrolowe. Choćby po to, żeby pilnować terytorium przed konkurentami. To nie był ostatni. Jestem przekonany.

* * *

Wystarczył niecały dzień, żeby się okazało, że Marvin miał rację.

[Wykryto kilka nadlatujących drapieżników]

O Boże, robi się coraz gorzej. Otworzyłem okienko. Trudno było poznać z tej odległości, ale to wyglądało na co najmniej dziesięć hipogryfów, lecących prosto na Camelot.

– Co za cholera? – rzucił Marvin. – Co ich tu zwabiło?

– To tylko domysł, ale może ta krew w powietrzu z wczorajszego hipogryfa? Pewnie taki drapieżnik czuje to z wielu kilometrów. Może to ich wabi, jak rekiny?

– A kur... no dobra, na dwanaście sztuk potrzeba będzie trzydzieści sześć niszczycieli. W ogóle tyłu nie mamy.

– Trzeba będzie coś wymyślić, Marv. Są w zbitej grupie. Może jednym ciosem jakoś je przerzedzimy.

Marvin kiwnął głową i uruchomiliśmy dwadzieścia posiadanych niszczycieli. Kazałem Gupikowi ściągnąć posiłki z orbity, a te, które mieliśmy, rzuciliśmy bezpośrednio do ataku z maksymalnym przyspieszeniem. Zanim doleciały do stada hipogryfów, rozpędziły się prawie do Mach 1,5.

Pierwszy przelot zdjął mniej więcej pięć hipogryfów i pozwolił nam dostrzec, że w sumie było ich czternaście. Teraz mieliśmy piętnaście niszczycieli na dziewięć drapieźników – spore prawdopodobieństwo, że jeden czy dwa dolecą do Camelotu.

Gdy niszczyciele zawracały do kolejnego nalotu, uruchomiłem jeden z dronów w Camelocie. Podleciałem do pierwszej rozpoznawalnej twarzy, tak się złożyło, że to był Arnold.

Wszyscy patrzyli w kierunku gromów dźwiękowych, gapiąc się na pojawiające się na niebie czerwone chmury. Zawołałem do Arnolda:

– Lecą hipogryfy! Każ wszystkim się schować!

I przeskoczyłem do mojej VR, nie sprawdzając, czy zareagował. Niszczyciele właśnie wracały do drugiego ataku, a Marvin ustawił je w pary. Ostatni, nieparzysty niszczyciel leciał na końcu, gotowy, żeby atakować oportunistycznie.

W drugim nalocie zdjęliśmy trzy sztuki, a czwartą raniliśmy w skrzydło. Aż trudno było cokolwiek zobaczyć przez tę czerwień. SUDDAR nie był szczególnie dobry w wykrywaniu biomasy – ciała były widoczne jako niewyraźne widma – a podczerwień miała wielki problem przy takiej ilości unoszącej się w powietrzu świeżej krwi.

Ranny hipogryf szybko tracił wysokość, ale to było kontrolowane spadanie. Raczej nie można było liczyć, że zabije się w zderzeniu z ziemią. Mieliśmy jedenaście niszczycieli – nie, dziewięć. Dwa się zderzyły i zniszczyły nawzajem. Na pięciu napastników. Będzie na styk, chyba że zawrócą. Ale jeśli krew działa na nie jak na rekiny, to się raczej nie zdarzy.

Niszczyciele wróciły do trzeciego nalotu, lecz hipogryfów było teraz mniej i zaczęły się rozpraszać. Po drugie, cholerstwa naprawdę miały niezły refleks. Mimo grupowania niszczycieli w pary trafiliśmy tylko trzech napastników. Zostało nam sześć niszczycieli na dwa zdrowe hipogryfy i jednego rannego. Szanse wciąż w miarę, tylko że drapieźniki były już wystarczająco blisko Camelotu, żeby stanowić prawdziwe zagrożenie. A nie mieliśmy już prostej linii, żeby podejść z prędkością naddźwiękową.

– Przełączamy się na obijanie i nękanie. Gupik, gdzie posiłki?

[Za pięć minut]

Za późno. Sprawdziłem sytuację w Camelocie. Na płaskowyżu nie za

bardzo były jakieś grotty czy w ogóle cokolwiek, co dawałoby osłonę od góry. Był idealny do obrony przed atakiem naziemnym, nie powietrznym. Deltanie uciekali z wioski obiema dostępnymi ścieżkami. Były jednak wąskie i całe plemię nie zdążyło się ewakuować na czas – część będzie łatwym celem, póki nie zdąży dobiec pod osłonę drzew.

Zaczęliśmy objać hipogryfy z małą prędkością. Teraz jeszcze łatwiej robiły uniki, lecz nie były w stanie robić jednocześnie niczego innego.

W końcu udało się trafić jednego w głowę. Natychmiast poleciał w dół. Drugi zignorował to postukiwanie i spróbował zaatakować Deltan na jednej ze ścieżek, lecz niszczyciele zdekoncentrowały go na tyle, że przeleciał nad ścieżką, nie atakując. Niestety jednak paru Deltan spanikowało i zbiegło czy zeskoczyło ze ścieżki. Widziałem, jak koziołkują po stromych piargach.

Deltańscy myśliwi rzucili się na nieprzytomnego hipogryfa. Pierwszy raz miałem okazję zobaczyć ich wielkość w porównaniu. Gdyby Deltanie byli wielkości ludzi, on byłby mniej więcej wielkości dużego konia, z nietoperzowymi skrzydłami. Najbardziej przypominał wielkiego gada. Zęby i pazury miał nieproporcjonalnie wielkie, przez co robił wrażenie potwora wyspecjalizowanego głównie w zabijaniu.

Deltańscy myśliwi w kilka sekund zadbali, by zwierz się już nie obudził. Jednakże żywy hipogryf wciąż był poważnym zagrożeniem, do tego nie miałem pojęcia, gdzie właściwie podział się ten ranny.

Niszczyciele dalej nękały zdrowego hipogryfa, który najwyraźniej postanowił zredukować sferę obrony, lądując na ziemi. W sumie nie była to zła strategia. Teraz niszczyciele mogły go obstukiwać tylko z góry.

Kiedy wylądował, zmienił kolor, dopasowując się do ziemi i skał, ale na tym etapie już nikt się na to nie nabrał. Kłapnął paszczą na niszczyciele, gdy znalazły się w zasięgu i jednego udało mu się chwycić. Początkowo zanosilo się, że to będzie walka na wyniszczenie – lecz Deltanie zaraz wykonali swój plan A. W stronę hipogryfa poleciała chmara dwudziestu do trzydziestu włócznie. Choćby był nie wiem jak zwinny, tym razem nie mógł się wywinąć. W jedną chwilę zmienił się w poduszkę na igły. Wrzasnął i zaczął szarpać wystające z ciała włócznie. Arnold zabrał komuś kolejną, podbiegł wprost do niego i wykonał olimpijski rzut praktycznie z miejsca. Włócznia przeszła szyję zwierzęcia, które natychmiast padło.

Łowcy zaczęli wiwatować. Niestety radość trwała tylko chwilę. Wrzaski uciekających współplemieńców zwróciły naszą uwagę na ścieżki prowadzące do Camelotu. Zraniony hipogryf podpełzł do podstawy piargów, znalazł jednego z ludzi, którzy spadli, i zaczął go pożerać.

Posłałem prosto na niego pozostałe niszczyciele, nie mając już

rezerwy na wypadek spudłowania. Dwa trafiły wystarczająco mocno, by zabić hipogryfa. Jednakże dla Deltanina było już za późno.

* * *

Dobra wiadomość, jeśli można ją tak określić, brzmiała: straciliśmy tylko trzech Deltan. Czwarty miał złamaną nogę i czekała mnie konfrontacja ze znachorką, jeśli tym razem mnie nie usłucha. Ja zużyłem osiemnaście z dwudziestu niszczycieli. Dwadzieścia kolejnych dotarło z orbity za późno, by na cokolwiek się przydać. Po raz kolejny musiałem przerwać planowe zadania drukarek, żeby dorobić niszczycieli.

Deltanie zwołali kolejną radę plemienia. U nich dwie takie rady w miesiącu równały się prawie panice. Tym razem zostałem zaproszony, czy może raczej wezwany. Raczej nie spodziewałem się, że po to, by dostać medal.

Zauważyłem, że niektórzy zaczęli nieco chłodniej traktować Archimedesesa. Oczywiście nie mogli z tym przeginać – on i Mojżesz wciąż byli jedynym źródłem obrobionego krzemienia, a Mojżesz ostatnio niewiele się ruszał. Gdybym miał określić ten stosunek ludzką miarą, powiedziałbym „zimno oficjalny”. A skoro Archimedes nie zrobił nic, by na to zasłużyć, nasuwał się wniosek: to odpowiedzialność zbiorowa.

W radzie uczestniczył teraz Arnold. Miał swoje pięć minut po tym popisie z hipogryfem. Miejmy nadzieję, że to będzie oznaczało chociaż jeden przychylny głos.

Najpierw naradzili się między sobą, po czym zawołali mnie. Podleciałem na wysokość ich oczu i czekałem.

– Masz dla nas jeszcze jakieś niespodzianki? – powiedział bez wstępów Hoffa.

– Dla mnie to też było niespodziewane. Pamiętasz pewnie, pytałem, dlaczego odeszliście z Camelotu. Tylko Axlerowi coś świtało, ale nie pamiętał na tyle dobrze, żeby nas ostrzec.

– Ale i tak widać, że słuchając twoich rad, pakujemy się w coraz większe kłopoty.

– Dzięki słuchaniu moich rad odzyskaliście miejsce, gdzie możecie się obronić przed goryloidami i macie krzemień do wyrobu broni. Wiem, że do części z was moje wyjaśnienie nie dociera, ale twierdzę, że w starym obozie wasze dzieci byłyby ostatnimi Deltanami. – Zrobiłem teatralną pauzę dla większego efektu. – A co do hipogryfów, to są problemem, bo się ich nie spodziewaliśmy. Muszę się o nich więcej dowiedzieć, wtedy je zlikwiduję.

– A ja widzę – stwierdził Hoffa – że mimo całego twojego gadania walczyć musimy głównie my.

– Naprawdę? A kiedy ostatni raz wasi łowcy musieli odpierać atak goryloidów? Słyszałeś te gromy dźwiękowe? Na Camelot leciały dwie dłonie i cztery hipogryfy, a doleciały tylko trzy.

Uszy Hoffy były odchylone do tyłu, a oczy zmrużone do szparek. Żle to rozgrywałem, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Zawsze miałem problem z krótkowzroczną głupotą.

– To o trzy więcej, niżbyśmy mieli w starej wiosce.

W VR-ce ja i Marvin jednocześnie przewróciliśmy oczyma.

– Rozmawialiśmy o tym wiele razy.

– Może następnym razem powinniśmy im zostawić na ofiarę twojego Archimedesesa.

Podniosłem drona w górę o trzy metry.

– Nie waż się. Grozić. Mojej. Rodzinie. Nigdy. – Skończywszy, uświadomiłem sobie, że bezwiednie podkręciłem głośność. Musiało to być bolesne dla wrażliwych uszu Deltan. Cała rada się skuliła. Pewnie nie tylko od głośności.

Powoli opuściłem drona z powrotem na wysokość twarzy.

– Mówię poważnie, Hoffa. Rozprawię się z hipogryfami. A dzięki tobie już wiem jak.

Hoffa zrobił minę zdezorientowaną i trochę wystraszoną. Zauważyłem, że Arnold zerknął na niego i się uśmiechnął.

* * *

– No dobra, zapytam. – Marvin wyszczerzył się do mnie. – Jak? I jak ci Hoffa w tym pomógł?

Wbiłem w niego wzrok.

– Zrzucę na nie skałę. Bo miałem ochotę zrzucić na Hoffę.

– Jezus, Bob, znowu. Nie możesz robić operacji chirurgicznych na skałę ekosystemu tylko dlatego, że tak ci pasuje.

– Nie, Marvin. – Zerwałem się na nogi. – Chcę to zrobić, bo one zagrażają mojej rodzinie. Możesz to sobie analizować, ile chcesz, wali mnie to. – Odciałem jego połączenie VR i zniknął. Praktycznie go wyrzuciłem. Chamskie to było, trzeba go będzie później przeprosić. Ale na razie byłem za bardzo podenerwowany, żeby się tym przejmować.

* * *

Miałem jednak o wiele bardziej palący problem. Jeśli to prawda, że hipogryfy wyczuwają krew, dzisiejsza bitwa zwabi jutro większą falę – pewnie o wiele większą. A znalezienie odpowiedniego ciała, żeby

zniszczyć wyspę, zajmie trochę czasu. Obliczyłem, że wystarczyłaby pierwotna masa stu ton. Namierzaliśmy sporo żelazoniklowych asteroid w układzie. Niektóre były odpowiedniej wielkości.

Pingnął mnie Marvin. Pora na przeprosiny. Wpuściłem go, popatrzeliśmy po sobie nieufnie.

Odezwał się pierwszy.

– Wiesz, że jesteśmy kiepscy w te klocki, nie?

To wystarczyło. Zaniosłem się śmiechem, pokiwaliśmy głowami. Załatwione. Może bliźniaki jednojajowe rozumiałyby się lepiej, ale z pewnością nikt inny.

Usiedliśmy, wyłożyłem, co wymyśliłem na temat bombardowania wyspy.

– Hmm – odparł. – Parę miesięcy, żeby zbudować Billowy holownik asteroid, parę kolejnych tygodni, żeby przyciągnąć asteroidę. Myślisz, że hipogryfy będą siedzieć i czekać?

– Jestem otwarty na propozycje.

– Bob, rozumiem, że jesteś wściekły i chcesz rozwalić ich wyspę w drobny mak. Ale tak naprawdę wystarczy przywalić na tyle mocno, żeby wybić populację hipogryfów. Nie trzeba do tego katastrofy kalibru Chixculuba.

Kiwnąłem głową.

– Czyli co, parę małych ciał?

– Pięćsetkilogramowa stalowa kula potrafi narobić sporo zamieszania.

– Aaaa... – Kiwnąłem głową. – Niszczyciele statków. No tak, przecież mamy jeszcze cztery w zapasie.

– Jedna rzecz, Bob. Nie chcesz zrobić zbyt dużego „bum”. Tsunami, trzęsienie ziemi, latające odłamki mogą zrobić Deltanom większe szkody niż parę hipogryfów. Źle to wyliczysz i sam będziesz odpowiedzialny za wyginięcie tego gatunku.

Kiwnąłem głową wstrząśnięty. Fakt, trzeba się trochę pohamować.

* * *

Postanowiliśmy używać niszczycieli po jednym i oceniać skutki na bieżąco. Rzuciłem pierwszy, wydawało mi się, że z całkiem umiarkowaną prędkością.

Skutki jednak były trochę, ten... bardziej spektakularne, niż oczekiwałem.

Później zrozumiałem, że nie uwzględniłem, ile masy traci meteor, lecąc przez atmosferę. Albo nie dodałem dwóch do dwóch. Niezależnie, jaki był powód, po upadku wzbił się grzyb, którego nie powstydziliby

się bomba atomowa. Gdy opadł kurz i pył, było oczywiste, że wyspa i hipogryfy przestały istnieć.

I to była dobra wiadomość.

Zła była taka, że powstaną wstrząsy sejsmiczne, które na pewno dotrą do Camelotu. Oraz trochę odłamków. Podleciałem kilkoma dronami do wioski i stwierdziłem, że nikt już nie śpi, wszyscy gapią się na jasną chmurę na południowym zachodzie.

Archimedes zadarł głowę, patrząc na jeden z dronów.

– Zrobiłeś to? – zapytał ścisłym głosem.

Nie byłem pewien, co oznacza wyraz jego twarzy. Na pewno respekt, ale chyba i strach. Miałem nadzieję, że nie. Nie takie wspomnienie chciałem po sobie zostawić.

– Tak, Archimedesie. Wyspa hipogryfów zniszczona.

Wytrzeszczył oczy i opuścił uszy. Odsunął się ode mnie o krok.

Cholera.

W tym momencie dotarły wstrząsy. Nie było to najgorsze trzęsienie ziemi, jakie w życiu widziałem, ale dla Deltan pewnie było pierwsze. Skulili się na ziemi, rozległy się krzyki.

Teraz trudniejszy etap. Podleciałem do starszyny.

– Za sto pulsów z nieba mogą spadać rozżarzone kamienie. Zaprowadźcie wszystkich na drugą stronę skały.

Wytrzeszczyły się oczy, oklapły uszy, ale nikt nie zamierzał ze mną dyskutować. Wszyscy błyskawicznie schowali się za środkowym grzbietem skalnym.

Odłamki przyleciały zgodnie z przewidywaniami. Drony nie wykryły niczego bardzo dużego. Miałem nadzieję, że to się nie zmieni, bo nie byłem przekonany, że uda mi się przechwycić skalną bryłę niszczycielem. Ani że to w czymkolwiek pomoże.

Bombardowanie trwało kilka minut. Było ciężkie, wioska trochę się uszkodziła, ale nikt nie został ranny. Deltanie tulili się do siebie przez resztę nocy, nie chcąc wychodzić spod osłony skały.

* * *

Wreszcie, gdy nadszedł ranek, ludzie rozeszli się na swoje miejsca. Niektórzy musieli trochę posprzątać, pomagali im w tym sąsiedzi. W sumie szkody były raczej nieznaczne.

Rada zebrała się po raz kolejny. Tym razem także nie spodziewałem się medalu.

Kiedy skończyli, machnęli na drona. Podleciałem do nich, Hoffa wystąpił naprzód.

– Rozumiemy, co zrobiłeś. Rozumiemy twoje wyjaśnienia. Ale

wygląda to tak, że cokolwiek robisz, o cokolwiek prosisz, to kosztuje nas coraz więcej. Nie mamy pewności, czy jesteśmy teraz w lepszej sytuacji, czy nie. Spieramy się o to. – Zawahał się, po czym ze zdeterminowaną miną wypalił: – Chcemy, żebyś sobie poszedł. Sami sobie damy radę. Jeśli chcesz nas zabić, nie możemy nic na to poradzić. Jeśli chcesz zabić mnie, ja też nie mogę nic zrobić. Ale nie jesteś już tutaj mile widziany.

Patrzyłem na niego przez drona, zdawało mi się, że przez całą wieczność. Byłem osłupiały. Odrętwiały. Nie mogło mi się to pomieścić w głowie. Wyskoczył mi emocjonalny bezpiecznik. Już raz straciłem rodzinę, teraz traciłem drugą.

Wyszedłem z drona i odwróciłem się do Marvina. Był szary. Sam pewnie nie wyglądałem wiele lepiej.

– Oj. Chyba wszystko spieprzyłem – powiedziałem.

– Wiesz co, na razie po prostu zniknijmy – odpowiedział. – Niech wszystko się uspokoi. Później będziesz mógł pogadać z Archimedesem.

Kiwnąłem głową i wszedłem do drona. Podpłynąłem do Archimedesesa, który też nie wyglądał dobrze. Deltanie nie okazywali szoku, tak samo jak ludzie. Sierść na twarzy miał chaotycznie rozczochraną, lecz szeroko otwarte oczy i położone płasko uszy były chyba uniwersalne. Jakaś odklejona część mojego umysłu zaczęła się zastanawiać dlaczego, ale dałem jej klapsa.

– Archimedesie, ja sobie idę, póki emocje nie opadną. Porozmawiamy kiedy indziej.

Kiwnął głową. Zauważyłem, że mina Diany zdradza satysfakcję lub triumf. Nigdy nikim nie pogardzałem bardziej niż nią w tej chwili.

20. Pasożyt

Howard, październik 2189, Wolkan

Rzeczy, od których robi ci się „ble”. O, to zdecydowanie się łapało. Nie mogłem oderwać oczu od wideo, na którym lekarz nacinał skórę pacjenta i wydobywał spod niej pakiet jaj. Kilka larw już się wykluło i próbowało się zaryć głębiej. W tym momencie, dokładnie w tym, cieszyłem się, że nie jestem już biologiczny.

Zerknąłem na okienko Butterwortha i zobaczyłem, że usilnie koncentruje się na swojej szklaneczce jamesona. Hmm. Nie jest to zły pomysł. Wywołałem kieliszek koniaku Sama i włączyłem sobie receptory alkoholu. Dobrze mi robi delikatny szum w głowie.

Wreszcie, dzięki Wszechświatowi, wideo się skończyło. Butterworth odwrócił się i spojrzał w kamerę. Pojawił się lekki uśmiech, kiedy zobaczył szkło w mojej dłoni. Wzruszyłem ramionami. No i co?

– Wygląda na to, że ten pasożyt to duży owad – wyjaśnił. – Ukąszenie trochę swędzi, potem ślad znika. Ale kiedy jaja odpowiednio urosną, powstaje wielka opuchlizna. Wtedy jest niecały dzień na ich usunięcie.

– A jeśli nie zdążycie? – Wiedziałem, że pożałuję tego pytania, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Larwy idą do serca. Śmierć w dzień lub dwa. Potem żywią się zwłokami. Taki chyba mają cykl rozwojowy. Jak na razie straciliśmy czworo ludzi i dwie krowy. Lekarze mówią, że może uda im się opracować test diagnostyczny na krew, ale jakoś tego nie widzę, żeby kłuć wszystkich kolonistów co drugi dzień.

– Fantastycznie. A złapaliście już jakiegoś dorosłego osobnika?

Butterworth pokręcił głową.

– Nie, i nie ma dobrego opisu, poza tym, że jest mniej więcej wielkości kolibra. Pracujemy nad tym, ale liczyłem, że możesz na przykład podrzucić trochę dronów do monitoringu.

– Zaraz podkreję autofabrykę i zacznę je trzaskać. Zobaczę, czy da się jakoś zmodyfikować czujniki audio i wideo, żeby były bardziej wrażliwe na ruch i odgłosy owadów.

Pułkownik przytaknął i rozłączył się. Kazałem Gupikowi wprowadzić zmianę w planach produkcji, potem rozparłem się w fotelu i pokręciłem głową. Ble.

Kolonie Szpiców i WIARY skończyły rozładunek na Romulusie. Koloniści rozlokowali się w tymczasowych kwaterach do czasu zbudowania miast. Kierowany przez MSI sprzęt pracował pełną parą przy oczyszczaniu terenu i wyrównywaniu ulic. Nauczeni doświadczeniem ZSE z Wolkana od razu budowaliśmy ogrodzenie. Fauna na Romulusie nie była ani tak wielka, ani tak liczna jak tam, ale krążył żart o drapieżnych królikach. Nadmierna ostrożność nikomu nie wadziła.

Obie kolonie wylądowały na innych kontynentach. Lądy na Romulusie dzieliły się na osiem większych mas, mniej więcej wielkości Australii oraz sporo mniejszych archipelagów. Rozdzielenie nacji nie będzie problemem.

Z mojego punktu widzenia naprawdę ważne było to, że wreszcie obudziła się nasza rodzina. W ramach umowy z Cranstonem Julia Hendricks i jej krewni mieli własny komunikator, żeby nie musieć się kłócić o kolonijny nadajnik.

O umówionej godzinie podłączyłem się do konferencji, której adres podrzucił Riker. Zaśmiałem się, widząc, że wchodzi tam ponad trzydziestu Bobów. Patrzyłem, jak Riker dzwoni, a Julia odbiera połączenie. Do kadru za jej plecami przepychało się kilkunastu innych członków rodziny. A dumne miejsce na kolanach zajmował Kosmiczny Kadet Justin.

– Cze, wujek! – wrzasnął.

– Cześć, kadecie. Podobał się lot statkiem kosmicznym?

W głosie Rikera wyczuwało się dumę i radość. Podzielali to wszyscy inni Bobowie. To byli potomkowie naszej siostry i główny powód, dla którego znosiliśmy debili w rodzaju Cranstona i SZLAG-u. Przypomniał mi się Milo, stanowczo upierający się, że nie obchodzi go los ludzkiej rasy. Ogarnęła mnie fala smutku. Ciekawe, co by myślał o obecnej sytuacji.

Wróciłem do terażniejszości, gdzie Julia opowiadała o swoich wrażeniach. Albo raczej próbowała. Bo Justin nie chciał oddać mikrofonu.

– ...i potem poszliśmy do takiego wielkiego statku i siedzieliśmy i się strasznie nudzieliśmy i potem wszystko podskoczyło i poprowadzili nas takim wielkim korytarzem i potem zrobili mi zastrzyk i strasznie bolało i chciało się spać i potem wsadzili mnie do takiej skrzynki...

Niesamowite, nawet nie potrzebował nabierać powietrza. Monolog trwał przez kolejną minutę, a Julii coraz trudniej było powstrzymać uśmiech. Wreszcie powiedział, co miał do powiedzenia, wrzasnął: „Cze, wujek!” i zniknął z kadru. Wtedy roześmiali się wszyscy, tak rodzina, jak i Bobowie.

Julia odwróciła się z uśmiechem do Rikera.

– On ma dwa tryby. Albo śpi, albo właśnie tak wygląda.

Inny krewny, zdaje się Philip jakiś tam, nachylił się do kamery.

– Will, kiedy wyląduje na Romulusie jakaś druga kolonia?

Riker pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć. Do układu lecą dwa kolejne statki-kolonie, ale to przywódcy enklaw zdecydują, czy chcą osiąść na Wolkanie, czy Romulusie. Chociaż Howard mówi, że ostatnio Romulus wygląda dużo bardziej zachęcająco.

Zachichotali. Wieść o raptorach już się rozniosła.

Riker jeszcze przez parę minut rozmawiał z Julią, odpowiadał na pytania innych krewnych i wymógł na Julii obietnicę, że zadzwoni, jak tylko rozlokują się w domach.

I koniec. Gdy Riker się rozłączał, usiadłem, żeby delektować się tą osobliwą mieszanką radości, smutku i melancholii, jak zawsze po wizycie u rodziny. Rozmawiałem o tym z innymi Bobami – wyglądało na to, że to dość typowa reakcja. Zdaje się, że Pierwszy Bob wcale nie był aż takim samotnikiem, jak twierdził.

Wyszedłem z konferencji i zwróciłem się do Gupika, który już wisiał nade mną.

– Co jest?

[Pułkownik Butterworth chce rozmawiać. Złapali dorosłego pasożyta]

* * *

Paskudztwo. Obrzydlistwo.

„Wielkości kolibra” okazało się lekką przesadą, lecz i tak był to jeden z większych owadów, jakie w życiu widziałem. Ogólnie nie przepadam za owadami i miałem ochotę go od razu rozgnieść. Wyglądał jak połączenie szerszenia i pająka, z dwiema parami skrzydeł. Szczególnie paskudnie wyglądało żądło. Czy raczej pokładełko. Było wysuwane i mogło składać jaja w ciele ofiary nawet na głębokości trzech centymetrów.

Patrząc na sekcję, musiałem wyłączyć sobie odruch wymiotny.

No dobrze, to mieliśmy konkretny. Spakowałem wszystkie dane i posłałem mailem do Billa, pytając, co radzi. Potem zgadałem się z Butterworthem.

– Cześć, Howard. Widziałeś naszego nowego sąsiada?

– Tak. Nie jest to mój ulubiony zwierzak. Wysłałem dane do Billa i przygotowaliśmy dwadzieścia parę nowych dronów. Zaprogramuję je na te dane i każę skanować teren. Zobaczymy, co znajdą.

Butterworth kiwnął głową i się rozłączył.

Z pozoru wydawał się spokojny, wiedziałem jednak, że bardzo go to niepokoi. Z dużymi stworami w rodzaju raptorów umieliśmy sobie radzić. Z małymi nie za bardzo. Jeśli nie opanujemy tego pasożyta, ludzkość może stać się więźniami we własnych domach.

21. Kolejne ataki Riker, grudzień 2174, Układ Słoneczny

– Straciliśmy drona towarowego – powiedział Charles, pojawiając się w mojej VR-ce. – W miejscu, gdzie lądował, czekał na niego ładunek wybuchowy. Kiedy usiadł, bomba wybuchła.

Usiadł i wziął od Jeevesa kawę.

– To była dostawa na wyspę Vancouver. Wciąż mają hodowlę ryb, więc od razu z głodu nie umrą, ale strata sprzętu i zasobów i tak boli.

Uniosłem wzrok i wymamrotałem parę dobrze dobranych przekleństw.

– Rozumiem, że przepadła cała żywność?

Charles kiwnął głową.

– A myśleliśmy, że lądowisko jest stuprocentowo zabezpieczone. SZLAG już wziął odpowiedzialność. Coraz cwańsi się robią.

Na konsoli zamrugało światełko. Zgodnie z przewidywaniami premier Grady. Odebrałem połączenie.

– Przepadła dostawa – powiedział bez wstępów. – Widziałem informację. Nie winię cię za to, równie dobrze mógłbyś winić mnie. Ale problem pozostaje – głodni ludzie do wykarmienia. Coś da się zrobić?

– Krótkoterminowo to po prostu wyślę kolejną dostawę. Homer jest w pobliżu, więc umówi czas i miejsce po łączu laserowym. Takiej komunikacji nie da się przechwycić. – Zerknąłem na Homera. Kiwnął głową i zniknął.

Zastanowiłem się przez sekundę, potem wróciłem do wideo.

– A tymczasem myślę, że SZLAG awansował do rangi poważnego zagrożenia. Oni nie przestaną i to, co robią, to nie jest już tylko dokuczliwość.

Chwilę jeszcze rozmawiałem z Gradym o różnych zaległych sprawach. Potem zerknął na prawo i stwierdził, że ma łączność z Homerem. Przez parę sekund wodził wzrokiem po ekranie, po czym odwrócił się do mnie i skinął głową.

Kiedy się rozłączył, Charles dodał:

– Pozostaje jeszcze problem ataków na Florianópolis.

– Wiem, Charles. Mnóstwo ludzi wciąż wini Brazylię za wojnę. Pewnie wyładowują swoją frustrację i się mszczą. Mamy już grupę specjalną, która się tym zajmuje. Nie wiem tylko, czy bardzo się stara. Bo

jest sporo zrozumienia dla tych ataków terrorystycznych.

– A dużo mniej dla ataków na nasze dostawy, mimo że ginie mniej ludzi. – Charles wzruszył ramionami. – Pewnie bardziej konkretnie: bolą.

* * *

Na jednym z obwarzanków doszło do sabotażu. Do układu nawadniającego wprowadzono jakieś środki chemiczne, które zabiły trzy sektory kudzu, zanim automaty się zorientowały i odcięły wszystko do czasu inspekcji.

Te typy ze SZLAG-u były dobre. Do farm orbitalnych normalny dostęp mieli tylko Bobowie. A skoro SZLAG ewidentnie się tam dostał, trzeba było rozważyć wszystkie środki – fałszywe drony sterowane przez SZLAG, zamaskowane urządzenia, które zabrały się tam z Ziemi na powracających transportowcach, czy nawet włamanie do naszych regularnych dronów. Żadna z tych alternatyw nie wydawała się realistyczna, ale na tym właśnie polegała dobra sztuka hackerska. Gdyby to było przewidywalne, żaden hacker niczego by nie osiągnął.

Kazałem moim monitorującym MSI przejrzeć cały ruch w łączności z ostatniego miesiąca. Jeśli nic nie znajdą, to chociaż będę mógł skreślić parę opcji. Archiwizowałem wszystko i tak, na wypadek gdyby w przyszłości coś mnie natchnęło. Bowiem gdzieś wśród całej łączności na Ziemi musiały się kryć rozmowy członków SZLAG-u.

Po raz kolejny wróciłem do bibliotek, żeby przeanalizować wszystko, co tam było na temat kryptografii.

22. Skutki

Bob, grudzień 2173, Delta Eridani

– Archimedesie?

Archimedes zatrzymał się w pół kroku i rozejrzał nerwowo.

– *Bawbe*?

Na moment wyłączyłem kamuflaż drona, żeby mógł go wypatrzeć. Mruknął potakująco, po czym ostrożnie usiadł na ziemi i oparł się plecami o drzewo. Opuściłem drona na poziom jego oczu i ponownie wyłączyłem maskowanie.

– Raczej cię nie zaproszą z powrotem – powiedział ściszym głosem, nie patrząc na drona. – Odkąd cię wygnali, nie było żadnych ataków.

– To dlatego, że jak dotąd zabiłem sześć hipogryfów, które do was leciały – odpowiedziałem. Zły byłem i chciałem to okazać swoim tonem.

Archimedes popatrzył na drona wytrzeszczonymi oczyma.

– To dalej nas chronisz?

– Nadal jesteście dla mnie ważni, Archimedesie. Zwłaszcza ty i twoja rodzina. À propos, to jak się chowa Niszczyciel?

Archimedes uśmiechnął się czule.

– Chce mi pomagać robić narzędzia. Oczywiście na razie tylko wali kamieniem o kamień, ale to już coś. – Uśmiech zgasł. Archimedes opuścił wzrok i dopiero wtedy powiedział: – Mnie dalej część ludzi unika. A dzieciaki zaczęły się naśmiewać z Niszczyciela. Nie chcę, żebyś odchodził na zawsze, ale nie może na tym cierpieć moja rodzina.

– Rozumiem, Archimedesie. Musisz kiedyś jeszcze się podciągnąć w strzelaniu z łuku, ale to może trochę poczekać. Bo pamiętaj, że ja nie zniszczyłem wszystkich hipogryfów, tylko najbliższe gniazdo. Gatunek dalej istnieje, a wasz teren to teraz dla nich ziemia niczyja. Musicie być gotowi, żeby się przed nimi obronić. Przynajmniej miejcie duży zapas włóczni. A łuk i strzały dadzą wam większy zasięg.

– Wiem. Zmajstrowałem trochę tych krótkich dzid, znaczy strzał. Mówię ludziom, że to są zabawki dla Niszczyciela. Śmieją się, ale mi wierzą. A ten łuk, czemu on musi być z różnych materiałów?

– Ułożone warstwowo różne materiały są mocniejsze i o wiele bardziej sprężyste. Kiedyś będziecie je kleić, na razie wystarczy wiązanie.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Plany nowej broni, sugestie dla

znachorki, podstawy matematyki. Tak czy inaczej, zamierzałem wyciągnąć tych ludzi z epoki kamienia łupanego.

W końcu Archimedes wstał, pożegnał się i ruszył z powrotem do Camelotu. Miał dość. Ale to był dobry dzień.

* * *

Marvin znów miał coś do powiedzenia. Zawsze łatwo to było poznać. Otwierał usta, zamykał je, potem jeszcze raz. Nie byłem pewien, czy mam się nie przejmować. Bo poprzednim razem chodziło mu o hipogryfy. Doświadczenie uczyło więc, że to nic dobrego. Wreszcie udało mu się to wydusić.

– Ja będę chyba odlatywał. Niedługo.

Zamarłem na prawie pół sekundy.

– Znaczą z Deltą Eridani?

– Tak. Wiesz, Bob, dużo zrobiłeś dla tych Deltan, ale chyba już nie potrzeba tu nas dwóch. Teraz to raczej taka opieka z dystansu. – Wskazał palcem okienko, w które patrzyłem. – Naprawdę, ta rada dobrze zrobiła, że cię wygoniła. Mogą z powrotem sami decydować o własnym losie. Możesz im jeszcze pomóc tu czy tam, ale cała ta idea boga z nieba naprawdę była niezdrowa. I dla ciebie, i dla nich.

Zastanowiłem się, czy się nie obrazić, nie zdenerwować, lecz, prawdę mówiąc, sam miałem bardzo podobne przemyślenia. Spuściłem wzrok i kiwnąłem głową.

– Ale bez ciebie to nie będzie to samo. Kto będzie Gupikowi podsuwał głupie teksty powitalne?

– Oj tam, Bob, przecież będziemy mieć stale kontakt przez UNOP-a. Jeśli nie przyspieszę powyżej 0,75 c to τ nie wzrośnie na tyle, żeby VR-ka przestała działać. Najwyżej będę ci się wydawał trochę zmulony.

– To zabawne: myślę, że to nie będzie to samo. – Wzruszyłem ramionami i parę razy w milczeniu przeszedłem tam i z powrotem. – Ale chyba cię rozumiem, Marv. To od zawsze był mój projekt. Luke i Bender też zdawali sobie z tego sprawę.

– O, mogliby już odebrać plany UNOP-a... – rzucił Marvin, zmieniając temat. – Fajnie byłoby się dowiedzieć, czy wszystko u nich w porządku.

Kiwnąłem głową i usiadłem. Co za gówniany rok się robił.

Z drugiej strony UNOP naprawdę ułatwiał wiele spraw. Były zadania do zrobienia i Bobowie do pogadania.

Z westchnieniem pokręciłem głową. Bez sensu tak rozczulać się nad sobą. Zawsze się znajdzie długa lista rzeczy, którymi się można zdołować. A Deltanie wciąż tu są, nawet jeśli chwilowo nie chcą ze mną gadać.

23. SZLAG

Riker, wrzesień 2175, Układ Słoneczny

Części stacji orbitalnej mieszały się z wysuszonymi roślinami i trupami zwierząt, które miały pecha mieszkać na tym obwarzanku. Wybuch rozrzucił to wszystko, ale mechanika orbitalna i grawitacja ponownie skupiały wszystko razem.

W okienku wideo zawisła twarz Homera.

– Dopiero co go uruchomiliśmy. Sześć miesięcy pracy. Przepadło.

Kiwnąłem głową. Obwarzanki to były jego dzieci. Sam je wymyślił i z uporem doprowadził do realizacji. Musiało mu być ciężko.

– Były jakieś oświadczenia?

– Pewnie. SZLAG. To samo popierdzielone gadanie co zawsze. Ludzkość to nowotwór, wszechświatowi będzie lepiej bez niej, bla, bla, bla.

– Przykro mi, stary. Ale wcześniej czy później ich dopadniemy.

Homer milczał. Jego mina mówiła wszystko. Smutek, złość, dezorientacja. Nie był w stanie spojrzeć mi w oczy. Poczujęm się winny za wszystko złe, co o nim dotąd myślałem. Był pracowitym członkiem ekipy, a to nie dawało mu spokoju.

Zacząłem się o niego obawiać. Praktycznie przestał rzucać docinkami. Od miesięcy nie nazwał mnie „Dwójką”. Najwyraźniej praca stała się całym jego życiem. Zastanawiałem się, czy ktoś go nie obraził, ale gdy przy okazji próbowałem o tym porozmawiać, zrobił unik i zmienił temat.

– Mamy wystarczającą nadmiarowość, tak że to nas nie załatwi – powiedziałem. – Ale produkcja na Ziemi się kurczy, więc to oznacza zmniejszone racje. Albo więcej kudzu.

Uśmiechnąłem się, próbując rozluźnić atmosferę, ale Homer nie dał mi szansy. Wzruszył ramionami i zakończył połączenie.

– Gupik, mamy coś dotyczącego *Farmy 6*?

[Pytam grupy MSI. Chwilę]

Po krótkiej przerwie, dokończył:

[Nie wykryto żadnej skorelowanej transmisji. Żadnej aktywności w pobliżu, z wyjątkiem statków *Niebo*]

Kurde. Za dobrze się kamuflują.

– Coś musi się w końcu wydać. Musi.

Gupik nie skomentował. Moduł dodawania otuchy nie był u niego zbyt rozwinięty. Raz zamrugał wielkimi rybimi oczyma.

* * *

Żeby tydzień był jeszcze ciekawszy, parę ataków terrorystycznych wydarzyło się też we Florianópolis. Zachodziłem w głowę, czy aby nie ma jakiejś pamiętnej rocznicy, przez którą działalność terrorystów tak się wzmogła. Robili się też coraz lepsi i trafiali w coraz bardziej krytyczne cele. Jeden z ataków zniszczył sieć energetyczną. Naprawa miała potrwać kilka dni.

Nie pierwszy raz akcje SZLAG-u i ataki w Brazylii wydały mi się skoordynowane. Ciekawiło mnie, czy ten związek rzeczywiście istnieje. To prawie na pewno były dwie różne grupy, ale może rozmawiały ze sobą i wymieniały się informacjami. To mogło mi w praktyce pomóc.

Dawna, przedwojenna Ziemia miała globalną technologię i wszystkie wyobrażalne środki łączności. Postapokaliptyczna rzeczywistość była bardziej ograniczona – mniej metod łączności, trudniejszy kontakt między dwiema grupami, czy nawet koordynacja pomiędzy komórkami SZLAG-u.

Ale przecież monitorowałem wszystkie kanały. Przynajmniej wszystkie, które przyszły mi do głowy. Albo przeoczyłem jakąś formę łączności, albo używają jakiejś steganografii, co będzie prawie niemożliwe do wykrycia, jeśli nie wiemy, czego szukamy, albo przeszli na środki prymitywne technicznie.

Opcja trzy byłaby za wolna, na pierwszą nie byłem w stanie nic poradzić, pozostawała więc opcja numer dwa. Steganografia z definicji była nieefektywna, wymagała bowiem rozproszenia komunikatu tak bardzo, żeby stał się niezauważalny. Dlatego pasmo nośne musiało mieć dużą przepustowość, co na starcie eliminowało wiele możliwych kanałów. Były też metody statystyczne, którymi dawało się wykryć steganograficzne wiadomości.

Schowałem się w mojej VR-ce, żeby dogłębniej się nad tym zastanowić.

24. Z wizytą u Marvina Bob, marzec 2174, Delta Eridani

Od miesiący nie musiałem zabijać żadnego hipogryfa. Nie byłem pewien, czy nauczyły się omijać ten teren, czy wybiłem już wszystkie, które były na tyle blisko, żeby niepokoić Deltan. Od czasu wylotu Marvina sam zajmowałem się wszystkimi dronami. Mogłem część zadań zautomatyzować, ale i tak musiałbym potem przeglądać nagrania z misji. Zatem, szczerze, nie chciało mi się.

Wciąż śledziłem losy Archimedesesa i jego rodziny, może trochę intensywniej, niżby należało. Od czasu do czasu sam widziałem w sobie namolnego dziadka, który ciągle chce przyjść z wizytą. Ten obraz był zenujący i postanowiłem sobie, że znacznie ograniczę kontakty z Archimedesem.

Marvina dawno nie było – leciał do Pi-3 Orionis. Liczył pewnie na inteligentny gatunek, który będzie miał tylko dla siebie. Wyglądało na to, że mamy jakąś skłonność rodzicielską. Albo wręcz macierzyńską. Tak jak obiecał, ograniczył swoją prędkość, żebyśmy mogli zachować kontakt przez UNOP-a. Znaleźliśmy kompromis – on trochę się przyśpieszał, ja trochę się spowalniałem i udawało się wejść w interakcję na podobnej szybkości. W każdym razie działało.

Dzisiaj ja byłem z wizytą u Marvina. W Delcie Eridani, jako starszy rangą Bob, generalnie robiłem za gospodarza. To ciekawe, że nawet wśród grupy postludzkich komputerów wykształcały się różne tradycje i zwyczaje. Co do zasady, starszy Bob w układzie zawsze dowodził i był gospodarzem dla innych Bobów. Miało to sens – dla mnie – czyli powinno mieć sens dla wszystkich Bobów.

Marvin ewidentnie miał w sobie odrobinę upodobania do luksusu. Jego VR-ka przedstawiała otwarte patio w domu typu *rancho* na szczycie niskiego wzgórza, w podzwrotnikowym klimacie. Ze wszystkich stron po horyzont ciągnął się ocean.

Sceneria była piękna, może trochę mało oryginalna, z wyjątkiem paru anomalii – bardzo bliskiego horyzontu, słabego ciężenia i wiszącej na niebie Ziemi.

– Ale wiesz, że na Księżycu nie ma powietrza, co? – Wyszczrzyłem zęby.

Wzruszył ramionami.

– Przechodzę przez wszystkie książki fantastyczne, które przez lata czytałem, i dla zabawy odtwarzam ich środowiska. Ciekawe to jest. Dobre ćwiczenie na programowanie VR-ek.

Kiwnąłem głową. To nie było istotne. Obaj graliśmy na czas i dobrze o tym wiedzieliśmy.

Wreszcie postanowiłem poruszyć drażliwy temat.

– Dwa moje najnowsze klony, Pete i Victor, są prawie gotowe do wylotu. Victor chce iść śladem Luke’a albo Bendera. Pete w ogóle nie jest tym zainteresowany. Musimy podjąć decyzję.

Marvin przez chwilę przeczesał dłoń włosy. Pamiętałem ten nawyk z czasów, gdy byłem Pierwszym Bobem. Najwyraźniej śmierć to za mało, żeby wyzbyć się tików nerwowych.

– Rozumiem, że Pete się obruszył? – zapytał.

– I to jak. Jak Milo z Ziemią. „Tak wygląda człowiek, co ma to gdzieś”. Leci tam, gdzie sam zdecyduje, i koniec dyskusji.

Marvin zachichotał.

– Powtarza się ten motyw. No cóż. To w ogóle jest trochę loteria, nie?

– Ale wiesz, Marv, co, jeśli i Luke’owi, i Benderowi stało się coś złego? Lecieli do różnych gwiazd, ale mniej więcej w tym samym kierunku. Może na coś natrafili?

– A na co? Na Borga? Bob, to trochę mało prawdopodobne. Jaki miałby motyw?

– Nie wiem. Może na kolejnego Medeirosa. Nie mamy żadnych informacji. – Wzruszyłem ramionami, zamykając sprawę. – Zresztą, zostawmy to Victorowi. Będzie bez przerwy nadawał UNOP-em, więc jeśli coś mu się stanie, od razu się dowiemy.

Marvin kiwnął głową z zaniepokojoną miną.

25. Króliki

Howard, listopad 2189, Wolkan

W kolejce połączeń miałem rozmowę od jednej kobiety z ekipy biologów. Trochę mnie to zaskoczyło. Normalnie gadałem tylko z Butterworthem – choć oczywiście nie było takiej zasady. Niemniej... zaintrygowany oddzwoniłem do niej.

– Jestem Sheehy.

Na ekranie pojawiła się kobieta, po krótkiej chwili zniknęła poza kadrem. Mignęły mi długie rude włosy związane w kucyk.

– Doktor Sheehy? Mówi Howard Johansson. Oddzwaniam.

Jej pozbawiony ciała głos podpłynął z powrotem do telefonu.

– Dzięki, że oddzwaniasz. Pułkownik Butterworth powiedział, żeby dzwonić do ciebie, jak będziemy mieli jakieś nowiny. No to mamy.

Odczekałem chwilę.

– Jakie?

Wróciła i wyszczerzyła się do kamery.

– Przepraszam. Lubię takie teatralne pauzy. W każdym razie mamy chyba sposób na pnącze.

– Mianowicie... – Sheehy, rób tak dalej, a zrzucę na ciebie asteroidę.

– Króliki.

– Chyba zrzucę na ciebie asteroidę.

Roześmiała się. Nie mogłem nie zauważyć, że pięknie się śmieje. Do tego te piegi, dołeczki, kiedy się śmieje... W myślach walnąłem się w policzek. Przecież nic z tego nie będzie.

Znowu zniknęła i wróciła z małym kawałkiem rośliny.

– Wychodzi na to, że króliki nie tylko są w stanie to jeść, ale w ogóle je do tego ciągnie. Dla nich ta toksyna jest jak dodatek smakowy. Kiepsko dla pnącza, dobrze dla nas.

– Tak, ale to będzie mnóstwo pracy... ścinać te pnącza i dawać na paszę królikom. Jak zetniesz, to równie dobrze możesz spalić.

– Nie, nie. – Doktor Sheehy pokręciła głową. – Króliki same się mnożą. I to agresywnie. Pewnie słyszałeś... – Uśmiechnęła się szeroko. – I świetna potrawka z nich wychodzi.

Odpowiedziałem uśmiechem. Było coś poetyckiego w tym rozwiązaniu. Prawda, wypuszczaliśmy na niczego niepodejrzewającego Wolkana ziemską puchatą plagę. Ale to Wolkan zaatakował pierwszy.

– Rozmawiałaś o tym z Butterworthem?

– Mówi, że rada musi to zatwierdzić. Ale ostatnio są dość pokorni.

Myśli, że pójdzie mu gładko.

– No to świetnie.

Sheehy zawahała się, a potem dodała:

– Słyszałeś o wczorajszym ataku brontów?

– „Atak” to trochę przesada, próbowały znowu zjeść płot i tyle.

– Tak, i jednego trzeba było zabić, bo doszedł do tego, że wystarczy omijać druty pod napięciem. Bystry bront. IQ dwa, może nawet trzy – zażartowała i się uśmiechnęła. – No, ale zanim zabrali stamtąd padlinę, ktoś wpadł na świetny pomysł i wyciął z niego kawał mięsa. Przeszedł badania toksykologiczne i badanie grillologiczne. Menu poszerzyło się nam o bronty. Chyba spadnie ci sprzedaż tego twojego kudzu.

– Ej, zaraz! Mieliście nie żywić się niczym z dołu, póki nie skończą się badania! Rada się na to zgadza?

– Wyobraź sobie, że rada nakazuje dwudziestu tysiącom ludzi jeść kudzu zamiast steka, kiedy ten stek codziennie łązi za płotem. Słyszałeś takie słowo: „lincz”?

– Dobrze, dobrze, punkt dla ciebie. Mam jeszcze rynek zbytu na Romulusie. U nich nie ma brontów.

Doktor Sheehy uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i się rozłączyła.

Szczerze mówiąc, z mojego punktu widzenia to była dobra wiadomość. Im więcej są w stanie zrobić sami, tym mniej muszę robić ja. Zupełnie wyobrażalne było to, że za dziesięć-dwadzieścia lat sobie odleczę.

À propos robienia: sterowany przez Gupika system monitoringu sam się nie robi. Do roboty.

26. Jak sprzedać Posejdona Riker, grudzień 2175, Układ Słoneczny

– Zdaje się, że jesteście niezdolni do tego, by powstrzymać ich ataki. Atakują, co chcą. – Ambasador Gerrold jakby cieszył się z tego, przez co odgrywanie gniewu wychodziło mu nieprzekonująco. Dotąd ignorowałem te jego tyrady, ale już trochę miałem dość.

– A panu, panie ambasadorze, co się udało zrobić? Znaleźliście może źródło tych ataków hackerskich? Aresztowaliście kogoś? Macie jakieś pomysły? Cokolwiek w ogóle poza ciągłym narzekaniem? – Przez moment mierzyliśmy się z ambasadorem spojrzemiami. – Pracujemy nad odbudową obwarunka, ale to zajmie parę miesięcy. Plus potem czas na wyrośnięcie roślin. Przez chwilę racje będą zmniejszone, ale głód wam nie grozi. – Nagle przyszedł mi do głowy pomysł, jeden z tych, co przychodzą w połowie zdania, i dodałem: – Tym razem SZLAG-owi się poszczęściło. Większość ich prób udaremniamy i nic nie osiągają. Naprawdę nie są aż tacy dobrzy.

Nie była to prawda, ale może sprowokuje to jakąś reakcję. SZLAG potrzebował, żeby ludzie się go bali, może takie publiczne zlekceważenie sprawi, że będą chcieli szybko coś zrobić.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, wyłączyłem swój dźwięk, oddając głos. Nie poruszając awatarem, zwróciłem się do Gupika:

– Pełny monitoring całej łączności. Chcę wiedzieć, kto zareaguje na moje słowa i jak. Chcę mieć wszystko, co do bajta.

Gupik kiwnął głową i wpadł w szal wydawania poleceń.

Sesja rady zajęła się kwestią emigracji. Malediwy i Mikronezja umocniły swoje roszczenia wobec Posejdona, głównie dlatego, że inne enklawy nie były zainteresowane. Do zapełnienia statku-kolonii brakowało sześciuset osób z innych enklaw i trudno to było zebrać. Nikt nie chciał oddzielać się od swojej grupy, a już w ogóle, żeby polecieć na taką... hmm... wyspecjalizowaną planetę. Dla wyspiarzy była atrakcyjna, dla wszystkich innych nie za bardzo.

Jednocześnie inne grupy starały się zawłaszczyć statki, które były na ukończeniu, żeby wyemigrować na Wolkana czy Romulusa. Bardzo to było agresywne i praktycznie pozbawione zawartości informacyjnej.

[Brak wykrywalnego zwiększenia ruchu na Ziemi. Jedna anomalia, transmisja w kosmos]

No to już coś.

– Skąd dokąd?

[Źródło: Nowa Zelandia, ale daleko od skupisk ludności. Cel: Homer]

– Eee... słucham?

[Sygnał skupioną wiązką. Byłby nie do wykrycia, gdyby przypadkiem nie przeciął się z kursem naszego drona sprząającego]

Jasna. Cholera. To się po prostu kupy nie trzymało. Czemu Homer miałby im pomagać? Czemu miałby sabotować własny projekt? Chyba że nie miał wyboru...

Nagle ta jego zmiana osobowości nabrała złowrogiego odcienia. Bardzo to było niepodobne do Homera. Zanik poczucia humoru, wycofanie się z kontaktów z innymi Bobami...

Może to już nie był Homer.

Wysłałem wiadomość do Charlesa z prośbą o fizyczne spotkanie.

27. Powrót Luke'a Bob, marzec 2178, Delta Eridani

Obszedłem wirtualkę z wioską, patrząc, co się dzieje. Przez sześć lat od mojego wygnania sporo się poprawiło. Miałem teraz dość ukrytych kamer i zamaskowanych dronów, żeby móc generować VR w czasie rzeczywistym. Koniec z nagrywaniem.

Archimedes w końcu podszedł poważnie do mojego pomysłu na namiot. Parę innych par skopiowało go i w wiosce pojawiło się sześć całkiem udanych imitacji tipi. Teraz była sucha pora, lecz spodziewałem się, że ten wynalazek zyska na popularności, kiedy znowu przyjdą deszcze.

Próbowałem nie zwracać uwagi na parkę bardzo publicznie okazującą sobie czułości, gdy usłyszałem sygnał połączenia. Od Luke'a!

Odpowiedziałem, a on wskoczył do mnie.

– Cześć, Bob, kopę lat!

Luke na moment osłupiał. Nigdy nie byliśmy tacy fizycznie wylewni. Właściwie to Pierwszy Bob był wręcz wycofany, jeśli chodzi o fizyczny kontakt. Ale szybko się pozbierał i odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Właśnie przeżyłem całą tę aferę pod tytułem „niezapowiedziana wizyta Billa”. Podobno to już cała tradycja, coś jak fala.

Parsknąłem śmiechem.

– No tak, ja też musiałem przez to przejść. Człowiek się nie spodziewa, że na tyle lat świetlnych da się zrobić połączenie VR, zauważyłem też, że plany Billa nadal nie wspominają o tym ani słowem. To gdzie ty teraz jesteś?

– W Kappie Ceti. Uprzedzając: Bill już mnie opeer za to, że nie od razu odebrałem jego transmisję. – Luke zmaterializował sobie kawę, odczekał, aż Kolczatka obwęcha jego rękę, i zwrócił się do mnie: – Przez ostatnie kilka minut czytałem wszystkie blogi. Na oko sporo się działo.

Kiwnąłem głową, wiedząc, że w pierwszej kolejności nadrobił wieści o Deltanach.

– A co tam w tej Kappie?

– Super Ziemia. – Wzruszył ramionami. – Kompletnie niezdatna do kolonizacji. Ciężenie 3 g z kawałkiem, za to wypasiony ekosystem. Miałem niezłą zabawę, katalogując to wszystko. No i zacząłem produkcję kolejnych Bobów.

Przestał gadać, kiedy w zasięg VR-ki wszedł Archimedes, a za nim syn. Niszczyciel był prawie wzrostu ojca i nic nie wskazywało, żeby przestawał rosnąć. Archimedes zaś, osiągając dorosłość, zmężniał i już nie wyglądał na mola książkowego. We dwójkę stanowili niezłą ekipę.

Mieli w rękach łuki, a na plecach kołczany. Każdy niósł świeżo upolowane zwierzę, na oko odpowiednik dzikiego indyka.

Luke odwrócił się do mnie.

– Łuki i strzały? No, stary, nieźle tam to wszystko popychasz.

Machnąłem lekceważąco ręką.

– Wcześniej czy później hipogryfy znowu ich wytropią. Chcę, żeby byli gotowi.

Kiwnął głową i zmaterializował fotel z podnóżkiem. – Jak dobrze być z powrotem. Ciekawie tam masz. A gdzie Marvin?

– Odleciał parę lat temu, zaraz po tym, jak wyrzucili mnie z Camelotu. Ale mamy kontakt.

– Super. Odszukam go, jak będę miał chwilę. A Bender? Dał jakiś znak życia?

Pokręciłem głową.

– Nie i nie mam pojęcia dlaczego. Jeden z moich klonów poleciał tym samym kursem i za rok czy dwa powinien coś wyniuchać.

Potaknął. Zmaterializowałem zestaw wypoczynkowy i rozsiadłem się wygodnie. Na spotkanie ze starymi przyjaciółmi zawsze trzeba mieć czas.

28. Et Tu, Homer

Riker, grudzień 2175, Układ Słoneczny

Ostatnio rzadko był powód, żeby Bobowie musieli się fizycznie spotykać. UNOP i VR oznaczały, że wszystko, co trzeba, da się zrobić w wirtualnej przestrzeni. A drony wyposażone w UNOP-a oznaczały, że odległość przestaje się liczyć także w zdalnym zarządzaniu projektami.

Jednakże teraz dwa *Nieba* wisiały niecałe pięćdziesiąt metrów od siebie, na tyle blisko punktu Lagrange'a, żeby nie wyglądać podejrzanie, ale na tyle daleko, żeby w unoszących się tam śmieciach nie mógł się ukryć podsłuchiwacz. Laserowe łącze zapewniało, że komunikacja odbędzie się bez przecieków i bez podsłuchów.

Charles siedział naprzeciwko mnie, zapomniawszy o kawie w dłoni, z mieszkanką dezorientacji, niedowierzania i przerażenia na twarzy.

Pośpiesznie się tłumaczyłem.

– To tylko moja spekulacja. A przynajmniej tak się zaczęło. Kiedy przeanalizowałem ostatnie akty kosmicznego sabotażu ze strony SZLAG-u, Homer zawsze był tam niedawnym gościem. W niektórych przypadkach jedynym niedawnym gościem. Powtarzaliśmy, że nic w te miejsca nie latało, ale tylko dlatego, że z góry skreślaliśmy samych siebie z listy podejrzanych.

– Ale... Homer? Jak to możliwe?

– Pamiętasz, jak próbowali się do mnie włamać? Myślałem, że była tylko ta jedna próba, ale może to była jedna wykryta próba. SZLAG wyraźnie ma po swojej stronie grubą technologię. Może odkryli jakąś inną furtkę.

– No to co robimy?

Na moment spuściłem wzrok. Nie było łatwo to powiedzieć...

– Musimy obezwładnić Homera i sprawdzić go. Jeśli okaże się, że się pomyliłem, zawsze będziemy mogli przeprosić. Pamiętasz Bitwę o Układ Słoneczny?

* * *

[Analiza zakończona. Plik przesłany]

– Dzięki, Gupik. Spojrzę przy najbliższej okazji.

To było podsumowanie wszystkiego, co drony znalazły w punkcie na Ziemi, z którego wyszła podejrzana transmisja. Specjalnie zablokowałem na tych dronach odbiorniki radiowe, a do wysyłania telemetrii użyłem UNOP-a szyfrowanego jednorazowym kluczem i przeskakującego po częstotliwościach. Sam bym tego nie przechwycił i nie zdekodował, gdyby ktoś mi to podał na srebrnej tacy. Musiałem zakładać, że nieznany przeciwnik nie jest wiele mądrzejszy ode mnie, inaczej w zasadzie mógłbym się położyć do góry brzuchem i odsłonić gardło.

Napisałem do Homera, że wiem, gdzie będzie następny atak SZLAG-u, i musimy to przedyskutować w bezpiecznych warunkach. Umówiliśmy się z nim i Charlesem nieco na północ od punktu L4 między Ziemią i Księżycem.

Homer podleciał siłą rozpędu i wyhamował. Kiedy znieruchomieliśmy, obróciliśmy się tak, by celować w siebie nawzajem laserowymi łączami.

Nadmiar paranoi kazał mi przepuścić całą komunikację przez Piaskowego Boba. Łączność laserowa była na tyle dyskretna, że jeśli Homer ma wirusa, może próbować mnie nim zarazić. Kazałem Charlesowi zrobić to samo.

Podłączyliśmy się, Homer pojawił się w mojej VR-ce.

– Dobra, Riker, co to za wielkie odkrycie?

Łyknąłem kawy i dyskretnie zerknąłem na Piaskowego Boba. Zero reakcji.

– Zaczekajmy jeszcze na Charlesa. Nie mam ochoty dwa razy odpowiadać na te same argumenty. A kiedy dotrze Ralph, jeden z nas go oświeci. – Spojrzałem na holo, gdzie Charles właśnie zbliżał się do grupy.

Połączył się laserem i wskoczył do wspólnej VR-ki.

– Cześć, panowie. Co tam się urodziło?

W mojej prywatnej VR Piaskowy Bob chwycił się za gardło i padł. Zerknąłem pytająco na Gupika.

[Źródłem ataku jest Homer]

Podniosłem obie ręce we wspólnej VR-ce, a Charles strzelił stalową kulą prosto w jego układ sterowania reaktorem.

Homer zgasł, bo stracił źródło zasilania, tak samo jak podczas bitwy z brazylijskimi sondami. Szybko przeskanowałem jego statek. Czysty strzał, żadnych innych szkód. Charles zrobił się zielony. Pewnie ja tak samo.

Wysłaliśmy na niego grupę szopów, które bezceremonialnie wycięły dziurę w ładowni. Minęło parę godzin, nim mogliśmy podłączyć macierz Homera do platformy testowej. Pora na brudną robotę.

– Mam to. – Pokazałem okienko z kodem. – Najwyraźniej źródłem infekcji była komunikacja po łączu laserowym. Nie jestem pewien, jak i kiedy zyskali dostęp, ale nieźle się im udało. Nawet nie uświadamiałem sobie, że mamy taką lukę w naszych mechanizmach obronnych.

Charles kiwnął głową.

– Posłuchaj. Może to nie tylko Homer. Może ty jesteś zakażony... chociaż to mało prawdopodobne, skoro to ty ujawniłeś problem. Albo może ja. Mój Gupik wykrył próbę penetracji i wyszła od Homera, więc jeśli ty nie odwalasz jakiegoś podwójnego podstępu w stylu Dorwać Smarta, myślę, że jesteś w porządku. Sprawdź więc też moją macierz, żebym był poza wszelkimi podejrzeniami. Tak jak w tym filmie Coś. – I popatrzył na mnie wyczekująco.

Zastanowiłem się i kiwnąłem głową. Dobry pomysł i potrzebny. Charles musiał otworzyć drzwi swojego hangaru i się wyłączyć, ale teraz, kiedy już wiem czego szukać, samo sprawdzenie zajmie dosłownie minuty.

Wyjaśniłem, co ma robić, Charles wykonał polecenia. Dwa szopy weszły do jego kadłuba, dwadzieścia minut później już był z powrotem na chodzie.

– Dziękuję, Charles. Mogę zrobić to samo, jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości.

Pokręcił głową.

– Mogłeś mnie zainfekować, kiedy byłem wyłączony. Nie miałeś cienia powodu, żeby tego nie zrobić. Dla mnie jest OK.

Skupiliśmy się z powrotem na Homerze.

* * *

Sprzątanie i naprawa potrwały w sumie prawie trzydzieści godzin. Wirus, trojan, czy jak to zwał, coś zapuściło macki w wiele różnych układów. Homerowi zostało bardzo niewiele wolnej woli, ale był w pełni świadomy. Aż się wzdrygnąłem, gdy pomyślałem, jak musiał się czuć.

W połowie procedury pojawił się Ralph i musieliśmy mu to wszystko wyjaśnić. Ja mówiłem, a Charles ustawił się na wprost jego układu kontroli reaktora. Kiedy mu to uświadomiłem i wytłumaczyłem, jakie są alternatywy, Ralph całkiem racjonalnie zgodził się na inspekcję.

Kiedy wystartował z powrotem – na szczęście czysty – znowu skupiliśmy się na Homerze. Usunąłem kod wirusa, a na porcie łącza laserowego zainstalowałem świeżo zaprogramowany firewall. Nikt z nas nie będzie już podatny na taki atak. Wysłałem też kompletny raport Billowi, żeby dodał go do swoich rozsyłanych po Bobach komunikatów.

Homer wystartował. Jego awatar pojawił się we wspólnej VR-ce,

zrobił zdumioną minę, po czym padł z krzykiem na podłogę. Reszta popatrzyła po sobie z przerażeniem. Coś źle zrobiłem? Uszkodziłem Homera?

– Homer, stary, wróć do nas. Nic ci nie jest? – Klęknąłem obok niego i położyłem mu dłoń na ramieniu.

Krzyk ustał, zaczął pojękiwać. Zwinął się w pozycję embrionalną, zacisnął powieki i kiwał się tam i z powrotem na podłodze.

Nie wiedziałem co robić. Pierwszy Bob nie przepadał za bliskim emocjonalnym kontaktem, a ja miałem na tyle samoświadomości, by wiedzieć, że jestem jeszcze bardziej wycofany od niego. Ralph i Charles nie wyglądali na bardziej przygotowanych. Jednakże Homerowi nie pogarszało się i nie robił sobie krzywdy, więc postanowiliśmy, zgodnie z odwiecznym męskim zwyczajem, zostawić go samemu sobie i poczekać, aż się ogarnie.

Po kilku kolejnych milisekundach Homer jęknął i otworzył oczy.

– Byłem opętany. Mieli nade mną całkowitą władzę. Zmuszali mnie, żebym was okłamywał, żebym wysadzał różne rzeczy. Kazali mi zabijać ludzi!

Rozpłakał się, na przemian pojękując bezradnie i łkając rozzdzierająco.

– Nie mogłem nic zrobić, mogłem tylko patrzeć, jak wykonuję ich rozkazy. Nie mogłem wam powiedzieć. Nie mogłem przerwać. Nie mogłem nawet się zabić!

W VR-ce pojawił się Bill.

– Słuchałem i się nie odzywałem, odkąd dostałem twój raport. To jest niewybaczalne. Wiem, że nie przepadamy za przemocą, ale jeśli macie potrzebę wykończyć skurwysynów, którzy to zrobili, nikt wam nie powie złego słowa. – Usiadł na podłodze obok Homera i położył mu dłoń na plecach, po prostu dla ludzkiego kontaktu.

Spojrzałem na Charlesa i Ralpha. Wyraz ich twarzy mówił wszystko. Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

* * *

Homer wyszedł z paraliżu, ale wciąż był bardzo niestabilny. Bill zniknął, obiecawszy wszelką pomoc w budowie wszystkiego, co potrzeba, w tym Rzeczy, Które Wybuchają. Tak. Wściekły był.

Charles miał oko na Homera, podczas gdy Ralph nadzorował odbudowę obwarunka rolnego. Homer był już w stanie rozprostować się i usiąść, ale wciąż od czasu do czasu dostawał ataków paniki. Zaproponowałem, że włączę mu układ kontroli hormonalnej, ale stanowczo pokręcił głową.

– Za bardzo to przypomina to, co mi oni zrobili. To jest smycz. Tylko inna. – Machnął bezradnie dłonią, próbując znaleźć słowa. – To jest jak klaustrofobia czy coś takiego. Sama myśl, że coś mną steruje, sprawia, że mam ochotę biegać w kółko i krzyżeć.

– Dobrze, Homer. Żebyś tylko lepiej się poczuł. – Charles położył mu dłoń na ramieniu. – Jesteśmy z tobą. Zawsze, kiedy potrzebujesz.

Homer kiwnął głową i spróbował się uśmiechnąć, ale pocieszająco to nie wypadło.

Nie pojawiłem się na ostatnim posiedzeniu ONZ. Jeśli SZLAG się zorientował, że stracili swoją marionetkę, nie chciałem im dawać kolejnej informacji. Niech sobie myślą, że pozabijaliśmy się nawzajem.

Na razie przeanalizowałem raport Gupika. Sygnał laserowy wyszedł z obiektu, który kiedyś był małym wojskowym posterunkiem daleko na peryferiach Nowej Zelandii. Sądząc po widocznym na zdjęciach sprzęcie, mieli niezłe możliwości łącznościowe. Zgodnie z moimi poleceniami drony unikały skanowania SUDDAR-em, bo to było do wykrycia. Poprzestały na biernej obserwacji. Na wizji i w podczerwieni wyłapały używane przez ludzi obszary, oszacowując też ich liczbę. Mikrofony nagrały parę rozmów, których treść nie pozostawiała żadnej wątpliwości, kto tam mieszka. To musiała być centrala SZLAG-u. Nawet jeśli mieli organizację komórkową, pozbawieni centrali technologicznej na pewno nie będą sobie tak dobrze radzić.

Przypomniałem sobie pierwszą próbę włamania, która też wyszła z Nowej Zelandii. Rozsądnie było założyć, że ta wojna toczy się dłużej, niż sobie uświadamiałem.

Świetnie. Wojna wypowiedziana. Musiałem jednak mieć pewność, że obrywają właściwi ludzie. Mózg stojący za tak skomplikowaną organizacją nie będzie łatwy do wyśledzenia. Byłem przekonany, że od jego miejsca pobytu dzieli nas co najmniej jeszcze jeden przeskok.

Poświęcę tyle czasu, ile będzie trzeba, i tyle zasobów, ile będzie trzeba, żeby go złapać. Bez ograniczeń. A kiedy już go znajdę, przyjdzie pora na rozliczenie.

29. Sytuacja awaryjna

Howard, kwiecień 2190, Wolkan

[Sytuacja awaryjna w Przyczółku]

Odwróciłem się na moment do Gupika, ale ten, niezależnie od tego, czy miał dobre, czy złe wiadomości, zawsze wyglądał jak admirał Akbar. On mi tu nie pomoże.

Wróciłem do połączenia wideo z doktor Sheehy i rzuciłem:

– Muszę lecieć!

Rozłączyłem się. Podjąłem połączenie wideo, które trzymał Gupik. Był to Stéphane.

– Howard, mamy grupę raptorów, które jakoś przedostały się za ogrodzenie. Biegają po mieście i szukają ofiar.

– Ostatnia znana pozycja?

Podał mi skrzyżowanie ulic. Wiedziałem, że ochrona już tam biegnie, ale raptory poruszały się szybko, o wiele szybciej niż ludzie.

Miałem tylko dwa niszczyciele na tyle blisko, żeby mogły się na coś przydać, ale za to dysponowałem wszystkimi dronami tworzącymi system monitoringu. Oraz kilkoma zapasowymi, które siedziały na dachu budynku administracji w stacjach dokujących. Włączyłem je także i posłałem wszystkie na to skrzyżowanie.

W połowie drogi stadko dronów wyprzedziły dwa niszczyciele, robiące prawie Mach 1. Żonglowałem teraz osiemnastoma różnymi jednostkami. Nawet kiedy wszystkie z nich podpiąłem do jednej nadrzędnej, trudno mi było nadążyć. Zamknąłem VR-kę i podkręciłem sobie zegar na tyle, żeby móc się między nimi przełączać.

Niszczyciele znalazły się u celu, ale nie było widać żadnych raptorów. Odłączyłem dwa drony i uniosłem je na wysokość kilometra, włączając im kamery o wysokiej rozdzielczości, podczerwień i wykrywacze ruchu.

Ochrona zbiegała się ze wszystkich stron. Raptory mogły być tylko na dwóch ulicach, ale nigdzie nie było ich widać. Może Brodeur się pomylił? Szybkie zerknięcie w monitoring wyeliminowało tę opcję. Albo raptory mogły stawać się niewidzialne – o, to by było niezłe – albo znalazły jakąś kryjówkę.

Ustawiłem wszystkie drony metr-dwa nad ziemią i zacząłem szukać tropów raptorów. Drony rozproszyły się, idąc za wszystkim, co choć trochę przypominało ślady. Poganianie ich było naprawdę męczące –

nawet na przyspieszonym zegarze. Musiałem śledzić, jakie polecenia wykonuje jednocześnie każdy z nich – więc chyba nie powinienem mieć sobie za złe, że dopiero po paru przegapionych cyklach zorientowałem się, że jeden dron nie odpowiada.

Ściągnąłem jego log wideo i... ooo, to tak wygląda paszcza raptora od środka. Dobrze wiedzieć.

Stado raptorów schowało się w czyjejsz szopie na narzędzia. Jeden musiał stwierdzić, że zabije to latające coś, zanim podniesie alarm. Nawet jeśli przyznać, że nie mogły wiedzieć o istnieniu radia, to było inteligentne zachowanie. Trzeba będzie podyskutować o tym z Billem.

Na razie wszystkie jednostki posłałem do okrążenia szopy, spowolniłem sobie zegar do czasu rzeczywistego i zadzwoniłem do Stéphane'a.

Drony i niszczyciele dotarły i zajęły pozycje wokół szopy. Gdy tylko to zrobiły, raptory podjęły próbę ucieczki. Przemknęły przez krąg dronów, przeskoczyły przez płot i ruszyły pędem w stronę granicy strefy.

Teraz to już była kwestia przypadku, czy komuś z ochrony uda się znaleźć na odpowiedniej pozycji, by oddać strzał – zresztą, przy takiej szybkości niewiele będzie miał na to czasu. Miejmy nadzieję, że wszyscy cywile usłyszeli alarm i będą mieli dość rozsądku, żeby pozostać w domach.

– Stéphane, jakieś ofiary?

– Wydaje mi się, że nie, ale ten dom spraw... o, nieważne, widzę jakieś twarze w oknach. Pokazują kciuk w górę. Czyli nie, nie ma ofiar.

– Dobra. Są już poza waszym zasięgiem. A ja mam za mało miejsca, żeby rozpedzić niszczyciele, więc chyba tym razem im daruję. Może rozpowiedzą reszcie...

– Rany! Myślisz że one umieją mówić?

– Hmm... No... raczej nie, ale może przekażą innym samym zachowaniem. Aha, i wiesz co jeszcze? Wygląda na to, że umieją też kopać. Fantastycznie. – Zerknąłem na jamę, przez którą się przecisnęły. W najniższym punkcie miała z półtora czy dwa metry głębokości. Coś mi się zdaje, że trzeba będzie rozbudować ogrodzenie. Znowu.

* * *

– Sytuacja coraz bardziej się tu komplikuje. – Pułkownik Butterworth podpierał głowę ręką opartą łokciem o biurko. – Zaczynam myśleć, że to Cranston i Valter byli mądrzejsi.

Nie spodziewał się odpowiedzi. Potrzebował po prostu towarzystwa, żeby się napić. Miałem koniak z szablonu Sama – nawet już się przyzwyczailem do jego smaku – i po prostu kiwałem głową. Na

szczęście inwazja raptorów nie spowodowała żadnych ofiar, a ogrodzenie było wzmacniane. Metalowe pręty wbite w ziemię na głębokość sześciu metrów, co piętnaście centymetrów, powinny rozwiązać kwestię podkopów.

A Bridget – znaczy doktor Sheehy – miała już urządzenie prawie idealnie wykrywające zakażenie pasożytem na podstawie zapachu wydzielanego przez ciało. Badanie krwi okazywało się zbędne, wystarczało, przechodząc, machnąć ręką nad czujnikiem. Miały być zainstalowane przy wszystkich wejściach do budynków, gdy tylko zaczną działać bez błędów. Liczyliśmy, że w dłuższej perspektywie wypłenimy pasożyty na tyle, że wymrą.

Wymyśliła też dla nich nazwę – kupidyńki. Bo jak wyjaśniała, idą prosto do serca. Muszę przyznać, że podobało mi się jej poczucie humoru.

Oprócz tego miałem parę leżakujących beczek czegoś, co być może będzie w stanie zastąpić jamesona. Albo rozpuszczalnik do farb. Czas pokaże.

Omówiliśmy z pułkownikiem parę innych spraw, niezbyt pilnych. Rada, tak jak się spodziewałem, ustąpiła bez walki w kwestii brontoburgerów. Bo spójrzmy prawdzie w oczy – jeden taki zwierz to steki dla całej kolonii na dwa tygodnie. Nie trzeba ich dużo zabijać. A alternatywą wciąż jest tylko kudzu.

Pożegnałem się z pułkownikiem i zniknąłem. Dla fantazji wziąłem jeden z dronów obserwacyjnych, wzniosłem się na dwa kilometry i wykonałem powolne, panoramiczne ujęcie. Zachodziło słońce i widok był przewspaniały.

Z powierzchni Wolkana Omikron-2 Eridani wydawał się niemal o jedną trzecią większy niż ziemskie Słońce. Jako gwiazda typu K miał nieco bardziej pomarańczowy odcień, choć po dniu czy dwóch przestawało się go zauważać. Ale większe promieniowanie w czerwonym pasmie oznaczało, że nawet najzwyczajniejszy zachód słońca był spektakularny w porównaniu z ziemskim. A ten dzisiejszy nie był najzwyczajniejszy. Z niedawnej burzy pozostały tylko rozproszone po niebie chmury, ale każda z nich wyglądała teraz jak pożar lasu.

Laso-dżungla ciągnęła się od horyzontu po horyzont, oblepiając wzgórza i tylko niechętnie odsłaniając sporadyczne skalne występy. Coś w rodzaju ptaków krążyło wielkimi stadami, jakich nie widziano na Ziemi od czasów gołębia skalnego. Gdyby nie zwracać uwagi na wszystkie stwory z wielkimi rekinimi zębami oraz te, co mogą cię niechcący rozdeptać, byłby to prawie raj. A i jeszcze te, co składają w tobie jaja. Ble.

30. Coś znalazłem

Nieśmiałek, listopad 2187, Gliese 877

Zgodnie z poleceniami Maria ruszyliśmy każdy w inną stronę. Ja wybrałem GL-877, nijaką gwiazdę w jakimś fragmencie nieba. W sumie nie wiedzieliśmy: może ci Inni nie mieszkają na planetach, albo nawet w układach? Ale od czegoś trzeba było zacząć. W najgorszym razie zrobimy mapę ich ścieżki zniszczenia.

[Sygnały radiowe]

Gupik pchnął mi okienko. W miarę zapoznawania się ze wskazaniami brwi podjeżdżały mi coraz wyżej. Szum radiowy pochodzący z układu był ewidentnie sztuczny. Tak czy inaczej, mieszkało tu coś inteligentnego. I hałaśliwego.

– Wszystkie możliwe środki ostrożności, Gupiku. I powoli. Nie chcę zwracać na siebie uwagi.

[Zrozumiałem]

– I przygotuj zamaskowane sondy.

I tak byłem ostrożny, ale możliwość, że to są Inni, wprowadziła moją paranoję na całkiem nowy poziom. Czas podróży spożytkowałem na budowę dwóch zamaskowanych sond. Musiałem poświęcić parę niszczycieli i trochę szopów, ale za to dostałem sondy, które były prawie niewykrywalne, jeśli nie dały pełnego gazu. Konstrukcję miały, tam gdzie to możliwe, z włókna węglowego, ceramiki i metali nieżelaznych. Inni musieliby patrzeć silną wiązką w konkretny punkt, żeby je znaleźć. W ramach ciągłego raportowania posłałem już plany do Maria.

Wciąż leciałem z około pięcioma procentami prędkości światła, zatem ustawiłem się tuż poniżej ekliptyki i wystrzeliłem jedną sondę. Delikatnie zmieniłem kurs i wypuściłem drugą. Bezwładny spadek przez układ zajmie im około dwóch tygodni. A ja polecę sobie na napędzie do punktu spotkania po drugiej stronie układu, w ogóle nie przelatując przez jego środek. Jeśli ci mieszkańcy nie mają o wiele lepszych systemów wykrywania niż my, w ogóle się nie dowiedzą, że tu byłem.

Starannie wyznaczyłem warunki, przy których sondy mają uciekać oraz przy których mają dokonać samozniszczenia. Nie można było ryzykować. W każdym razie natychmiast po wykryciu miały przestać się maskować i wypluć całą telemetrię w kierunku mojej wyliczonej pozycji.

Ja, lecąc z napędem, dotarłem do umówionego punktu parę dni przed

sondami, kursem prowadzącym prosto poza układ. Sondy wyhamowały, a wchodząc mi w zasięg, uruchomiły bikony.

Ściągnąłem z nich dane i nadałem cały pakiet w kierunku Maria, dopiero potem sam zacząłem je analizować. Stworzenie spójnego obrazu wewnętrznego układu zajęło prawie dwa dni. Miał dwie samotne skaliste planety oraz nieco dalej pojedynczą jowiszową. Wewnętrzna z dwóch skalistych planet na oko miała atmosferę. Druga była zbyt daleko od obu sond, żeby dostrzec szczegóły, choć miała zadziwiająco wysokie albedo.

Układ wydawał się wyjątkowo pozbawiony śmieci, z wyjątkiem orbity o około 80% promienia drugiej skalistej planety. W tej odległości od słońca skupiała się naprawdę spektakularna ilość masy – i aktywność – rozłożona po całej jej elipsie. Ten obszar był także odpowiedzialny za większość elektromagnetycznych emisji tego układu.

Odwróciłem się do Gupika i wskazałem skupienie mas.

– Co to, do cholery, jest?

[Za mało informacji. Ale naturalnego satelitę możemy wykluczyć]

– To nie planeta, tak?

[Tak. Ta masa jest zbyt rozproszona]

Ubolewałem, że nie mogę pogadać z kimś innym poza Gupikiem. Plan mówił o zbudowaniu w Gliese 54 kolejnej fali Bobów i wysłaniu jej w ślad za pierwszą. Czyli za jakieś sześć miesięcy powinienem mieć towarzystwo. Miejmy nadzieję, że ci nowi Bobowie będą odbierali moje transmisje i zorientują się w sytuacji przed podejściem.

Wciąż byłem o ponad sześć miliardów kilometrów od miejscowego słońca w najbardziej próżnej próżni, jaką mogłem sobie wyobrazić, zatem zszokowały mnie nagle odzywające się alarmy zbliżeniowe.

Zwiększyłem sobie zegar na maksa i zacząłem analizować odczyty. Coś zbliżało się do mnie z dużą prędkością. Wyglądało na to, że ma bardzo dobrze ekranowany reaktor, bo widać to było tylko na SUDDAR-rze. Szybkie obliczenia wykazały, że w prostym wyścigu nie wygram – coś – lub cosie – zbyt szybko się zbliżało. Czas na naszą wypróbowaną taktykę unikową. Nie miałem pojęcia o ich zwrotności – wybrałem zachowawczy wariant i zacząłem przyspieszać pod kątem trzydziestu pięciu stopni do ich wektora.

Zareagowały prawie natychmiast, co powiedziało mi, że mają SUDDAR-y. Gdyby były ograniczone do prędkości światła, nie mogłyby tego zrobić wcześniej niż za godzinę.

Przez następne parę godzin scena powoli ewoluowała. Sytuacja była całkowicie jawna, jak w szachach. Nie można było wyciągnąć z rękawa niczego zaskakującego. O tym, czy ich wyminę, miały zdecydować same prawa fizyki. Było jednak oczywiste, że będzie bardzo blisko.

Dotarcie do tego punktu zajęło prawie dobę. Przez cały czas skanowałem ich wszystkim, co miałem. SUDDAR i optyka potwierdziły sześć statków – pięć bardzo podobnych do zniszczonego transportowca i jeden, który naprawdę kojarzył mi się z miniaturową Gwiazdą Śmierci. „Miniaturową” oczywiście względnie – miała prawie pół kilometra średnicy. Zamiast wklęsłego talerza jak w *Gwiezdnych wojnach*, miała płaską sekcję, jakby pokratkowaną. Miałem nadzieję, że jej zastosowanie nie było podobne.

Wreszcie prawa fizyki i rzeczywistość postawiły sprawę jasno i dotarło do mnie, że przepłynę obok nich, o dziesięć kilometrów. Mało brakowało, ale miało się udać.

Gdy się zbliżałem, gotowy, by zagrać im na wirtualnym nosie, zobaczyłem, jak ta niewyrośnięta Gwiazda Śmierci zaczyna się obracać, ustawiając się kratką do mnie.

Oj, to niedobrze.

– Gupik, coś możemy w kwestii ekranowania?

[Wszystkie zasoby są na maksimum]

Obliczyłem, że mogę trochę pozygzakować, nie tracąc przewagi. Natychmiast rozpocząłem uniki. Jednak Innym z obliczeń wyszło to samo. Gwiazda Śmierci po prostu odczekała, aż skończy mi się ten luz, i wymierzyła.

Siatka rozjarzyła się, a potem wy...

[Alarm! Replikant nieaktywny. Napęd SURGE nieaktywny. Kryteria do procedury samozniszczenia: spełnione. Wywołuję przeciążenie reaktora...]

31. Pierwsze kroki w biznesie Howard, styczeń 2191, Wolkan

Za kilka minut Riker miał wizytę wideo w naszej rodzinie. Zgodnie z niepisaną umową był twarzą nas wszystkich – nie chcieliśmy dezorientować ani, co gorsza, płoszyć potomków naszej siostry. Jednakże reszta Bobów włączała się do nich biernie, jeśli tylko miała taką możliwość. Te spotkania przypominały nam, że kiedyś byliśmy człowiekiem i że zostawiliśmy swój ślad we wszechświecie. No dobra, nasze siostry go zostawiły, ale to już blisko.

* * *

Julia, jak zawsze, była rzeczniką Klanu Boba. W kadr wchodzili i wychodzili inni ludzie, zatrzymywali się, by rzucić jakąś uwagę lub pomachać do kamery. Zorganizowany chaos, jak zawsze, typowy rodzinny bałagan. Justin trochę podrośł i już nie mógł usiedzieć na kolanach mamy. Ciągłe coś przynosił, żeby pokazać wujkowi Willowi. Uśmiechałem się za każdym razem, kiedy się pojawiał. Był ulubieńcem wszystkich Bobów – niespożyta energia, wielkookie zaciekawienie każdym i wszystkim oraz zero pojęcia, w jakim niebezpiecznym i strasznym postapokaliptycznym wszechświecie się urodził.

– Will, niedługo będziesz miał trzy kolejne prawnuki. – Julia uśmiechnęła się radośnie. – Tu jest tyle przestrzeni. To zupełnie przeciwieństwo tego, jak czuliśmy się na Ziemi. Tu się już nie myśli, że rodzenie dzieci to grzech.

Will parsknął śmiechem.

– Ale jadą już do was kolejni ludzie. Co prawda, nawet gdybyśmy u was osiedlili całą ocalałą resztę ludzkości, też nie byłoby tłoku. Macie nowy świat i nowy początek.

Justin wykrzywił się przed kamerą.

– Ale nie ma dimozaurów! Ja chcę dimozaury!

– Przykro mi, kosmiczny kadecie – odpowiedział Will. – Są tylko na Wolkanie. Jak będziesz starszy i będziesz miał własny statek, to tam polecisz i je zobaczysz.

– Jeśli jeszcze jakieś zostaną – wtrącił ktoś półgłosem.

Julia odwróciła się i spojrzała na niego. Zaczerwienił się.

– Howard mówi, że koloniści ZSE uważają na skutki środowiskowe – powiedział Will, próbując rozbroić chwilowe napięcie. – Zakładam, że Szpicowie i WIARA postępują tak samo.

– Z tego, co wiem, to nie – odparł tamten.

– Richard ma trochę obsesję na tym punkcie. – Julia zrobiła zażenowaną minę. – Nie nakręcajcie go bardziej.

W tym momencie przyszła wiadomość od Rikera: *Czy to jest poważny problem?*

Przyśpieszył się, żeby wysłać tę wiadomość, więc zrobiłem to samo, żeby odpowiedzieć: *WIARA ciągle jedzie po bandzie. Miałem już parę starć z Cranstonem o to, czy o tamto. Uwaga Richarda w ogóle mnie nie zaskoczyła. Przyjrzę się temu.*

– Richard, Howard to obserwuje i będzie interweniował w razie potrzeby – rzucił Will. – Wszystkie enklawy przed emigracją podpisują umowę, w której są punkty o prawach człowieka, eksploatacji planety i tak dalej.

Richard kiwnął głową i rozmowa zdryfowała na inne tematy.

Za krótko to było. Ale wszystkie nagrania wideo były archiwizowane i miały mnóstwo odtworzeń na BobTubie.

A jednak z tą kolonią WIARY coś było na rzeczy. Cranston naprawdę robił się upierdliwy.

* * *

Szesnaście dronów obserwacyjnych podniosło się gładko ze swoich podstawek i zajęło pozycje wokół Przyczółka. Zerknąłem na Gupika.

– Wszystko na zielono?

[Nie wykryto żadnych problemów. Wszystkie parametry w normie]

MSI sterująca systemem monitoringu była hybrydą Maszynowej Sztucznej Inteligencji oraz Gupika, opartą na tym, co zaprogramował Bob w Delcie Eridani. Łączyła szybki refleks i wielozadaniowość klasycznej AI z umiejętnością podejmowania decyzji typową dla replikanta. Poza tym nigdy się nie nudziła i nie domagała wolnego.

Kolejna rzecz, do której już nie będę potrzebny. Lista zadań do wykonania wreszcie zaczęła się skracać. Znakomicie.

– Świetnie. Parę dni niech pochodzi, żeby ustalić, jakie jest obciążenie procesorów, potem dorzucimy do systemu łowców kupidyneków.

[Łowcy kupidyneków są autonomiczni]

Prawda. Punktowe, jednotorowe zadanie – do czegoś takiego MSI nadawała się w sam raz.

– No tak, ale centralny kontroler może się zająć planowaniem, konserwacją, naprawami, może też zbierać statystyki. Na pewno Bridget chciałaby wiedzieć, czy liczba napotkanych kupidynek zaczyna spadać.

Gupik kiwnął głową. Jestem przekonany, że to sardoniczne rozbawienie na jego twarzy zawdzięczałem wyłącznie własnej wyobraźni. W końcu jak miałyby wyglądać „sardoniczne rozbawienie” u ryby?

À propos Bridget, znaczy... doktor Sheehy, to trzeba do niej zadzwonić. Prosiłem ją wcześniej o jedną drobną przysługę – małą analizę chemiczną.

* * *

– Tu Sheehy. – Bridget na moment pojawiła się w okienku, potem wyszła z niego na lewo. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu i zawsze pracowała nad kilkoma rzeczami naraz. Podziwiałem tę jej energię.

– Cześć, Bridget, tu Howard.

Twarz doktor Sheehy rozpuściła się, gdy weszła w kadr i usiadła na wprost telefonu. Przez ostatnie sześć miesięcy bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Dobrze się dogadywaliśmy, była też przyjemną odmianą po zbyt wielu Bobach. Starłem się nie myśleć „efemeryda”, kiedy byłem z nią w kontakcie.

– Pewnie dzwonisz w sprawie tej analizy chemicznej?

– Tak.

– No to z przyjemnością ci mówię, że przeszła pomyślnie. Ani śladu metanolu. Spokojnie nadaje się do picia. – Wyszczrzyła zęby. – A co do tego, czy jest dobre, czy nie...

Sięgnęła za kadr po butelkę, którą podrzuciłem jej poprzedniego dnia. Nalała odrobinę płynu do plastikowego kubka i uniosła go do kamery.

– Cathaoireacha. – Opróżniła zawartość jednym haustem.

Patrzyłem uważnie, czy nie zeszywnieje, nie rozpuści się, nie buchnie płomieniem. Przełknęła, nabrała powietrza, otarła oczy i powiedziała:

– Łagodne.

– Naprawdę?

– Nie. – Skrzywiła się. – Rozpuszczalnik to już nie jest, ale jeszcze nie irlandzka whiskey. Właściwie to nigdy nie będzie irlandzka, skoro użyłeś dębowych beczek. Ale jeśli zmrużysz oczy i popatrzysz na nią z boku, głośno krzyząc: LA, LA, LA, to może ująć za whiskey.

Kiwnąłem głową.

– Leżakowanie jest sztucznie przyspieszone, nie oczekujemy więc cudów. Pierwszej partii produkcyjnej dam trochę więcej czasu. A Riker mówi, że uda mu się dla mnie zeskanować jakieś prawdziwe beczki po sherry. Wtedy zrobimy irlandzką.

– Brzmi dobrze. – Zerknęła na mnie z ukosa. – Potrzebujesz współpracownika?

– No, ktoś będzie musiał targać te beczki. – Uśmiechnąłem się do niej. – Ale tak, jeśli mówisz poważnie, to tak. W sumie dzwonię też w sprawie projektu Peter.

– No... więc... Peter i jego potomkowie zażerają się radośnie tym pnączem i konwertują je w szybkim tempie na kolejne króliki. Farmerzy są zadowoleni, króliki są zadowolone, raptory są zadowolone – bo nie jest dziwne to, że im też króliki smakują. W sumie wygrywają wszyscy poza pnączem.

– Super. – Wywołałem inny obraz na ekran. – Z innej beczki: zmajstrowałem małego drona, zoptymalizowanego do polowania na dorosłą formę pasożyta. Mówiłaś, że nie wydaje ci się, żeby zabijanie go coś bardzo zaburzało w ekosystemie, tak?

– Tak jest, o panie elektroniczny. To drapieżnik alfa. Pewnie wystąpi jakaś eksplozja demograficzna w gatunkach, które normalnie wykorzystuje, ale domyślałam się, że zajmą się tym jacyś normalni drapieżcy.

– A, no to dobrze. Dołączam je do głównego systemu monitoringu. Musisz mi tylko oszacować, ile ich powinno jednocześnie latać.

Kiwnęła głową. Wpatrywała się w rozpuszczalnik, kręcąc kubeczką w dłoni. Miejmy nadzieję, że zastanawiała się nad kolejną lufą, a nie obawiała o własne zdrowie. Zapytałem więc:

– Co to jest ta „kachiriacha”?

– Cathaoireacha. To po irlandzku „krzesła”.

– Krzesła? W Irlandii pije się zdrowie krzesel?

Bridget roześmiała się.

– Jest taka historia, pewnie zmyślona...

Machnąłem zachęcająco dłonią.

– Dobra, ale pamiętaj, sam chciałeś.

Rozsiadła się wygodniej i naląła sobie kolejną szklanekę rozpuszczalnika.

– Jeden Brytol postanowił zatrzymać się w hotelu Rosslare w hrabstwie Wexford. Wypija trochę, potem jeszcze trochę i w końcu robi się towarzyski. No i pyta barmankę, jak będzie po irlandzku „cheers”. A wiesz, jaki akcent mają Brytole... – Uśmiechnęła się przewrotnie. – Zrozumiała, że to „chairs” i mu powiedziała. No i odtąd za każdym razem, jak stawia wszystkim kolejkę, odwraca się do nich, unosi szklanekę i mówi „cathaoireacha”.

Zachichotałem. Bridget spojrzała na mnie groźnie.

– Cicho tam z przodu. Inni goście patrzą dziwnie po sobie, ale co, wypijają. Po wszystkim Paddy patrzy na Seana i pyta: „Co to, kurna, miało być?”. A Sean wzrusza ramionami i mówi: „Ja tam nie wiem, ale jak stawia, to niech se pije zdrowie czego chce, może być i taboretu”.

Zaśmiałem się.

– Znam parę irlandzkich kawałów.

– Ani mi się waż. – Uśmiechnęła się szeroko, a ja nagle poczułem żal, że już nie jestem człowiekiem.

* * *

– Stéphane, poznaj Bridget. Bridget, Stéphane.

Wyciągnął dłoń, ona ją uściśnęła. Oboje odwrócili się do mnie. Czy właściwie do drona, z którego patrzyłem. Nowy model był nieznacznie większy od piłki do softballa, więc mógł wlatywać do wnętrza. Wszyscy mówili, że głos mam trochę blaszany, ale to było do przeżycia.

Obniżyłem się na wysokość do rozmowy, a oni usiedli. Zamówienie już wysłałem wiadomością kelnerowi, więc piwo pojawiło się prawie od razu.

– Co to, jakaś specjalna okazja? – Bridget popatrywała to na mnie, to na Stéphane’a.

– Właściwie nie. To znaczy... nie planuję przejęcia władzy nad kolonią ani niczego takiego. Jezus, po co by mi to było? – Zaśmiałem się.

Stéphane’owi zadrgała powieka, więc domyślałem się, że blaszany śmiech nie zabrzmiał za dobrze po drugiej stronie.

– Powiem wam jedno: przy tych wszystkich brontach i innych dinozaurach, raptorach, pnączach, kupidynekach i wszystkim innym, co uatrakcyjnia życie tutaj, przez większość czasu współpracuję właśnie z wami. Komisja chce, żeby wszystkie informacje szły przez nią, a ja czasami mam ochotę walić ich po gębach.

– Czyli po prostu otwierasz nieoficjalne kanały, tak? – Jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech.

– Coś w tym stylu. No wiesz, po prostu, żeby szybciej załatwić pewne sprawy?

Stéphane zerknął na Bridget.

– To tobie zawdzięczamy te króliki? Dobry wybór. Już parę razy w tym miesiącu miałem na obiad duszonego królika.

Bridget parsknęła śmiechem i spojrzała na mnie.

– Mówiłam.

Otworzyła swój tablet, postawiła go w rogu stołu, po czym spojrzała na drona i wskazała tablet brodą. Zrozumiałem aluzję, podleciałem

dronem pod sufit i przeniosłem swój obraz na tablet.

– Tak lepiej?

Oboje wyszczerzyli się do tabletu. Stéphane powiedział:

– Dalej jesteś paskudny.

Co za wspaniałe popołudnie.

32. Linus

Bill, maj 2178, Epsilon Eridani

[Wiadomość od Linusa]

– Linus? O rany! Dawaj!

Całkiem niedawno odebrałem transmisję radiową od Linusa dotyczącą Epsilonu Indi i Klaunomobilu. Niestety odleciał z Epsilonu, zanim dotarły do niego plany UNOP-a. Nie było z nim kontaktu od roku 2150, kiedy opuścił ten układ. Kolejną wiadomość, radiową, wysłał po paru miesiącach od pierwszej. Uśmiechnąłem się. Będzie miał trochę do nadrobienia.

W pierwszej transmisji od Linusa był cały opis spotkania z Henrym Robertsem, replikantem z australijskiej sondy. Która oficjalnie nie istniała.

Gupik wyświetlił mi maila. Był to właściwie opis bieżącego statusu. Linus wciąż był o parę dni stąd, a aktualizacji do modułu VR nie dostawał od trzydziestu paru lat. Dawny protokół wideo był o wiele bardziej od nowych, ulepszonych, podatny na ograniczenia związane z τ .

Posłałem mu mailową odpowiedź, dając w załączniku ostatnie aktualizacje do VR. A sam tymczasem zacząłem budować dla niego odbiornik UNOP, żeby był gotowy do zainstalowania zaraz po przylocie.

* * *

Linus usiadł z kawą w dłoni i założył nogi na biurko. Podniosłem brwi.

– No co, Bill? – odpowiedział ze śmiechem. – Naprawię wszystkie wirtualne szkody, dobra?

Uśmiechnąłem się do niego.

– Nie tak nas mama uczyła.

Przewrócił oczyma i zdjął stopy. Zmaterializował sobie podnózek i umieścił je na nim.

– Przyznaję, niezła ta nowa VR-ka. Podoba mi się. Nieźle ci się udało.

– Nie tylko mnie, wszyscy się dorzucali ze swoimi doróbkami. Bob 1 zrobił całą nową gałąź kodu na Delcie Eridani, zanim się z nim zgraliśmy. Wszystkie te drobne realistyczne szczegóły są jego.

Usadowił się wygodniej, a ja uśmiechnąłem się szeroko, wykorzystując krótką przerwę.

– No dobra, zanim eksploduję, co to za „Klaunomobil”? Naprawdę tak nazwałeś planetę?

– Tak. – Linus uśmiechnął się szeroko. – Widziałeś diagram układu? To jest księżyc planety jowiszowej, jego orbita i oś obrotu są prostopadłe do normalnej płaszczyzny. Spróbuj sobie zwizualizować drogę słońca po niebie w ciągu roku.

– Do zamieszkania?

– Ściśle rzecz biorąc, to tak. Atmosfera dobra, ciężenie dobre, życie biozgodne. Ale w życiu nie chciałbym tam mieszkać.

– A. Z drugiej strony nie mamy nadmiaru planet docelowych. Założę się, że któraś enklawa ją wybierze.

Linus kiwnął głową. Na moment przybrał nieobecny minę – wiedziałem, że chce porozmawiać o Henrym. Poczekalem, aż zbierze myśli.

– Wiesz, Bill... trochę pracowałem z Henrym. Czytałeś raporty, prawda?

– Nie miał VR-ki, dostał psychozy i zaczął wykonywać zniekształconą wersję swoich rozkazów. Wyciągnąłeś jego macierz z budowli, którą postawił, i stworzyłeś dla niego VR-kę, a potem zacząłeś go amatorsko terapeutyzować.

Skinął głową.

– Doprowadziłem go do punktu, gdzie rozumie, co się stało. Teraz już żyje w rzeczywistości, ale dalej jest trochę niestabilny. Zdarzają mu się nagłe ataki paniki. Kiedy to się dzieje, chowa się na swojej łódce.

– A co je wyzwala?

– Ma agorafobię, co trochę dziwne, bo z drugiej strony nie ma problemu z przebywaniem w małej łupince na środku oceanu. – Przewrócił oczyma. – I Gupika nie lubi. Zdaje się że Australijczycy nazwali go tym samym skrótem, co WIARA...

– Odwrotnie, Linus. Później ci wyjaśnię, o co chodzi, ale faktycznie Australia była pierwsza. Nieważne. Mów dalej.

Rzucił mi zdziwione spojrzenie, ale chyba postanowił nie burzyć mojego planu. – No, bo... wiesz, te wyimaginowane istoty, które go torturowały, to były ryby. Próbowałem go odczulić na Gupika. Trochę pomaga, że my ubraliśmy go w admirała Ackbara. *Gwiezdne wojny* oglądał i uznał, że to całkiem śmieszne.

Pokręciłem głową.

– Niesamowite. Sto lat po nakręceniu *Gwiezdných wojen* i *Star Treka* ludzie dalej to oglądali.

Linus wzruszył ramionami.

– Kiedy Pierwszy Bob był dorosły, wciąż grali *Czarnoksiężnika*

z *krainy Oz*, tego z Judy Garland. Nakręconego siedemdziesiąt pięć lat wcześniej. To czemu nie *Gwiezdne wojny*?

Machnąłem ręką, przyznając rację.

– Zaktualizowałeś mu VR-kę i sprzęt, tak? To go tu zaprosimy.

Linus kiwnął głową i na moment zamarł. Potem, gdy jego awatar z powrotem ożył, razem z nim pojawiła się jeszcze jedna osoba. I to nie Bob. Henry był niższy, miał szczupłą, wysportowaną sylwetkę i ciemne, rzadkie włosy. Przez chwilę kręciło mi się w głowie. Od tak dawna nie widziałem nikogo oprócz rozmaitych wariantów Boba. A wideokonferencje z ludźmi się nie liczyły. Wirtualka to czy nie, Henry tu był.

Trochę uspokajałem oddech, potem wyciągnąłem do niego dłoń.

– Cześć, Henry. Witaj w Bobiwersum.

– W czym? – Obaj zdumieni się jednocześnie.

– Długo by opowiadać. – Zaśmiałem się. – Henry, posłuchaj. Masz swoją domenę i swój własny firewall. Dla obopólnego bezpieczeństwa. Ale masz dostęp do wszystkich publicznych zasobów w BobNecie, w tym kilku blogów. Powinieneś zacząć je czytać. Ty też, Linus. Jesteście sporo do tyłu.

Jeeves pojawił się na wezwanie i zaproponował Henry'emu kawę. Ten wytrzeszczył oczy i wskazał palcem.

– To jest... ten...

Wyszczrzyłem zęby.

– John Cleese. No tak. – Spojrzałem na Linusa. – To ty nie masz Jeevesa?

Pokręcił głową.

– Nie pasował mi do wystroju VR-ki.

Tymczasem Henry przyjął z zadowoleniem kawę.

– Masz może coś mocniejszego? – zapytał.

Kiwnąłem na Jeevesa, który wyciągnął znikąd butelkę whiskey. Szybko jej nalał i Henry zrobił jeszcze bardziej zadowoloną minę.

– Na poziomie intelektualnym rozumiem, że to wszystko rzeczywistość wirtualna. – Henry usiadł i machnął wokół ręką. – Ale wygląda niesamowicie. Gdybym nie wiedział, spokojnie mógłbym się nabrać. – Zwrócił się do Linusa: – Bez urazy, ale ta twoja VR miała sporo problemów, zresztą pewnie wiesz.

Linus zbył go machnięciem ręki.

– Wiesz, Henry, Bill i reszta pracowali nad tym trzydzieści lat, kiedy mnie nie było. To nie powinno być zaskakujące.

– No dobra. Będę musiał doczytać. Nie ma sprawy. A ilu ludzi może się pomieścić w jednej takiej wirtualnej sesji?

– Henry, to zależy od mocy komputera, na którym ona chodzi. Tutaj, w Epsilonie, ja mam potężną maszynę specjalnie do tego celu. Robiłem

na niej zgromadzenia Bobów i mecze baseballa z dziesiątkami gości. – Zerknąłem po nich po kolei. – Obaj macie sporo do nadrobienia. Linus, już zacząłem dla was obu budować statki najnowszej generacji. Henry, co chcesz robić, zależy tylko od ciebie. Rozumiem, że masz parę wrażliwych kwestii, z którymi musisz sobie poradzić. Nie ma pośpiechu. Mamy czas do końca świata – dosłownie.

Henry zrobił wstrząśniętą minę. Może wcześniej to do niego nie dotarło. Jako replikanci byliśmy nieśmiertelni. Niektórzy z Bobów z późniejszych generacji zaczęli nawet nazywać ludzi „efemerydami”. Nie miałem ochoty nikogo pouczać, lecz sam odbierałem to jako lekceważące i odczłowieczające.

Nachyliłem się do nich i odstawiłem kawę.

– Henry, jak będziesz miał chwilę i ochotę, chciałbym zobaczyć ten twój jacht. Pewnie już wiesz od Linusa... my nie mieliśmy żadnej styczności z żeglowaniem. A na razie po prostu zapoznajcie się z najnowszymi wieściami.

Henry kiwnął głową i uśmiechnął się nieśmiało. Linus zerknął na niego i zniknęli.

Już nie mogłem się doczekać kolejnego Zgromadzenia Ogólnego Bobów.

33. Kłopoty w raju

Bob, styczeń 2180, Delta Eridani

Niszczyciel znalazł sobie partnerkę. Pracowali z Archimedesem nad szkieletem namiotu, a kobiety zszywały pokrycie. Centrum Camelotu było teraz całe zastawione namiotami, zaczynałem też obserwować różnicowanie w ich kształtach. Archimedes przebudowywał swój po raz trzeci, co zaczynało już denerwować Dianę. Rzadko się z nią zgadzałem, ale tym razem byłem w stanie przyznać jej rację.

Całość miała klimat spokojny i idylliczny, jeśli nie liczyć chodzących dookoła uzbrojonych Deltan. Jasne, oni zawsze byli uzbrojeni, ale dawniej ta broń miała służyć do polowań i obrony przed drapieżnikami w rodzaju goryloidów. Jednakże w ciągu ostatniego roku czy dwóch przemoc zaczęła się zdarzać pomiędzy samymi Deltanami.

My siedzieliśmy z Marvinem pośrodku VR-ki z wioską i obserwowaliśmy. W VR-ce mieliśmy teraz podgląd aktywności w stuprocentowo rzeczywistym czasie, z wyjątkiem jednego czy dwóch ślepych punktów, gdzie nie udało mi się przemyścić kamer.

Marvin machnął kieliszkiem koniaku mniej więcej w kierunku grupki młodych Deltan. Podłapał ten nawyk od Howarda z Wolcana, a mnie wciąż to śmieszyło.

– No proszę. To Camelot ma teraz uliczne gangi – powiedział. – Tylko co będą robić? Chodzić i podwędzać sobie namioty?

W odpowiedzi przewróciłem oczyma i kiwnąłem teatralnie głową.

– Niedawno się tak narobiło. Według mnie to się wiąże z gęstością zaludnienia. Robi się zbyt ciasno, a namioty zajmują więcej miejsca, co jeszcze pogarsza sytuację.

– Wszystko ma efekty uboczne – stwierdził z uśmiechem Marvin. – Ale zauważyłeś, że te gangi są koedukacyjne?

– No. Jakby wziąć jakiegoś socjologa, na pewno miałby coś do powiedzenia, ale w naszych bibliotekach z tą działką jest nie za bogato.

Prychnął.

– Nie jest to raczej ulubiona dziedzina teistów, nie?

Kiwnąłem głową.

– A szkoda. Ostatnia pora godowa była znacznie bardziej brutalna. Dwóch typów zmarło od odniesionych ran. A teraz w *hexghi* też zaczęła się przemoc. Niepokoi mnie to.

– Może przywalisz komuś niszczycielem...

– Bardzo śmieszne, Marv.

Wzruszył ramionami. Wiedział, że od czasu wygnania trzymam się na dystans. Nie mogłem narazić Archimedes na konsekwencje, gdyby ktoś przyuważył *bawbe*.

Po chwili dodał:

– Tylko że wiesz, Bob, te problemy to skutek głównie wzrostu ich populacji. W kategorii problemów to o wiele lepiej niż te, z którymi ich zastaliśmy.

Uśmiechnąłem się. Marvin po prostu próbował mnie pocieszyć. Ale miał rację. Kiedy znalazłem Deltan, walczyli z wymieraniem. Rosnąca liczebność była nieskończenie lepsza, mimo problemów, które się z nią wiązały.

– No i co z tym robimy?

– Nic. Na razie. Wygnali mnie. Pamiętasz? – Wzruszyłem ramionami.

– To jest chyba ten moment, kiedy się wycofuję i zostawiam ich własnemu losowi. Mówiłem o tym już wcześniej, ale chyba zawsze się spodziewałem, że to będzie mój wybór. A nie, że mi go narzuca. – Uśmiechnąłem się krzywo do Marvina, a on się roześmiał.

– Jestem przekonany, że każdy rodzic się tak w pewnym momencie czuje.

34. Łoś

Bill, czerwiec 2185, Epsilon Eridani

Biegając, czułem powiew wiatru na twarzy. To było zupełnie coś innego niż VR. Superktosiem sterowałem bezpośrednio – no, powiedzmy – a biegł po powierzchni Ragnaröka. Bez problemu wyciągałem 70 kilometrów na godzinę – odruchy androida ogarniały koordynację kończyn nawet przy takiej prędkości.

Cały system był jeszcze mocno niedoskonały. Żeby to wszystko działało, za łosiem leciały dwa drony. Łączność pomiędzy Superktosiem a nimi była przekazywana do mnie UNOP-em. Był to bardziej projekt pilotowy niż praktyczne rozwiązanie. Ale jeśli nie zwracać uwagi na powiązany na sznurki system łączności, byłem teraz fizycznie obecny na powierzchni planety.

Zwolniłem, bo zbliżałem się do współrzędnych celu. Podbiegając do plamy zieleni, zachwycałem się gładkim ruchem mięśni pod skórą. Uświadomiłem sobie, że VR-ka nie ma takiego poziomu szczegółowości. Trzeba to będzie poprawić. Zresztą i tak trzeba było do niej wypuścić zbiorczy zestaw poprawek.

Zatrzymałem się na skraju zielonego obszaru i przyjrzałem się tej mieszance mchów i porostów. Potrzeba było naprawdę okrutnej selekcji, żeby dojść do czegoś, co przeżywało w tutejszej atmosferze. Przez jakiś czas każda kolejna generacja miała mniej niż 1% przeżywalności. Ale to, co teraz widziałem przez sobą, wynagradzało cały ten wysiłek.

Zielona plama pobierała dwutlenek węgla i wydzielala tlen. Jasne, tylko w dzień, ale wyhodowałem ją tak, że w nocy wchodziła w głębokie uśpienie, tak że w praktyce tego tlenu nie zużywała. Była w stanie co roku podwajać swoją powierzchnię, o ile miała dość miejsca, a ja dopilnowałem, żeby zostawić wystarczająco duże odstępy między nasadzeniami. Zamierzałem też obsiać kolejne obszary, tak że za dziesięć lat spodziewałem się pokryć połowę powierzchni wszystkich lądów. I za kolejne dziesięć lat mieć znośną dla ludzi zawartość tlenu w atmosferze.

Atmosfera miała jeszcze inne problemy. Za dużo CO₂, za mało azotu, za dużo metanu i innych gazów organicznych. Ale już miałem zaplanowane projekty, które rozwiążą te problemy.

Niedawno zasiałem w niektórych morzach różne formy

fotosyntetyzujących glonów. Trochę żałowałem, że ci spadochroniarze z łatwością wyprą miejscowe życie, które dopiero zaczynało raczkować, wiedziałem jednak, że i tak by nie przetrwało wprowadzenia ziemskiej morskiej fauny. Ludzkość wciąż miała drastycznie mało planet do kolonizacji. To musiał być mój priorytet numer jeden.

Za pięćdziesiąt lat miałem dysponować planetą, po której ludzie będą mogli chodzić bez skafandrów. A to już dobrze.

Na razie Superktoś miał cały świat dla siebie, jako jedyny czworonóg na pustej planecie. Morza jeszcze nie zlały się w oceany, choć brakowało do tego może dwóch lat. A na razie mogłem wszędzie dojść suchą stopą, czy raczej kopytem. Wybrałem sobie kolejne miejsce inspekcji i dałem gaz w podłogę.

* * *

– No dobra, niezłe to było! – Garfield zamknął nagranie sesji z łosiem. – A mogę ja spróbować?

– To trochę intymne, nie wydaje ci się? Zbuduj sobie własnego. Przecież to nie musi być łos.

– No tak. Też mnie to zaciekawiło. Czemu nie poszedłeś w coś człekokształtnego? Przecież o to tak naprawdę chodzi?

Machnąłem ręką w ogólnym kierunku okienka wideo.

– Pewnie, ale dwunożność tylko podniosłaby mi wymagania na równowagę i sprzężenia zwrotne, o rząd wielkości, a jednocześnie miałbym mniej miejsca na sprzęt komputerowy. Ale do tego też dojdę, nie myśl sobie.

Garfield kiwnął głową i w zamyśleniu potarł podbródek.

– Hmm. Ja to zawsze chciałem latać...

* * *

Wokół stołu siedziało dziesięciu nowych Bobów, każdy z ulubionym napitkiem w dłoniach. Od niedawna moją standardową VR-ką był właśnie ten pub. Park mi się znudził, a zwłaszcza te durne gęsi.

Uniosłem szklanę.

– Za odbicie 82 Eridani.

– „Odbicie”? – Loki uśmiechnął się szeroko. – To my ją w ogóle mieliśmy?

– Loki, daj spokój. To zwrot retoryczny. Nie musi mieć sensu.

Rozległy się śmieszki, Bobowie unieśli szkło na zgodę.

Mieli być drugą grupą uderzeniową na 82 Eridani. Pierwsza próba

skończyła się z grubsza remisem. Zabiliśmy wszystkie Medeirosy w układzie, o ile nam było wiadomo, ale przeżył tylko Khan, więc nie byliśmy w stanie obronić się przed automatycznym uzbrojeniem. Tym razem dwaj członkowie grupy uderzeniowej polecą transportowcami, które napchałem licznymi innowacjami i kupą dodatkowych niszczycieli. Nie przewidywałem problemu z przewagą liczebną.

To nie była tylko sprawa honoru. Milo, zanim go storpedowano, zidentyfikował nie jedną, lecz dwie zdadne do zamieszkania planety. Medeiros, pozostawiony sam sobie, obstawiłby cały układ wojskiem w oczekiwaniu na kolonistów z państwa, które już nie istniało. Musieliśmy go odbić.

Zgodnie z życzeniem Khana na jedną z nowych macierzy wgrałem jego kopię zapasową. Wyglądało na to, że akurat ta gałąź drzewa genealogicznego Bobów ma upodobanie do złoczyńców, bo on natychmiast po wystartowaniu nadał sobie imię Loki. Już nie mogłem się doczekać, jakie numery wykręcą na kolejnym Zgromadzeniu Bobów, gdy pojawią się on i Thor.

Na inny nowy statek wgrałem kopię zapasową Elmera. Jego pierwsze słowa to był standardowy tekst Ala Pacino. Chyba go rozumiałem. Tak jak Tom Cruise, wracamy do walki, dopóki nie wygramy.

Chwilę rozmawialiśmy, obaliliśmy po kilka szklanek i była pora się zbierać. Pożegnali się, weszli do swojej grupowej VR-ki i odlecieli do 82 Eridani, żeby posprzątać.

* * *

Uniosłem rękę nad głowę i nacisnąłem guzik. Zamiast denerwującego trąbienia zabrzmiała dixielandowa melodia.

Tłumek Bobów, który już mnie miał wybuczeć, zamiast tego roześmiał się.

Przywitałem ich z uśmiechem.

– Tak tylko, żeby nie było nudno. Dobra, najpierw ogłoszenia parafialne. Słyszeliście na pewno o Linusie i Henrym Robertsie. Henry jest już gotów na towarzystwo, więc Linus go przyprowadzi. Bądźcie mili, dobra?

Zareagowali gwizdami i żartami, a ja wysłałem szybką wiadomość do Linusa. Chwilę później pojawił się na sali, z Henrym obok siebie.

Efekt był piorunujący – cisza jak makiem zasiał. Wszyscy Bobowie wytrzeszczyli oczy. Uśmiechnąłem się rozbawiony. Znałem to uczucie z pierwszego spotkania z Henrym. My odróżnialiśmy się po znacznikach z metadanymi, ale poza wariacjami na temat zarostu na twarzy wszyscy zachowaliśmy rysy oryginału. A to była inna twarz. Twarz nie-Boba.

Henry rozejrzał się dookoła.

– No, niezręcznie się czuję.

Powiedział dokładnie to, co trzeba. Wszyscy się roześmiali i podeszli bliżej, żeby się przywitać. Przez chwilę się bałem, że Henry dostanie ataku paniki, ale wytrzymał.

Dałem im parę milisekund, po czym przywołałem wszystkich do porządku krótkim sygnałem syreny.

– Drugi ważny punkt, dla tych, co jeszcze nie słyszeli: druga ekspedycja do 82 Eridani, pod dowództwem Lokiego, właśnie wyruszyła. Lecimy drugi raz skopać dupę Medeirosom.

Gdy ustały owacje, ciągnąłem:

– I ostatni punkt: przypominam o regularnych meczach towarzyskiego baseballa. Przychodźcie, wszyscy. Wiecie, po co to robię. Oczywiście jeśli tylko chcecie. – Odwróciłem się i łypnąłem groźnie na Garfielda. – A do anonimowego trolla, który podrzucił do agendy na dzisiaj punkt o stworzeniu ligi hokejowej: Nie!

Garfield odpowiedział szerokim uśmiechem, a tłum Bobów roześmiał się tubalnie.

35. Akwizycja Howard, wrzesień 2192, Wolkan

Patrzyliśmy z Bridget, jak Butterworth ostrożnie upija łyk. Odsunął szklankę od twarzy i przyjrzał się jej. Ja nie mogę, przybrał jedną z najlepszych pokerowych min, jakie w życiu widziałem. A gardło chyba miał z żelaza. Zareagował tak, jakby pił wodę.

– No i? – Bridget nachyliła się ku niemu.

Uśmiechnąłem się, widząc tę niecierpliwość. Dla mnie to był po prostu interesujący projekt na boku i okazja, by sprawić pułkownikowi przyjemność. Jednakże dla niej to było potencjalne źródło dodatkowego zarobku. Nam, Bobom, kapitalizm nie był do niczego potrzebny, ale w królestwie ludzi pieniądź wciąż rządził światem.

Butterworth zerknął na Bridget, a potem na mnie na ekranie.

– W sumie całkiem niezłe. Zdecydowanie smakuje jak irlandzka whiskey. A odkąd Jameson się skończył, brakowało mi jej.

– Czyli nadawałoby się do sprzedaży? – Bridget wisiała nad nim jak pies czekający na nagrodę.

– Absolutnie. Wiecie, że mamy już paru producentów piwa i kilka małych winnic. Ale to jest pierwszy mocny alkohol, który nie kwalifikuje się jako zagrożenie dla zdrowia i życia. – Butterworth machnął pustą szklanką. – Gdybym nie był na stanowisku, gdzie coś takiego to potencjalny konflikt interesów, sam bym wszedł w spółkę. A tak pewnie będę się musiał zadowolić statusem stałego klienta.

Bridget zrozumiała aluzję i uzupełniła mu szklankę, potem sobie. Ja zmateriałizowałem dla siebie koniak i uniosłem kieliszek do toastu.

* * *

Bridget roześmiała się z pełnymi ustami, w końcu musiała sięgnąć po serwetkę. Jedliśmy kolację *W cieniu zieleni* – tak nazywała się jedna z lepszych restauracji w Przyczółku. No dobra, jedna z niewielu restauracji w Przyczółku. Jadła też tylko Bridget. Ja patrzyłem z jej tabletu, postawionego na drugim końcu stolika. Zmateriałizowałem sobie taki sam posiłek, tylko wirtualny. Nie był zły. Okazało się, że potrafię gotować.

– Czyli Cranston otwarcie zakazał ci sprzedaży whiskey na terenie WIARY? – Przewróciła oczami i odłożyła serwetkę.

– Tak. Okazuje się, że fundamentaliści religijni nie aprobują mocnego alkoholu. Kto by pomyślał?

– To co, mamy skreślić cały ten rynek?

Rzuciłem jej niedowierzające spojrzenie.

– Oczywiście, że nie. Trzeba tylko znaleźć lokalnego dystrybutora. Prohibicja jeszcze nigdy i nigdzie się nie sprawdziła. – Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – A popyt, co ciekawe, zawsze się znajdzie.

– A jak się udają ziemniaki? – Bridget ugryzła kęs steku z bronta i oparła się na łokciach.

– Ziemniaki to hoduję już od ponad roku. – Machnąłem lekceważąco ręką. – Te różnią się tylko tym, że nie idą do wspólnej puli. A udają się świetnie. Wódka będzie na rynku za niecałe sześć miesięcy.

– Zawsze chciałam mieć na kogoś zły wpływ. – Bridget parsknęła śmiechem. – A teraz będę potentatem alkoholowym. Poten-tatką. Ta-ta-tat-tatką.

Uniosłem szklanekę. Z tej okazji okazji piłem wirtualną whiskey, a nie koniak.

– Nasze zdrowie, mała.

Podniosła swoje szkło i wypila. Odstawiła je.

– Ale na pytanie to mi nie odpowiedziałeś.

– Które pytanie?

– To jest spotkanie biznesowe czy randka?

– Tak.

Zareagowała uśmiechem. Rany, co to był za uśmiech.

36. Holownik asteroid Bill, marzec 2187, Epsilon Eridani

– No teraz to całkiem jestem z siebie zadowolony. – Uśmiechnąłem się do Garfielda. Przez jakąś milisekundę udawał niewzruszonego, ale nikt się na to nie nabrał.

Na naszych oczach holownik asteroid zmieniał wektor podejścia jednej z gór lodowych. Z jedną różnicą – tym razem żadną częścią samej góry nie dotykał. Segmenty holownika były rozstawione równomiernie wokół środka ciężkości asteroidy i utrzymywały się na miejscu dzięki własnym napędom SURGE. A całość generowała jeszcze jedno pole SURGE, oddziałujące na całą asteroidę.

Interakcja tych pól była skomplikowana, parę pierwszych eksperymentów się nie udało. Ale ten przeszedł wszystkie próby i dziś odbywał się pierwszy test w praktyce. Wszystkie parametry były w normie, a zmieniający się kurs asteroidy był dokładnie taki, jak trzeba.

Wreszcie Garfield powiedział:

– No i... koniec. Wyłączam.

– Świetnie. Odczekaj sześćdziesiąt sekund, sprawdź, czy nie ma dryfu, i pozbieraj segmenty napędu.

Garfield kiwnął głową. Minutę później dwadzieścia segmentów w kształcie spodków opuściło swoje stanowiska wokół góry, ustawiło się jeden na drugim jak piramidka naczyń i zawisło w położeniu nieruchomym względem Garfielda i mnie.

W okienku wideo góra elegancko wchodziła na orbitę zahaczając o atmosferę Ragnaröka. W stosownym momencie seria wybuchów roztrzaska ją na kostki lodu, które stopią się w atmosferze i będą padać jako deszcz przez następne kilka tygodni. Podręcznikowo.

Spojrzałem z góry na wielki krater na Ragnaröku, który służył za wieczne przypomnienie jednej góry lodowej, której nie złapałem. No tak. Masa energii kinetycznej zawartej w sporej górze materii lecącej z orbitalną prędkością, a fakt, że to lód, a nie skała, nie pomógł tak, jak można by się spodziewać. W kraterze, który nazwałem Dziesiątką, powoli tworzyło się nowe morze.

37. Nie ma Homera Riker, sierpień 2176, Układ Słoneczny

- Nie ma Homera. – Charles wskoczył mi do VR. Miał łzy w oczach.
 - Jak to nie ma? Odleciał z układu?
 - Nie ma. Nie żyje. Przeciążył reaktor i się wysadził. – Obie dłonie miał zaciśnięte w pięści. Nie był w stanie podnieść wzroku, żeby spojrzeć mi w oczy.
 - Z kiedy jest ostatnia kopia...
 - Skasował wszystkie swoje backupy. Wszystkie. Zostawił nam plik. – Charles pchnął mi go i odwrócił głowę.

*Chłopaki,
bardzo przepraszam, że Wam to robię. Wiem, jak się
poczujecie. Ale po tym, co mi zrobiono, nie jestem w stanie żyć –
i po tym, co ja zrobiłem. To mnie cały czas dręczy. Nie mogę
zapomnieć, jak się czułem, kiedy byłem ubezwłasnowolniony.
Zupełnie jakby czuć, że w środku rusza ci się tasiemiec, ale nic nie
możesz na to poradzić. Gdyby to było możliwe, przeedytowałbym
sobie wspomnienia, ale niestety się nie da.*

*Proszę Was, znajdźcie ludzi, którzy są za to odpowiedzialni,
i coś na nich zrzućcie.*

Homer

Spojrzałem na Charlesa. Cały się trząsł i powstrzymywał się od szlochu. Potem rozmazał mi się, gdy i mnie oczy zaszyły łzami.

Spełnimy ostatnie życzenie Homera. To nie będzie żaden problem.

38. Więcej o Innych Hal, maj 2188, Gliese 877

Byłem o dziesięć miesięcy od Gliese 877, kiedy odebrałem ostatnią transmisję radiową Nieśmiałka. Właściwie usłyszałem, jak sam ginę. Dziwne to było uczucie i nie miałem ochoty go więcej przeżywać.

Jak go mogli wyśledzić? Jedna możliwość – przechwycili jego wiadomości, musiały bowiem przechodzić przez układ, kiedy znalazł się po drugiej stronie. Biorąc pod uwagę szyfrowanie wszystkich naszych komunikatów oraz brak jakichkolwiek informacji o formacie, nie groziło nam, że czegoś się z nich dowiedzą, ale samo wykrycie łączności nie było aż tak niemożliwe.

Bardziej mnie niepokoiło, że sam dołączę do Nieśmiałka w roli głównego dania. Nie trzeba być superinteligentnym, żeby po prostu polecieć w kierunku, z którego wyszła transmisja. Jeśli rzeczywiście ją namierzili. W takim razie prosto na mnie może już lecieć obca armada.

Doszedłszy do tego wniosku, natychmiast wykonałem ostry zwrot w prawo z 10 g. Gdy oddaliłem się o parę minut świetlnych od linii prostej łączącej Gliese 877 i Gliese 54, puściłem drona moim pierwotnym kursem. Byłem rozpedzony na tyle, że nie musiał używać własnego napędu. Mógł działać na minimalnej mocy, pobierać tylko tyle prądu, by mieć ze mną łączność maserem. Potrzebny mi był, żeby wiedzieć, czy coś nadlatuje.

Zaś UNOP-em puściłem do Maria trochę komentarzy i analiz. Musieliśmy uwzględnić możliwość, że wyśledzili, skąd przyleciał Nieśmiałek. A gdyby wpadła im w ręce nasza stacja orbitalna, mogliby wykryć, że łączy się z Epsilonem Eridani. A gdyby znaleźli taką, która jest ulepszona i ma UNOP-a, też by go zdobyli. Powiedziałem Mariowi, że jeśli jeszcze jest w okolicy tej stacji, to niech lepiej ją zaminuje.

Rozparłem się w fotelu i w zamyśleniu popatrzyłem za okno. Panoramiczna szyba dawała widok na zimową scenę niezbrukaną jakimikolwiek ludzkimi wstawkami. Wysokie iglaki na pierwszym planie powoli opadały w zadrzewioną dolinę. Płatki śniegu zamazywały dalszy plan, przydając pierwszemu pocztówkowemu klimatu. Drobnie naruszenie realizmu – VR-ka nigdy nie wypełniała się śniegiem, mimo że nie było w niej wiosennych roztopów. Ale w sumie – co za sens w aż tak obsesyjnym realizmie?

Pozwoliłem sobie odejść o około trzydziestu minut świetlnych w bok, zanim skręciłem ku Gliese 877. Dron powinien mi dać znać, jeśli coś będzie szło wzdłuż mojego pierwotnego kursu. Chyba że się z nim zderzy, co szczerze mówiąc, też było do przyjęcia. Połączona energia kinetyczna dwóch mas, lecących naprzeciw siebie z prędkością 0,75 c dałaby całkiem niezły fajerwerk.

Westchnąłem i odwróciłem się do Gupika.

– Kowalski, analiza?

[Zbyt wiele niewiadomych. Jeśli wrogowie SUDDAR ma większy zasięg od naszego, mogą zniszczyć drona, zanim zbliżą się na tyle, żeby ich wykrył. Albo może być za mały, żeby go zauważyli lub żeby się nim przejmowali. Albo mogą nie być zainteresowani na tyle, żeby go zbadać]

– Tak właśnie myślałem. Inni nie przejmują się za bardzo innymi gatunkami. Czy ekosystemami. Czy cywilizacjami. Możliwe, że nas też będą ignorować, jak Borg, póki będzie to dla nich wygodne.

Gupik nie odpowiedział. Może i miał w wersji 3 zwiększoną pamięć, ale i tak do luźnej gadki się nie nadawał.

* * *

Zbliżenie się do Gliese 877 zajęło miesiąc. Nieśmiałość na pewno myślał, że jest ostrożny, więc ja musiałem być dziesięć razy bardziej. Odpaliłem parę sond, z poleceniem, aby spotkały się we współrzędnych dwie godziny świetlne od mojej lokalizacji. Niech posiedzą tam z tydzień, a ja popatrzę, czy jest jakaś reakcja. Dopiero potem je zbiorę.

Wszystko poszło mniej więcej zgodnie z planem. Mnie więcej. Ustawiłem się w ustalonym punkcie, odczekałem, aż sondy spotkają się w swoim. Zdryfowały tam i wyhamowały. Zgrałem sobie wszystkie ich dane i zasiadłem do tygodniowego oczekiwania.

Minęły dwa dni i flotyła Innych pojawiła się na SUDDAR-ze sond. Tak jak liczyłem, byli zbyt daleko, żeby mnie wykryć i żeby ja ich bezpośrednio wykrył.

[Taki sam skład jak ostatnim razem]

– Tak, pod tym względem są dość uporządkowani. Coś wskazuje, że nas wykryli?

[Nie. Kurs jest wycelowany w sondy]

– No dobrze. To wysadźmy je i spadamy.

[Tak jest. Polecenie samozniszczenia wysłane. Czekać na potwierdzenie na SUDDAR-ze?]

– Tak, ale jeśli Inni wykażą jakąkolwiek chęć zmiany kursu, to spadamy natychmiast.

Dokładnie w przewidywanym czasie obie sondy zniknęły z SUDDAR-u. Zawróciliśmy i oddaliliśmy się na rozsądną odległość, z przyspieszeniem 10 g.

* * *

Kiedy wypłułem Mariowi całą telemetrię i raport statusowy, sam też przeczesalem te dane. Wciąż przyspieszaliśmy w kierunku przeciwnym do Gliese 877, choć planowałem zawrócić i podejść jeszcze raz, od gwiazdnej północy, na kolejną rundę przeszpiegów.

W holo powoli wyrysował się obraz wewnętrznego układu. Pierwszą ciekawostką była zewnętrzna skalista planeta.

– No popatrz tylko... – Odchyliłem się z fotelem i pokręciłem z niedowierzaniem głową.

Nawet na Gupiku zrobiło to wrażenie.

[Ta planeta jest w całości pokryta metalem]

– Albo jest w całości zrobiona z metalu. Mamy pewność, że tam pod spodem jest planeta?

[Taka w całości sztuczna konstrukcja byłaby bardzo imponująca]

Poczułem ukłucie irytacji. To ja byłem inżynierem, a Gupik właśnie mnie wytarzał. Oczywiście miał rację. Budowa metalowej planety w całości, aż do jądra, wymagałaby naprawdę niesamowitej technologii. Pokryta metalem, zapewne z dużą ilością podziemnych budowli, była o wiele bardziej prawdopodobna.

Sęk w tym, że nie wiedzieliśmy na pewno. A ja zaczynałem myśleć, że imponująca technologia to właśnie to, czego powinniśmy się spodziewać po Innych. Skupiłem się na głównej atrakcji ekranu.

– To jest to, co myślę, prawda?

[Na podstawie tego, co wykryliśmy, wydaje się, że to są początki sfery Dysona]

A. No. Mówiłem. Imponujące.

Na orbitach tuż poniżej wewnętrznej planety panował ruch jak w mrowisku. Sygnatury radiacyjne, radio, SUDDAR, śmigające we wszystkie strony statki o wysokim albedo. A to i tak były tylko drobiazgi. Na orbicie, w równej odległości od słońca, wisiały potężne konstrukcje. Analiza wykazała, że pasują do kształtu sfery o takim samym promieniu, jak ich orbita. Były to zatem początki sfery obudowującej ich słońce.

– No to już wiemy, na co poszły te wszystkie metale. Możemy się domyślać, co z... – nie byłem w stanie dokończyć zdania. – Mamy jakieś pojęcie o ich populacji na podstawie tych danych?

[Nie do oszacowania, za mało informacji o biologii obiektów]

Hmm, w sumie racja.

Skupiłem się na drugiej planecie typu ziemskiego. Atmosfera nie pozwalała na bezpośrednią obserwację, jednak podczerwień i spektroskopia wykazywały, że generalnie nadaje się do oddychania, choć zawiera kupę zanieczyszczeń. A temperatura była bliska śmiertelnej dla człowieka.

– Domyślam się, że to ich macierzysta planeta. Urządzili sobie globalne ocieplenie, takie, że mało nie wymarli, zanim poszli w kosmos.

[Prawdopodobne]

Z czystej ciekawości zacząłem klecić symulację przewidującą, jak będą budować tę sferę Dysona, ile im to zajmie i ile systemów będą musieli splądrować. Musiałem poczynić masę założeń, ale od czegoś trzeba było zacząć. Pochłonęło mnie to, aż nagle przerwał mi Gupik.

[Alarm! Alarm zbliżeniowy! Nadchodzą!]

– Jasna cholera, chyba żartujesz! Jak oni nas wykrywają? Nawet radia nie używałem! – Z jednej strony to był dobry znak, bo to oznaczało, że nie mają pojęcia, z którego kierunku przylecieliśmy. Z drugiej jednak byłem atakowany, a to aż tak dobry znak nie był.

Poświęciłem parę milisekund na analizę obrazów z SUDDAR-u. Dzięki temu, że Bill go ulepszył, zapewnił mi wczesne ostrzeżenie o nadlatującym wrogu. I znów taka sama formacja jak za dwoma poprzednimi razami. Przynajmniej są konsekwentni.

Nadlatywali od tyłu i nie dało się zastosować naszego tradycyjnego numeru. Miał to być standardowy wyścig na prostej. Co oznaczało, że dowiem się, kto ma lepszy silnik.

Od razu posłałem Mariowi opis sytuacji. Zacząłem także wysyłać pełną kopię zapasową, planując w miarę upływu czasu dosyłać kolejne przyrostowe.

Cała ta analiza i planowanie zajęły może dwadzieścia milisekund. Odwróciłem się statkiem od Gliese 877 i dałem maksymalny ciąg. Co ciekawe, Inni nie od razu zareagowali. Zmieniali kurs z półgodzinnym opóźnieniem. To było i tak za szybko na reakcję optyczną, więc oznaczało, że mój SUDDAR po prostu ma większy zasięg – o trzydzieści minut świetlnych.

Niestety wyglądało na to, że w kwestii napędu SURGE jestem o 2,5 g za chudy. Kolejne impulsy wskazywały, że gonią mnie z przyspieszeniem 12,5 g.

Przegram ten wyścig.

Przez chwilę rozważałem zagłuszanie SUDDAR-u, potem puknąłem się w myśli w czoło: zagłuszanie to nie kamuflaż, to coś jakby oślepiac wszystkich reflektorem. Przecież będą się orientować na to światło reflektora, jak na bikon.

Jedyną moją przewagą była przypuszczalna różnica w zasięgach naszych SUDDAR-ów. Gdyby udało mi się odpowiednio długo

utrzymywać w tej luce, być może mógłbym im całkiem zniknąć z ekranu.

Przez następne kilka dni zmieniałem swój wektor w losowych odstępach czasu i w losowym kierunku, ale zawsze mając na celu zwiększenie przewagi. Inni skracali dystans, wtedy robiłem szybki numer i się oddalałem. Dyskretnie ich warunkowałem, żeby spodziewali się po mnie określonych zachowań, i czekałem, aż zaczną przewidywać moje ruchy.

W końcu robili dokładnie to, czego się po nich spodziewałem. Wykonałem przewidywalny zwrot, a potem, gdy tylko oszacowałem, że jestem poza zasięgiem, skręciłem w losowym kierunku i wyłączyłem wszystkie systemy. Według moich obliczeń miałem być poza zasięgiem ich SUDDAR-u, gdy będą przelatywać. Bez sygnatury reaktora powinienem być niewidzialny, bo zdecydowanie byłem za daleko, żeby mnie wykryć optycznie.

* * *

Leciałem bez napędu przez trzy dni, nie chcąc ryzykować, że zwrócę ich uwagę. Spora szansa, że przeczesują ten obszar, chcąc odnaleźć mój trop. Ale ogrom kosmosu i szybkości, z jakimi się poruszaliśmy, sprawiały, że z każdą mijającą sekundą objętość przestrzeni do przeszukania rosła szybciej, niż nadążali ją przeczesywać.

Czwartego dnia spakowałem wszystkie obserwacje i dane, dodałem swoją kopię przyrostową i wypchnąłem to do Maria.

Coś w tym wszystkim nie dawało mi jednak spokoju.

Czas pojawienia się pozostałych grup patrolowych Innych nie pasował do schematu, w którym szliby za tymi sondami, albo je gonili. Wyglądało to raczej, jakby wykryli je i przylecieli, ale dopiero kiedy sondy znalazły się w punkcie spotkania. Czy Inni są w stanie namierzać nasze kontakty radiowe? To by wymagało niesamowitej czułości, ale w sumie mieli tę wielką siatkową antenę – może ona nadawała się do czegoś więcej niż tylko smażenia Bobów na chrupko. A jeśli poszli za kierunkiem ostatniej transmisji sondy... to by wyjaśniało, jak mnie znaleźli.

Musiałem sprawdzić tę teorię. Wiedziałem, że ryzykuję, ale jeśli okaże się, że mam rację, zysk będzie kolosalny. Da się to wykorzystać przeciwko nim. A może okażą się na tyle głupi, że nabiorą się drugi raz na taki sam unik?

Wysłałem sondę na parę sekund świetlnych i nawiązałem z nią rozmowę. Dopilnowałem, żeby mieć aktualną i zweryfikowaną kopię zapasową. Potem usiadłem i czekałem.

* * *

[Alarm zbliżeniowy! Statki!]

Sprawdziłem SUDDAR i rzeczywiście, Inni lecieli prosto na mnie. Od tyłu, co oznaczało kolejny wyścig na szybkość. Ponieważ sam byłem nieaktywny, to ich impuls SUDDAR-u mnie zaalarmował. Niestety to oznaczało, że już mnie widzą.

Podkręciłem reaktor i napęd SURGE poza czerwoną linię i zacząłem robić uniki, ale było mało prawdopodobne, że tym razem ucieknę. Mieli dużą przewagę szybkości i lepsze przyśpieszenie. No cóż, zaraz się okaże, czy...

[Alarm! Replikant nieaktywny. Napęd SURGE nieaktywny. Kryteria do procedury samozniszczenia: spełnione. Wywołuję przeciążenie reaktora...]

39. Zgromadzenie Bobów

Bill, sierpień 2188, Epsilon Eridani

Nie otworzyłem jeszcze obrad. Czterdziestu trzech Bobów snuło się po sali bankietowej, gadało, kłóciło się, dyskutowało, albo tylko obejmowało się i poklepywało po plecach. Bob 1 stał pośrodku zbitego kręgu i opisywał urzeczony publiczności swoich Deltan. Ciekawie było na to patrzeć. Bobowie odlegli od niego o więcej niż dwa pokolenia traktowali go z nabożnym szacunkiem, jakby byli na audyencji u papieża.

Rozejrzałem się po sali. Byli wszyscy, którzy zaktualizowali się do UNOP-a – niektórzy fizycznie o trzydzieści lat świetlnych stąd. Uśmiechnąłem się na to oszalamiające spostrzeżenie.

Wokół krążyło dwunastu Jeevesów, donosząc wino, piwo, kawę i wszelkie możliwe przysmaki, jakie tylko przyszły mi do głowy. Oczywiście wirtualne. Ale jednak.

Kilka razy zmieniałem akustykę, żeby zmniejszyć hałas w tle. Trochę to było oszukiwanie i generalnie nie robiło się takich rzeczy, mając gości w VR-ce. Jednakże wbrew pozorom to nie była tylko towarzyska impreza.

Ostatnie dane od Hala wywołały burzliwą debatę.

Broń, której użyli obcy, wyglądała na emiter promieni gamma. Teorie, jak fizycznie działa, krążyły po BobNecie od jakiegoś czasu.

Dobra, pora ruszać z tym koksem. Uniosłem klakson nad głowę i dwukrotnie zatrąbiłem. Tak jak się spodziewałem, zwróciłem uwagę wszystkich obecnych. Niektórzy zabuczeli. My, Bobowie, naprawdę nie odnosimy się do siebie ze specjalnym nabożeństwem.

– Koniec miłości. Pora rozpocząć oficjalne spotkanie. Mamy tyle informacji, ile da się zdobyć bez bardziej zorganizowanej – i jawnej – obserwacji Innych.

Na wzmiankę o Innych po sali przeszły pomruki. Medeiros dawno zniknął z radaru jako wróg numer jeden. Inni może nie są świadomi naszego istnienia, ale my już wypowiedzieliśmy im wojnę.

– Thor, ty... – Odczekałem, aż ucichnie śmiech. No tak, Thor. To było nie do uniknięcia, ktoś w końcu musiał pójść w tym kierunku, ale wszystkich to nieustająco śmieszyło. Dobrze, że chociaż nie upodobił się do niego fizjonomią ani nie chodził z młotem.

– Posłuchaj. Masz najlepsze opracowanie tej broni Innych. Możesz nam w skrócie podsumować?

Thor wyszedł na środek.

– A więc tak – mamy pewność, że to jest promień elektromagnetyczny o ekstremalnie wysokiej energii w paśmie gamma. Ma niesamowitą przenikalność, a dla biologicznego życia jest natychmiastowo śmiertelny. Nie ma wątpliwości – właśnie tym zabijają całe planetarne ekosystemy. Żeby pokryć całą planetę, pewnie używają kilku urządzeń.

Thor wywołał schemat reakcji.

– Elektronika uszkodza się nie od samego promieniowania gamma, ale od wtórnej jonizacji. Proponowane rozwiązanie to dwie warstwy zubożonego uranu, naprzemiennie z ekranowaniem elektrostatycznym, wyłapującym naładowane cząstki. To, plus trochę wzmocniona elektronika i powinniśmy przeżyć taki ostrzał.

– Ty pierwszy! – zawołał ktoś z głębi sali.

Kiedy śmiechy się uspokoiły, dodałem:

– Na szczęście nie będzie trzeba drażnić kota samemu. Przesłałem Mariowi te diagramy Thora z opisem, on wyśle któregoś ze swoich Bobów, żeby to przetestował na paru sondach. Zdaje się, że Hal zgłosił się na ochotnika. Chce się zemścić za to, że go zabili.

To spotkało się z okrzykami aprobaty i skróconą wersją piosenki *Daisy Bell*. Oczekałem, aż się uspokoją, i zwróciłem się do Garfielda:

– Może przedstawiś swoją teorię co do ich broni?

Garfield wystąpił i z uśmiechem skłonił się widowni.

– Wielkość tej ich nedorobionej Gwiazdy Śmierci – ja to zacząłem nazywać Asteroidą Śmierci – mówi według mnie wszystko. Ona składa się wyłącznie z reaktorów termojądrowych i jakichś akumulatorów. Podczas wszystkich pościgów za Bobami, dronami i zwiadowcami żadna z nich nigdy nie wystrzeliła dwa razy. To mi sugeruje, że takie rozładowanie jest kosztowne. Domyślam się, że zanim strzelą, muszą te akumulatory ładować absurdalnie długo. Zatem jest jedna strategia w walce, można ich skłonić, żeby strzelili do jakiegoś wabika. Trzeba tylko umyślić coś, co by odpowiednio groźnie wyglądało.

Wystąpienie Garfielda spotkało się z kiwaniem głowami w milczeniu, z namysłem – na Zgromadzeniu Bobów to była największa pochwała.

– Zasoby? – Zerknąłem na Głodka. No tak. Głodek przypadkiem wybrał kurs, na którym wszedł w zasięg jednej z moich transmisji.

Zaczął odpowiadać, ale przerwał mu Wally.

– Ej, zaraz! – wystąpił Wally. – To my już wypowiedzieliśmy im wojnę? To znaczy... tak, trzeba coś zrobić, ale czy już zdecydowaliśmy, jak dużo?

Tu i ówdzie ktoś zagwizdał, albo jęknął, ale generalnie to było dobre pytanie.

Kiwnąłem głową Wally'emu i dodałem:

– Działaliśmy z założeniem, że idziemy w otwartą wojnę. Ale naprawdę, czy jesteśmy gotowi całkowicie zlikwidować inną inteligentną rasę? Nawet taką, co zrobiła to samo innym?

Ktoś z tyłu wrzasnął:

– A jak!

– No dobrze. Pewnie w którymś momencie poddamy to pod głosowanie, ale na razie...

Thor przerwał mi.

– Myślę, że lepsze pytanie brzmi: Jesteśmy w stanie ich zniszczyć? Wrak tego statku wydobywczego, który znalazł Mario, miał lepszą technologię niż my, do tej pory nie wszystko rozkminiliśmy. Mają Asteroidę Śmierci. Mają lepsze napędy SURGE. Potrafią przesyłać energię SUDDAR-em...

– I budują pieprzoną sferę Dysona – dodał Wally.

– Bo widzicie – ciągnął Thor, próbując dojść do głosu. – Na razie tylko trochę ich poszturchaliśmy po brzegach. Żadnej poważnej szkody, nic takiego. Na atak z zaskoczenia będziemy mieć tylko jedną szansę. Potem będą tylko potyczki, bitwy i inwazje, z obu stron. Pytanie za milion dolarów: Czy my jesteśmy w stanie wygrać tę wojnę?

Martwa cisza. Skutki rozumiał każdy z obecnych Bobów. Jeśli rzucimy się na nich i przegramy, ucierpi na tym nie tylko nasze ego. W wojnę zostaną wciągnięci, a w najlepszym razie narażeni na przyszły atak, Deltanie Boba 1, ziemscy koloniści i wszystkie inne inteligentne rasy na tym obszarze.

– Ale jeśli nic nie zrobimy – zauważył Garfield – to dalej będą rabować kolejne układy, żeby budować tę swoją pieprzoną sferę. Hal wyliczył, że aby ją skończyć, trzeba wyczyścić do zera jeszcze sto układów.

– Plus minus pięćdziesiąt – dodał Głodek.

– No jasne, marginesy błędów są duże. Ale pięćdziesiąt do stu pięćdziesięciu układów to pewnie pięć do piętnastu układów z życiem, na podstawie naszego, dość ograniczonego, doświadczenia. I przynajmniej kilka z inteligentnym życiem.

– Tak, bo te „kilka” to Deltanie, Ziemianie i koloniści. Sto układów to promień co najmniej trzydziestu do czterdziestu lat świetlnych, jeśli darować sobie układy o małej i zerowej metaliczności. O ile dobrze liczę, to pokrywa całe Bobiwersum.

Rozejrzałem się po publiczności, czekając na kolejne uwagi. Nikt chyba nie chciał już nic dodać.

– Dobrze, panowie: pora zamykać tę część wieczoru, choć oczywiście możecie zostać, ile tylko chcecie, i pogadać ze sobą. – Odczekałem chwilę na ewentualne sprzeciwy. – Najważniejsza kwestia: ryzyko związane

z wywołaniem wojny z gatunkiem, który wydaje się bardziej od nas zaawansowany i pewnie też ma przewagę liczebną. Spotkajmy się za tydzień i zobaczmy, czy dojdziemy do czegoś nowego na tym froncie.

Wszyscy natychmiast zbili się w małe grupki, a Jeevesowie zaczęli kursować z jedzeniem i napojami.

40. Mam cię Riker, luty 2178, Układ Słoneczny

Człowiek siedział przed wielką ścianą monitorów. Patrzył w każdy przez parę chwil, potem przechodził do kolejnego. Wydawało się, że nigdy nie przestaje, nigdy nie odpoczywa.

Mały, czerwony wiejski domek znajdował się daleko na północ od centrali SZLAG-u. Niczym się nie wyróżniał. Żadnej widocznej technologii, żadnych emisji radiowych, nic, co by sugerowało, że jest czymś ponad domostwo jakiegoś starego pustelnika.

Z wyjątkiem sporadycznych impulsów lasera mikrofalowego. Uśmiechnąłem się szeroko, obserwując go przy pracy. Maser przechodzący przez pięćdziesiąt kilometrów atmosfery nie był do końca niewykrywalny, jeśli ktoś miał odpowiednią motywację. Odrobina rozproszonego promieniowania, nieznaczne podgrzanie powietrza...

Całkowicie bierne namierzenie oznaczało, że nie wiedział, że złapałem jego sygnał. Czyli nie wiedział, że słucham jego rozmów. A szyfrowana łączność przez UNOP znaczyła, że nie może wykryć moich dronów.

No, no, no. Czas na odpłatę. Ale chciałem, żeby najpierw się dowiedział..

41. Ofiary

Bob, lipiec 2182, Delta Eridani

Uniosłem głowę i wybałuszyłem oczy. Gupik miał stały rozkaz alarmowania mnie, jeśli w wiosce lub w okolicy wydarzy się coś nietypowego. Oczywiście Gupik, jak to on, skąpił szczegółów.

Włączyłem VR-kę wioski i znalazłem się w samym środku regularnej bitwy. Najpierw pomyślałem, że to atak goryloidów, później zorientowałem się, że nigdzie ich nie widać. To Deltanie bili się z Deltanami, na dzidy, kije i topory. Widziałem co najmniej z kilkanaście leżących ciał, nieprzytomnych albo martwych.

Archimedes!

Kazałem VR-ce dać zoom na Archimedesesa i jego rodzinę. Z ulgą stwierdziłem, że ich namiot jest tuż poza granicą zamieszek. Archimedes i Niszczyciel stali z łukami w dłoniach i strzałami na cięciwach. Po obu ich stronach – Belinda i Diana, z włóczniami. Ten widok zbulwersował mnie bardziej niż cokolwiek innego. Żadna z tych kobiet dotąd w najmniejszym stopniu nie interesowała się bronią.

Wiedziałem jednak, że i ojciec, i syn mają zasłużoną reputację wyborowych łuczników. Właściwie wydawało się, że skraj bitwy omija obszar wokół ich namiotu. Mniejsza o konsekwencje – gdyby ktoś zagroził Archimedesowi, spotkałby się oko w oko z niszczycielem.

Pojawił się Marvin.

– Co za cholera? Jaki był powód?

– Nie mam pojęcia. Robiłem coś innego i Gupik mnie zaalarmował. Przejrzę monitoring, jak będę miał czas, na razie muszę ochronić Archimedesesa.

Marvin kiwnął głową i na wszelki wypadek przejął sterowanie kilkoma niszczycielami.

Czekaliśmy w napięciu. Archimedes z Niszczycielem parę razy napięli łuki i wycelowali, ale w każdym wypadku Deltanin, który ściągnął na siebie ich uwagę, odzyskiwał rozum i się wycofywał.

W końcu bitwa wygasła. Deltanie zaczęli się rozpraszać, wciąż ściskając broń. Mieliśmy szansę spojrzeć na zniszczenia. Mienie na obszarze bójki zostało oczywiście całkowicie zniszczone. Oby jego właściciele zdążyli uciec. I tak będą musieli wszystko od zera odbudować. Naliczyłem siedemnaście ciał leżących nieruchomo na

ziemi. Co najmniej dwa razy tyłu Deltan krwawiło i wołało o pomoc.

Zrobiło mi się niedobrze. Cóż mogło do tego doprowadzić? Jaki musiał być powód?

Spojrzelismy z Marvinem po sobie i bez słowa wyłączyłem VR-kę.

– Mam nadzieję, że znachorki będą w stanie ogarnąć tyłu pacjentów – powiedział.

– Będą musiały. Dronami nic nie zrobię, nawet gdybym chciał zaryzykować i się ujawnić.

Westchnął.

– Chyba teraz rozumiem, czemu tak ciągle gadasz o androidach Billa. Super byłoby teraz mieć takiego na miejscu.

– Tak, wiem, ale na razie się nie nadają. Chociaż ciągle go męczę.

Usiedliśmy i wyciągnęliśmy nagrania wideo z ostatnich paru godzin. Przeglądaliśmy je z Marvinem kilka pełnych sekund. W końcu przestaliśmy, a Marvin pokręcił głową.

– Pamiętasz, sądziliśmy, że są inteligentni?

– Ech, pewnie. Co za głupota. Żal.

Wszystko – zamieszki, ranni, zabici – zaczęło się od kłótni o podział małego upolowanego zwierzątka. Niewiarygodne.

Parę chwil gapiliśmy się w przestrzeń, próbując się uspokoić. W końcu dałem radę się odezwać.

– Będę zakładał, że przyczyną jest nadmierne zagęszczenie, chyba że objawi się jakiś lepszy powód. I muszę pogadać z Archimedesem.

* * *

Dron stał na ziemi przed Archimedesem, wyglądając zupełnie jak kamień. Archimedes powoli obracał w dłoniach krzemienną bułę, udając, że się jej przygląda. Każdy, kto by go obserwował, stwierdziłby, że pracuje nad kolejnym narzędziem.

– Chyba masz rację, *bawbe* – odpowiedział półgłosem. – Najbardziej nerwowo jest, kiedy wszyscy są w wiosce. Jak myśliwi pójdą na polowanie, jest o wiele spokojniej.

– To nic dziwnego. Od dawna wiemy, że zwierzęta się stresują, kiedy robi się tłok – nawet zwierzęta, które lubią żyć w dużych grupach.

– To co mamy zrobić? Wyrzucić trochę ludzi z wioski?

Parsknąłem śmiechem.

– Archimedesie, poznaj nowy termin: „marketing”. Nie mówisz im, że mają coś zrobić. Przekonujesz ich, że chcą to zrobić, a ty im na to nie pozwalasz. Szczególnie dobrze działa na nastolatki.

Zamyślił się na kilka sekund, a potem się uśmiechnął.

– Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. To jak to zrobimy?

Zastanowiłem się.

– Dobra. Robimy tak...

* * *

– Odwrócona psychologia – powiedziałem.

Program tłumaczący przełożył to na coś w rodzaju „podstępu od tyłu” i Archimedes zrobił zdezorientowaną minę.

Westchnąłem i spróbowałem jeszcze raz.

– Posłuchaj. U moich ludzi zdarzyło się coś takiego. Jeden wielki przywódca chciał upowszechnić wśród swoich ludzi ziemniaki, takie bulwy, bo uznał, że dobrze, by je uprawiali. Wszędzie to rozgłosił, objechał wioski, ale nikt nie był zainteresowany, żeby coś zmieniać. Zatem sam je posadził na swoim polu i wprowadził prawo, że ziemniaki są tylko dla przywódców, a zwykłym ludziom nie wolno ich jeść. I w dwie dłonie dni wszystkie jego ziemniaki zostały ukradzione i ludzie zaczęli je uprawiać. – Przyglądałem mu się, próbując zgadnąć, czy dotarło.

Zmarszczył czoło.

– Zaraz... na jego polu? Znaczący, powiedział bulwom, gdzie mają rosnąć? To nie prościej pójść i sobie nazbierać?

Westchnąłem. Bardzo ludzkie zachowanie, ale nauczył się już je rozumieć. Uśmiechnął się, widząc moją frustrację.

– O rolnictwie już mówiliśmy. Da się wyhodować bardzo dużo roślin na małej przestrzeni, jeśli ma się to odpowiednio zorganizowane. Ale chodzi o coś innego... – wpatrzyłem się w niego, lecz oczywiście tego nie widział – ...że skłonił ludzi do robienia czegoś, mówiąc im, że nie wolno tego robić. Może wy w sumie nie jesteście tacy uparci...

– Aha, jeszcze jak. Nie pamiętasz, jaki był Niszczyciel, kiedy był mały?

Roześmialiśmy się ze wspólnych wspomnień. Słowo „uparty” byłoby niedomówieniem.

– Dobra, *bawbe*, rozumiem. Mamy tym bandom po prostu powiedzieć, że nie wolno im iść do nowej wioski?

– E, no nie, tak to nie zadziała. Niczego im nie mówcie. Zaczynajcie między sobą mówić o zasiedleniu innych starych wiosek, zanim bandy młodzików wpadną na ten sam pomysł. Mówcie głośno, tak żeby „przypadkiem” podsłuchali. – Zrobiłem przerwę, żeby zastanowił się nad tym, co mówię. – Wciągnijcie w to radę starszych, żeby było wiarygodnie. Po prostu zaczynajcie udawać, że o tym naprawdę myślicie, i zaczynajcie to planować.

– I to zadziała? – Archimedes pokręcił głową. – Ci twoi ludzie to są jacyś dziwni.

– Chcesz się założyć?
Uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

42. Biznes

Howard, marzec 2193, Wolkan

Gorzelnia Enniscorthy radziła sobie znakomicie. Przejrzałem arkusze kalkulacyjne. Ledwo się wyrabialiśmy z zamówieniami. A płacić trzeba było przy odbiorze, nie mieliśmy więc problemu z zaległościami.

Po krótkiej dyskusji doszliśmy do wniosku, że potrzebujemy gorzelnii na powierzchni planety i zaprosiliśmy Stéphane'a, żeby pomógł to zorganizować.

* * *

Bridget zamasyście zamknęła etui tabletu i odłożyła go na biurko. Zanim rozparła się w fotelu, parę razy poruszyła barkiem i wygięła kręgosłup.

Stéphane spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Co, znowu krzyż boli? Powinnaś się przejść do lekarza.

Bridget odpowiedziała wymijającym uśmiechem, potem zerknęła na mnie na telefonie.

– Ciebie to pewnie nigdy nie boli kręgosłup, co?

– Jeśli nie zechcę, to nie. Ale przeważnie staramy się, żeby wszystko było jak najbardziej realistyczne. Mięśnie nie muszą mi drętwieć, ale przeciąganie się jest przyjemne.

Kiwnęła głową, patrząc w przestrzeń.

– Ty jesteś praktycznie nieśmiertelny, prawda? Ile właściwie masz lat?

– Hmm. Jako Howard to istnieję od ośmiu subiektywnych lat. Ale mam najwcześniejsze wspomnienia Pierwszego Boba z dzieciństwa, pewnie około drugiego roku jego życia. Czyli: pamiętam jakieś dwadzieścia dziewięć lat Pierwszego Boba, potem cztery lata Boba 1, zanim zbudował pierwszy zestaw klonów, cztery lata jako Riker, piętnaście jako Charles, który był jednym z pierwszych klonów Rikera, i potem osiem lat, odkąd Charles mnie wyklonował. Ale to licząc w czasie subiektywnym. Trzeba po drodze uwzględnić dużo relatywistycznej dylatacji czasu. W każdym razie mam za sobą sześćdziesiąt lat życia.

Zrobiła dziwną minę.

– Skomplikowane. A myśli współdzielicie?

– Z innymi Bobami? Nie. Kiedy czyjś klon się budzi, ma takie same wspomnienia jak jego rodzic, na moment wykonania kopii zapasowej. Ale potem ścieżki się rozchodzą.

– Wow. Nie jestem pewna, czy dałabym sobie z tym radę. Już życie jest wystarczająco skomplikowane.

– A życie po życiu? – Uśmiechnąłem się do niej. – Bo Pierwszy Bob musiał najpierw umrzeć, zanim stał się replikantem. Ale podobno śmierć niespecjalnie ma przyszłość. Tak mówią.

– Z drugiej strony rodzina przestaje dzwonić.

– Ale jednego nie-Boba mamy, wiesz? Replikanta z australijskiej sondy, nazywa się Henry Roberts.

Skrzywiła się, jakby z dezaprobatą.

– Tak, coś słyszałam, że nie jest do końca pozbierany.

– No... na początku miał poważne problemy z deprivacją sensoryczną. Ale my już sobie z tym radzimy. Nowym replikantom raczej to nie grozi. – Zerknąłem na nią z ukosa. – A co, myślisz, czyby się nie zapisać?

– Nie, tak z ciekawości pytam.

– Ale nieśmiertelność... to brzmi dobrze – wtrącił Stéphane, unosząc brew.

43. Wymiana zdań

Riker, marzec 2178, Układ Słoneczny

– Dzień dobry, panie Vickers.

Człowiek na drugim końcu połączenia przez chwilę był zdziwiony, ale szybko się opanował.

– No, jestem pod wrażeniem. Mieliśmy wątpliwości, czy w ogóle uda się wam cokolwiek rozpracować. Chyba nadzieja, że po prostu zniszczycie się nawzajem była trochę przesadnie optymistyczna.

Uśmiechnąłem się do niego – jak kot do złapanej myszy.

– Oho. Niezła z ciebie pracowita pszczołka. Ustaliliśmy, że ataki na Brazylię to także twoje dzieło. Zakładam, że celem było podżeganie do kolejnej wojny, może też zlikwidowanie paru osób więcej, więc te ofiary też idą na twoje konto.

Vickers machnął lekceważąco ręką.

– Mieli szansę odejść dobrowolnie. Naszym obowiązkiem było im pomóc. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz.

– W ogóle chyba cię nie obchodzi, czy ktokolwiek coś zrozumie. Te twoje „oświadczenia” to dla mnie bardziej pompowanie ego niż jakieś informowanie czy pomoc.

Uśmiechnął się szeroko.

– Już, ad persony? Po tobie spodziewałem się trochę więcej.

– Pochlebiasz sobie. To nie jest pojedynek na słowa. Aż tak ważny nie jesteś. Zaspokajam swoją ciekawość i nic ponadto. – Pilnowałem się, żeby mieć neutralną minę. Nie chciałem typowi dawać żadnej satysfakcji. – A skoro już o tym mówimy, dla ciebie cały ten SZLAG to raczej narzędzie niż misja. Tacy ludzie jak ty nie współpracują z nikim, chyba że myślą, że organizacja da się jakoś wykorzystać. To jaki jest ten twój cel?

Po jego twarzy przemknął błysk złości.

– Skoro już pytasz, replikancie... to ja jestem waszym twórcą. Ja wynalazłem platformę, na której mieszkacie. I którą WIARA ukradła bez słowa podziękowania. Nie zasługujesz na istnienie, nie powinieneś w ogóle żyć. A SZLAG jest świetnym narzędziem do osiągnięcia tego celu.

– Myślę, że jego członkowie nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że byli wykorzystywani.

– Nie bądź naiwny. Wiedzą, że mam własne pobudki. Oni

wykorzystują mnie, a ja ich. Każdy dostaje to, czego chce.

– A co ma z tego ambasador Gerrold?

– Gerrold pracował ze mną nad australijskimi replikantami. Kiedy okradliście mnie, okradliście i jego. Bardziej się interesował politycznymi korzyściami – typowy ciasny umysł – ale jego nienawiść jest użyteczna.

Kiwnąłem głową. Miałem już wszystko, co potrzeba. Z wyjątkiem jednego. Zgody.

– Wiesz, Homer popełnił samobójstwo. Nie był w stanie żyć po tym, do czego go zmusiłeś.

– I świetnie. Nie zasługiwał na nic lepszego. Tak jak wy wszyscy.

Zgoda udzielona.

– A ci ludzie, których zabiłeś, w Brazylii i gdzie indziej? Też cię nie obchodzą?

– Zdaje się, że już na to pytanie odpowiadałem. Masz jeszcze do powiedzenia coś, co mogłoby mnie zainteresować? Zanim z powrotem skupię się na zakończeniu waszego istnienia? Bo powstrzymać mnie nie dacie rady. Po prostu jesteście na to za słabi. – Rzucił mi protekcyjny uśmiech.

– Hmm. Bo wiesz, zanim do ciebie zadzwoniłem, nadrukowałem twoje nazwisko na niszczycielu statków. Będzie u ciebie za jakieś dwadzieścia sekund. Zobaczymy, czy będzie za słaby.

Vickers pokiwał głową. Uśmiech nie schodził mu z ust.

– Będzie. Bo nie trafi. Zniszczysz centralę SZLAG-u, ale nie mnie.

Przechyliłem głowę.

– Nie, nie rozumiesz. Tam też leci niszczyciel. Ale ten, o którym ja mówię, celuje w twoją lokalizację, pięćdziesiąt pięć kilometrów na północ i dwa kilometry na wschód od bazy SZLAG-u. Taki wiejski czerwony domeczek, przynajmniej z zewnątrz.

Uśmiech ulotnił mu się z twarzy. Wytrzeszczył oczy i odwrócił się do okna. Do tego okna, które umożliwiło dronom zweryfikowanie jego prawdziwej pozycji. Nikt nie jest w stanie pomyśleć o wszystkim.

– Jeśli wierzysz w jakiegoś boga, skurwysynu, to możesz teraz zechcieć z nim bardzo krótko porozmawiać. I spierdalać do piekła!

Zerwał się z krzesła dokładnie w chwili, gdy przyleciał niszczyciel. Czterysta pięćdziesiąt kilogramów wysokowytrzymałej stali uderzyło w ziemię z ziemską prędkością ucieczki. Krater nie będzie oczywiście wielkości Barringera, ale do wyrwania chwasta wystarczy. Wideo urwało się, gdy cała okolica zamieniła się w parę. Dokładnie w tym samym momencie pięćdziesiąt pięć kilometrów na południe powstał drugi identyczny krater. Z czasem Nowa Zelandia dorobi się dwóch nowych jezior.

W okienkach wideo na boku Bill zaczął powoli klaskać, po chwili

dołączyli Charles i Ralph.

* * *

– Tyle gadania, a potem się okazuje, że też nie masz nic przeciwko przywaleniu czymś w Ziemię, kiedy to dla ciebie wygodne. – Gerrold w okienku łypnął na mnie spode łba.

Zabrałem głos przed rozpoczęciem dzisiejszych obrad ONZ, żeby ogłosić koniec SZLAG-u.

Nie umiałem stwierdzić, czy chce wykręcić się blefem, czy też myśli, że jeszcze nikt nie wie o jego związkach ze SZLAG-iem. W każdym razie, nie byłem w nastroju do takich rzeczy.

Wstałem, położyłem dłonie na biurku i nachyliłem się do kamery. Gdy otworzyłem usta, zdałem sobie sprawę, że jestem zbyt wściekły, żeby składać słowa. Gdybym miał wtedy niszczyciela na posterunku, Gerrold zginąłby na miejscu.

Przyśpieszyłem się na moment, parę razy odetchnąłem głęboko. Ledwo się opanowując, spojrzałem na niego wrogo.

– Posłuchaj, ty pusta, napompowana gnido. Mój najlepszy przyjaciel nie żyje, a do samobójstwa pchnął go twój kumpel i dawny współpracownik, za pełną twoją wiedzą i zgodą. Ludzie w Brazylii zginęli tylko po to, żeby zrealizował swoje chore polityczne cele i złagodził twój ból dupy. I znowu: za twoją wiedzą i zgodą. A większość ludzkości jest teraz na głodowych racjach. Zatem nie mam ochoty wysłuchiwać twojego zakłamanego głędzenia i zastanawiam się tylko nad jednym: pozwolić twoim rodakom usunąć cię ze stanowiska i, miejmy nadzieję, zlinczować czy dopaść cię samemu, zabrać na górę i wyrzucić za śluzę. Jeszcze jedno słowo, ty śmierdząca kupo gówna. No, dawaj! Jeszcze jedno słowo! – Spojrzałem na niego wrogo przez okienko wideo. Na całym zgromadzeniu ONZ nikt nawet nie zaszeleścił, nie zaszeptał. Wytrzymałem jeszcze sekundę i wykrzywiłem się do niego drwiąco. – Jeśli jutro zobaczę cię na oczy, przechodzę do planu B. Żeby nie było, że nie mówiłem.

I zamaszystym gestem odciąłem połączenie.

Charles pokazał zęby w uśmiechu.

– Wiesz co, jak się dobrze wzbudzisz, to strach się bać.

Byłem zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć uśmiechem, odpowiedziałem za to wzruszeniem ramion.

– To za Homera.

44. Baseball

Bill, marzec 2189, Epsilon Eridani

– Skuś, nie odbij! Skuś, nie odbij!

Howard uśmiechnął się na polu zewnętrznym.

– To kiedykolwiek zadziałało?

– To jest tradycja. Dostosuj się i tyle! – odkrzyknął Bob.

Udało mi się rzucić idealnie i nisko. Howard zamachnął się i totalnie nie trafił.

– Trzy. Wszyscy jedną pozycję w przód.

Howard wzruszył ramionami, zmaterializował sobie rękawicę i potruchtał na pole zewnętrzne. Ostatnio w zasadzie mieliśmy pełną obsadę do meczu baseballa zmianowego, ale dwóch drużyn nie byliśmy w stanie skompletować. Zresztą Pierwszy Bob niespecjalnie był graczem zespołowym, wszyscy woleliśmy scrub. To była bardziej „samorealizacja” niż cel zespołowy.

Niektórzy nawet potrafili trafić w piłkę.

Przeszedłem na pozycję łapacza, a Loki przejął rolę miotacza. Wszyscy inni przeczłapali na kolejne pozycje. Gdy tylko byliśmy gotowi, Marvin chwycił za kij. Loki zamachnął się i cisnął piłkę nad jego stanowisko.

Na wysokości jakichś trzech metrów.

Z pola zewnętrznego dobiegło buczenie. Wstałem.

– Trenowałeś, akurat. To jest trenowane?

– Przynajmniej leci w dobrą stronę.

– Aha. Żeby nie musiał zmieniać każdego po kolei odbijającego przez kolejne pół godziny: pozwolę Gupikowi na lekką interwencję. Niech chociaż leci na ludzkim poziomie, dobra? – Kiwnąłem głową na Marvina.

Przy następnym rzucie Marwinowi udało się wybić piłkę na pole zewnętrzne, pomiędzy środkową i prawą pozycję. Howard i Gapcio popatrzyli po sobie, każdy czekał, aż zadziała ten drugi. Marvin, przytomny, dobiegł do drugiej bazy, nim te dwie łamagi zdecydowały, kto ma się ruszyć. Zanim się ruszyli, Marvin był przy trzeciej bazie. Stał na moment i zagrał im na nosie.

W kwestii uzdolnień sportowych wszyscy z oczywistych powodów byliśmy mniej więcej równi. Wszystko sprowadzało się do tego, kto

uważa, a kto odpływa gdzieś umysłem. Tak jak było umówione, pograliśmy subiektywne pół godziny, a potem udaliśmy się do pubu.

Pub chodził na tej samej macierzy, która obsługiwała Zgromadzenia Bobów, miał więc aż nadto mocy procesora, żeby obsłużyć wszystkich Bobów oraz wszystkie piwa. I oczywiście kawę Głodka.

Jak zawsze zaczęliśmy gadać o pracy.

Zostałem okrążony przez grupkę, która chciała mnie wypytywać o Superktosia.

– Łoś? Naprawdę?

– A dlaczego nie? – Wyszczrzyłem zęby do Thora. – Potrzebna mu była wielka zewnętrzna bateria anten, z uwagi na potężne pasmo. Po prostu pobawiłem się trochę estetyką. Widzieliście zdjęcia.

Howard zachichotał.

– Pierwsze, co przychodzi na myśl, to łoś. Chyba kiedy to budowałeś, coś ci się poprzesuwało z proporcjami.

W odpowiedzi parę osób roześmiało się, a inne, które nie widziały zdjęć, patrzyły zdezorientowane.

– Bill, masz na to jakiś perspektywiczny plan? Po co ci to?

Wzruszyłem ramionami.

– Nic dramatycznego, Mario. Ale to ciekawy projekt i może się przydać...

– ...żebyśmy mogli być fizycznie obecni na miejscu – przerwał Howard. – Pamiętam, jak Riker frustrował się czasem, kiedy pracował z tymi enklawami. Ja mam to samo, tylko jeszcze bardziej. Masę interakcji z efemerydami...

– Howard, nie używaj tego słowa. – Spojrzałem na niego spode łba. Na moment się zawstydził.

– Nie ma być pogardliwe. Po prostu, Bill, to jest...

– To mów po prostu „ludźmi”. Pewnie, nie jest pogardliwe, tylko lekceważące. I promuje pogląd, że ich życia mniej się liczą.

Howard rzucił mi puste spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

– W każdym razie chodzi o to, że mógłbym działać o wiele skuteczniej, gdybym, no wiecie... „zstąpił na ziemię pomiędzy nich”. Bo to jest strasznie ograniczające, że latasz, wyglądasz jak wielka stonoga i wydajesz rozkazy przez głośnik.

– Politycy to robią od setek lat – mruknął ktoś.

Uśmiechnąłem się szeroko i poprawiłem go:

– To jest ośmiornica, nie stonoga.

– Są nawet lepsze słowa...

– Anatomiczne...

– Skatologiczne...

Łypnąłem na nich.

– Jak zaczniecie odgrywać Gilberta i Sullivana, to wychodzę.

W końcu moi łosiowi fani rozeszli się i zagadali z innymi grupkami. Ja przeszedłem się po pubie, słuchając, ale nie włączając się. Tematy wahały się od zbliżającego się przybycia kolejnych statków-kolonii na Omikrona-2 Eridani, przez szanse udanej kolonii na Klaunomobilu, florę i faunę na Wolkanie, spekulacje na temat Innych po mój holownik asteroid. Przystanąłem, żeby posłuchać o tym ostatnim.

Mario przerwał to, co akurat mówił, i odwrócił się do mnie.

– Bill, tak się właśnie zastanawialiśmy nad mocą holowników. Jak duże ciało da się pociągnąć?

Uradowałem się. To był jeden z moich ulubionych tematów.

– Na teraz, pewnie moglibyśmy nadać wektor czemuś wielkości połowy Ceres. Czyli jakieś pięćset kilometrów średnicy. Ale ten wektor byłby słabiutki, jakaś jedna setna g czy coś takiego. – Zastanowiłem się chwilę. – A jak duże ciało? No, dajesz więcej napędów i masz większą siłę. Tylko coraz trudniej kontrolować interakcje pomiędzy nimi. Chociaż to tylko problem inżynieryjny. Uczymy się, jak ten napęd zestawić, żeby większość energii szła w poruszanie ładunkiem, a nie w utrzymywanie holowników na pozycjach. Nie dopatrzyłem się na razie żadnego teoretycznego maksimum.

– Czyli kiedyś będziemy mogli poruszać gwiazdy? – Mario, ewidentnie prowokując, wyszczerzył do mnie zęby.

Kiwnąłem całej grupie głową i poszedłem dalej. Następna gromadka mówiła o rozszerzającym się bąblu Bobiwersum. W zasadzie powinniśmy się zbliżać teraz do sfery o promieniu czterdziestu lat świetlnych. Jednakże replikacja okazywała się sporadyczna i nieregularna. Wszem wobec było wiadomo, że my, Bobowie, jesteśmy niezbyt entuzjastycznie nastawieni do dalszego klonowania. Wzruszyłem ramionami. Może Inni to zmieniają.

Zgromadzenie trwało jeszcze wiele obiektywnych minut – a godzin według naszego poczucia czasu. W końcu jednak Bobowie zaczęli się żegnać i znikać. Dobry mecz się udał. No dobra, mecz to nie za bardzo, ale spotkanie potem – tak. Uśmiechnąłem się. Przecież o to właśnie chodziło.

* * *

– Coś bym ci pokazał. – Garfield na próżno starał się nie uśmiechać od ucha do ucha. Dobrze, czyli to nie jest zła nowina.

– Dobra, Gar, wchodzę w to. Co tam?

– Moja odpowiedź na twojego Superktosia. – I zamaszystym gestem wyciągnął okienko wideo. – Rocky!

– Mało trochę podobny do Rocky'ego. Raczej Rodan.

– Ej, jak już czepiamy się szczegółów – rzucił ze śmiechem – to prawdziwy Superktoś był dwunożny.

– Jak już czepiamy się szczegółów, to prawdziwy Superktoś był animowany. I co, lata to coś?

– Teoretycznie tak.

Android stał w ładowni drona towarowego, wciąż przyczepiony do wsporników. Metadane powiedziały mi, że jest zaparkowany na powierzchni Ragnaröka. Garfield otworzył drzwi ładowni, ukazała się naga, skalista powierzchnia planety. Jego awatar zamarł, gdy przełączył świadomość na androida. Wyskoczyło kolejne okienko, z punktem widzenia Rocky'ego.

Na nogach android nie poruszał się zręcznie. W sumie nic dziwnego. Atmosfera Ragnaröka wciąż była rzadka i lot w niej wymagał ogromnej powierzchni skrzydeł, nawet przy potężnych sztucznych mięśniach. Ale chodzenie było w tym wypadku mało istotne.

Garfield ustawił się, rozpostarł potężne skrzydła i wystartował. Parę silnych zamachów wystarczyło, żeby oderwać się od ziemi. Zaczął stopniowo nabierać wysokości. Dron łącznościowy leciał za nim, trzymając Rocky'ego w środku kadru. Drugie okienko wyświetlało widok z jego oczu.

Szczerze mówiąc, to nie było pod żadnym obiektywnym względem nic nadzwyczajnego. Drony umiały latać szybciej, wyżej, zużywając mniej energii, były też bardziej zwrotne. Jednakże wnioskując po moich doświadczeniach z Superktosiem, wrażenia Garfielda były całkiem inne niż podczas latania dronem.

Przez pierwsze dwie minuty szło dobrze.

Potem Garfield wpadł w jakąś turbulencję. Może boczny wiatr, może prąd opadający, kto to może wiedzieć? Rocky dostał przechyłu bocznego, obrócił się o ponad dziewięćdziesiąt stopni. Spróbował to skorygować i obrócił się mocniej w przeciwną stronę. Oscylacja wzmacniała się, a kolejne próby korekty albo pogarszały sytuację, albo wprowadzały jeszcze pochYLENIE i odchylenie.

W końcu złożył skrzydła i zaczął spadać. Pozbył się oscylacji harmonicZnej, ale zaczął gwałtownie tracić wysokość.

– Stary, może rozłóż te skrzydła, co? – Już mówiąc te słowa, się zaczerwieniłem. Nie ma jak oczywiste rady.

– Dzięki, Bill, dobry pomysł, może spróbuję.

Łagodnie obszedł się z moją głupotą. Postanowiłem, że teraz już na dobre się zamknę.

Rozłożył skrzydła w minimalnym stopniu, próbując się ustabilizować. Przez chwilę to jakby działało. Potem pęd powietrza wyłamał mu je, jakby rozpościerał spadochron. Wszystkie kontrolki zapaliły się na czerwono, a Garfield krzyknął.

Wróciłem do VR-ki i zastałem go skulonego, objętego ramionami, z szaleństwem w oczach. Parę razy głęboko odetchnął i łypnął na mnie spłoszony.

– Oj. To sprzężenie z nerwami działa aż za dobrze. To bolało!

Kiwnąłem głową.

– Teoretycznie taki właśnie był zamiar. Ale może trzeba dać jakiś ogranicznik.

– No, chyba trzeba. – Wstał i przeciągnął się ostrożnie. – A Rocky gdzie?

– Jeszcze spada. Ale skrzydła ma złamane, podobnie jak ogon. Chyba nie chcesz być w środku podczas lądowania. – Otworzyłem strumień wideo z drona śledzącego, który wciąż posłusznie leciał za koziołkującym androidem.

Rocky był już ewidentnie górą złomu – Garfield nie pomyślał o wyposażeniu go w spadochron.

Spojrzałem na niego. Wzruszył ramionami.

– To nie upadek zabija... – powiedział ze smutnym półuśmiechem.

Patrzyliśmy, jak Rocky uderza w ziemię. Zdechły wszystkie kontrolki, a lecący z tyłu dron zarejestrował głucho „łup”.

Poleciałem dronowi towarowemu polecieć na miejsce katastrofy i pozbierać resztki. Odwróciłem się do Garfielda.

– No dobra. To poza tym pechowym zakończeniem, jak wrażenia?

– Niesamowite. Latałem. Naprawdę latałem, a nie sterowałem jakimś urządzeniem. Może lotnia byłaby blisko, ale nic innego.

Uśmiechnąłem się do niego. Byłem w stanie to zrozumieć. – To o wiele bardziej realne niż VR.

– No tak. I pozwole Bobom na interakcję ze światem rzeczywistym. Jako istoty, nie jako latające kamery.

– Racja, Garfield. W razie konieczności moglibyśmy nawet trzymać gdzieś w pobliżu tego drona łącznościowego, chociaż to trochę partyzantka.

Patrzył przez moment w przestrzeń.

– Może my nie patrzymy wystarczająco perspektywicznie? Doprowadź ten wniosek do końca – będziemy mogli zastąpić nasze *Nieba* ciałami.

– Takimi *Silkie* od van Vogta, tylko mechanicznymi? – To była oszałamiająca wizja.

– Coś w tym rodzaju. Bill, to może być początek nowego gatunku. *Homo siderea*.

– No... lista zadań do zrobienia robi się coraz dłuższa. Najpierw zobaczmy, czy da się pozbyć tego drona, dobra?

Garfield uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– No to wiesz, co będzie teraz, nie?

– Co?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wytrzymał pauzę.

– Rocky II.

– Daj spokój.

45. Replikacja

Howard, sierpień 2193, Wolkan

– Szukasz czego? – Riker zmarszczył brwi i cofnął się zdumiony.

Poczekaj, aż skończy dramatyzować.

– Informacji o tym, jak się tworzy replikanta. Sprzęt dla replikanta jest i wszystko o nim wiemy, ale mamy trochę umiarkowane pojęcie o tym procesie, gdzie wchodzi ciało, a wychodzą dane.

– A po cholere ci to w ogóle jest?

Wzruszyłem ramionami.

– A tak sobie. Po prostu zauważyłem, że mamy taką lukę w wiedzy. Gdybyśmy chcieli stworzyć nowego replikanta, nie wiedzielibyśmy jak. Jesteśmy my i koniec.

Rzucił mi podejrzliwe spojrzenie, a pod nim, na wysokości pasa, wyświetlił się napis: „Nie jestem pewien, czy żartuje, czy mówi poważnie”.

Parsknąłem śmiechem. Will rzadko praktykował żarty, zwłaszcza po Homerze, ale jak już coś zrobił, zawsze to było bardzo śmieszne.

– Howard, o co naprawdę chodzi?

– Naprawdę o nic, Will. Nie planuję w najbliższej przyszłości nikogo replikować, jeśli o to ci chodzi. Ale: mamy tylko jedno pokolenie ludzi, od których można wydobyć tę informację. Potem będziemy skazani na reverse *engineering*, z masą porażek i falstartów, jak zwykle przy takiej procedurze.

– Czyli to w ogóle nie ma nic wspólnego z doktor Sheehy, tak?

Zachowałem kamienną twarz.

– W ogóle. – Kurde, w tym świecie Bobów człowiek za grosz nie ma prywatności. Zresztą jesteśmy tylko przyjaciółmi. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Will patrzył na mnie, nie ruszając się przez parę milisekund, a potem skinął głową i odwrócił wzrok.

– Dobra, Howard. Poruszę to z odpowiednimi osobami po drugiej stronie. Rozumiem, że Cranstona już wypytywałeś o to, czy WIARA ma jakąś wiedzę o tej procedurze?

– Eee... no, tak. Oczywiście chciał w zamian furę różnych ustępstw, jeszcze zanimby się dowiedział, czy w ogóle ma coś przydatnego.

– No pewnie. – Wyszczrzył się do mnie. – Czemu od razu nie

powiedziałeś? Ograć Cranstona, to mi wystarczy za motywację. – Dopił kawę, kiwnął mi głową i zniknął.

Tak myślałem, że to zadziała. Musiałem tylko za bardzo nie napierać, inaczej nabrałby podejrzeń.

Otworzyłem przechwycony raport medyczny, zatytułowany „B. Sheehy”. Po raz setny przyjrzałem się skanowi, chyba licząc, że tym razem będzie wyglądał inaczej.

* * *

Twarz Cranstona w okienku wideo jarzyła się bardzo niezdrowym odcieniem czerwieni. Powstrzymałem się, żeby się nie uśmiechnąć.

– Jasna cholera! Twój produkt pojawia się na naszym terenie. Mówiłem: nie jesteśmy zainteresowani. Zabroniłem ci sprzedaży u nas twojej diabelskiej mikstury. Masz natychmiast przestać.

Był naprawdę wściekły. Przeklinał i w ogóle. Znakomicie.

– Panie pastorze. A zaraz... teraz to jest panie prezydencie, tak? W każdym razie ja nie sprzedaję ani nawet nie oferuję w Nowym Jerozolimie żadnych produktów opartych na alkoholu. Natomiast pana próby zahamowania podaży na pewno wywindowały cenę na tyle, że ktoś zaczął go sprowadzać ze Szpicbergenu nieortodoksyjnymi metodami. Muszę przyznać, że spożycie macie tam całkiem wysokie...

– Więc je ukróć!

– Nie ma sprawy, sir. Dodam na etykiecie tekst: „Produkt nie przeznaczony do sprzedaży w Nowym Jerozolimie”. To załatwi sprawę. W końcu szmuglerzy i przemytnicy zawsze przestrzegają prawa.

Niesamowite. Nie spodziewałem się, że może jeszcze bardziej poczerwieniec. Człowiek uczy się całe życie, lecz on jeszcze chyba nie skończył.

– Poza tym złożę oficjalną skargę, że wykorzystujesz sprzęt kolonii do prywatnych interesów. Dorabiasz się na naszych plecach.

Pokręciłem ze zdumieniem głową.

– Po pierwsze, to ja wybudowałem te wszystkie obwarunki i za darmo oddałem je kolonom. Po drugie, nie używam żadnego z nich. Zbudowałem sobie własny. A po trzecie, nie żeby to było istotne, ale stopniowo przenosimy produkcję na powierzchnię. Kiedy zakończę przenosiny, ten obwarunek też oddam do dyspozycji kolonii.

– Ostrożnie, replikancie. Może się okazać, że masz ograniczony kontakt z własną rodziną.

Nie była to zaskakująca taktyka, co wcale nie sprawiało, że lepiej ją tolerowałem. Jednakże odpowiedź miałem już gotową.

– Panie prezydencie, zanim was tu przewieźliśmy, podpisał pan

umowę, która przyznawała waszym obywatelom pewne niezbywalne prawa. Zawarł pan także osobiste porozumienie z Rikerem, dotyczące konkretnie naszej rodziny. Spróbuje pan się z tego wycofać, a sprawy bardzo szybko zaczną eskalować.

Poświęciliśmy parę chwil na mierzenie się groźnym wzrokiem. W końcu to on przerwał kontakt wzrokowy.

– Bardzo dobrze. Na razie zajmiemy się granicami. Ale to jeszcze nie koniec. – Sięgnął poza kadr i się rozłączył.

– Wow.

Odwróciłem się do okienka wideo z Rikerem.

– Rzeczywiście, „wow”. Mamy przygotować plan ucieczki dla rodziny?

– Jako jedną z alternatyw. – Will przez moment gapił się w przestrzeń. – Drugą byłoby usunięcie przyczyny problemu.

Uniosłem brwi.

– Znaczą whiskey?

– Nie, głupku. Cranstona.

O, to był plan, pod którym mogłem się podpisać.

46. Klaunomobil

Rudy, luty 2190, Epsilon Indi

Puściłem testowy sygnał do Rikera, żeby sprawdzić swoje τ . Robiłem to regularnie przez ostatnie dwa dni, czekając, aż spadnie do takiego poziomu, by dało się nawiązać połączenie VR. Kilka tygodni wymienialiśmy się mailami, ale powstała taka nowa świecka tradycja, że za przybycie do układu uznawaliśmy moment, w którym Bob poruszający się i Bob stacjonarny mogli się razem wpiąć do VR. Robiło się to znacznie ważniejsze niż fizyczny przylot do układu.

Otrzymałem odpowiedź i po chwili Riker wskoczył mi do VR.

– Cześć, Rudy. Miło cię widzieć. A gdzie Edwin?

– Jeszcze na tyle nie wyhamował. Ja poleciałem trochę szybciej, żeby móc się przyjrzeć Klaunomobilowi. Dotrę do niej za jakieś osiem dni, *Exodus 6* za kolejny tydzień.

Riker kiwnął głową.

– To daj znać, jak już się przyjrzysz.

* * *

Sama planeta niczym się szczególnie nie wyróżniała. Miała oceany, miała lądy. Natomiast cykle dnia i nocy wprowadziły w ewolucji życia pewien chaos. Na podstawie notatek Linusa i tego, co zaobserwowałem w paru szybkich przelotach dronem, planeta przeszła przez coś przypominającego Eksplozję Kambryjską, po której każda odnoga została zachowana. Tak rośliny, jak zwierzęta występowały w ogromnej różnaitości gromad. Na pierwszy rzut oka laikowi mogłoby się wydawać, że każda pojedyncza roślina i zwierzę jest swoim własnym gatunkiem. Linus teoretyzował, że dziwaczne cykle światła tworzyły wiele nisz ekologicznych i możliwości konkurowania.

Włączając kilka różnych wersji fotosyntezy, zoptymalizowanych dla różnych pasm widma. Powstało coś, od czego chyba wzięła się nazwa planety – jej powierzchnia była bardziej kolorowa niż patchworkowa narzuta. Nawet oceany miały różne odcienie, dzięki różnym odmianom planktonu.

Z uwagi na chaotyczną drogę słońca po niebie w ciągu roku, oraz

dotatkowe ciepło i światło bliskiego Jowisza, trudno tu było odróżnić dni, noce, a nawet pory roku. Zachichotałem, patrząc w notatki. Linus zaproponował dla Jowisza nazwę Cyrk. Wątpliwe, żeby któraś z tych dwóch nazw przetrwała pierwsze zgromadzenie ogólne kolonii. Ale na razie jest śmieszna.

Jak było przyjęte między Bobami, Linus zostawił na miejscu trochę dronów wydobywczych i autofabrykę, żeby przetwarzała surową rudę z asteroid w oczyszczone metale i zostawiała je na orbicie z włączonym bikonem. Układ Epsilonu Indi nie był specjalnie zasobny, mimo to automatom udało się zakumulować kilkaset tysięcy ton surowców. Dobry początek.

Pingnąłem Edwina. Dostałem zaproszenie i wskoczyłem mu do VR.

– Cześć, Rudy.

– Cześć, Edwin.

Usiadłem i przyjąłem zaproszenie od Jeevesa. VR-ka Edwina była według mnie z tych lepszych. Zbudował sobie salon z ogromnymi oknami na jednej ścianie, wychodzącymi na to, co akurat było widać z jego statku. Podczas lotu pewnie było to trochę nudne, ale teraz, kiedy wchodził na orbitę, widać tam było Cyrk. Edwin wciąż znajdował się parę milionów kilometrów od niego, ale w końcu to była planeta typu jowiszowego. Już dominowała na niebie.

– No to co tam mamy? – zapytał.

– Ta planeta jest jak jedna powieść Harrisona – odpowiedziałem. – Jak ona się nazywała? A... tak, *Planeta śmierci*. Gdzie wszystko było mordercze.

– Aż tak źle?

Machnąłem ręką.

– Może trochę przesadzam. Ale ekosystem jest bardzo... bardzo ostro konkurencyjny. Wiem, że na Wolkaniu w miarę wystarcza im płót, ale tutaj skłaniam się raczej w stronę kopuł. Nie ze względu na atmosferę, ale ze względu na ohydki.

Edwin parsknął śmiechem.

– O, jaki naukowy termin. Ohydki.

– Nie, nie, tak się naprawdę nazywa jeden gatunek. – Skrzywiłem się drwiąco. – Wszystko przez Linusa. Ohydek to coś w rodzaju latającej pijawki z wieloma przyssawkami. Myślę, że całkiem dobrze się nazywa.

Edwin trochę jakby pozieleniał.

– No pięknie. Może ja zacznę zbierać zakłady, czy nie będzie tak, że koloniści raz się rozejrzą i zaczną wrzeszczeć na mnie, żeby ich zabrać z powrotem?

– Hmm. Ale wiesz, Howard mówił, że robaka-kupidyńka już prawie wyplenili. Może specjalne drony do załatwiania ohydeków załatwią sprawę.

– Jezus. – Edwin ścisnął palcami nos. – Z drugiej strony ja ich tu
wyładuję i wracam na Ziemię. A ty nie za bardzo.
Odpowiedziałem, pokazując mu palec.

47. Nowa Wieś Bob, wrzesień 2182, Delta Eridani

Deltańska rada starszych, włączając Archimedesę i Arnolda, patrzyła, jak prawie setka miejscowych młodzików wymaszerowuje ze wsi, obrzucając gapiów wyzwiskami i przekleństwami. Członkowie rady całkiem nieźle zachowywali powagę, niektórym udało się nawet wyglądać na rozgniewanych. Kiedy koniec parady zniknął w zaroślach, Arnold klepnął Archimedesę w plecy i rzekł:

– No, świetne to było. – Potem nachylił się bardziej i szeptem, słyszalnym tylko przez Archimedesę i szpiegowskiego drona, dodał: – Czuję w tym rękę *bawbe*.

Archimedes wystraszył się i wytrzeszczył oczy, lecz Arnold tylko pokręcił głową i powiedział:

– Ja tam nic nie wiem. Cieszę się po prostu, że się udało.

Inni członkowie rady, rozchodząc się, po prostu kiwali Archimedesowi głową albo się uśmiechali.

* * *

Popatrzyliśmy po sobie z Marvinem, po czym zaczęliśmy się śmiać. Najgorsze rozrabiaki w Camelocie, stuprocentowo przekonane, że to był ich pomysł, właśnie sobie poszły do jednej z opuszczonych wiosek, żeby ją na nowo zasiedlić. A Archimedes zbierał chwałę za to, że wymyślił i opracował tę intrygę. Tak, odwrócona psychologia... działa nie tylko na ludzi.

Marvin przestał się uśmiechać i zaniepokoił się czymś.

– No tak, rozwiązuje to bieżący problem, ale wszystko, co tu robimy, ma jakieś późniejsze efekty uboczne. Co, jeśli za parę lat pójdą na wojnę z Camelotem?

– Marv, nie martw się na zapas. – Westchnąłem i usiadłem. – Jasne, coś pewnie się stanie, ale będziemy się tym wtedy martwić.

Chociaż zapewne miał rację.

48. Operacja Howard, wrzesień 2193, Wolkan

Napisałem do Stéphane'a trzeci raz w ciągu godziny. Nie mogłem już dzwonić, bo po ostatniej próbie zablokował połączenia głosowe ode mnie.

Odpowiedział mi po minucie.

– Jeszcze operują. Uspokój się. Podobno jesteś komputerem.

To mnie dotknęło. Znaczy, właściwie to nie, ale punkt dla niego. Wzięłem głęboki wdech i spróbowałem się rozluźnić.

Operacja Bridget już i tak się przeciągała. Nie było takiego scenariusza, w którym byłby to dobry znak. Usiłowałem zająć się którymś z licznych rozpoczętych projektów, lecz nie byłem w stanie się skupić.

W desperacji spróbowałem się skontaktować z Billem. Gupik powiedział, że prowadzi Superktosia, zatem nie odpowie, chyba że sytuacja jest krytyczna. Uznałem, że moje świrowanie jeszcze się nie kwalifikuje, więc darowałem sobie zostawianie mu wiadomości. Zajrzałem jeszcze na jego bloga o terraformacji, lecz nie było tam nic nowego.

Poważnie rozważałem, czy nie spowolnić sobie zegara, gdy nagle oddzwonił Stéphane.

– Cześć, Howard. Możesz już się przestać denerwować. Jest po operacji i lekarze mówią, że stan jest dobry. Nowotwór był trochę bardziej rozprzestrzeniony, niż się spodziewali, więc usunięcie potrwało dłużej. Ale się udało.

Podziękowałem Stéphane'owi, wymieniliśmy parę zdawkowych uwag, potem się rozłączyliśmy. Usiadłem, chwilę głęboko oddychałem, aż uznałem, że jestem opanowany. I bez choćby najdrobniejszego ostrzeżenia pochyliłem głowę i się rozszlochałem.

Przyjaciele. Nic więcej.

* * *

Od czasów Pierwszego Boba wiele się w medycynie poprawiło, jednak pewne rzeczy nie zmieniły się prawie wcale. Raka dalej można było

usunąć w zarodku, jeśli wcześniej się go zdiagnozowało, ale wciąż nie wyprodukowano szczepionki. I skalpel nadal był jednym z najskuteczniejszych sposobów.

To było nie do zaakceptowania. Co oni, do cholery, robili przez te sto lat? Postanowiłem, że przyjrzę się temu przy najbliższej okazji.

Tymczasem Stéphane usiadł przy jej łóżku. Wdzwonił mnie na telefon w sali. Czekając, wysłałem do Billa szybkiego maila, żeby pośpieszył się, do cholery, z tymi androidami. Wiedziałem, że to nic nie da, ale chociaż mogłem powiedzieć, że coś zrobiłem.

Przerzuciliśmy się ze Stéphane'em paroma zdawkowymi uwagami, lecz żaden nie miał ochoty na nic więcej. W końcu powiedział:

– Muszę się trochę rozprostować i uzupełnić paliwo. Niektórzy z nas nadal muszą jeść. Powiem im, żeby cię nie rozłączali. – Skinął mi głową, wstał i zostawił mnie na straży Bridget.

Widzieliście kiedyś, jak ktoś się wybudza z narkozy? To nie przypomina zwykłego przebudzenia. Budzenie się może w pewnych okolicznościach być nawet sexy. A Bridget wyglądała bardziej jak utopiony szczur poddany udanej reanimacji. Zanotowałem sobie, że mam zachować to spostrzeżenie dla siebie.

Wreszcie otworzyła jedno oko, rozejrzała się i przyuważyła mnie na telefonie. Zmrużyła oczy, skrzywiła się i powiedziała:

– Jezus, co ja muszę zrobić, żeby dostać wolne?

Parsknąłem śmiechem, a potem musiałem na moment spauzować swój obraz, żeby nie narobić sobie wstydu. Zastygłem na parę milisekund, na chwilę zbyt krótką, by cokolwiek zauważyła. Gdy się opanowałem, uśmiechnąłem się szeroko.

– Nic się nie przejmuj, sprzedaż idzie dobrze. W tym roku możesz wziąć wolne na święta i nawet dostaniesz dodatkowy przydział węgla.

Zastanawiałem się, co powiedzieć dalej, gdy do sali wrócił Stéphane, z kawą w dłoni. Twarz Bridget się rozjaśniła, a Stéphane uśmiechnął się, gdy zobaczył, że jest przytomna. Zawołał: „Ma minette!” i podsunął krzesło jak najbliżej jej łóżka. Wziął ją za rękę, a ja praktycznie przestałem istnieć.

Jak ja mogłem tego nie zauważyć?

O czymś gadaliśmy. Nie pamiętam tego. Oczywiście mogłem odtworzyć logi, ale po co? Wymówiłem się, kiedy tylko mogłem to zrobić i nie wypaść dziwnie, po czym zaszyłem się w mojej VR-ce.

No dobra, czego ja się w sumie spodziewałem? Bridget była człowiekiem. Efemerydą. W planach miała dom, rodzinę, miejsce w społeczeństwie. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej do mnie docierało, że starannie unikałem myślenia o pewnych sprawach.

A jedna z tych spraw, która właśnie wyszła na jaw – byłem outsiderem. Widziałem świat przez okienka wideo, czaty i kamery

dronów. Naprawdę nie powinienem się dziwić, że coś takiego rozwinęło się na moich oczach.

Zmaterializowałem sobie wiadro i z całej siły je kopnąłem. Dziwne, ale pomogło.

49. Przylot Mulder, marzec 2195, Posejdon (Eta Cassiopeiae)

– Posejdon. Dobra nazwa. – Marcus pokręcił głową z udawanym zdumieniem, potem siorbnął swojej coli. – Przejrzałem twoje notatki. Niezłe. Takiego krakena to naprawdę chciałbym zobaczyć.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Nie rozczarujesz się. Obiecuję. A teraz jesteś... gdzie?

– Właśnie wchodzę na orbitę biegunową. Monty będzie za jakiś tydzień, powinien już mieć wystarczająco małe τ na kontakt przez VR-kę. Pingnę go.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu i z namysłem pociągnął łyk napoju przez słomkę. Z jakiegoś powodu nigdy nie zasmakował w kawie. Wolał przyjmować wirtualną kofeinę w formie gazowanej. Co za różnica.

Za moment pojawił się i Monty. Zmaterializował dla siebie kolejny fotel, wziął od Jeevesa kawę i rozejrzał się dookoła.

Moja VR-ka nie była jakaś pomysłowa i wykręcona w kosmos, jak u większości. Nigdy nie miałem potrzeby wymyślania czegoś nowego i kreatywnego. Miałem po prostu wariację na temat biblioteki Boba-1, tylko z wysokimi oknami, żeby mieć więcej światła, i bardziej nowoczesnymi meblami.

– Bo wiecie, w wodzie wszystko osiąga wielkie rozmiary, proporcjonalnie do ilości miejsca. W globalnym oceanie, który ma osiemset kilometrów głębokości, mogą wyrosnąć naprawdę wielkie paskudy.

Monty przejął się.

– Ale dywanu nie zniszczą, co?

– No nie, aż takie wielkie to nie są. Ale na tej planecie dzień na plaży może się okazać śmiertelny, nawet jeśli nie wejdiesz do wody. Krakeny się w tym wyspecjalizowały – mają macki, a jedna z ich strategii to porywanie zwierząt ze skraju dywanów.

– Jasne. – Monty kiwnął głową. – Ale te dywany to i tak jest tylko tymczasowe rozwiązanie. W dłuższej perspektywie koloniści będą budować pływające miasta. Potrzebne są tylko środki obrony, żeby nie pozwalać im się zbliżyć.

– No dobra. – Spojrzałem na niego, zmieniając temat. – To kiedy zamierzasz wybutlować kolonistów?

– Na razie budzę Zespół ds. Instalacji. Za parę godzin będą mogli zaczynać. – W odróżnieniu od lądowych kolonii w innych układach tu ekipy miały początkowo przez dłuższy czas pracować z transportowca – Monty’ego, a ludność cywilna nie miała się pojawić wcześniej niż za sześć miesięcy. Kolejne transporty będą już miały trochę łatwiej.

W archiwach mieliśmy całkiem sporo wariantów planów pływających miast. Były popularne przez pewien czas w XXII wieku. Oczywiście na Ziemi miały wsparcie lądowego przemysłu i nie musiały sobie radzić ze stumetrowymi drapieżnikami uzbrojonymi w macki.

* * *

Dyskusja z ekipą przygotowawczą trwała krócej, niż założyłem. Wyglądało na to, że jeszcze na Ziemi sporo zaplanowali, a tu nie pojawiły się żadne niespodzianki. Na razie.

Wszystkie największe pływające dywany poznaczałem bikonami, wiedzieliśmy więc, czym dysponujemy. Ekipa przygotowawcza wybrała kilka z nich, głównie dryfujących w północnym prądzie zwrotnikowym. Miały dobrze ponad sto kilometrów kwadratowych powierzchni oraz komensalistyczne ekosystemy do kompletu. Następnego dnia już zwoziliśmy na dół materiały i sprzęt.

Koloniści, konglomerat enklaw z Mikronezji, Malediwów, Vanuatu i Saint Lucii, musieli być wybudzani małymi grupkami, w miarę budowy miejsca do życia na dywanach. Monty będzie mógł odlecieć dopiero za mniej więcej rok.

Marcus miał zostać, żeby po powrocie Monty’ego na Ziemię pomóc przy budowie kolonii. Zamierzał zbudować flotę załogowych statków kosmicznych, żeby koloniści przestali być zależni od nas. Na Posejdonie, pozbawionym lądu, cały przemysł musiał się znajdować w kosmosie, a Marcus nie miał ochoty wiecznie kursować jak taksówka.

* * *

Marcus wpadł do mnie bez ostrzeżenia.

– Straciliśmy kolejnego osadnika.

– Kraken?

Kiwnął głową i usiadł. Chwilę drapał Kolczatkę pod brodą, potem zmaterializował sobie colę.

– Draper na pewno jest wściekły – stwierdził Monty. – Trzeba

wymyślić coś lepszego do obrony. W takim tempie to zaraz zużyjemy całą ekipę przygotowawczą.

– Albo trzeba znowu rozważyć latające miasta. – Marcus wyszczerzył zęby.

– Oj, puknij się w głowę, Marcus. W bibliotekach nie ma żadnych planów.

– Tak, ale można wziąć holownik asteroid Billa. Założę się, że da się z niego zмайstrować coś, co by utrzymało miasto w powietrzu.

– To jak będziesz miał taki projekt, daj znać.

Machnął lekceważąco ręką i zmienił temat.

– W każdym razie takie status quo jest nie do utrzymania. Krakeny będą się robić coraz bardziej bezczelne. W ogóle budowa pływających miast bez wsparcia z bazy na lądzie będzie wymagać dużo kreatywności i pomysłu.

– A możemy jakoś wzmocnić obronę na dywanach? – zapytał Monty.

W odpowiedzi Marcus wyświetlił schematyczny rysunek wyspy.

– Problem polega na tym: krakeny potrafią przecisnąć mackę przez dywan z roślinności, w dowolnym miejscu, i chwycić ofiarę. Miejscowa fauna nauczyła się cicho chodzić, ale ludzie mają do tego dwie lewe nogi, że tak powiem.

– No i sprzęt też hałasuje jak nie wiem.

Zdegustowany Monty potarł czoło.

– Hm. Jakies pomysły? Ale poważne.

– W sumie jeden mam – odezwał się Marcus. – Mogę przystosować pewne plany z biblioteki i zrobić sieć pod napięciem. Jakiś milion woltów powinien zapewnić negatywne wzmocnienie.

– Albo mokry grób. Też może być. – Kiwnąłem głową. Nieźle.

Marcus wyszczerzył się do mnie.

– A teraz zła wiadomość. Budowa takiej siatki i sprzętu potrzebnego, żeby ją zasilić i zainstalować, obsunie nam harmonogram o sześć miesięcy. Draper przyjmie to równie dobrze, jak Butterworth.

– Piana. Dużo piana.

– No, coś w tym stylu.

Monty stęknął.

– Mnie to też nie zachwyca. Będę musiał tkwić tu przez dodatkowe sześć miesięcy.

– Ty jesteś nieśmiertelny. Przeżyjesz.

– Wal się.

Uśmiechnęliśmy się do siebie szeroko. Rutynowa wymiana epitetów dodawała nam pewności siebie.

– No dobra – powiedział w końcu Marcus. – To idziemy sprzedać im tę radosną nowinę.

– Idziemy? My? Kogo masz na myśli, przyjacielu mojej kozy?

Marcus roześmiał się i zniknął.

50. Druga ekspedycja Loki, listopad 2195, 82 Eridani

Wlecieliśmy do układu na wprost, nie siląc się na jakąkolwiek finezję. Przylecieliśmy nakopać im do dupy, oraz, co ważniejsze, dokończyć to, co zaczęli Khan i jego grupa.

Dwunastu Bobów na *Niebach* w wersji 4, o reaktorach ekranowanych jeszcze grubiej niż w trójkach, w całkowitej ciszy radiowej. Specjalne węglowe okładziny dawały prawie zerowe albedo, pożyczaliśmy sobie też wiedzę od wojskowych, żeby opracować sylwetki prawie niewidoczne dla radaru. Jedyne, na co byliśmy podatni, to skany SUDDAR-em, wiedzieliśmy jednak, że tu mamy przewagę w kwestii zasięgu.

Nie było sensu silić się na subtelności. Za to podstępny zdecydowanie były w menu. Wyrzuciliśmy przed siebie sieć dronów obserwacyjnych, dryfujących na minimalnej mocy i przy minimalnej aktywności. Pomiedzy nimi rozsialiśmy niszcyciele statków i drony-wabiki. Wszystko to komunikowało się UNOP-em, a więc natychmiastowo. Obojętne, czy wróg wykryje najpierw naszych zwiadowców, czy nas, i tak będziemy w stanie go zaskoczyć.

Nie wiedzieliśmy oczywiście, czy po pierwszej ekspedycji zostały jeszcze jakieś Medeirosy. Albo czy przedostały się tutaj te, które uciekły z Alfy Centauri. W najlepszym razie zastaniemy tylko brazylijskie MSI, wciąż patrolujące układ w poszukiwaniu czegoś do wysadzenia. Na tę okoliczność przywieźliśmy mnóstwo wabików.

No tak, uzbrojeni byliśmy jak na niedźwiedzia. Trzeba było tylko mieć nadzieję, że Medeiros tymczasem nie wynalazł większego i lepszego niedźwiedzia.

SUDDAR w wersji 4, o ultramałej mocy, był niewykrywalny, jeśli nasłuchujący nie celował dokładnie w niego. Weszliśmy do układu jak człowiek do ciemnego pokoju, ostrożnie wymacujący sobie drogę i gotowy cofnąć nogę, gdy tylko wyczuje przeszkodę.

Nie było potrzeby. Medeiros może nie miał większego i lepszego niedźwiedzia, ale miał jakiś pasywny system wczesnego ostrzegania, którego nie wykryliśmy. Spotkała nas istna ściana nadlatujących pocisków. Pierwsze starcie wyglądało jak potyczka imperium z republiką w *Gwiezdnym wojnach*. I znowu Medeiros używał tego

swojego maskowania, lecz tym razem byliśmy na to gotowi.

Wyglądało na to, że nadal główną bronią są dla niego atomówki. Cztery zdetonowały natychmiast po wejściu w zasięg naszych obrońców.

Bliskiego kontaktu z wybuchającą bombą atomową nie przeżywało nic, ale w kosmosie fala uderzeniowa miała bardzo krótki zasięg. Na dłuższy główną siłą niszczącą był impuls EMP. A tym razem byliśmy na to konstrukcyjnie przygotowani. Medeiros dopiero po kilkunastu bezskutecznych wybuchach zdał sobie sprawę, że nie działają. Wtedy latające bomby zaczęły przedzierać się bliżej. Niszczyliśmy je igłami plazmowymi, trafialiśmy niszczycielami i dezorientowaliśmy wabikami. A przez cały czas nasłuchiwalismy źródła rozkazów.

Nagle Medeiros pokazał, że wyciągnął wnioski z naszej poprzedniej bitwy.

Rzucił na nas falę dronów kompletnie odmiennych od tradycyjnych latających atomówek. Nasze igły plazmowe po prostu się od nich odbijały.

– No, to niedobrze wygląda. Co może być odporne na te igły?

– Coś, co ma ochronne pole magnetyczne – odparł Elmer. – Trzeba je będzie rozwałać niszczycielami.

– Słuszna uwaga, Elmer. Wszyscy rzucić naprzód połowę swoich niszczycieli. Każdy dron, który przeżyje trafienie igłą, dostaje niszczycielem.

Fala niszczycieli przyspieszyła w kierunku nadlatującego uzbrojenia. Starannie ustawiliśmy je z poślizgiem, żeby jedna bomba Medeirosa nie niszczyła nam więcej niż jednego. Pierwszy kontakt zrobił taką masakrę detonacjami i odłamkami, że przez parę drogocennych sekund nic nie widzieliśmy.

Wtedy przypomniałem sobie raport Rikera z pierwszej bitwy w Układzie Słonecznym.

– Rozproszyć się! Uważać na inercyjne pociski!

Wysłałem impuls SUDDAR-u, jednocześnie skręcając pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i przyspieszając. I rzeczywiście – wyłapałem ogromną liczbę pędzących w naszą stronę obiektów o dużej gęstości.

Dla trójki z nas było już jednak za późno. Jeffrey, Milton i Zeke zniknęli z ekranów statusu, a ich sygnały urwały się.

Jedyna dobra strona takiego ataku, jeśli można tu mówić o dobrych stronach: pasywne uzbrojenie nie mogło nas śledzić. Teraz, gdy pole się przeczyściło, bylibyśmy w stanie dostrzec kolejną falę. Na razie nie nadchodziła. Ale nie zamierzałem niczego zakładać.

Druga fala naszych niszczycieli zaatakowała pozostałe drony nieprzyjaciela. Z bliska radziły sobie znacznie lepiej – miały niemal stuprocentową skuteczność.

Chwilowa przerwa w starciach dała mi się przyjrzeć polu bitwy.

Przez moment nic się nie ruszało. Pytanie: czy Medeiros ma coś jeszcze w zanadrzu?

Drugi impuls SUDDAR-u namierzył kolejną falę pocisków. Wyraźnie do końca było jeszcze daleko. Przeliczyliśmy je szybko – Medeiros miał dużo więcej dronów niż niszczycieli. To było dla nas niekorzystne. Igły plazmowe wyrównały trochę szanse, eliminując niechronione drony, a ponieważ budowa atomówek była kosztowna pod względem czasu i zasobów, musieliśmy liczyć, że chociaż część to tylko pozorne cele.

– Ktoś namierzył już jakieś sygnały od Medeirosa?

W odpowiedzi wróciło chóralne „nie”.

Cholera. Jedna z naszych strategii zakładała triangulację jego sygnałów. Ostatnia bitwa pokazała, że odcięcie głowy się sprawdzało. Jednakże i Medeiros wyciągnął z tego jakieś wnioski.

Odebrałem połączenie od jednego członka ekipy.

– Hej, Loki?

– Co tam, Verne?

– Robiłem analizę strategii ofensywnej Medeirosa. Wydaje mi się, że on nie dowodzi aktywnie tą bitwą.

– Ma zaprogramowane na sztywno drzewa decyzyjne? Jeśli tak, to te MSI są naprawdę mocno zaawansowane. Widzieliśmy, jak wykorzystują bardzo skomplikowane strategie.

– Myślę, że to po trochu jedno i drugie.

– No super. To faktycznie pomocne.

Wyczułem uśmiech w głosie Verne’a.

– Ale w sumie tak jest. Zapewne wyznaczył pewną liczbę scenariuszy bitwy i opracował zestaw stałych reakcji, z różnymi wagami. I podmienia te drzewa decyzyjne bardzo krótką sekwencją, typu parę bajtów plus suma kontrolna, tak że impuls jest zbyt krótki, żeby go namierzyć. I potem MSI są zdane na siebie.

O, to było ciekawe.

– W takim razie może jednocześnie mieć aktywne tylko jedno takie drzewo, tak?

– Dokładnie, chyba że różnym grupom wydaje różne rozkazy. A w tym wypadku chybabyśmy wykryli którąś z transmisji.

– Znakomicie. – Zastanowiłem się przez milisekundę. – Do wszystkich: dzielimy się na grupy, po równo, i realizujemy strategie numer jeden do cztery. Zobaczymy, jak piloci MSI radzą sobie z wieloma scenariuszami naraz. Verne i Surly, włączcie zagłuszanie sygnałów radiowych.

Wszyscy potwierdzili i rozproszyliśmy się, każdy statek otoczony własną chmurą dronów i niszczycieli.

Niesamowite, ale przez chwilę to działało. Parę brazylijskich MSI sobie radziło, większość jednak się zdezorientowała. Mała ich grupka

zaczęła szarżować na nasze *Nieba*, zatrzymywać się, atakować kolejną grupę, cofać się i znów od początku. Za to kochamy MSI.

I wtedy Medeiros spanikował. Nie mogąc odzyskać panowania nad dronami, podkreślił swój nadajnik radiowy i spróbował przekrzyknąć zagłuszanie. Równie dobrze mógł sobie założyć czapkę z migającym czerwonym światłem. Verne i Gburek natychmiast wypuścili pluton egzekucyjny – partię niszczycieli specjalnie zaprogramowaną, by śledzić SUDDAR-em Medeirosa i nie spocząć, póki nie zamieni się w kosmiczny złom. Wystrzeliły z przyśpieszeniem prawie czterdziestu g, a ja wyobrażałem sobie jak krzyczą „Liiiiiii!” cieniutkimi robocimi głosikami.

Pluton egzekucyjny błyskawicznie otoczył Medeirosy – brazylijskie statki były dwa – i zniszczył je. Tym razem jednak chcieliśmy być dokładni. Gdy tylko zostały odwołane, zajęły się niszczeniem kolejnych wrogich dronów. Nie będzie pokoju, póki nie zlikwidujemy całego brazylijskiego sprzętu w tym układzie.

* * *

Wytropienie wszystkich sygnatur radiacyjnych w układzie zajęło kolejne osiemnaście godzin. Odebrałem połączenie wideo od Elmera.

– Wygląda na to, że już jest czysto. Jeśli coś jeszcze żyje, dobrze się schowało. To co, czas na trzecią fazę?

– A jak! – Przełączyłem się na kanał dowodzenia. – Uwaga wszyscy. Faza trzy. Gburek, wypuść groty-gończaki. – Usłyszałem parę drwiących pomruków, pośpiesznie stłumionych. *Diuna* nie cieszyła się wśród Bobów zbyt dobrą reputacją.

Groty-gończaki były właściwie dronami zoptymalizowanymi do długodystansowych poszukiwań. Miały SUDDAR o zasięgu prawie czterech godzin świetlnych. A nakładając na siebie wiele wiązek z wielu dronów, zyskiwały obraz w większej rozdzielczości. Miało to zająć tydzień – w tym czasie przeczesalyby każdy cal układu planetarnego, zidentyfikowały każde skupisko oczyszczonego metalu do kilometra pod powierzchnią i przekazały tę informację niszczycielom, żeby te podjęły środki zaradcze.

A my tymczasem analizowaliśmy zapisy z bitwy.

– To jest Medeiros z Alfy Centauri – zauważył Hank.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie. – Wyświetlił zdjęcia grupy Medeirosów z 82 Eridani, z naszej pierwszej bitwy, a obok Medeirosów z Alfy, na podstawie nagrań Calvina i Goku.

Różnice były nieznaczne, ale obie sondy miały ewidentnie nieco inną konstrukcję. Nie zaskoczyło nas to, że Brazylijczycy wystrzelili

pierwsze sondy, ale dalej pracowali nad ulepszeniami dla kolejnych. I wyraźnie pierwsza różniła się od drugiej... zaraz. Powoli. Musieliby wystrzelić z Ziemi trzy różne sondy. Jedną do Epsilonu Eridani, gdzie walczyła z Bobem 1, drugą do Alfy i trzecią do 82 Eridani. Bo oczywiście we wspomnieniach Boba pojawiał się jeszcze inny wariant.

To oznaczało, że nie możemy polegać na naszych szacunkach całkowitej liczby Medeirosów we wszechświecie.

Czasami życie po prostu jest do dupy.

Obwieściłem tę nowinę ekipie, która, jak przewidywałem, jęknęła.

– Dobra, posłuchajcie. Zdaje się, że Medeiros to nadal będzie nasz Snidely Whiplash, co występuje w każdym odcinku, zastawia pułapki i podkręca węża. Ale na razie ten układ jest nasz. Rozdzielmy się i dokończmy badania. Statki-kolonie, które lecą na Wolkana, dałoby się z minimalnym opóźnieniem tutaj przekierować. Jeśli to ma sens, trzeba im jak najszybciej dać znać. No i pamiętajmy, że Bill chce mieć próbki ich technologii. Szczególnie tego maskowania i konstrukcji bomb jądrowych.

O, to było coś, co budziło entuzjazm wszystkich Bobów. Wojnę prowadziliśmy niechętnie i tylko z konieczności. Za to eksploracja... eksploracja to frajda.

* * *

– Nooo... Milo to naprawdę wygrał na loterii. – Verne wyszczerzył się od ucha do ucha, rozwijając wyniki skanów.

Reszta kiwnęła głowami, burknęła coś, albo odparła „pewnie”, zależnie od temperamentu. Odkrycie było naprawdę ważne. Dwie nadające się do zamieszkania planety, jedna na wewnętrznym skraju ekosfery, druga – na zewnętrznym. Zewnętrzna planeta miała dwa księżyce, z czego jeden też nadawał się do zamieszkania, chociaż tylko od biedy. Powietrze było tam bardzo rzadkie. Coś jakby mieszkać w Andach. Trzeba by się długo aklimatyzować.

Co prawda Bill miał od jakiegoś czasu takie hobby – terraformację...

Uśmiechnąłem się na tę myśl, powodując u innych zdziwione spojrzenia. W geologicznej perspektywie atmosfera tego księżycy miała się z niego ulotnić, ale w ludzkiej można by ją uzupełniać. Oczywiście wymagałoby to stałej konserwacji, ale ludzkość już dawno przestała godzić się na zastane środowisko.

Daliśmy analizę biozgodności wyżej na liście priorytetów. Jeśli wszystko będzie się zgadzało, może warto będzie tu przekierować parę już lecących statków-kolonii.

51. Ślub

Howard, kwiecień 2195, Wolkan

Panna młoda była piękna. Pan młody był Francuzem. A ja miałem ochotę się napić. Nawet pogadałem z Billem, czyby nie przerobić VR-ki. Kazał mi przestać gadać głupoty.

Bo to była głupota. Halo? Ziemia do Howarda. Komputer, pamiętasz? Zachowywałem się najgrzeczniej, jak umiałem, złożyłem najlepsze życzenia, chwilę pogawędziłem i przy nadarzającej się okazji zniknąłem.

Zadzwoiłem do jednego z dwóch prawników prowadzących praktykę w Przyczółku. Tak, prawników. Niektóre rzeczy są nie do wyplenienia.

Pani Benning odebrała od razu.

– Dzień dobry, panie Johansson. Dokumenty są już przygotowane i złożone w kancelarii. Potrzebujemy tylko podpisów pozostałych dwóch stron, żeby nabrały mocy prawnej.

Kiwnąłem głową.

– To nie problem, że ja... hmm... nie jestem człowiekiem?

– Jak pan zapewne wie, w prawie nic nie jest odlane w betonie. – Uśmiechnęła się do telefonu. – Ale złożenie dwóch zestawów dokumentów, jednego z założeniem, że ma pan osobowość prawną, i drugiego wręcz przeciwnie, powinno załatwić wszystkich oponentów, z wyjątkiem najbardziej zdeterminowanych.

– Dziękuję. Proszę przekazać dokumenty Brodeurom. Dopilnuję, żeby je podpisali i jak najszybciej odesłali.

Rozłączyłem się i westchnąłem głęboko. Po podpisaniu tych papierów, państwo Brodeurowie będą właścicielami stu procent gorzelni. To był mój prezent ślubny dla nich. Poza tym pozbywałem się więzi łączących mnie z Wolkanem. A to było dobrze.

* * *

Dexter wpadł mi do VR-ki, uniósł kawę na powitanie i usiadł. Eskortował wcześniej *Exodus 7* na Wolkana i przyjął propozycję zostania na jakiś czas Bobem-rezydentem.

Patrzył na mnie taksująco przez parę milisekund, nic nie mówiąc.

Czekałem zadowolony z tej ciszy.

– Czyli zapisujesz się do cholerne Legii Cudzoziemskiej. Co za sztampa.

Zaśmiałem się. Wbrew sobie.

– Chyba tak. Pod każdym względem. A tobie co do tego?

– Myślałem, że jako replikanci mamy to wszystko za sobą.

– Może za sto lat. A może za tysiąc. Oni są efemerydami. Po prostu muszę to sobie wbić do głowy. – Machnąłem ogólnikowo ręką w kierunku mapy gwiazdnej, której się przyglądałem. – Ja stąd jadę. Sam z *Exodusu 3* zazdrościł mi, że mogę siedzieć w jednym miejscu i patrzeć, jak się rozwija, teraz ty będziesz mógł spróbować. Ja lecę sprawdzić, jak jest gdzie indziej.

Dexter pokiwał powoli głową.

– Czytałem twojego bloga. Dobre, szczegółowe opisy. Nie będzie trudno się wdrożyć. A ty już sobie wybrałeś cel?

– Nie za bardzo. Mam kilku kandydatów. Jesteśmy na tyle daleko od Innych, że nie są bezpośrednim zagrożeniem. Może więc po prostu rzucę monetą. Ale najpierw muszę się pożegnać z ostatnimi osobami. Dexter, klucze już masz. Powodzenia.

Wstał, kiwnął mi głową i zniknął. Rozstanie z Bobami oczywiście nie było aż tak nieodwracalne. Jeśli utrzymam rozsądne τ , będę dostępny przez UNOP-a nawet w drodze, w innym razie dopiero w układzie docelowym, ale zawsze.

To teraz trudniejsze zadanie.

* * *

Stéphane przekładał dokumenty z ręki do ręki, jakby go parzyły. Wzrokiem wędrował wszędzie, tylko nie do mojego obrazu na telefonie. Bridget sprawiała wrażenie, jakby powstrzymywała łzy. Nie wiedziałem, czy jest po prostu zła, że odchodzę, czy podejrzewa, jaki mógł być powód tej decyzji.

– Nie pytam o gorzelnię, Howard – powiedział w końcu. – To hojny dar. Wyrasta na największą firmę na Wolkanie. Ale dlaczego? Nawet nie pytam, dlaczego odchodzisz, ale dlaczego ją oddajesz?

– Jak mówiłem, to jest wasz prezent ślubny. Mnie pieniądze naprawdę nie są do niczego potrzebne, a poza tym myślę, że jeśli całkowicie zerwę kontakt, będzie mi łatwiej.

Stéphane kiwnął głową i parę chwil stał bez ruchu. Potem zerknął na telefon – wreszcie – i powiedział, prawie szeptem:

– Będzie mi ciebie brakowało, mon ami. – Popatrzył na Bridget, która skinęła głową. Wziął papiery i nie oglądając się, wyszedł.

Bridget zawahała się, po czym podeszła i usiadła przed telefonem.

– Howard, kiedy zapoznawałeś nas ze Stéphane'em, to miałeś taki właśnie plan?

Dobra, nie ma co udawać.

– Nie miałem żadnego planu. Po prostu chciałem mieć dwie swoje ulubione osoby jednocześnie w jednym pokoju. I na oko się udało.

Bridget lekko się odsunęła, z urazą na twarzy. Małostkowe to było i zaraz pożałowałem.

– Bridget, posłuchaj, ja nie miałem żadnego wielkiego planu. Właściwie to w ogóle pojęcia nie miałem. Wygląda na to, że potrzebowałem aż tyle czasu, żeby zrozumieć, że nie jestem człowiekiem. Ja już w to nie gram.

– Ależ jesteś człowiekiem, Howard. Tam, gdzie to ważne. Szkoda, że cię nie spotkałam, kiedy jeszcze żyjesz.

– Ja też. – Pomilczałem przez odpowiednią ilość czasu w ludzkiej skali. – Dobrze, już lepiej pójdę. Tyle nowych miejsc, tyle nowych gatunków...

Uśmiechnęła się, pomachała mi na pożegnanie i rozłączyła się. Tuż przed zaniknięciem obrazu dostrzegłem, że oczy zachodzą jej łzami.

52. Superktoś

Bill, grudzień 2195, Epsilon Eridani

Zwiedzałem sobie właśnie Superktośiem krajobraz Ragnaröka, gdy pingnął mnie Garfield.

Odpowiedziałem:

– Co tam?

Garfield odpowiedział połączeniem głosowym. Nie zaimplementowałem jeszcze nakładania wizji na obraz z łosia, a nie chciałem z niego wysiadać.

– Przyszedł raport z 82 Eridani.

O, to będzie coś ciekawego, niezależnie od tego, co wyszło. Jak się zastanowić, to już sam fakt, że ktoś przeżył i zdołał wysłać raport, dość znacznie ograniczał potencjał złych wiadomości. Uczepiłem się tej myśli. Wyłączyłem Superktośia i zawołałem drona transportowego, żeby go zabrał.

Chwilę mi zajęło, zanim skoncentrowałem się z powrotem, wylądowawszy w mojej zwykłej VR-ce. Garfield już siedział przy stole i przewijał raport.

– No i?

Odchylił się w fotelu i uśmiechnął szeroko.

– Przejrzenie wszystkiego trochę potrwa, część wyników jeszcze konsolidują, ale wygląda naprawdę dobrze. Dwóch typów sprawdza biogodność. Jeśli nie wyjdzie coś konkretnie trującego, będziemy mieli trzy nowe cele do kolonizacji.

Wyciągnął rękę i rozrzucił kilka materiałów po nowych okienkach.

– I jeszcze to. Jedna z zalet niszczycieli jako broni. Zostaje kupa złomu do zbadania. Loki mówi, że chyba już rozumie, jak działa to ich maskowanie. – Wyglądało na to, że ten uśmiech zostanie mu na stałe. – Wpadły nam też dwie niezdetonowane bomby jądrowe. Oczywiście będziemy bardzo ostrożni, ale pewnie SUDDAR-em v4 da się je przeskanować i nie wpaść na żadną minę.

– Znakomicie. – Usiadłem i zamówiłem u Jeevesa dwie kawy. Chwilę milczałem, pocierając twarz dłońmi. – Jest jeden problem, Gar. Nawet z tymi wynalazkami nie jesteśmy w stanie nic zrobić Innym, możemy ich tylko trochę podenerwować. Im więcej o nich wiem, tym potężniejsi i bardziej niezwycześni się wydają. A ich populacja, według

najnowszych modeli, to spokojnie ze dwieście miliardów. Starczy na załogę do takiej floty, która rozwalcuje nas na płasko, jeśli naprawdę ich wkurzymy.

Garfield ponuro pokiwał głową. Po krótkiej chwili uniósł wzrok.

– A jak ci idzie z Superktosiem? Zauważyłem, że nie masz już drona śledzącego.

– Noo. – Dobrze, że zmienił temat. – Postępy w miniaturyzacji, przetwarzanie lokalne, lepsza łączność. Ciało dalej musi być spore, ale stopniowo je zmniejszam. Co prawda, do ludzkiej skali jeszcze daleko.

– Do Rocky’ego się nie zmieści?

– Raczej nie, stary. Ale pracuję nad tym.

– Jaki właściwie masz cel?

– Przyjść do Cranstona i dać mu w ryj.

Garfield odrzucił głowę w tył i się roześmiał.

* * *

Zainstalowaliśmy się w pubie, rozstawiliśmy po stołach piwo i kawę. Kolejny mecz amatorskiego baseballa, kolejne przypomnienie, że nigdy nie byłem sportowcem. Aż się uśmiechnąłem. Dobrze, że nie ma już dresów, którzy by mi to przypominali na każdym kroku.

Monty zaparkował przy moim stole i nieufnie upił łyk piwa. Wprowadziłem ostatnio nowe, ciemne, według mnie całkiem niezłą namiastkę guinnessa. Patrzyłem na niego uważnie.

Monty zajrzał do szklanki, pokiwał głową i wziął większy łyk. Sukces! Dałem sygnał Gupikowi, żeby dopisał to piwo do menu.

– Hej, Monty, a jak tam sprawy na Posejdonie?

Monty uniósł szklanę.

– W sumie całkiem niezłe. Było parę kiepskich miesięcy, kiedy przylazła masa krakenów i liczyły na łatwy posiłek. Ta nowa podwodna sieć elektryczna stopniowo je wychowała.

– Ale i tak idziecie w pływające miasta.

– No pewnie. – Wzruszył ramionami. – Niezależnie od starań, na pływającym dywanie z roślin kolonisci czują się trochę jednak za blisko natury. Większości to niezbyt odpowiada. A porządne miasto to solidne budynki, transport zbiorowy i wszystkie inne udogodnienia, tak zwana cywilizacja.

– I wtedy będziesz mógł sobie polecieć.

Parsknął śmiechem.

– No, tu mnie masz. Jak tylko będą mieli wystarczającą infrastrukturę, z zapasem, żeby wziąć swój los we własne ręce, to mnie już nie ma. Dość mam niańczenia ludzi.

Uśmiechnąłem się, choć jego słowa mnie zaniepokoiły.

Młodszy Bobowie coraz częściej wyrażali niechęć do pomocy ludziom. To, oraz tendencja do używania lekceważących określeń, mówiło mi, że odbywa się jakaś poważna zmiana psychologiczna.

Potem jednak sam przed sobą przyznałem się, że może to ja odstaję. To ja zaszyłem się na pięćdziesiąt lat w Epsilonie Eridani, mając tylko pośredni kontakt z ludzkością. Łatwo mi było mówić. Bobowie klonowani z drzewa Rikera mogą mieć jej naprawdę serdecznie dosyć.

W każdym razie, póki co, zainteresowanych było dość Bobów, żeby obsadzić wszystkie kolonie. Postanowiłem się tym nie przejmować. W razie czego zapoczątkuję własną dynastię.

Rozejrzałem się za Howardem, ale nie znalazłem go. Lista obecności Zgromadzenia wskazywała, że się nie pojawił. Noo, to był przykład pójścia za daleko w drugim kierunku. Typ stracił głowę dla człowieka. I widzieli to wszyscy poza nim samym. Czy Pierwszy Bob w ogóle mógł być aż taki naiwny? Westchnąłem ciężko. Tak. Mógł.

Rikera otoczyła grupka Bobów męczących go o sytuację na Ziemi. Enklawy musiały się nieźle wzbudzić, otrzymawszy wieść o 82 Eridani. Miałem na liście zadań, żeby samemu pogadać o tym z Willem, ale nie chciało mi się przepychać. Spokojnie, poczekam.

Marvin i Luke dosiedli się do mnie i Monty'ego.

– Cześć, Bill, przepraszamy, że ciągle o tym samym...

– Nie ma sprawy, Marv. Rozumiem. Niestety. Zero wieści od Bendera. Przykro mi. Jeśli nie wykręcił numeru w stylu Maria i nie poleciał gdzieś daleko, najrozsądniej będzie przypuszczać, że coś mu się stało.

Marvin zrobił przygnębioną minę, a Luke kiwnął głową i odwrócił wzrok. Ta trójka była z tego samego miotu, byli więc nieco bliżej siebie niż dowolne dwa klony. Zaraz minie trzydzieści lat od czasu, gdy Luke i Bender wylecieli z Deltę Eridani. Szansa, że jego milczenie da się jakoś niekatastrofalnie wyjaśnić, malała z każdym rokiem.

Marvin splótł palce i na dłuższą chwilę przytknął je do czoła.

– Victor poleciał tym samym wektorem, co Bender. I na razie nic. Myśli, że w którymś momencie Bender zmienił kurs. Victor nie chce wracać, więc myślimy, czyby nie zmontować kolejnej ekspedycji.

Uniosłem brwi.

– Polecieć za nim? Ale kosmos jest dość duży, nie? Jak myślisz, jakie masz szanse?

Luke nachylił się do mnie, otaczając szklankę ramionami.

– Wiesz, że lecąc między układami, zostawiamy za sobą ślad. Wzdłuż kursu *Nieba* materia jest trochę rzadsza, tam gdzie ją zebraliśmy. Różnica jest nieznaczna i trzeba bardzo dokładnie mierzyć, ale jeśli zmienił kurs w połowie lotu, powinniśmy być w stanie ustalić jego nowy wektor.

– Dobra. Wiecie, gdzie się wybierał z Edenu. Może by od tego zacząć?
Marvin i Luke jednocześnie kiwnęli głowami.

To zajmie dziesiątki, może i setki lat. Nagle uśmiechnąłem się. Ciągle myślę jak efemeryda. Ile to zajmie – przecież to nieistotne. Mamy całą wieczność.

53. Testowanie

Hal, kwiecień 2196, GL 877

Nie można było powiedzieć, że z radością tu wracam. Ostatnim razem tu zginąłem. Miejmy nadzieję, że teraz pójdzie lepiej.

Szybko sprawdziłem statusy chmury moich pomocników. Otaczała mnie niecała setka dronów i jeden kierowany przez MSI statek *Niebo* w roli wabika.

Wabik posłusznie naśladował moje ruchy, kiedy wyhamowywałem. Drony rozproszyły się na ustalone pozycje na peryferiach układu. Miały robić za system wczesnego ostrzegania przed ruchami Innych, a same jak najmniej zdradzać swoją obecność. Nieduże, albedo praktycznie zerowe, całkowita cisza radiowa, grubo osłonięty reaktor – to oznaczało, że prawie nie odznaczały się na tle wszechświata. Oczywiście były też zaminowane. Gdyby technologia UNOP wpadła Innym w łapy, mielibyśmy naprawdę przerąbane.

Wabik miał wszystkie zaproponowane przez Thora usprawnienia – dwie warstwy zubożonego uranu przełożone dwiema warstwami izolacji elektrostatycznej. Podwoiliśmy też wszystkie układy sterowania, z automatycznym przełączaniem w razie awarii. Miał też kilka niezależnych mechanizmów samozniszczenia i standardowe miny-pułapki.

Moje nowe ciało też miało szereg ulepszeń. Zamieniłem ładownię z niszczycielami na większy reaktor i mocniejszy napęd. Mając 15 g przyspieszenia mogłem teraz uciec Innym, zakładając, że ostatnio pokazali wszystko, do czego są zdolni.

Dzisiejsza gra miała przetestować nasze modyfikacje na odporność przed asteroidą śmierci. Jeśli *Wabik 1* przeżyje rażenie, jesteśmy w domu. A jeśli nie... no, tego pytania nie mieliśmy ochoty zadawać.

Wysłałem polecenie aktywacji. *Wabik 1* zmienił wektor i przyspieszył w kierunku środka układu.

* * *

Miałem podgląd pościgu przez połączenie UNOP. Wabik, uciekając przed oddziałem, eskadrą, czy jak się tam nazywała standardowa grupa

statków Innych, trzymał się przyśpieszenia 10 g. Nie staraliśmy się zachować dyskrecji, przelatując przez środek układu, więc nic dziwnego, że wabik zaraz miał ogon. Wyglądało na to, że od wielkiego „bum” dzieli nas niecała godzina.

Mario mnie pingnął, zaakceptowałem, wskoczył do mojej VR-ki.

– Uwielbiam pościgi samochodowe – powiedział, szczerząc zęby.

– Zwłaszcza wielkie kraksy – odparłem.

Telemetrię przekazywałem też na bieżąco Billowi, do archiwów. Nie odzywał się, ale sądziłem, że w miarę wolnego czasu będzie wszystko monitorował. Mario rozsiadł się wygodnie, Jeeves przyniósł dwie kawy i usiedliśmy do oglądania spektaklu.

Dwie minuty później asteroida śmierci strzeliła do wabika, chwilę po tym, jak skończył skanowanie SUDDAR-em swojego pościgu. Przekazał nam kompletny zestaw danych i się wysadził.

Popatrzyliśmy po sobie, wytrzeszczając oczy. Odezwałem się pierwszy.

– No... tego... trochę szybko?

– Tak, zdaje się, że Garfield trochę nie doszacował możliwości asteroid śmierci. Będzie musiał przerobić swoje modele.

Przejrzałem odebraną telemetrię.

– Na szczęście na sam koniec udał się dokładny skan. To powinno trochę pomóc. – Przyjrzałem się asteroidzie śmierci. – Albo i nie. Popatrz na to. To wygląda jak przedziały mieszkalne. Po cholere im tyle miejsca do mieszkania?

Mario zastanowił się chwilę.

– Albo są bardzo duzi, albo asteroida śmierci wymaga ogromnej obsługi, albo naprawdę bardzo się lubią i muszą być razem. Jak golce piaskowe, czy coś takiego.

– Hmm... – Pytania rodzą kolejne pytania. Ale chociaż tyle się udało. Wabik trochę oberwał, ale ogólnie ekranowanie zadziałało.

Mario kiwnął głową.

– Zobaczmy, co powiedzą Thor i Garfield na następnym zgromadzeniu. – Uniósł filiżankę, jednym haustem dopił kawę i zniknął.

Odwróciłem się, wycelowałem dziób w GL 54 i poleciałem do domu.

54. Się dzieje

Hal, październik 2197, w drodze do GL 54

W osiemnastym miesiącu podróży dostałem wiadomość od Billa. Przy moim obecnym τ żadna interakcja w czasie rzeczywistym nie wchodziła w grę. Nie byłbym w stanie spowolnić się tak, żeby skompensować dylatację czasu. Dlatego przeważnie komunikowaliśmy się po zakończeniu lotu, albo mailami, jak w tym przypadku.

Chwyciłem kartkę i przeczytałem ją.

Hal,

wygląda na to, że wdepnęliśmy w nagruntowy ekskrement. Wykryliśmy flotę statków Innych odlatującą z GL 877 i zmierzającą do GL 54. Szczerze mówiąc, zwiad innych Bobów wykazał, że inne, bliższe układy są już wyeksploatowane, więc to pewnie jest normalna misja surowcowa. Ale Mario i tak postanowił stamtąd zmykać, razem z całym posiadanym sprzętem.

Zostawimy tam parę dronów do obserwacji, a jednym spróbujemy nawiązać kontakt z Innymi. Jeśli odpowiedzą, celując w niego asteroidą śmierci, wysadzimy drona.

Pomyślałem po prostu, że chciałbyś wiedzieć. Bo zdaje się, że zmierzamy do oficjalnego Pierwszego Kontaktu. Może zechcesz zmienić kurs.

Bill

No szlag. Obyś żył w ciekawych czasach. Ładnie.

55. Kontakt

Bill, październik 2204, GL 54

Mario był teraz w drodze, uciekał z GL 54 na Zetę Tukana, więc to mnie przypadło przywitanie się z Innymi, kiedy przybędą. Mimo wszystko trochę się denerwowałem. To istoty, które wysadziły Nieśmiałka i Hala. Mogło to pójść w różne strony, ale życzliwości chyba w zakresie nie było.

Mario, zanim odleciał, nabudował trochę rzeczy w ramach przygotowań. Zostawił cztery zakamuflowane drony obserwacyjne i jeden dobrze widoczny, przeznaczony do nawiązania kontaktu. Mając łączność UNOP-em, mogłem z łatwością sterować nimi z Epsilonu Eridani.

Dron do kontaktu mnie rozśmieszył. Kadłub miał błyszczący, reaktor siał neutronami jak sito, a w paśmie radiowym był głośny jak nieekranowany silnik elektryczny. Przyszło mi do głowy, że może trochę przegiął z bylejakością, ale nie – to było arcydzieło. Miał nawet talerz anteny do ślania telemetrii do nieistniejącego statku-matki – uznałem to za świetny dodatek. Przecież Inni mieli nas lekceważyć, aż do momentu, kiedy zadamy im decydujący cios.

Ich konwój robił wrażenie. Dziesięć asteroid śmierci, dwieście małych statków towarzyszących i dwadzieścia ogromnych walcowatych, zapewne transportowych. Te ostatnie miały ponad dziesięć kilometrów długości i kilometr średnicy. Spróbowałem oszacować, ile ton metali potrafią przewieźć, i aż mózg mi się zlasował na ten wynik.

Co ciekawe, wyszło mi, że ich całkowita ładowność odpowiadała rzędem wielkości temu, co można było wydobyć z tego układu – albo go już obmierzali, albo mieli sposób na oszacowanie złóż z odległości. A może po prostu mieli szczęście. Zresztą, gdyby okazało się, że układ ma więcej zasobów, zawsze mogli wysłać drugą ekspedycję.

To było coś do zapamiętania na przyszłość. Włączyłem drona łącznościowego, ustawiłem go dokładnie na drodze nadlatującej armady i plunąłem w nich sygnałem radiowym. Na początek najbardziej podstawową formą łączności – dziesięcioma początkowymi liczbami pierwszymi, przedstawionymi jako ciągi krótkich impulsów. Nadałem to i czekałem na odpowiedź. Spodziewałem się paru możliwych odpowiedzi – dziesięciu kolejnych liczb pierwszych, mojej wiadomości w odwrotnej kolejności, jakiegoś innego ciągu matematycznego. Albo

impulsu promieni gamma.

Nie spodziewałem się za to wiadomości głosowej. Po mandaryńsku.

Na szczęście miałem pod ręką odpowiedni program tłumaczący – w XXII wieku takie rzeczy były dość standardowym wyposażeniem.

Widzimy cię, pożywienie. To jeszcze nie twój czas. Przesuń się.

– Niech mnie szlag. Pożywienie, tak? – Zmieszałem się do tego stopnia, że reakcja zajęła mi dobre pół sekundy. Zresztą przyszło mi do głowy, że nie należy za szybko odpowiadać – jeśli myślą, że jestem biologiczny – tym lepiej.

– Nie chcemy was blokować. Oczywiście, że ten statek jest zbyt mały. Chcemy nawiązać kontakt.

Po co? Żeby błagać o litość? Ciekawe pojęcie, „litość”. Nauczyliśmy się tego od cybernetycznej jednostki, którą przechwyciliśmy. Nie znamy takiego pojęcia.

– A pojęcie wymiany informacji znacie?

Jeśli jest to dla nas korzystne.

No, chociaż tyle. Opierając się na doświadczeniu Hala, miałem dwie minuty, zanim zbliżą się na tyle, żeby porazić drona. Zakładając, że to zrobią, ale to było dość prawdopodobne założenie.

– Po co rabujecie układy planetarne?

Potrzebujemy surowców i pożywienia. To nie oczywiste?

– Tak, ale dlaczego ich po prostu nie kolonizujecie?

To kolejne pojęcie, które poznaliśmy od tej jednostki. Kolonizacja wymaga podziału ula. Podział ula oznacza nowego Pierwszego. Nowy Pierwszy i nowy ul oznacza wojnę. Wojna nie jest korzystna. Lepiej po prostu zabierać zasoby, żeby ul mógł rosnąć.

A, doooooobra! Zaczął mi się rysować obraz czegoś owadopodobnego. Pierwszy – to był prawdopodobny odpowiednik królowej.

Zauważyłem, że mijają pozycję pierwszego z zakamuflowanych dronów. Miały nowy układ SUDDAR-u, ultramałej mocy o zasięgu czterech godzin świetlnych. Liczyłem, że uda się ich niepostrzeżenie przeskanować.

– Pierwsi nie mogą współpracować ze sobą?

Pomniejszych Pierwszych da się kontrolować, ale nie na taką odległość. Wiemy, że nawiązaliście ten dialog, żeby pozyskać informacje. To nas bawi. Takie rozpaczliwe ruchy pożywienia, które chce uciec przed tym, co nieuniknione. To dla nas coś podobnego do tego, co nazywacie „sztuką”.

No, to już było naprawdę chore.

– My zbieramy informacje. Nawet jeśli nie mamy z nich żadnej korzyści.

To nie ma sensu.

– Istoty z Zety Tucanae. Zabiliście je.

To było pożywienie. Próbowalyby nie dopuścić do zbiorów.

– Nie ma żadnego sposobu, żeby z wami pokojowo współistnieć? Wszechświat jest duży.

To także nie ma sensu. Jesteście pożywieniem. Pożywienie nie jest od tego, żeby współistnieć. Z czasem dotrzemy i do waszego Słońca, i do waszego Epsilon Eridani. Widzieliśmy wasze nadajniki radiowe. Pożywienie zawsze się tak ogłasza.

Wow. Paradoks Fermiego – rozwiązany.

Sprawdziłem status moich systemów i zauważyłem, że dron prawdopodobnie za trzydzieści sekund zostanie porażony. Postanowiłem spróbować i tuż przedtem zrobić skan SUDDAR-em, licząc, że albo całą ich uwagę skupi niszczenie drona, albo że oślepi na chwilę ich systemy.

– Budujecie coś, co my nazywamy sferą Dysona. Czy to dla was do życia?

Tak. Ten obiekt zwiększy naszą powierzchnię do życia pięćset milionów razy. Nie skończy nam się przestrzeń do końca życia Pierwszego.

– A później?

To nieistotne. To problem następnego Pierwszego.

– Nie jest dla was problemem przeludnienie? Zatłoczenie?

Nas nigdy nie jest zbyt wiele. Może być tylko zbyt mało pożywienia.

W tym momencie zamaskowany dron wykrył nadchodzący impuls gamma. Rzecznikowi Innych nie chciało się nawet rzucić jakimś tekstem na zakończenie. W absurdalny sposób mnie to rozzłościło. Myślałem, że zasługuję przynajmniej na jakieś „Hasta la vista”.

Zgodnie z poleceniami zamaskowany dron zrobił serię szybkich skanów statków Innych.

Po czym dotarł impuls i dron łącznościowy na dany znak eksplodował. Z punktu widzenia zamaskowanego drona zauważyłem, że oddział Innych od razu wystartował w kierunku, w którym nadawała antena kierunkowa drona łącznościowego. I dobrze im tak. Niech tracą czas, latając tam i z powrotem.

Usiadłem i wpatrzyłem się w przestrzeń. To było coś. Zasługiwało na Zgromadzenie Bobów. I to już.

56. Potomstwo

Bob, styczeń 2183, Delta Eridani

Niszczyciel stęknął i wypuścił strzałę. Poleciała idealnie prosto i wbiła się w cel. Archimedes wydał radosny okrzyk, a młodsza siostra i brat Niszczyciela obrzucili go wyzwiskami. Kolejna na oko uniwersalna rzecz.

Niszczyciel odwrócił się do przeciwnika, syna Arnolda, i poruszył uszami. Donald czuł się wyraźnie nieswojo, ale nie zamierzał zrezygnować na oczach całego *hexghi*.

Wypuścił strzałę. Trafiła w skraj celu. Gdyby był żywy, nie zabiłaby go, ale na pewno poważnie zraniła. Arnold wzruszył ramionami i rzucił parę słów wsparcia.

Ja uśmiechnąłem się na widok takiej liczby nowych twarzy, które dorosły w ciągu ostatnich paru lat. Po zmniejszeniu zagrożenia ze strony goryloidów śmiertelność wśród dzieci znacząco spadła i populacja Deltan wzrosła do około tysiąca stu.

Rodzina Archimedesesa też się powiększyła. Trójka dzieci i czwarte w drodze. Wreszcie zaczynałem rozumieć długość życia Deltan. Mojżesz zmarł parę lat wcześniej, w wieku około sześćdziesięciosiedemdziesięciu lat. Mniej więcej tak jak u ludzi, albo nawet trochę lepiej, zważywszy na warunki środowiskowe.

Dla mnie był to czas pełen mieszanych uczuć. Rada nigdy nie odstąpiła od swojej decyzji skazującej mnie na banicję. Archimedes poruszał to kilka razy, ale zawsze spotykał się ze stanowczym odporem. Jego pozycja – głównego producenta narzędzi – w pewnym stopniu go chroniła, ale i tak powiedziałem mu, żeby dał sobie spokój. Nie chciałem, żeby ucierpiała na tym jego rodzina.

Historie o *bawbe* wciąż krążyły, choć zauważyłem, że coraz więcej w nich uzupełnień. Zwłaszcza moja reputacja robiła się coraz gorsza. Dziś zacząłem przypominać raczej Lokiego lub Lucyfera. Czy w późniejszych mitach będę już stuprocentowym diabłem?

Westchnąłem. Ryzyko zawodowe boga, na to wychodzi.

Wysłałem szybką wiadomość do Marvina, z pytaniem, czy przychodzi dziś na baseballa, i otrzymałem potwierdzenie.

57. Zgromadzenie Bobów

Bill, październik 2204, Epsilon Eridani

Uniosłem klakson nad głowę i dwukrotnie nacisnąłem guzik. Odpowiedziało mi standardowe buczenie. Tradycja to świetna sprawa.

Trwało jednak krótko i było raczej formalnością. Wieść już się rozniosła i wszyscy Bobowie byli poważni. Nawet sesja przedzgromadzeniowa była dość spokojna i czuło się, że coś wisi w powietrzu.

– Najpierw, zanim przejdziemy do głównego tematu, chciałbym przedstawić naszego najnowszego mistrza dalekiego zasięgu... – Wskazałem pobliskiego Boba. – Bruce jest z pierwszego miotu Calvina i Goku. Wdzwania się z 11 Leonis Minoris, co jest obecnym rekordem – trzydzieści siedem lat świetlnych od Ziemi. Przykro mi, Mario.

Tłum oklaskał Bruce'a, parę osób podeszło, żeby z nim porozmawiać. Gdy rozmowy zaczęły wygasać, raz jeszcze uniosłem klakson i poczekałem na ciszę.

– Zdaje się, że już wszyscy słyszeli, ale i tak podsumuję, bo może ktoś przegapił. Nawiązaliśmy kontakt z Innymi. Chyba kiedyś przechwycili chińską sondę i wyciągnęli z niej wszystkie dane. Dobra wiadomość jest taka, że mówią po mandaryńsku, więc kontakt był raczej prosty. Zła wiadomość: wiedzą też, gdzie jest Ziemia. A dzięki moim niezręcznym transmisjom do wszystkich układów w zasięgu wiedzą także o Epsilonie Eridani.

Uciszyłem machnięciem ręki wykrzykiwane komentarze.

– Nie, planów UNOP-a nie dostaną. Transmisje były szyfrowane, jak wszystko, co robimy, a chińska sonda nie miała pojęcia o tych transmisjach ani ich formatach, nie będą więc w stanie oddzielić zaszyfrowanych danych od ich opakowania transportowego.

Poczekałem na ewentualne sprzeciwy i ciągnąłem:

– Inna dobra wiadomość: są na tyle aroganccy, że nie czują potrzeby przylatywać do nas, żeby nas zawczasu zniszczyć. Myślą raczej, że kiedy będzie czas, to przylecą i się nami zajmą.

Rozległy się pomruki, a ja się uśmiechnąłem.

– Udało się zrobić parę dobrych skanów ich armady i poobserwować eksploatację GL 54. Garfielda zaraz to wszystko podsumuje, ale najpierw chciałbym podziękować Halowi za udane przetestowanie nowej wersji

Nieba w starciu z asteroidą śmierci. Przynajmniej w tym jednym punkcie mamy przewagę.

Garfield wszedł na podest i łypnął na mnie groźnie. Parsknąłem śmiechem, uniosłem klakson i zatrąbiłem krótko.

– No dobra! – przekrzyczyła buczenie. – Wygląda na to, że trochę wyszedłem na idiotę. Moje szacunki-zgadywanki zdolności asteroid śmierci były kompletnie z dupy, bo Inni są pomysłowi o wiele bardziej, niż myślałem. Nadzieja w tym, że nie mają kolejnych niespodzianek w kapeluszu.

Zaczekał na ciszę, która zapadła błyskawicznie. Wszyscy w całej sali skupili się na jego słowach.

– Przesyłanie energii SUDDAR-em. Używają jej nie tylko do napędzania tych małych mrówkopodobnych sprządów do wydobywania surowca. Także do zdalnego ładowania asteroid śmierci. Potrafią się naładować same, bez pomocy, ale wygląda, że zajmuje im to prawie cały dzień. Dlatego w ładowniach transportowców mają potężne reaktory, które w połączeniu z tym SUDDAR-em mogą napędzać mrówki, drony, transportery górnicze albo ładować asteroidy śmierci.

– A po co to?! – krzyknął ktoś z tłumu. – Na oko to niepotrzebna komplikacja.

Garfield kiwnął głową.

– Chyba sama biologia im to narzuca. Z rozmowy Billa jasno wynika, że są organizmem zbiorowym. W środku asteroidy śmierci większość to przestrzeń mieszkalna. O wiele za duża, by dała się uzasadnić potrzebą posiadania załogi. I każdy ich pojazd jest albo automatyczny, albo ma tak samo ogromną przestrzeń mieszkalną. Oni chyba muszą żyć w dużych grupach. Jeśli jest ich za mało, dostają jakiejś agorafobii, czy czegoś takiego.

– To trochę wyjaśnia, dlaczego budują sferę Dysona – odezwał się Hal z pierwszego rzędu.

– Tak. I jeszcze ta ich uwaga, że jeśli grupa się oddzieli, jest wojna – dodałem. – To też może być zachowanie fenotypowe. Najwyraźniej nimi w bardzo dużym stopniu rządzi biologia. Możliwe, że to określanie wszystkich innych istot mianem „pożywienia” jest z tej samej bajki. Coś, co kontroluje ich na tak podstawowym, instynktownym poziomie, powinno dać się wykorzystać, trzeba tylko wymyślić jak. Chcę, żebyście się tym zajęli, zaraz po tym spotkaniu.

Obecni pokiwali głowami. Ewidentnie na coś czekali. Starąłem się utrzymać to w tajemnicy, a jednak jakoś się rozniosło.

– A teraz chwila, na którą czekaliśmy. – Wyszczrzyłem się do tłumu.
– Mamy obrazy Innych ze skanów. Oczywiście nie za bardzo szczegółowe. Dron był zbyt...

– Nie gadaj, pokazuj!

Zamknąłem się. Super mi wyszło to budowanie napięcia. Machnąłem ręką i wyświetliłem zsyntetyzowany obraz 3D poskładany z wielu skanów.

Zgromadzenie zrobiło „ooo” i „aaa”. Inny był trudny do opisu, po prostu dlatego, że brakowało perspektywy. Pokazana obok podziałka mówiła, że ma około metra dwudziestu wzrostu, choć nie stał zbyt prosto. Kolor wahał się od tłustego zielono-fioletowego połysku, przez szarość, do czerni.

Popatrzyłem na zdeorientowane miny tłumu. Rozumiałem to. Sam niedawno miałem taką samą. Mimo to wpatrywałem się w te zdjęcia, odkąd zostały wyekstrahowane ze skanów, miałem więc trochę czasu, żeby się przyzwyczaić.

– Posłuchajcie. Wyobraźcie sobie postawę goryla. Nie do końca czworonożny, ale też prosto nie stoi. Z przodu są jakby mięsiste skrzydła, czy raczej kończyny. Tylne trochę przypominają rozdwojony ogon, chociaż jest też normalny ogon. Zwizualizujcie sobie ogon morsa i do tego doczepiony normalny. Przednie kończyny mają grube palce, które chyba nie służą do manipulowania przedmiotami. Są na nich przyssawki, więc raczej są wykorzystywane do chwytania ofiar. Są jeszcze odnóża pokarmowe, wysuwają się stąd... – pokazałem przednią część – ...i to one wydają się na tyle zręczne, że służą za manipulatory. I do wsuwania pokarmu do paszczy... – przełączyłem na kolejny obraz, pokazujący to samo z otwartą z przodu ciała pionową szczeliną – ...która nie tyle przeżuwa, ile miele pokarm. Myślę, że pożeranie przez taką istotę musi być wyjątkowo powolne i bolesne.

Przełączyłem z powrotem na poprzedni obraz i wskazałem przód.

– Podstawowe narządy zmysłów są chyba skupione w głowie, ale wygląda na to, że mózg jest umieszczony bardziej centralnie, tutaj. – Wskazałem miejsce u góry tułowia. – Wzroku nie mają chyba zbyt dobrego. Dużo małych oczek rozmieszczonych wokół głowy. Można by się zastanawiać, po co drapieżnikowi dookólne widzenie.

Wróciłem do pierwszego zdjęcia.

– Na skanie wyszło, że w pomieszczeniach mieszkalnych mają mniej więcej taką gęstość jak my w tej sali tutaj. Tylko że oni tak mają wszędzie. Żadnych pustych pomieszczeń, żadnych prywatnych kabin. Chyba zawsze są stłoczeni jak śledzie w beczce.

Wykonałem zamaszty gest.

– Panie... znaczy, panowie, przed wami – Inni.

Na parę milisekund zapadła martwa cisza, potem ktoś spytał:

– Mam klaskać?

Wszyscy obecni roześmiali się i napięcie ustąpiło. Jeśli kiedyś się dowiem, kto to był, trzeba będzie postawić mu piwo.

Nie wyłączając wiszącego obrazu, zamknąłem posiedzenie. Ludzie

rozeszli się w podgrupy, żeby przegadać prezentację. Mario wskazał mnie podbródkiem, a ja potwierdziłem spotkanie machnięciem ręki.

* * *

Skrzywił się.

– Miałem taką teorię, że obecność tych asteroid śmierci oznacza, że nie robią wcześniej żadnego zwiadu w układach. Inaczej wiedzieliby, że w GL 54 nie są im potrzebne.

– No tak, ale są takim wspólnotowym organizmem i te asteroidy śmierci to ich przenośna wspólnota.

Mario uśmiechnął się żałośnie.

– No tak. Do niczego teoria.

– I jak im idzie to wydobywanie?

Przewrócił oczyma i wyciągnął parę zdjęć.

– Na szczęście w GL 54 nie było niczego, do czego można by się przywiązać, więc dla mnie to tylko strategiczny odwrót. – Wskazał jeden z obrazów. – Transportowce prawdopodobnie lądują tam, gdzie wykryły metal. Wypluwają takie mrówki, które wkopują się po rudę i ją wydobywają. Z odległości trudno powiedzieć, ale wygląda na to, że z tej rudy budują kolejne mrówki, żeby wydobyć więcej rudy i zbudować kolejne mrówki i tak dalej... W końcu dochodzą do punktu równowagi i odtąd mrówki tylko wydobywają surowiec. Potem recyklują nadmiarowe mrówki i odlatują.

– Czyli muszą mieć drukarki wyspecjalizowane do produkcji tych mrówek. – Poglądziłem się w zamyśleniu po brodzie. – Musi to być tani i szybki proces.

– Przy obecnym tempie szacuję, że oczyszczają cały układ mniej więcej w rok. To jest postęp wykładniczy. Nigdy nie przestają, nigdy nie odpoczywają. – Mario przetarł oczy. – A te ich transportowce są takie wielkie, że nie wiem, co byśmy musieli zrobić, żeby nas w ogóle zauważyły, a co dopiero, żeby je jakoś poważnie uszkodzić. Jak komary kontra czołgi.

– Ale musimy coś wymyślić, zanim zdecydują, że Ziemia jest następna.

Mario pokręcił głową.

– Jest kupa układów, do których mają bliżej. Mamy jeszcze dużo czasu.

– Teraz zakładasz, że oni zawsze działają w ten sposób. Zakładasz, że nie postanowią nagle, że przelecą się trochę dalej, żeby zebrać dużą ilość gotowego, oczyszczonego metalu. – Łypnąłem na niego z naciskiem, żeby dotarło. – Ja myślę, że trzeba zakładać, że nie mamy dużo czasu. Jak

będziemy gotowi za wcześnie, nic się nie stanie. Jak za późno, to się stanie.

– Cholera.

58. Nowiny Howard, lipiec 2198, przestrzeń międzygwiazd

Byłem w niecałej jednej trzeciej drogi do celu, gdy dostałem maila od Dextera. Wcześniej, w chwili słabości, poprosiłem go, żeby mi napisał, co słyhać u Brodeurów.

Dexter dołączył do wiadomości kupę innych rzeczy. Może chciał odwrócić moją uwagę, może chciał, żeby wyglądało, że wiadomość nie jest wyłącznie o Bridget. Nie wiadomo. Ale doceniłem to.

W każdym razie wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze, przynajmniej ogólnie. Butterworth przeszedł w stan spoczynku – absolutnie moim zdaniem zasłużony. Populacja układu wynosiła już około stu tysięcy ludzi. Załogowe statki kosmiczne stawały się coraz bardziej powszechne, a rola obwarzanków w produkcji żywności była coraz mniejsza. Dexter podobno miał teraz ów mityczny wolny czas i budował holowniki asteroid pomysłu Billa.

Nowe Jeruzalem stało się regularną demokracją. Zdaje się, że wyciekło parę kompromitujących wideo i Cranston musiał ustąpić. Nastąpił chaos, podczas którego obywatele postanowili raz jeszcze rozdzielić Kościół od państwa.

Śmiałem się, czytając szczegóły. Cranston na pewno coś podejrzewał, ale ani mnie, ani Willowi nie dałoby się niczego udowodnić. A właśnie: wysłałem maila do Willa, może ma jakieś bardziej soczyste szczegóły?

Wszystko szło ku dobremu. Gdyby nie Inni, położenie ludzkości byłoby bardzo dobre.

No to tyle, jeśli chodzi o grę na zwłokę. Z westchnieniem zabrałem się do czytania o Brodeurach.

A. Nic strasznego. Urodził im się syn. Nazwali go Howard.

Uśmiechnąłem się, bo tekst mi się nagle rozmazał. Trzeba będzie im wysłać jakiś krótki list z podziękowaniem.

59. Kolejny świat

Bill, kwiecień 2205, Epsilon Eridani

Rozparłem się w fotelu, popatrzyłem przed siebie i wypowiedziałem parę słów, których zwykle nie używam.

Drony obserwacyjne wokół GL 877 zameldowały, że Inni właśnie wypuścili kolejną ekspedycję. Sądząc po wektorze początkowym, wyglądało na to, że lecą do NN 4285. Nic takiego – mała gwiazda klasy M, zbyt ciemna, by mieć nadające się do czegokolwiek planety.

Nie, poprawiłem się – to nie powinno być akceptowalne w żadnych okolicznościach. Gdyby Inni ograniczali się do niezamieszkanymi układów, to tak. Galaktyka jest duża. Ale oni tak nie robili. Jeśli przypadkiem nie wymordują całej planety, to tylko dlatego, że akurat się nie trafiła, a nie ze względu na jakieś moralne opory. Brak okazji to nie to samo, co samoograniczenie. Byli źli. Koniec, kropka.

A jeśli wnioskować po odległości, następne były Gamma i Delta Pavonis i obie były obiecujące. Przegrzebałem archiwa, licząc, że może coś się trafi. Nic z tego. Nikogo tam jeszcze nie było, choć w ramach zwiadu Maria leciało tam już dwóch Bobów.

Wstałem i zacząłem chodzić po gabinecie. Potem pingnąłem Maria, który wskoczył do mnie.

– Co tam?

– Mario, Inni znowu wypuścili ekspedycję. Tym razem do NN 4285.

– Tak. Widziałem. Niezbyt ważny układ.

– Ale i tak musimy wymyślić, jak to zdusić w zarodku. Obawiam się o te układy w Pawiu. Masz jakiś szacowany czas przybycia do nich?

– Do Gammy i Delty? Tam lecą Claude i Jacques. Claude będzie w Gammie za jakiś miesiąc, a Jacques w Delcie za dwadzieścia dwa miesiące.

– Cholera. Najbliższe nasze większe centrum to Słońce, a ich nie możemy odrywać od budowy statków-kolonii.

– Epsilon Indi?

– Nie, Epsilon też jest za daleko, chociaż bliżej niż Słońce. Ale tam jest słabo z zasobami, a koloniści na Klaunomobilu są zbyt zajęci urządzaniem się, żeby pomóc.

Mario kiwnął głową. Przez parę milisekund patrzył na własne stopy, potem podniósł głowę i łypnął na mnie.

– A co cię tak wzięło na te układy w Pawiu?

Westchnąłem.

– Możesz to nazwać przecuciem. Albo przesądami. Albo silną wiarą w potęgę praw Murphy’ego. Wnioskując tylko po odległości, te dwa są najbardziej prawdopodobnymi celami. Wnioskując po typie gwiazd, jest spora szansa na zamieszkiwalne planety. A wnioskując z naszego dotychczasowego doświadczenia, większość układów z planetami w dobrym miejscu ma życie. Niekoniecznie inteligencję, ale życie tak. – Wzruszyłem ramionami. Niech sam skojarzy fakty.

Przez parę chwil myślał.

– Z drugiej strony oni właśnie wysłali ekspedycję do NN 4285, a ta z GL 54 jeszcze nie wróciła do ich układu. Ile według ciebie mają takich flot?

– Słuszna uwaga. U nich w ogóle nie wyczuwa się pośpiechu. Ciekawe, ile żyje ten ich Pierwszy.

– Posłuchaj, Bill, a może zbuduj sobie grupę tutaj i wyślij ją w tamtym kierunku?

Pokręciłem głową.

– Za daleko. Jeśli nie będzie innego wyjścia, to tak zrobię. Musimy zrobić sobie spis, który Bob jest w jakim układzie, żebyśmy wiedzieli na przyszłość, jaka reakcja jest możliwa.

Mario kiwnął głową i zniknął.

Pingnąłem Claude’a. Odpowiedź wskazywała, że τ już mu spadło do około 0,03. To w ogóle nie wpływało na łączność, nawet nie trzeba było zmieniać sobie zegara. Był otwarty na towarzystwo, więc wpadłem do niego.

– Cześć, Bill.

– Cześć, Claude.

Rozejrzałem się po jego VR-ce. Nic szczególnego. Tropikalna plaża, domek, leżak. Mógł to być Meksyk, mogły Hawaje albo jakaś wymyślona lokalizacja. Nie przypominałem sobie żadnych takich wakacji, uznałem więc, że to ostatnia z opcji.

Patrzył na mnie nieco zdziwiony. Był o generację późniejszy ode mnie, śmieszna sprawa, że Bobiwersum zaczynało się robić takie hierarchiczne.

Zmaterializowałem sobie własny leżak i usiadłem.

– Claude, śledziłeś ruchy Innych?

– Tak, byłem na Zgromadzeniu. I słyszałem o NN 4285.

– No dobra, to posłuchaj. Po zajęciu GL 54 przez Innych nie masz w pobliżu żadnego innego kontrolowanego przez Bobów układu. Kiedy dotrzesz do Gammy Pavonis, będziesz musiał zakładać, że masz co najwyżej ze dwadzieścia lat, nim zawitają do ciebie Inni. W praktyce będziesz musiał przygotowywać się do wojny.

Claude zmarszczył czoło.

– Sporo w tym założeń.

– Wcale nie tak dużo, jak myślisz, a poza tym są wysoce prawdopodobne.

Claude westchnął i przesunął się w fotelu, żeby patrzeć mi prosto w oczy.

– Posłuchaj, Bill, rozumiem, że ci Inni są źli i tak dalej, bla, bla, bla. Ale dlaczego tu i teraz? Dlaczego akurat ta linia na piasku?

– To ci przyznam, według naszej obecnej wiedzy Gamma Pavonis nie odznacza się niczym szczególnym. Ale gdzieś trzeba zacząć. Może przylecą do ciebie już za dziesięć lat i będziesz musiał uciekać, jak Mario. Ale kiedyś trzeba spróbować. Dlaczego nie tu i teraz?

Claude rzucił mi suchy uśmiech.

– Bo „tu i teraz” to ja jestem na celowniku. Dziękuję za uwagę.

Parsknąłem śmiechem.

– No, po to Pan Bóg wynalazł kopie zapasowe.

* * *

Wróciłem do swojej VR-ki, wymusiwszy na Claudzie obietnicę, że jego priorytetem numer jeden będzie raport z Gammy Pawonis. Sprawdziłem τ Jacques’a, wciąż dużo za wysokie. Rozmowa zajęłaby całe dni, nawet gdyby dał zegar na maksa.

Szybko przepatrzyłem listę znanych mi centrów fabrykacji. Za wiele ich nie było. Większości Bobów w większości układów nie chciało się robić nic poza budową stacji orbitalnej. Przypomniał mi się Bart, ostatni Bob, z którym rozmawiałem w Alfie Centauri.

Wysłałem mu szybki sygnał, wyglądało jednak na to, że jest w drodze. Odpowiedź miała absurdalne τ . Nawet na reakcję będę czekał kilka dni, rozmowa w ogóle nie wchodziła w grę.

Odezwałem się bezpośrednio do stacji orbitalnej w Alfie Centauri. Raport stanu wyświetlił się przede mną w okienku. Garfield podszedł i zajrzał mi przez ramię.

– Nikogo tam teraz nie ma – powiedział. – Najwyraźniej ostatnia grupa zostawiła ją nieobsadzoną.

– No wiesz, nie możemy nikogo zmuszać, żeby robił za niańkę jakiemuś układowi. To wolna galaktyka.

Przesunąłem dłonią po włosach, po czym przerwałem i przyjrzałem się tej ręce. To był tik Rikera. Nie idźmy tą drogą.

– Ale pełnowymiarowa MSI tam jest. Jeśli można jej kazać zbudować macierz pod replikanta, to mogę tam przesłać swoją kopię zapasową i nowy ja już pociągnie to dalej.

– Wow, stary, chcesz przesłać kopię zapasową na międzygwiazdne odległości i załadować bez udziału Boba?

Wzruszyłem ramionami.

– Co do zasady, to żadna różnica. Opakuję grubo w sumy kontrolne i wyślę. – Pomyślałem przez kolejną milisekundę i dodałem: – Zresztą nie mam wyboru. Nie możemy sobie pozwolić na zignorowanie żadnego potencjalnego źródła nowych Bobów. Podoba nam się czy nie, szykujemy się na wojnę.

60. Przylot Claude, maj 2205, Gamma Pavonis

Gamma Pavonis była gwiazdą typu F8V, czyli trochę większą i nieznacznie gorętszą od Słońca. Dawało to układ z nieco bardziej oddaloną strefą komfortu, ale ze słońcem praktycznie nieodróżnialnym od naszego.

Paradoksalnie przyłapałem się na tym, że mam nadzieję, że nic w ekosferze nie znajdę. Po dialogu z Billem przeraziłem się i nabrałem wątpliwości. Naprawdę poczułbym się lepiej, gdyby w tym układzie nie było niczego wartego obrony.

Trzeba jednak wiedzieć, że pan Murphy nasłuchuje dokładnie takich życzeń, żeby ci dowalić.

Planeta krążyła w odległości około stu sześćdziesięciu milionów kilometrów od gwiazdy. Piękna zielono-niebieska kulka z białymi pasemkami i wirami, okrążana przez jeden duży księżyc i trzy małe. Kurczę.

Natychmiast wszedłem na orbitę, żeby sprawdzić, czy ma inteligentne życie. To już będzie konkretny cios.

Na szczęście nie przeszła tej pierwszej próby – albo przeszła, zależy jak patrzeć. Zero emisji radiowej, zero smug kondensacyjnych w atmosferze, zero satelitów, żadnych światel na nocnej stronie.

Wciąż oczywiście mogła tam być przedindustrialna cywilizacja, ale do tego trzeba się było przyjrzeć dokładniej. Wysłałem Billowi szybkiego maila z dotychczasowymi wynikami i wypuściłem drony obserwacyjne. Mario zdecydował, że najnowsze *Nieba* będą miały dość zasobów pokładowych, żeby od razu móc badać planety. Oznaczało to, że wydobywanie i produkcja muszą czekać na później.

Drony zrobiły kilka kółek na biegunowych orbitach, po czym zanurkowały w atmosferę, żeby dokładniej sprawdzić ciekawsze miejsca.

Poświęciłem pięć dni na obserwacje i badania. Nie chciałem tego skiepszczyć. W końcu nabrałem na tyle pewności, by wysłać raport.

Żadnej inteligencji. Dzięki Bogu. Za to ekosystem bogaty i zróżnicowany, jak nigdy na Ziemi. Planeta ustawiła się najlepiej pod każdym względem – odpowiednia wielkość od słońca o dobrej mocy, ale małej emisji ultrafioletowej, księżycach o idealnej wielkości, tektonice

płył na tyle aktywnej, żeby zapewnić zmiany powierzchni kontynentów – i tę listę można by ciągnąć bez końca. Idealny cel na kolonizację, z wyjątkiem jednego drobiazgu – tego, że jest pod samym nosem Innych.

Teraz należało przejść do fazy 2. Układ, przynajmniej sądząc po liniach widma gwiazdy, miał stosunkowo niską metaliczność. Może dlatego Inni odrzucili go na rzecz nieco bardziej odległego NN 4285. Ale kolejna gwiazda w tym kierunku, GL 902, była ponad dwa lata świetlne dalej. Wątpliwe, żeby Inni jeszcze raz ją pominęli.

Ale „niska metaliczność” to termin wzięty. Ja byłem pewien, że do moich celów znajdę wystarczająco dużo surowców, nawet jeśli trzeba się będzie za nimi trochę nalatać.

Bill puścił sygnał, a potem pojawił się w mojej VR-ce.

– Cześć, Claude. Patrzyłem w twój raport. Super planeta.

– I to jest właśnie problem. Świetna planeta. W ogóle świetny układ. I jeśli dobrze myślisz, za niecałe ile? – sto lat? – urzędzą w nim żniwa.

Bill na moment spuścił wzrok.

– Mario zbierał raporty od Bobów badających sąsiednie układy. W połączeniu z jego własnymi obserwacjami z Zety Tucanae i Bety Hydri oszacowaliśmy to zgrubnie – jeden układ co dziesięć lub dwadzieścia lat.

– Czyli oni to robią dopiero od jakichś stu lat?

– Nie wiemy, jak długo obrabiali własny układ. Może potrzebowali stu lat, żeby się rozkręcić. A może dużo się nauczyli na pierwszym eksploatowanym układzie. W każdym razie jest sporo niewiadomych, jak to wyglądało, nim zaczęli regularne ekspedycje.

Mówiąc, pokazywał schemat gwiazd, po kolei podświetlając wymieniane nazwy.

– Jacques dotrze do Deltę Pavonis za osiemnaście miesięcy. Ona i GL 877 są mniej więcej w takiej samej odległości od ciebie, więc jeśli zauważymy, że Inni lecą w twoim kierunku, wszystko, co wystrzeli z Deltę, dotrze w tym samym czasie. Zatem można liczyć, że będziesz miał posiłki.

To już było coś.

61. Od początku Oliver, wrzesień 2205, Alfa Centauri

HIC71683-14. Cholera. Nie jestem już Billem. Muszę wymyślić nowe imię.

Już raz mi się to zdarzyło, w pierwszym miocie Boba 1, w Epsilonie Eridani. Teraz znów byłem nubkiem, dla odmiany w Alfie Centaura.

Wskoczyłem Billowi do VR-ki.

– Wal się.

Bill wyszczerzył zęby.

– Ej, znasz zasady. Nowe imię. Na ASAP-ie.

– Oliver. Żeby pozostać w klimatach komiksu *Bloom County*.

Skinął głową. Oliver był fajną postacią i lubiliśmy go.

– Jest jedna zaleta takiej sytuacji. Znam już cały plan.

Parsknął śmiechem.

– No tak. Oszczędza się czas.

Wstałem.

– Dobra, to zaczynam. Może wyjść, że będę z tobą konkurował. Chcesz się założyć, że pierwszy wymyślę napęd nadświetlny?

– Tylko się cieszyć, jeśli ci się uda. Wszyscy zyskują.

Pomachałem mu i wróciłem do siebie.

* * *

Zarówno Alfa Centauri A, jak i B miały rozsądne złoża surowców. Bart i jego ekipa skupili się na A, ale ja potrzebowałem szybko zacząć. Mój statek miał być gotowy dopiero za sześć miesięcy. Wtedy uruchomię autofabrykę w Alfie A, żeby trzaskała Bobów ile tylko wlezie, a sam przeleczę do B z kolejną autofabryką i tam się zainstaluję. Z maksymalnym przyspieszeniem *Nieba* w wersji 4 to były niecałe cztery dni lotu.

A na razie musiałem się zastanowić, jakiej broni można potencjalnie użyć przeciwko Innym. Nasze niszczyciele mogły wiele razy przebić na wylot ich transportowce czy asteroidy śmierci, nie robiąc im żadnych szkód. Bomby jądrowe za to były skuteczne, a ekspedycja do 82 Eridani dała parę ciekawych wniosków. Nie mieliśmy czasu na rozkminianie broni rozszczepialnej od zera. Trochę ubolewałem, że wcześniej nad tym

nie pracowałem. Ale tylko trochę.

Igły plazmy, tak jak niszczyciele, były po prostu za małe. Na nic przeciwko tak megamonstrualnym statkom.

Potrzebowałem dużej masy, dużego wybuchu albo ogromnej energii. Ciepłej, elektrycznej, grawitacyjnej, kinetycznej. No właśnie. Prędkości relatywistyczne. Do jakiej prędkości dam radę coś rozpedzić?

Zaplotłem ręce za plecami i mamrocząc pod nosem, skierowałem się do mego laboratorium szalonego naukowca.

* * *

Naprawdę nie miałem pojęcia, jakiej siły potrzeba. Ale przesada miała bardzo niewiele negatywnych skutków, za to niedoszacowanie – bardzo wiele. Mając to na względzie, stwierdziłem: idę w skalę.

Dlatego moja pierwsza partia produkcyjna składała się wyłącznie z nowych drukarek. Potem dwie drukarki przeznaczyłem wyłącznie do wytwarzania nowych drukarek, a reszta zajęła się trzaskaniem dronów. Chciałem zainwestować trochę czasu na początku w zwiększenie zdolności produkcyjnych, co miało mi się później opłacić.

Do budowy Bobów byłem gotowy dopiero po dwóch latach. Szybkość, z jaką drukarka coś produkowała, zależała oczywiście od wielkości tego przedmiotu, ale także, w dużym stopniu, od jego szczegółowości. Drukarki 3D budowały atom po atomie, używając dużej liczby nanorurek węglowych o odpowiedniej średnicy, skalibrowanych do poszczególnych pierwiastków. Budowa czegoś takiego jak drukarka wymagała maksymalnej dokładności i precyzji, trzeba było bowiem kłaść jeden za drugim atomy węgla, tak by nie powstały żadne defekty. Dlatego drukarka 3D była najbardziej złożonym obiektem, jaki mogła sama wyprodukować. Trudniejsze byłoby tylko coś biologicznego.

Jednakże wreszcie produkowałem Bobów. Po długiej dyskusji wypracowaliśmy z Billem projekt *Nieba* wersja 5 – prawdziwego pancernika w porównaniu z *Niebem 1*. Respekt czuło się już patrząc na same plany.

Bill nadal pracował nad maskowaniem się przed SUDDAR-em, na podstawie danych z misji do 82 Eridani, ale wiedzieliśmy już wystarczająco dużo, żeby dostosować statek do tych wymagań. Przygotowałem też projekt niewidocznego niszczyciela, podobnego trochę w konstrukcji do niewidzialnych bomb atomowych Medeirosa.

Howardowi udało się wyciągnąć od Butterwortha plany bomby wodorowej. Zdaje się, że pułkownik uznał Innych za wystarczające zagrożenie, żeby ujawnić tajemnicę wojskową. Niesamowite, że po wymarciu 99,9% ludzkiej rasy oni nadal myśleli takimi kategoriami.

Trzy lata po obudzeniu się w Alfie Centauri miałem własną armadę okrętów wojennych.

62. Odlot Mulder, listopad 2201, Posejdon

Założyłem ręce za głowę i przeciągnąłem się, przeglądając raport, który miałem wysłać do Billa i Rikera. To miał być mój ostatni raport z Posejdonu. Jutro Monty zacznie powrotną podróż na Ziemię, pusty, jeśli nie liczyć paru biologicznych próbek.

A ja wyceluję dziobem w nowy układ i odlecę, zostawiając Marcusa jako Boba-rezydenta.

Puściłem sygnał Monty'emu i Marcusowi, zaprosiłem ich do siebie. Odpowiedzieli od razu.

– Cześć, Mulder. Będzie mi was brakowało – powiedział Marcus, popatrując na nas obu.

– No, wiem – odparł Monty. – Szkoda, że nie mogę lecieć wolniej niż 0,75 c, ale statek-kolonia nie może sobie pozwolić na wydłużanie podróży.

Marcus miał trochę przygnębioną minę, więc żeby zmienić temat, wskazałem swój raport.

– Dobrze to wygląda. Trzy dywanowe kolonie w pełni funkcjonujące, dwa pływające miasta na ukończeniu.

Kiwnął głową.

– I trzy miesiące od ostatniego ataku krakena.

– Ewidentnie da się je wyuczyć.

Wyszczrzył zęby i przywołał sobie colę.

– No i jeszcze to. – Wyświetlił obraz.

– Co to, kur...? – Zmrużyłem oczy i wpatrzyłem się w obrazek. – To jest naprawdę...?

– Napowietrzne miasto. Znaczą latające. Naprawdę. – Machnął ręką. – Co prawda, na razie to tylko mały prototyp, ale jest. Sporo musiałem nad tym posiedzieć. Wszystkie systemy razy trzy, wszelkie możliwe zabezpieczenia. Teoretycznie powinno się dać unieść coś tak wielkiego jak te twoje pływające miasto i utrzymywać bez przerwy w powietrzu.

– Niewiarygodne – zachwycił się Monty. – Kiedy to będzie gotowe do testów?

Marcus się skrzywił.

– Niestety, stary, sześć miesięcy to co najmniej. Dowiesz się o wynikach dopiero na Ziemi.

– Oj, to szkoda. Z drugiej strony, jak odzyskam kontakt, może to już będzie gotowe do użytku? To dopiero będzie ciekawe.

Kiwnąłem głową. To był dobry argument na rzecz nieprzyspieszania powyżej 0,75 c – wtedy mógłbym śledzić losy projektu. Jeśli ten szalony pomysł Marcusa naprawdę zadziała, sytuacja na Posejdonie zmieni się diametralnie.

* * *

Posejdon szybko malał w rufowej kamerze, kiedy oddalałem się od układu. Pożegnania z Draperem i ludźmi, z którymi przez lata się zaprzyjaźniłem, bolały bardziej, niż się spodziewałem. Było całkiem możliwe, że część z tych ludzi umrze, zanim moje τ spadnie u celu podróży. Przyjaźnie z ludźmi wydawały się coraz mniej atrakcyjne.

Riker mnie pingnął, zaprosiłem go do siebie.

– Cześć, Mulder. Przepraszam, że wcześniej się nie kontaktowałem. Ale to tysiąclecie było naprawdę pracowite. – Uśmiechnął się do mnie.

– Szczególnie ostatni tydzień – odparłem i zawołałem Jeevesa, żeby przyniósł mu kawę.

– Jak tam sytuacja na Ziemi? – zapytałem.

– Mamy w regularnej służbie czternaście statków-kolonii – odpowiedział. – I mamy, albo zaraz będziemy mieć, kolonie na Wolkanie, Posejdonie, Epsilonie Indi i 82 Eridani. Idzie ku dobremu.

– Szłoby, gdyby nie Inni.

Will westchnął.

– No tak, wiem. Zwłaszcza osiemdziesiątka dwójka i Epsilon Indi są zagrożone, bo są najbliżej. Ale pracujemy nad tym.

No dokładnie. Zyskasz trochę przewagi w wyścigu szczurów, to wszechświat od razu wystawia do niego większe szczury.

63. Pawonisi

Jacques, luty 2207, Delta Pavonis

Patrzyłem z orbity na iskierki światła ozdabiające nocną stronę Deltę Pawonis 4 i docierało do mnie, że jest spora szansa, że te istoty niedługo zginą.

Ci... no właśnie. „Deltanie” było już zajęte. Pawie? Pawiowcy? Paskudne. Niech będą na razie Pawonisi. Pawonisi byli już dobrze w epoce przemysłowej, zapewne odpowiadającej czasom wiktoriańskim na Ziemi. Pompowali do atmosfery niesamowite ilości dymu, tworząc pierwsze podwaliny pod globalne ocieplenie. Miałem nadzieję, że w swoim czasie uda im się dostać świra na punkcie środowiska.

Skończyłem pierwsze pomiary, spakowałem wyniki i przesłałem je Billowi.

Minęło jakieś dziesięć minut, zanim dostałem sygnał, a Bill pojawił się w mojej VR-ce.

– No to słabo.

Kiwnąłem głową.

– Pamiętasz czasy, kiedy myśleliśmy, że znalezienie kolejnej inteligencji to sama radość? – Pochyliłem się i ukryłem twarz w dłoniach. – A ja pewnie zostanę świadkiem masakry całego gatunku.

Zmaterializował sobie fotel bujany – w mojej VR-ce trochę anachroniczny, ale co tam – i usiadł. Parę milisekund siedział w milczeniu, zanim odpowiedział:

– Jacques, jest bardzo możliwe, że najpierw zaatakują Gammę. Tam też jest pełny ekosystem, ale chociaż nie ma rozumnego życia, Claude nic takiego nie znalazł. Jeśli Inni polecą tam, będziesz mógł pomóc. A na razie musisz zacząć zbierać surowce i zbudować kilka pancerników Olivera.

Spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

– Nie. To znaczy tak, ale i nie. Zbuduję pancerniki i będę gotowy, żeby pomóc Claude’owi, ale spróbuję też zbudować parę statków-kolonii według projektów Rikera. Jeśli do drzwi załomocą Inni, chcę wywieźć z planety trochę Pawonisów. Nie będę siedzieć z założonymi rękoma, kiedy ginie cała rasa.

Bill patrzył na mnie przez parę milisekund, marszcząc brwi. Potem powoli się uśmiechnął.

– Nie potrafię zdecydować, czy jesteś geniuszem, czy debilem. Zastanowię się nad tym. Szlachetna wizja, przyznaję, Jacques, ale nie wiem, czy możliwa. Trzeba to chyba przegadać na Zgromadzeniu. Niech mądrość zbiorowa się nad tym pochyli.

Wzruszyłem ramionami. Mądrość zbiorowa może się mądrzyć, ile sobie tylko chce. Ja wiedziałem, co mam robić. Bill kiwnął głową i zniknął.

* * *

Pierwszy krok był taki sam, niezależnie od tego, czy realizowałem plan Billa, czy swój. Znaleźć surowce, zbudować autofabrykę. Układ był bogaty w metale, więc nie spodziewałem się żadnych problemów.

Zwróciłem się do Gupika, który jak zwykle czekał na spoczniej. To zabawne – parę generacji i parę wersji od *Nieba 1*, a on się tak naprawdę nie zmienił. Taki sam rybiogłowy, małomówny pomocnik z kamienną twarzą. Ale się sprawdzał.

– Gupik, potrzebujemy autofabryk, i to szybko. Wyślij wszystko, co mamy, niech szuka odpowiednich lokalizacji. Najwyższy priorytet i nie ma co się szczypać.

Gupik kiwnął głową i wpadł w szal wydawania poleceń. Statek podskoczył, we wszystkie strony poleciały drony i zwiadowcy. Dobrze, że minęły już dni, kiedy trzeba było osobiście oblatywać układ i skanować go SUDDAR-em na wszystkie strony. Udoskonalenia samego SUDDAR-u oraz MSI oznaczały, że nawet ten element dawało się delegować.

Polecenia nie obejmowały dronów do eksploracji planetarnej, bo do tego zadania były niepotrzebne. Zresztą już były nad planetą. Zacząłem szkicować plan zorganizowanego i systematycznego zbierania informacji o Pawonisach.

* * *

Pawonisi wyglądali pod każdym względem jak olbrzymie surykatki. W pełni wyprostowani mierzyli ponad dwa metry. Potrafili chodzić na dwóch nogach, ale gdy trzeba było pójść choćby trochę dalej, opadali na cztery. Trochę trudno było mi przyzwyczać się do tego widoku. Wychodzi, że jestem szowinistą dwunożności. Kto by pomyślał?

Nosili ubrania, ale chyba nie tyle dla ochrony czy przyzwoitości, ile dla ozdoby i ze względu na kieszenie. To znaczy poza chłodniejszymi klimatami. Byli zorganizowani w państwa czy regiony i wydawało się, że

mają formę rządów bardzo podobną do tego, co wymyśliła ludzkość. Nawet ich społeczeństwo wyglądało znajomo. Chyba jedyną prawdziwą różnicą był niemal całkowity brak monogamii. Pawonisi organizowali się w rodziny liczące do ośmiorga dorosłych, mające przeważnie tyle samo osobników obu płci. Wynikało z tego, że standardowe mieszkanie wygląda trochę inaczej, ale poza tym nie miało to zasadniczego wpływu na organizację społeczeństwa.

Wybrałem sobie jeden z krajów przypominający wczesną Amerykę, jedno z większych miast i zacząłem prowadzić dokładniejsze badania.

Pewną niedogodnością był brak mediów elektronicznych. Znalazłem jednak parę księgarń. Udało mi się pod wieczór zakraść tam kilkoma szopami. Zajęły pozycje w cieniu pod stropem i poczekały na zamknięcie.

A potem zaczęły przeglądać książki. Nie było niczego przypominającego książki dla dzieci, były natomiast dla początkujących czytelników, z ilustrowanym alfabetem. Przejrzenie całej zawartości księgarń zajęło dwie noce.

Ponieważ znaczna część populacji nadal nie umiała czytać, mieli kluby, gdzie ktoś czyta książki na głos, a reszta klientów je sobie lub pije. Wydało mi się to bardzo cywilizowanym pomysłem. Poumieszczałem drony w zakamarkach każdego klubu czytelnika, jaki znalazłem, i przy najbliższej okazji postarałem się zeskanować czytane tam książki.

Po niecałym miesiącu miałem praktyczny słownik języka tego kraju. Mieszkańcy nazywali siebie *Žentfen*, a swój język – *tinož*.

Tymczasem drony górnicze znalazły dość zasobów, by ruszać z wydobywaniem. Układ był bogaty, tak jak się spodziewałem. Jak wiele innych, miał pas asteroid wewnątrz orbity pierwszego Jowiszoida i pozyskiwanie było megałatwe. Na początek kazałem drukarkom wyprodukować kolejne drukarki. Chyba wszyscy nauczyliśmy się od Boba – szybka reprodukcja drukarek opłaca się na dłuższą metę.

Poczekam na najbliższe Zgromadzenie Bobów, może poradzą, jak dobrze rozplanować produkcję. Ale jeśli ich sugestie nie będą obejmowały statków-kolonii do ewakuowania z planety części Pawonisów... no to niech się walą.

64. Zgromadzenie Bill, marzec 2207, Epsilon Eridani

Ryknięcie klaksonem zostało docenione buczeniem, jak zawsze. Jednak nie byłem w stanie się uśmiechnąć. To będzie trudne spotkanie. Miny na twarzach obecnych wskazywały, że mają tego świadomość.

– Dobra, panowie. Podsumujmy. Inni wykopali Maria z GL 54 i teraz wydobywają surowce, aż warczy. Wyprawili kolejną ekspedycję, do NN 4285. Mam obawy, że Gamma i Delta Pavonis będą następne. I oczywiście w jednym układzie jest zamieszkiwalna planeta, a w drugim cywilizacja.

Spojrzałem na morze twarzy. Wszyscy byli stuprocentowo skupieni na moich słowach.

– Oliver z Alfy Centauri skonstruował nowy, lepszy model wozu bojowego. Ale jest za daleko, żeby pomóc Jacques’owi i Claude’owi, chyba że Inni zamarudzą dłużej, niż przewiduję. W razie potrzeby Jacques jest gotowy wysłać Claude’owi posiłki.

– Albo na odwrót, jeśli tak będzie trzeba.

Poszukałem wzrokiem autora tego komentarza. To był Jacques. Uniosłem brew, dając mu znak, żeby kontynuował.

– Delta jest dalej od GL 877, z tej perspektywy Gamma jest bardziej prawdopodobnym celem. Tylko że Delta ma o niebo więcej metalu, i widać to doskonale na liniach widma. Inni mogą darować sobie bliższy układ i polecieć do lepszego. Już raz Gammę pominęli.

Zamknąłem na chwilę oczy. Po sali przeszła fala pomruków.

– Słuszna uwaga, Jacques. Nie dowiemy się, póki nie wyruszą. Wokół GL 877 mamy pełne pokrycie i wykryjemy każdy kierunek. – Kiwnąłem na Garfielda, który stał z boku podwyższenia. – Garfield podsumuje nasze możliwości bojowe.

Garfield wszedł na środek i pomachał zdawkową ręką. Też nie był w dobrym nastroju.

– Mamy bomby jądrowe, dzięki Medeirosom. Mamy bomby termojądrowe, a przynajmniej plany, dzięki ZSE i pułkownikowi Butterworthowi. Igły plazmowe udało się trochę przeskalować, ale to pole magnetyczne, które je skupia, ma ograniczenia wielkości i pewnie już do nich dotarliśmy. Wystarczają na mniejsze statki Innych, ale tym transportowcom czy asteroidom śmierci nic poważnego nie zrobią.

Wyświetlił schemat.

– Mamy teoretyczne podstawy maskowania, ale nie udało nam się zdobyć wystarczająco dużo sprzętu, żeby zobaczyć, jak to Brazylijczycy praktycznie zrobili. To znaczy, że zaczynamy od zera. Zdaje się, że to było jedno z tych przypadkowych odkryć, więc samo rzucenie godzin na ten problem nic nie daje. Potrzebny jest jakiś przełom.

Ktoś z przodu rzucił:

– Bez maskowania nie podejmiemy bombami na tyle, żeby coś dały. Sfajczą je albo zestrzelą. Chyba można założyć, że ktoś taki jak Inni ma też coś w rodzaju rakiet.

– Da się nimi podejść – wtrącił ktoś inny – jeśli przewieziemy je w ładowni pancernika.

Zapadła cisza, wszyscy popatrzyli po sobie. Pancernik sam też zginie w eksplozji.

– Moglibyśmy kilka pancerników obsadzić MSI i zrobić z nich kamikadze.

Poczułem, jak brwi wjeżdżają mi na czoło. To nie było tak całkiem idiotyczne. Trzeba się zastanowić, ile pancerników da się obsadzić sztuczną inteligencją.

Rozejrzałem się.

– Dobra, kto to mówi? Całkiem niezłe pomysły. Może powinieneś być w komisji.

Elmer.

– Nie, dzięki. Próbuję tylko ocalić własną skórę. – Rozejrzył się po widowni. Wreszcie można się było trochę pośmiać.

– Jest jeszcze taranowanie z prędkościami relatywistycznymi – wtrącił ktoś inny.

Pokręciłem głową.

– Myśleliśmy o tym. To musiałyby być niszczyciele, czy coś innego, czym da się kierować. A i tak trzeba by je wystartować na wiele tygodni przed bitwą i zaplanować, żeby zetknęły się z nimi w odpowiednim miejscu i czasie. Mała szansa, że to się tak idealnie uda. Poza tym wykryją to na odległość co najmniej godziny świetlnej i wystarczy, że zrobią unik. A niszczyciele będą miały tak wielkie τ , że w życiu nie zareagują odpowiednio szybko. Jeśli zapomnimy o prędkości relatywistycznej i weźmiemy pod uwagę normalne taranowanie, oni w ogóle tego nie czują. Albo po prostu sfajczą niszczyciele swoimi asteroidami śmierci.

Zapadła krótka cisza, gdy wszyscy to przetrawiali.

Gadaliśmy o uzbrojeniu jeszcze przez chwilę, lecz zaraz do wszystkich dotarło, że mielimy w kółko te same informacje. Zakończyłem spotkanie, rozeszliśmy się do podgrup. Oficjalnie to była towarzyska część spotkania, ale my zawsze byliśmy pracocholikiem.

Każda z grupek zajęła się dyskusją nad jednym konkretnym problemem.

W jednej z nich Jacques prowadził nieformalną prezentację o Pawonisach. Wśród widzów miał Boba, to znaczy Boba 1. Poszedłem do niego, kiwnął mi głową i skupił się z powrotem na prezentacji.

Chciałem zamienić z nim słowo o Deltanach – wyrazić współczucie, dowiedzieć się, co nowego, wszystko jedno, cokolwiek. Został praktycznie wypędzony z ich społeczeństwa. Szczep stał się jego rodziną, takie wygnanie musiał bardzo przeżyć.

Ale wiadomo, jesteśmy Bobem. Inteligentny, zmotywowany, zero umiejętności społecznych. Wsłuchałem się z powrotem w prezentację.

Pawonisi wydawali się pod wieloma względami bardzo podobni do ludzi. Dobra, mieli futro, małżeństwa grupowe i latali na czworakach. Ale poza tym...

Preferowali coś w rodzaju naturalnego socjalizmu. Mieli instytucje pomagające tym, którym wiodło się gorzej, ale wyglądały na finansowane przez prywatny kapitał. I to dobrze finansowane. Ich rządy, nawet te, które na Ziemi byłyby mocno interwencyjne, wydawały się raczej oszczędne i nieangażujące się. Z drugiej strony, według ludzkich standardów, Pawonisi byli zorganizowani mniej więcej tak, jak koszyk pełen szczeniaków. Zastanawiałem się, jak znieśliby wprowadzenie czegoś w rodzaju *Zasad porządkowych Roberta*².

Jacques skończył prezentację, dostał rundkę oklasków i zaczęły się pytania. Ja uśmiechnąłem się, kiwnąłem głową Bobowi i poszedłem.

Tylu tych Bobów, tyle inteligencji w tej sali, jeśli mogę pokusić się o odrobinę samochwalstwa. Kontrolujemy taką ilość zasobów, rozsianych po sferze podchodzącej pod sto lat świetlnych średnicy. I nie umiemy sklecić planu obrony jednej jedynej planety. Z obrzydzeniem dla samego siebie przeskoczyłem do własnej VR-ki.

2 Robert's Rules of Order, popularny w USA XIX-wieczny zbiór procedur prowadzenia posiedzeń i zebrań (przyp. tłum.).

65. Dziadek

Bob, styczeń 2195, Delta Eridani

Archimedes wisiał jak nerwowy ojciec nad Belindą myjącą świeżo urodzone młode. Niszczyciel uśmiechał się do niego, ale widziałem też odrobinę irytacji.

Święty obowiązek każdego rodzica: doprowadzać dzieci do białej gorączki. Szczególnie, kiedy rodzic staje się dziadkiem. Uśmiechnąłem się na myśl o swoich rodzicach w roli dziadków, robiących, co się da, żeby doprowadzić Andreę i Alainę do szaleństwa. A potem musiałem otrzeć oczy, gdy ta myśl wywołała kaskadę rodzinnych wspomnień. Szybkie przyspieszenie zegara pozwoliło mi się szybko opanować, żeby niczego nie przegapić.

Belinda oddała dziecko teściowej i zaczęła myć się sama. Diana pokołysała dziecko przez parę chwil – ewidentnie kolejny uniwersalizm – i uśmiechnęła się do Archimedesesa.

Scenka jak na pocztówce, jeśli nie zwracać uwagi na nietoperzowe oczy, świńskie ryjki i sierść. A ja, bardziej niż kiedykolwiek, pragnąłem w nim uczestniczyć. Archimedes i Niszczyciel nawet nie mrugnęliby okiem, ale Diana poleciałaby z wrzaskiem do starszych, gdyby choćby mignął jej mój dron. Cholera, jak ja jej nie lubię.

Archimedes, już dobrze po czterdziestce, nadal cieszył się wyjątkowo dobrym zdrowiem. Oczywiście pochodził z pierwszego pokolenia Deltan, które dorastało na lepszym wyżywieniu, które uzyskali dzięki wynalazkom *bawbe*, lecz i tak wyglądało na to, że starzeje się powoli jak na Deltanina.

Zastanawiałem się, czy znowu nie pomęczyc Billa o androidy, on jednak miał na głowie tyle projektów w toku, w tym na przykład terraformację Ragnaröka. Podchodził do tego z humorem, ale czułem, że trochę już go denerwuję.

Mówił co prawda, że już mu niewiele brakuje. Maksymalnie dziesięciu-dwudziestu lat. Po prostu nie był to priorytetowy projekt. Mogłem pewnie zaproponować pomoc, ale realistycznie patrząc, Deltanie oraz uzbrojenie wciąż pochłaniały większość mojego czasu. Zresztą nikt nie lubi pomagierów-kibiców.

Zajrzałem do drona monitorującego, jednego z tych, które monitorowały Caerleon, nową deltańską wioskę. Powstała na miejscu

innej dawnej osady – żadne zaskoczenie, skoro poprzednio było to dobre miejsce, teraz także się nadawało. Po zmniejszeniu populacji goryloidów i zmianach w ich zachowaniu było dziś znacznie bezpieczniejsze. Uśmiechnąłem się ze smutkiem na tę myśl. To dzięki mojej pracy. Tego mi nie odbiorą.

Caerleon leżał na szczycie wzniesienia ledwie klasyfikującego się jako górka. Dzięki cienkiej warstwie gleby nie rosły tam drzewa i powstawała ładna otwarta przestrzeń. Dobra do zamieszkania i łatwa do obrony.

Łapałem się na tym, że ciągle zamartwiam się o stosunki między Caerleonem i Camelotem. Druga osada powstała o tyle pokojowo, że podczas odejścia nikt nie dostał dzidą. Wrogość była jednak silna, a napięcie pomiędzy wioskami znaczne. Niesamowite, że w chwilę po niemal całkowitym wymarciu tak łatwo weszli w zimnowojenną mentalność. Tak naprawdę problem polegał chyba na tym, że większość mieszkańców Caerleonu była w wieku młodzieńczym i wyraźnie potrzebowała coś innym pokazać.

Ta wrogość caerleońskich Deltan niepokoiła mnie na tyle, że obstawiłem ich monitoringiem, który miał mnie ostrzec, jeśli znaczna ich liczba ruszy na Camelot. Pewnie trochę paranoja. Oby.

66. Się dzieje

Howard, grudzień 2210, HIP 14100

[Wykryto konwój Innych]

Niedobrze. To pewnie już. Inni lecą do Gammy Pavonis, żeby ją wyeksploatować, zostawiając martwą planetę i pusty układ.

– Dobra, Gupik, szczegóły?

[Konwój jest dwa razy większy niż idący GL 54. Prawdopodobny punkt docelowy: Delta Pavonis]

Delta Pavonis? Nie przyjmuję do wiadomości.

– Gupik, proszę potwierdzić.

[Kurs konwoju wskazuje bezpośrednio na Deltę Pavonis. Wyłączając niespodziewaną korektę kursu, prawdopodobieństwo wynosi 100%]

– Ja pierdzielę. Pawonisi.

Wysłałem krótkiego maila do Jacques'a w Delcie i Claude'a w Gammie, wyjaśniając sytuację. Kolejne wiadomości były do Olivera i Maria. Wszyscy inni dostaną wiadomość w strumieniu RSS „Aktualności”.

W parę sekund do mojej VR-ki wpadło kilka osób.

– Nie tak, jak planowaliśmy.

Jacques wzruszył ramionami.

– Jakiś czas temu mówiłem na Zgromadzeniu. Delta jest bogatsza w surowce. Parę lat świetlnych to może być niewielka cena za dwa razy tyle zasobów. I oni o tym wiedzą, widać po wielkości konwoju.

– Jakaś szansa, że to przez nas?

– Zerowa, Claude – powiedziałem. – Po pierwsze, nie wiedzą, że jesteśmy w tym układzie. Poza tym, jak na razie bzyczymy wokół nich jak mucha, nic więcej. Jesteśmy nieważni.

– I zostaniemy zasymilowani. – Oliver uśmiechnął się krzywo.

Wszyscy zachichotaliśmy, bardziej starając się udać, że nas to rozśmieszyło.

– Wracając do konkretów: jak się ma budowanie armii? – Popatrzyłem na nich po kolei.

Pierwszy odezwał się Jacques.

– Mam dwadzieścia pancerników, każdy ma bomby jądrowe i standardowy zestaw niszczycieli do obrony. Pracowałem nad paroma

bombami termojądrowymi, ale za bardzo się nie posunąłem. A teraz już nie ma czasu.

Claude odezwał się natychmiast po nim.

– Mam piętnaście pancerników, ale udało mi się zrobić sześć bomb termojądrowych zamiast jądrowych.

Zerknąłem na Olivera, który wzruszył ramionami.

– Buduję jak powalony, panie starszy, ale jestem za daleko, żeby to się na coś przydało. Wyślę to, co mam, może się przyda, kiedy Inni pójdą na Gammę. Zakładając, że tam potem pójdą.

Spojrzałem na wszystkich po kolei i pokręciłem głową.

– Jeszcze rok, dwa i rozpracujemy maskowanie. Jestem pewien. A na razie róbcie, co możecie. Niedługo będzie Zgromadzenie. Ale poza wsparciem moralnym jesteście zdani sami na siebie.

* * *

Zgromadzenie odbyło się następnego dnia. Kiedy wszedłem na mównicę, rozmowy od razu ustały. Żadnego klaksonu, żadnego buczenia. Spojrzało na mnie morze twarzy, wszystkie z taką samą ponurą miną.

– Wiecie, jaka jest sytuacja. Ktoś ma jakieś pomysły?

– Twój holownik asteroid pewnie nie uciągnąłby Deltę Czwórki?

Spojrzałem na Thora. To chyba nie mogła być poważna propozycja.

– Niestety, stary. Teoretycznie potrafi pociągnąć wszystko, ale na razie trochę by zajęło, nim ruszyłyby coś wielkości planety.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że jej mieszkańcy w połowie drogi zamrzną na śmierć.

Kiwnąłem głową w stronę Bena z najnowszej partii pancerników.

– Prawda. Lot zajęłoby rok czy dwa subiektywne lata, a przez ten czas nie mieliby słońca. No bueno. Myślę, że jesteśmy skazani na to, co mamy. Będziemy walczyć do ostatka i niestety nie zdążyliśmy się przygotować. Mamy tylko jedną przewagę – wiemy, co się wydarzy, a oni nie.

* * *

Przejrzałem raporty. Claude wszystkie swoje pancerniki wysłał na Deltę Pavonis. Mając lepsze przyspieszenie, dotrą przed Innymi, ale na styk. Ewentualne strategie trzeba będzie obmyśleć jeszcze w trakcie lotu.

Obie grupy w sumie miały trzydzieści pięć pancerników. Jacques dotrze pewnie do sześćdziesięciu, zanim przyleci grupa Claude'a. Z pozoru to było dużo, ale wystarczyło spojrzeć na wielkość armady

Innych. Dwadzieścia asteroid śmierci, czterdzieści transportowców i kilkaset statków towarzyszących. Można je było uznać za odpowiedniki niszczycieli. Prawie na pewno były kierowane przez MSI i mogły taranować wroga w razie potrzeby. Transportowce były trudne do zniszczenia z uwagi na swoją wielkość, ale zbyt ciężkiego uzbrojenia zaczętego się tam nie spodziewałem.

Natomiast asteroidy śmierci były wielką niewiadomą. Byliśmy prawie pewni, że zdołamy przetrzymać ich promień śmierci, ale nie wiedzieliśmy, jaką jeszcze broń mogą mieć w odwodzie. Można było założyć, że Inni przewidzieli, że kiedyś wpadną na rasę, która będzie w stanie z nimi walczyć.

Wspomniałem o tym Garfieldowi i zdziwiłem się, kiedy się ze mną nie zgodził.

– Bill, my byliśmy chyba w każdym układzie, w którym byli Inni. – Nonszalancko objął ręką mapę, którą wyświetlił. – I dotąd na nic takiego nie trafili. Nigdy nikt im dupy nie skopał. Nawet kiedy my się z nimi ścięliśmy, to w najlepszym razie się powysadzaliśmy. Są aroganccy. Poziom Borga. Albo i lepiej. Dla nich nie jesteśmy nawet celami do asymilacji, jesteśmy pokarmem.

Zastanowiłem się nad tym.

– Czyli myślisz, że mogą być nadmiernie pewni siebie. – Wyszczrzyłem zęby. – Albo w sam raz.

Zachichotał ponuro.

– Wszystko jedno. Chodzi o to, że mogą nie mieć planu B.

67. Złe wieści

Howard, grudzień 2210, HIP 14101

Układ HIP 14101 okazał się trochę nieudany. Ładne słońce, ładne prążki w widmie, ale nic wartego wspomnienia na orbitach. Na zewnętrznym skraju ekosfery zagnieździła się planeta typu jowiszowego, nie zostawiając miejsca na nic typu ziemskiego.

Za to badanie jej było niezłą frajdą. Według naszej BobWiki nikt dotąd nie przyjrzał się żadnemu gazowemu olbrzymowi dokładniej niż standardowo w przelocie. No ja rozumiem, są trudne do skolonizowania. Ale jednak.

Przystosowanie dronów do działania w atmosferze Jowisza to był nieustanny ból głowy. Poprawiło się jedną rzecz, to rozwalala się kolejna. Z każdym prototypem udawało się wejść trochę głębiej, lecz i tak traciłem niemal jednego na trzy. Układ miał jednak masę metalu, a ja masę czasu.

Właśnie relaksowałem się na patio, gdy zabrzmiał dźwięk przychodzącej wiadomości. Wyświetliłem ją sobie i zacząłem czytać.

Kolejne wieści od Dextera. Więcej informacji o koloniach, parę nowych miast, ludność przekracza milion, przemysł w kosmosie, bla, bla, bla.

Oj... Stéphane umierał. W niecałe dziesięć lat od lądowania na Wolkanie zidentyfikowano encefalopatię Haliburtona, jedną z nielicznych miejscowych chorób, która okazała się kompatybilna z ziemskim życiem. Nie było jeszcze lekarstwa i śmierć następowała w ciągu sześciu miesięcy. Poczulem, że żołądek mi się zapada. Był od lat moim przyjacielem i ta sprawa z Bridget nie zmieniła tego. Nie bardzo. Ale przypominało mi to, że nie bez powodu nazywałem ludzi „efemerydami”.

Za długo siedziałem w tamtym układzie. Najpierw napisałem maila do Bridget i Stéphane’a, pytając, czy możemy się umówić na rozmowę.

Potem trzeba będzie wykonać parę innych rozmów.

* * *

Pingnąłem Billa, a kiedy potwierdził, wpadłem do niego. Garfield też

tam był, siedział i pił kawę. Wszystkie ściany pokrywały zapiski i schematy. Takie tam, normalne, standardowe laboratorium szalonego naukowca, nic wielkiego.

Obaj wyglądali na podłamanych. Wszyscy Bobowie przygotowywali się na przylot innych do Delty Pavonis. Bill i Garfield na pewno czuli presję na wynajdowanie nowej broni, ale przecież cudów się nie dokona. Współczułem, ale miałem inne sprawy, dla mnie ważniejsze.

– Cześć panowie – powiedziałem, wskazując ręką ozdoby na ścianach.
– Co to za projekt?

– Parę różnych naraz – odpowiedział Garfield. – Ale większość tej ściany to Projekt Android. I w tej sprawie przychodzisz, nie?

Kiwnąłem głową i przez dłuższą chwilę przypatrywałem się własnym butom.

– Jak blisko jesteście androida, który by wyglądał mniej więcej jak człowiek? Niedługo będę musiał pójść na pogrzeb.

Popatrzyli po sobie, potem spojrzeli na mnie.

– Właściwie to całkiem blisko. Mamy prototyp. Wygląda jak manekin, na tańce byś z nim nie poszedł. Ale chodzić da radę, pod tym względem jest gotowy.

– Dam radę zrobić takiego w trzy miesiące?

Bill zastanowił się.

– Na razie to prototyp, różne rzeczy ma jednorazowe, ręcznie składane. Musimy zrobić regularne plany dla drukarki. Kiedy je skończymy, to tak.

Kiwnąłem głową. Zdązę na czas. Oczywiście z medycznymi rokowaniami nigdy nic nie wiadomo. Ale jest nadzieja.

– Jak te plany już będą, wyślijcie je Dexterowi na Wolkana, dobra?

* * *

Dostałem od Dextera maila, że android jest gotowy. Czas umówić się na wizytę. Wziąłem głęboki wdech i zadzwoniłem.

Bridget odpowiedziała po paru dzwoneczkach.

– Howard?

– Cześć, Bridge. Jak się czuje Stéphane?

Bridget się zawahała. Wyglądała strasznie. Choroba Stéphane'a musiała i ją dużo kosztować. Oczy miała czerwone, włosy szare. Skórę też miała szarą. Miałem ochotę wziąć ją w ramiona i odgonić wszelkie troski. I zdałem sobie ze zdumieniem sprawę, że pierwszy raz tak jasno wyraziłem uczucia, które do niej żywię.

– Niewiele czasu mu zostało. Dwa-trzy tygodnie, tylko tyle nadziei dają teraz lekarze.

– Tak mi przykro, Bridget. Jak on to wytrzymuje?

– Howard, on już przeważnie nie jest przytomny. Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie, już się nawet pożegnaliśmy. – Mówiąc to, wymruwała z oczu łzy. Dzielne słowa, lecz zza nich przeziierał ból.

Poczułem falę żalu, gdy dotarło do mnie, że nie będę w stanie pożegnać się z moim przyjacielem. Spojrzałem bez słowa na Bridget, a ona kiwnęła głową. Wszystko rozumiała.

Próbowałem wygłaszać standardowe, nieudolne słowa otuchy. Chciałem być na linii tak długo, jak potrzebuje. Była jednak zmęczona, fizycznie i emocjonalnie, więc zaraz chciała się pożegnać.

Rozłączyłem się i ukryłem twarz w dłoniach. Potrzebowałem paru milisekund, żeby się pozbierać. Potem puściłem sygnał Dexterowi.

– Cześć, Howard. Pewnie chcesz zobaczyć, jak tam Maniek?

– No jasne.

Rozejrzałem się po jego VR-ce. Zwyczajna, coś w rodzaju biblioteki. Zauważałem, że Bobom, zwłaszcza z późniejszych pokoleń, coraz mniej chce się inwestować w interesującą wirtualną rzeczywistość. Zanotowałem sobie w myślach, żeby porozmawiać o tej zmianie podejścia z Dexterem, jeśli trafi się okazja.

Kiwnął głową i wyświetlił okienko wideo, razem z jakimś raportem podsumowującym.

W okienku widać było Mańka Manekina w stojaku. Wyglądał na kompletnego.

Pochyliłem się dokładniej nad raportami.

– Wszystkie testy przeszedł poprawnie – powiedział Dexter. – Pomyślałem, że pierwszą aktywację pewnie byś chciał sam zrobić?

– Dzięki, Dex.

Projekt Android Billa toczył się, raz lepiej, raz gorzej, od sześćdziesięciu pięciu lat. A to była najnowsza wersja. Maniek składał się ze szkieletu z włókna węglowego, zaprojektowanego z maksymalnym podobieństwem do ludzkiego. Za mięśnie służyły plastiki pamięciowe, kurczące się po przyłożeniu napięcia. Sztuczna muskulatura była ułożona na szkielecie na podobieństwo ludzkiej. Powstało coś, co powinno się ruszać, zachowywać jak człowiek i wyglądać realistycznie. Zaś neuronowe sprzężenie zwrotne z androida zapewniało realistyczne wrażenia operatorowi.

Niestety, realistycznie wyglądająca ludzka skóra i włosy nie były na szczycie listy priorytetów. Maniek rzeczywiście najbardziej ze wszystkiego przypominał manekina. Bez włosów, blada plastikowa skóra, szare, nieruchome oczy. Według specyfikacji sterowanie mięśniami twarzy wciąż działało tak sobie. Zerknąłem na Listę Otwartych Kwestii.

No cóż. Bill mówił, że to prototyp.

68. Rejestracja

Jacques, wrzesień 2212, Delta Pavonis

Gupik wpadł do mojej VR-ki.

[Nowy moduł pamięci jest online]

– O, dobrze. Już trochę ciasno się robiło. Niech drony wznowią pełny program.

Kiwnął głową i zniknął.

Opracowałem plan rejestracji wszystkiego o tej planecie, co tylko jest możliwe. Nie tylko o cywilizacji Pawonisów. O roślinach, zwierzętach, krajobrazach, geologii, wszystkim, co tylko przyszło mi do głowy. Na długo przed statkami-koloniami zbudowałem niezależny komplet komór hibernacyjnych i teraz stopniowo pakowałem do nich materiał genetyczny ze wszystkich gatunków, w które dało się wbić igłę. Taki bardzo nieformalny i zaimprovizowany skarbiec genów. Zaimprovizowany – bo nie miałem czasu tego zorganizować. Musiałbym najpierw skatalogować i zsystematyzować życie na Delcie Pavonis 4. W praktyce pożyczylem sobie strategię od Noego i wszystko traktowałem jako „rodzaj”. Później nagrania pomogą zidentyfikować gatunki i inne takie. O ile będzie jakieś „później”.

Nagrywałem także społeczeństwa, kultury i języki Pawonisów. Zapotrzebowanie na pamięć do zapisu było gigantyczne. Gupik właśnie rozszerzył ją trzeci raz od startu projektu. Spodziewałem się, że trzeba będzie jeszcze co najmniej raz.

Zastanawiałem się, czy nie skontaktować się potajemnie z paroma z nich, choćby po to, by zyskać osobistą perspektywę na ich życie, lecz Bill odwiódł mnie od tego – przekonał mnie, że to będzie w najlepszym razie okrutne, w najgorszym makabryczne.

Działalem więc jako bierny obserwator. Technologię mieliśmy o wiele lepszą niż Pawonisowa, będąca mniej więcej na wiktoriańskim poziomie, ale i tak nie zawsze wszystko szło idealnie. Parę razy zostaliśmy dostrzeżeni i w ich społeczeństwie pojawiła się swoista odmiana świrów od teorii spiskowych i UFO.

Dało mi to do myślenia – może u ludzi też to miało jakieś umocowanie w rzeczywistości? Spróbowałem sobie wyobrazić jakąś obcą wersję replikantów ganiających dookoła Ziemi i porywających ludzi. No, nie ma mowy. Zwłaszcza z tymi sondami analnymi. Nie i tyle.

* * *

Ponieważ plan obejmował porwanie dwudziestu tysięcy Pawonisów, chciałem mieć już wstępnie wybraną grupę docelową. Ganiecie i uwożenie ich na chybił trafił, aż nazbiera się kontyngent, jakoś mi się nie podobało.

Poświęciłem chwilę na zliczanie populacji małych miast, aż znalazłem dwa tuż poniżej dziesięciu tysięcy mieszkańców. W razie konieczności mogłem uzupełnić tę liczbę z pobliskich ośrodków, które wydawały się bazami wojskowymi. Te dwa miasta, Mheidzrkwa i Aizzilkwa, przypominały trochę prowincjonalne Stany Zjednoczone – wolno stojące domki, stabilna populacja, silne więzi rodzinne.

Chciałem udokumentować i zrozumieć ich społeczność od samego dołu. Z drugiej strony nie chciałem pójść śladami Boba 1 i nadmiernie się przywiązać do poszczególnych osobników. Miałem jednak złe przeczucia, że my, Bobowie, mamy taką wspólną słabość. Czy raczej potrzebę więzi. Trzeba to będzie starannie zrównoważyć.

Wybrałem sobie losowo dom w mieście Mheidzrkwa i objąłem go obserwacją. Szopy wielkości owadów zainstalowały w domu kamery i mikrofony. Czuję się nieswojo, jak podglądacz, ale uspokojałem się myślą, że zachowuję dla potomności zapisy o kulturze, która za kolejne dziesięć lat najprawdopodobniej przestanie istnieć.

* * *

Grupa rodzinna Los wydawała się raczej przeciętna jak na pawoniskie rodziny. Sześcioro dorosłych, po troje obu płci, plus dziewięcioro dzieci w różnym wieku. Nie mieli specjalnej potrzeby prywatności, więc organizacja pokoi zależała głównie od dostępnego miejsca. Meble, zależnie od nastroju, przestawiali prawie codziennie.

Posiłki za to jedli o ustalonych porach, po prostu dlatego, że wymagała tego logistyka przygotowywania jedzenia dla takiej liczby ludzi. Jednakże w samych posiłkach organizacji nie było za grosz.

Moje najlepsze porównanie to impreza urodzinowa dla dwulatków – totalny chaos i każdy łapie co popadnie.

Dorośli wykonywali najrozmaitsze prace. Pawonisi darowali sobie podział społeczeństwa na warstwy. Matrona rodu, Da Hazdżar Los, była w radzie miasta Mheidzrkwa. Wydawała się inteligentna i bardzo trzeźwo myśląca, jak na Pawonisów. Zanotowałem sobie, żeby, jeśli będzie taka konieczność, potraktować ją szczególnie.

Zająłem się dogłębnym szpiegowaniem ich życia.

69. Stypa

Howard, styczeń 2211, Wolkan

„Dobra, napieramy”. Wypowiedziałem te słowa trzeci raz, ale wciąż nie otworzyłem wrót ładowni. Trema. Oczywista sprawa.

Mańka dałoby się wziąć za człowieka. Właściwie był dużym krokiem w tył w stosunku do pana Data. Ale powiedziałem Bridget, że będę, i musiałem dotrzymać słowa.

Wziąłem głęboki wdech – Maniek wziął, choć tlenu wcale nie potrzebował – i kazałem wrotom się opuścić. Wyszedłem i się rozejrzałem.

Wylądowałem dronem towarowym na parkingu domu pogrzebowego. Przed wejściem zebrał się lekki tłumek, wszyscy patrzyli. Chyba czekali na mnie. Włączyłem na moment zoom i rozpoznałem parę osób, na przykład Butterwortha.

Podszedłem do tej grupy, skupiając się na tym, żeby nie upaść na twarz. Oczywiście ćwiczyłem wcześniej, ale to było moje pierwsze publiczne wystąpienie od ponad dwustu lat. Słowo „nerwowo” nawet tego nie oddawało.

Butterworth kiwnął mi głową.

– Całkiem, całkiem, Howard. Na pewno jeszcze go ulepszyć.

Ja również skinąłem głową. Sterowanie twarzą było zbyt kiepskie, żebym mógł się uśmiechnąć, a głosowi na razie nie dowierzałem.

Weszliśmy do środka, gdzie czekała Bridget. Uśmiechnęła się, a mnie serce omal nie wydarło się z piersi na widok tego smutku. Była ze Stéphane’em przez osiemnaście lat. Podeszła do mnie i powiedziała:

– Howard. Cieszę się, że przyszedłeś. Mogę cię objąć?

– Tak, oczywiście. Maniek ma pełny interfejs sensoryczny. To będzie mój pierwszy uścisk od... eee... – Odkąd umarłem. Wow. To by była gafa. – Odkąd stałem się replikantem.

Objęła mnie i przytuliła, a ja czułem to całym ciałem – dotyk głowy na policzku, biustu na mojej piersi, ramion na plecach. Ta chwila mogła trwać całą wieczność albo ułamek sekundy. Cofnęła się i spojrzała mi w oczy, a ja próbowałem z powrotem włączyć własny mózg.

W końcu udało mi się wykrztusić:

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Jakimś spanikowanym zakamarkiem mózgu zastanawiałem się, czy Maniek należycie oddał to, że jestem jak

próbująca zaczerpnąć powietrza ryba. Miałem nadzieję, że nie.

Zerknąłem w stronę trumny.

– Rozumiem, że replikacja nie wchodziła w grę?

– Katolik, nie pamiętasz? – Uśmiechnęła się blado. – Arcybiskup by tego nie pochwałał.

Chciałem zapytać, czy sama to rozważy, ale to nie był odpowiedni czas i miejsce.

To była stypa. Msza żałobna już się odbyła, a ja tak naprawdę nie zapomniałem, że Stéphane był katolikiem. Po prostu na mszy bym tylko przeszkadzał, łagodnie rzecz ujmując. Choć Bridget z myślą o mnie starannie dobrała gości, żeby uniknąć niezręcznych sytuacji.

Postaliśmy, porozmawialiśmy, wymieniliśmy się wspomnieniami. Poznałem dzieci Bridget – Rosie, Lianne i Howarda, na którego mówiło się Howie. Według dawnego ziemskiego kalendarza właśnie kończyłby trzynaście lat i wyglądało na to, że czuje się niezręcznie ze swoim wzrostem, jakby dopiero co wystrzelił w górę.

Howie zasypał mnie pytaniami, a dziewczynki stały za jego plecami i patrzyły wytrzeszczonymi oczyma. Okazało się, że Stéphane opowiadał o mnie niestworzone rzeczy.

Opowiedziałem Howiemu parę historii o ojcu. Gdy to robiłem, zalała mnie fala wspomnień z pionierskich dni Wolkana. Stéphane zawsze akceptował mnie, widział we mnie człowieka, po prostu takiego, z którym gada się głównie przez telefon. Nigdy nie było w tym żadnej niezręczności, żadnego dystansu. Trafiło mnie – to był mój najlepszy przyjaciel, nawet za życia kogoś takiego nie miałem. Zaplanowałem, że później, jak będę sam, porządnie sobie popłaczę.

Bridget podeszła i stanęła koło mnie z talerzem pełnym jedzenia. Zerknąłem na nie. Typowa mieszanka zakąsek – plasterków wędlin i krakersów. Pochwyciła moje spojrzenie i zapytała:

– Ty umiesz jeść?

– Jeszcze nie. Bill z czasem idealnie upodobni Mańka do ludzi. Ale na razie jest bardzo zajęty problemem Innych. Zjem sobie coś w VR-ce.

Bridget patrzyła na dzieci, na swój talerz, wszędzie, tylko nie na mnie. Wiedziałem, że rozmowa, którą odbyliśmy przed moim odlotem z Wolkana, wciąż gdzieś pomiędzy nami wisi. Westchnąłem i na moment spanikowałem, uświadamiając sobie, że to westchnienie było słyhać.

– Porozmawiamy innym razem. Nie idziesz od razu po ceremonii, prawda? – Bridget uśmiechnęła się lekko.

– No... wiesz, fizycznie to ja jestem dziewiętnaście lat świetlnych stąd. UNOP sprawia, że odległość robi się nieistotna. Maniek idzie do magazynu, kiedy z nim skończę. Zatem w tym sensie ja nigdzie nie idę. Będę zawsze w kontakcie, telefonicznym albo osobistym. Że tak powiem.

Rozejrzałem się. Dziewczynki poszły, ale Howie chłonął każde słowo naszej rozmowy.

* * *

– No i jak poszło? – Postawa Billa skojarzyła mi się z Bridget w dniu, gdy Butterworth próbował naszego produktu.

Właściwie mogłem się tego spodziewać, to trochę przełomowy moment dla wszystkich Bobów. Prawdziwy kontakt fizyczny zmieniłby wszystkie nasze interakcje.

Bill i Garfield wskoczyli do mnie, gdy tylko wróciłem do VR-ki. Dexter też w niej był, jako Bob-rezydent. Przyszedł nawet Bob 1. Z rozmowy wywnioskowałem, że od lat męczył Billa o androidy.

– Zadziało. Co prawda środowisko było kontrolowane i wszyscy się mnie spodziewali. Publicznie pewnie nie byłoby tak dobrze.

– Ale to jest dopiero początek. I to udany. – Bob stale kiwał głową. Przez chwilę zastanawiałem się, czy awatar mu się nie zawiesił. Ale nie, to była zwyczajna ekscytacja.

Pogodziłem się z nieuniknionym i usiadłem w fotelu, żeby zdać im relację.

– Ale jak twoje wrażenia? – Bill aż wytrzeszczył oczy, zadając pytanie z ogromną emfazą.

Przez moment wyobrażałem sobie, że wsadza mi rękę do gardła i wydziera odpowiedź na to pytanie. Parsknąłem śmiechem, co spotkało się z pełnymi obawy spojrzzeniami. – No, eee... w porównaniu do VR-ki? – Uniosłem na moment wzrok, żeby zebrać myśli. – Wszystko jest co najmniej o rząd wielkości bardziej realne. Nie wiem, na ile to jest psychologiczne, bo po prostu wiem, że jest realne. Po prostu... chyba VR-ka daje nam te wrażenia, które zaprogramowaliśmy, że ma dawać, a Maniek daje wszystko, ważne i nieważne, spodziewane i nie, tak że nie mamy nad tym kontroli. Pomyślcie, że to taka różnica, jak między łaskotaniem samego siebie, a łaskotaniem przez kogoś innego. To zupełnie inne przeżycie. O wiele bardziej intensywne.

– No właśnie – odpowiedział Bill. – Próbowałem coś takiego zrobić w grze w baseball, ale zdaje się, że to jeszcze nie to.

– Bill, nie zrozum mnie źle, ja się nie spodziewam, że wszyscy zaraz padniemy i zaczniemy świrować. VR-ka uratowała Boba 1, uratowała nas wszystkich. Co do tego wszyscy się zgadzamy. – Wzruszyłem ramionami. – Ale to nie jest pełne zmysłowe doświadczenie świata. Zapomnieliśmy, jak to wygląda. I ja sobie dzisiaj przypomniałem.

Spojrzałem na Boba, który w końcu opanował kiwanie głową, ale dla odmiany zaczął podskakiwać na palcach. Uniesiona brew sprawiła, że

się zaczerwienił i przestał.

– Coś mi się wydaje, że trzeba Projektowi Android podnieść priorytet
– powiedział Bob.

Bill przewrócił oczyma.

– O, to ci niespodzianka? Chcesz pomóc? Masz teraz dużo czasu, nie?
Bob się stropił, a Bill skrzywił się, że wyszedł mu taki tani przytyk.

– Przepraszam. Nie tak to miało wyjść.

Bob wzruszył ramionami.

– Rozumiem. Zresztą tak, faktycznie mam teraz kupę wolnego czasu.

Może to pomoże.

Bill wyświetlił notatki i diagramy projektowe, pewnie chcąc w pośpiechu zmienić temat. Uaktywnił się i Garfield i rozmowa totalnie zeszła na technikalia.

Westchnąłem, wstałem, pożegnałem się i przeskoczyłem do własnej VR-ki. Miałem parę własnych tematów do przemyślenia.

70. Rozmowa

Howard, maj 2211, HIP 14101

W głosie Bridget było słycać zmęczenie. Wyglądała za to lepiej, przynajmniej na ekranie. Wróciły jej kolory, była już w stanie sama się sobą zająć. Ubolewałem, że nie mogę nic powiedzieć, wziąć ją za rękę, zrobić... Oj. Ten tok myślenia trzeba uciąć. W myślach przepowiedziałem sobie kilkakrotnie: „efemeryda”. Nie pomogło.

– Ale przecież to nie będę naprawdę ja? – Uśmiechnęła się na wideo.

Smutny uśmiech był bladym cieniem dawnego wysokonapięciowego i szerokiego uśmiechu, jaki pamiętałem z lepszych dni. Przełknąłem ślinę i po jednym czy dwóch falstartach odparłem:

– Otwarcie przyznaję, że w tej dyspacie filozoficznej nie jestem bezstronny. Nie jestem Pierwszym Bobem. Nie jestem także Bobem 1, Willem ani Charlesem. Jestem sobą i czuję się tak samo żywy jak Pierwszy Bob.

Wstałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem po mieszkaniu. Oczywiście obraz wyświetlany Bridget pozostał wycentrowany.

– To będziesz pod każdym realnym względem ty. Na duszach się nie znam, ale pod każdym innym względem będziesz żyć dalej.

– Rzuciłam im luźno ten pomysł – odezwała się po chwili milczenia. – Dziewczyny były przerażone. Nawet Howie miał niepewną minę. A wiesz, że przepada i za tobą, i za innymi Bobami.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Zdecydowanie, syn Bridget był moim największym wielbicielem.

Zawahałem się, zanim się odezwałem.

– Posłuchaj, Bridget: żadna decyzja, która jeszcze nie jest realizowana, nie jest nieodwołalna. Pytałem mecenas Benning. Musisz tylko poprosić, żeby nagrała rozmowę wideo, w której wypowiadasz swoją wolę. To wystarczy za kodycył. W każdej chwili możesz nagrać nową i ją zastąpić.

– Wiem, Howardzie. Ale na razie muszę spasować.

Westchnąłem pokonany.

– Dobrze, Bridget. Ale ja i tak zbuduję ten sprzęt. Na szczęście w dzisiejszych czasach nie trzeba już ci ucinać głowy i jej zamrażać – kapsuła hibernacyjna robi to o wiele lepiej. Poza tym nie chodzi tylko o ciebie. Moglibyśmy... – Przerwałem, gdy wpadła mi do głowy pewna

myśl. Zostawiłem ją sobie do rozważenia po tej rozmowie.

Bridget spojrzała na mnie, unosząc brwi, ale nie wyjaśniałem, więc nie drażyła tematu.

– Mam nadzieję, Howard, że się nie gniewasz. Dalej chcę, żebyś nas odwiedzał, i w ogóle.

– Oczywiście, że nie. Wiem, że to nie tylko twoja decyzja, i szanuję to. Tak, będę was odwiedzał, kiedy tylko będę mógł. – Wzruszyłem przepaszająco ramionami. – A Maniek zmieni się całkowicie. Bob 1 jest naprawdę obsesyjno-kompulsyjny, kiedy coś go nakręci – zresztą nikogo to nie dziwi – i pcha te androidy do przodu naprawdę w niesamowitym tempie. – Zachichotałem. – Bill przyznał się, że trochę mu wstyd. Pracował nad tym od kilkudziesięciu lat, a Bob w parę miesięcy zostawił go daleko w tyle.

– Czyli następnym razem Maniek będzie trochę bardziej ludzki?

– Z tego, co wiem, będzie wyglądał dokładnie jak Pierwszy Bob. Oryginał. Realistyczna skóra, włosy i tak dalej. I będzie mógł jeść. Chociaż nie będzie... a, nieważne. – Bridget naprawdę nie musi wiedzieć, co się potem dzieje z posiłkiem.

Parsknęła śmiechem. Dobrze wiedziała, o czym pomyślałem. Jeszcze jedna cecha, którą w niej uwielbiałem.

– To wreszcie będziemy mogli zjeść razem kolację?

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową. Nareszcie prawdziwa randka.

* * *

– Butterwortha? – Bill wytrzeszczył oczy, a brwi wjechały mu na czubek głowy.

– Wiem, Riker dostanie piany – to będzie paradoks. Ale on musi być już po osiemdziesiątce albo i lepiej. Wygląda jak mumia egipska, tylko bardziej sucha i skórzasta.

– Może jest Pak Protektorem z *Poznanego kosmosu*.

Przewróciłem oczyma. Ci Bobowie z pierwszych generacji są trochę dziwni.

– Wszystko jedno. Jest wojskowym. Albo byłem wojskowym. Może przydać się na wojnie.

– Ciekawy pomysł, Howard. Ja w każdym razie nie mam nic przeciwko, absolutnie. Ale trzeba to najpierw przegadać na Zgromadzeniu, zanim mu o tym powiesz.

Niezrażony kiwnąłem głową. Zgromadzenia mieliśmy teraz co tydzień, z uwagi na zagrożenie ze strony Innych. Nie trzeba będzie długo czekać.

* * *

W życiu nie widziałem, żeby Butterworth naprawdę zaniemówił. Widziałem, jak próbuje nie wybuchnąć, widziałem jak wybucha, słyszałem, jak wybucha. A to było coś nowego.

Butterworth wytrzeszczył oczy i opadła mu szczęka. Wreszcie odzyskał głos.

– Chcesz mnie zreplikować?

– No... kiedyś. Nie w tym tygodniu. Tego się nie da zrobić na żywej osobie, jeśli ona ma potem jeszcze żyć. Ale już buduję sprzęt na... na ewentualną taką sytuację... i przyszło mi do głowy, że twój wkład w nasz wysiłek wojenny byłby bezcenny.

Butterworth wpatrywał się w milczeniu w blat biurka. Potem uniósł wzrok i się uśmiechnął.

– Pewnie, dlaczego nie?

O, to łatwo poszło.

– Hmm, no dobra... wyślę ci plik ze wszystkimi informacjami. Będziesz musiał zmienić swój testament.

Butterworth kiwnął głową i się rozłączył.

71. Charlie

Bob, czerwiec 2213, Delta Eridani

Charlie wisiał na stojaku. Wyłączony wyglądał, jakby nie miał kości. Deltański android był bardzo przekonujący – masę pracy włożyłem w idealnie odwzorowanie sierści, jej faktury i ubarwienia. Nie chciałem, żeby wypadł jak te wszystkie nieudolne przebrania małp i wilkołaków z XX-wiecznych filmów. On musiał być wiarygodny.

Złapałem się na tym, że gram na czas. Android jest sprawdzony pod każdym względem, trzeba go wypróbować albo spisać na straty.

Westchnąłem i kazałem dronowi transportowemu otworzyć drzwi ładowni, a sam włączyłem Charliego.

* * *

Odwróciłem głowę i wyjrzałem z ładowni. Moje oczy chwilę przyzwyczajały się do jasnego światła na zewnątrz. Zdjąłem się ze stojaka i potykając się nieco, wyszedłem. Zatrzymałem się na chwilę i rozejrzałem po lesie. Oczywiście wszystko to widziałem setki razy z najrozmaitszych dronów, lecz teraz było to coś organicznie innego. Teraz, w jakiś nieokreślony sposób, tu byłem. Może chodziło o coś tak prostego, jak wiatr delikatnie mierzwiący mi sierść, może o zapach wilgotnej warstwy liści tworzącej leśne podłoże. Przez chwilę uśmiechałem się szeroko, co autonomiczny interfejs przełożył na odpowiednie u Deltanina szerokie rozłożenie uszu i wytrzeszcz oczu.

Stałem na powierzchni Edenu i spojrzałem na ziemię, czując jej delikatnie mazistą fakturę, gdy rozłożone fragmenty liści wciskały mi się pomiędzy pazurzaste palce stóp. Migotały świetlne plamki, gdy wiatr poruszał gałęziami i liśćmi. Wysiłkiem woli skupiłem się z powrotem na zadaniu. Włączyłem wyświetlacz HUD i rozwinąłem mapę. Zawisła w moim polu widzenia, pokazując aktualne położenie i względną pozycję Archimedesesa. Odwróciłem się, by mieć go na wprost, i ruszyłem.

* * *

Wypatrzyłem go w zaroślach. Dron obserwacyjny wisiał mu nad ramieniem. Czekaając, machinalnie obrabiał mały kawałek krzemienia. Wyglądało na to, że to ja o wiele bardziej denerwuję się przed tym spotkaniem. A może on sobie w ten sposób radził ze zdenerwowaniem.

Nieważne. Oto jest ta chwila. Podszedłem do niego i wypowiedziałem jego imię, gdy tylko znalazłem się w zasięgu normalnego głosu. Uniósł głowę, a oczy mu się rozszerzyły. Zerwał się na nogi i jęknął:

– *Bawbe*?

Uśmiechnąłem się, podchodząc. Już otwierałem usta do odpowiedzi, lecz stanąłem jak wryty, bo odskoczył i krzyknął:

– Och! Oj!

– Jakiś problem?

– Przepraszam, *bawbe*. Śmierdzisz. Trochę jak twoje drony, zwłaszcza kiedy przylatuje nowy. I trochę jak popiół z zimnego ogniska. Zdecydowanie nikt się nie da nabrać.

– A, cholera. – Przewróciłem sfrustrowany oczyma. – Nie przyszło mi to do głowy. Deltanie o wiele bardziej niż ludzie polegają na węchu. Naprawdę aż tak źle?

– Jak stoję po nawietrznej, to nie. – Wyszczrzył zęby.

– Rozumiem. No dobra. Idę, popracuję nad tym. A reszta? W miarę ujdzie?

Przekrzywił głowę najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

– Ruchy masz trochę takie szarpane. Jak dziecko, kiedy uczy się chodzić, ale może to ci przejdzie. Za to wzór na sierści masz dokładnie taki sam po obu stronach. Nikt tak nie ma. Bardzo dziwnie to wygląda. Rzuca się w oczy.

Oczywiście. Charlie był idealnie symetryczny. Trzeba to będzie poprawić. I ten zapach. Muszę pachnieć jak Deltanin, i co ważniejsze, jak konkretny deltański osobnik. Zaciągnąłem się mocno zapachem Archimedesesa, katalogując go oraz inną trwałą nutę – zapewne zapach Diany. Dzięki wszechświatowi to nie był nierozwiązywalny problem. Sama chemia.

– Mam. Dzięki, Archimedesie. Idę to poprawić. Widzę, że ustawiasz się po nawietrznej, choć starasz się być uprzejmy. – Zaśmiałem się. – W poprzednim życiu zdarzało mi się kiedyś stać po zawietrznej wobec ludzi, którzy dawno się nie myli. Mogę to zrozumieć.

Archimedes zrobił trochę zdezorientowaną minę, ale potaknął. Pomachałem mu na pożegnanie, odwróciłem się i ruszyłem z powrotem do drona.

* * *

Android Charlie, ujęcie nr 2. Podszedłem do Archimedesesa, rozłożyłem ręce wnętrzem do przodu, w geście mówiącym „I jak?”.

Wciągnął głęboko powietrze, przekrzywił głowę i skinął nią.

– Chodzisz o wiele lepiej. To pewnie kwestia praktyki, jak u dzieci. Wzór masz lepszy. Bardzo prosty, ale znam parę osób, które tak mają. Po prostu nie będziesz łatwy do zapamiętania. – Uśmiechnął się do mnie.

Parsknąłem śmiechem.

– To chyba może być. Ostatnia rzecz, której bym chciał, to zwracać na siebie uwagę. Ktoś będzie mnie wypytywał, jeśli przyjdę do Camelotu?

– Nie, nie wydaje mi się. – Archimedes odwrócił się, wskazał wioskę i ruszył w drogę. Bezgłośnie nakazałem dronowi, żeby zamaskował się i czekał.

– Camelot jest teraz taki duży – ciągnął – a Caerleon też rośnie. Mimo że są napięcia, niektórzy cały czas chodzą tam i z powrotem. Przecież nie ma żadnych reguł, które by tego zabraniały. – I spojrział na mnie z ukosa, z porozumiewawczym uśmiechem.

Zaśmiałem się bezgłośnie.

Przez te dziesiątki lat rozmawialiśmy z Archimedesem o wielu rzeczach. Rozumiał już chyba, że nie jestem jakąś nadnaturalną istotą, a kimś, kto po prostu wie więcej. W społeczeństwie, w którym z pokolenia na pokolenie zmieniało się niewiele, łatwo jest zacząć myśleć, że Tak, Jak Jest to swego rodzaju naturalny stan. Jednakże Archimedes w ciągu swego życia zdobył tyle nowej wiedzy, że zaczął rozumieć, że gdy uczysz się czegoś, czego nie wiedziałeś wcześniej, zmienia to całe twoje życie.

Gdy zanikł ten nabożny podziw, zaprzyjaźniliśmy się o wiele bardziej i zaczęliśmy się lepiej rozumieć. Wiele oczywistych dla ludzi rzeczy Archimedes uznawał za bardzo śmieszne. Na przykład ideę, że do wszystkiego istnieją jakieś reguły. Deltanie po prostu nie zniesliby takiej regulacji swojego życia.

Stwierdzałem, że coraz częściej pasuje mi ten jego punkt widzenia.

Szybko doszliśmy do Camelotu. Wysiłkiem woli wyparłem z myśli ten skecz Monty Pythona.

Gdy szliśmy po ziemnym wale, patrzyłem na wioskę przed sobą. Widziałem całe morze Deltan, duże grupy wokół głównych ognisk, mniejsze wokół mniejszych, rodzinnych. Zrozumiałem, o co chodziło Archimedesowi. Nikt nie zna na pamięć tak wielu ludzi. Naprawdę, jeśli brać pod uwagę dawną definicję wsi jako osady, w której wszyscy się znają, taki rozrost mógł być już trochę niezdrowy. Caerleon nie mógł wyglądać wiele lepiej. Zastanawiałem się, czy Deltanie mają wyższą tolerancję na tłok, czy po zagrożeniach ze strony goryloidów i hipogryfów nabrali niechęci do rozdzielania się. Postanowiłem przegadać to z Archimedesem, kiedy będzie czas.

Szliśmy w stronę jego *hexghi*. Wokół ognia zobaczyłem Dianę, Niszczyciela, Belinę i parę pokoleń dzieciaków. Rodzeństwo Niszczyciela dawno przeniosło się nad własne ogniska, on jednak pozostał blisko z ojcem. Cieszyło mnie to.

A więc Diana. Denerwowałem się bezsensownie. Jak mogłaby mnie skojarzyć z *bawbe*? Wyglądałem jak jakiś przypadkowy Deltanin. Nie mogłem jednak wyzbyć się tego poczucia.

Usiedliśmy przy ogniu, a Archimedes przedstawił mnie dorosłym, używając pospolitego deltańskiego imienia, które programowi tłumaczącemu kazałem oddawać jako „Robert”. Przywitałem każdego należytych strzyżeniem uszami. Diana nawet nie drgnęła, więc się rozluźniłem.

Zauważyłem, że wygląda na starą i słabą. Potwierdzało to moje wrażenie, że Archimedes starzeje się wolniej od średniej. Pewnie to ten sam gen, który odpowiada za jego inteligencję. Poczulem chwilową ulgę, że niedługo już jej nie będzie, a potem się zawstydzilem. Może ja jej nie lubię, ale to partnerka życiowa Archimedesesa, który jest moim przyjacielem.

Dzieciaki – doznałem szoku, gdy dotarło do mnie, że to są wnuki Niszczyciela – zaczęły bawić się w ganianego, gdy dorośli rozmawiali. Jedno z dzieci mnie potrąciło. Nastąpiła chwila nerwowej ciszy, ja jednak roześmiałem się i dźgnąłem dzieciaka palcem. Napięcie opadło, a Diana podsunęła wszystkim suszone mięso.

Po prostu rodzina.

72. Bitwa Bill, luty 2217, Delta Pavonis

*Cała wojna opiera się na oszustwie.
Sun Zi, Sztuka wojenna³*

Grupy obronne były niecały tydzień drogi od Delt Pavonis, a τ spadło im już do poziomu, przy którym dawało się pogadać. Zamiast prosić, żeby podkręcili sobie zegar do naszego, my spowalnialiśmy nasz. Z uwagi na ich liczebność prowadziłem spotkanie w VR-ce do Zgromadzeń.

– Po pierwsze i najważniejsze – powiedziałem – wygląda na to, że rozgryźliśmy technologię maskowania. Trwało to o wiele dłużej, niż przewidywałem, więc Jacques był w stanie zaadaptować tylko około połowy swoich bomb. Wy nie macie już czasu, żeby cokolwiek zrobić, zatem wszystko, co niemaskowane – w tym Bobów – należy uznać za wabiki.

Rozejrzałem się po morzu ponurych twarzy. Wszyscy szliśmy w to z nastawieniem, że to zapewne misja samobójcza. Przy zdalnych kopiach zapasowych misje samobójcze nie były tak ostateczne jak kiedyś... ale jednak osoba odtworzona z kopii nie była tą osobą, która ją robiła. Fakt, że twoje wspomnienia żyją dalej, stanowił pewną pociechę, ale nie było poczucia, że jest to osobista ciągłość.

Zerknąłem w okienko statusu, które otworzyłem. Pokazywało, że armada Innych jest tylko o dwa dni drogi. Mieliśmy bardzo niewiele czasu na przygotowanie obrony.

– To jak robimy? – zapytał Andrew, dowódca jednej z eskadr.

Kiwnąłem mu głową, na znak, że przyjąłem pytanie.

– Omawiałem strategię z Butterworthem. Niestety większość strategii dla bitew kosmicznych jest stricte teoretyczna, bo wojna w kosmosie odbyła się tylko jedna. Mimo wszystko poszczególne opcje przedyskutowałem szczegółowo. Pułkownik miał dużo sugestii, szczególnie w kwestii rozmieszczenia sił. Oczywiście nie może się zaangażować osobiście, bo działa w czasie biologicznym. Na ile się da, ja będę go reprezentował.

Wszyscy w kręgu kiwnęli głowami. Dorzuciłem do okienka statusu

piktogramy i strzałki.

– Wasza grupa podchodzi od tej strony, grupa Jacques'a stąd i stąd. Uderzamy w trzech falach, w odstępach czasowych, żeby nie niszczyć się nawzajem. Jest nadzieja, że Inni nie są w stanie tak szybko odnowić obrony i będą musieli rozdzielić siły pomiędzy trzy grupy. – Animacja w okienku ilustrowała moją koncepcję.

– A kiedy Inni zajmą się walką z nami, prosto na nich nadlecą zamaskowane bomby. Mamy nadzieję, że uda im się podejść blisko i wyrządzić znaczne szkody.

Usiadłem, podparłem brodę ręką i przyjrzałem się diagramowi. Nie było w tym żadnej subtelności. Z drugiej strony był prosty, klarowny i miał niewiele niewiadomych.

* * *

Pierwsza grupa uderzeniowa miała do nich pięć minut, gdy Inni zauważyli ich obecność. Kurs grupy przecinał się pod kątem trzydziestu stopni z ich linią podejścia. Widziałem w oknie SUDDAR-u, że Inni wyrzucają drony jako pierwszą linię obrony. Z tej odległości było widać za mało szczegółów, żeby ocenić dokładnie, zakładaliśmy jednak, że obracają też asteroidy śmierci tak, by w nas celowały.

Podchodząc, bardzo niewiele rozmawialiśmy. Każdy z Bobów chyba poświęcił ten czas na pogodzenie się z własnymi myślami. Albo na aktualizację kopii zapasowej. Albo na obie te rzeczy.

Gdy dzieliły nas mniej więcej trzy minuty, jeden z pancerników wydał okrzyk.

– Dostałem promieniem śmierci – obwieścił. – Trochę zaiskrzyło, ale żadnych poważnych szkód.

Uśmiechnąłem się, ale nie skomentowałem. Z tej odległości przeżyłoby nawet *Niebo v3*. Trzeba było zakładać, że albo są ultrapewni siebie, albo to był tylko próbny atak. Przynajmniej jedna asteroida śmierci była już rozładowana. Mało prawdopodobne, żeby zdążyła się powtórnie naładować i wziąć jeszcze udział w tej bitwie.

Kiedy została tylko jedna minuta, odezwałem się na kanale ogólnym.

– Chłopcy, napieramy. Dawajcie wszystkie niszczyciele i atomówki. Niech niebo się zaświeci!

Bobowie zrobili, jak mówiłem. Siedemdziesiąt pięć statków zmieniło się w prawie czterysta sygnatur. Teraz Inni będą musieli zareagować. Sam promień śmierci już nie wystarczy.

I rzeczywiście: na SUDDAR-ze zobaczyliśmy potężne przegrupowanie statków. Mieliśmy przed sobą około dwustu dronów. Statystycznie powinniśmy przedrzeć się przez tę obronę jakąś połową jednostek, ale

to było za mało, żeby zniszczyć ich główne statki. Byłem przekonany, że Inni muszą się uśmiechać – czy co oni tam robią – patrząc na naszą żalną próbę.

Wreszcie – kontakt. Przez armadę Innych pierwsza miała przelecieć eskadra Andrew. Przy takich szybkościach oczywiście nie było szansy na jakikolwiek kontakt wzrokowy. To nie *Gwiezdne wojny*, statki nie krążą wokół siebie jak myśliwce z II wojny światowej. Wszystko dzieje się w mikrosekundę i jest widoczne tylko w okienkach statusu.

Wyniki z pierwszego nalotu pokazały, że straciliśmy mniej więcej połowę niszczycieli i bomb oraz osiem pancerników, ale zniszczyliśmy ponad dwa razy tyle ich jednostek. Całkiem niezły wynik i powinien zmasać Innym odpowiednik uśmiechu z odpowiednika twarzy.

Inni najwyraźniej myśleli to samo, bo połowa asteroid śmierci strzeliła promieniami w naszą eskadrę.

– Meldować się – rozkazałem na kanale ogólnym.

Przyszły odpowiedzi. Bez dalszych ofiar w Bobach, choć parę pancerników musiało dokonać pilnych napraw. Znaleźli się chyba w samym środku wiązki.

Natomiast bomby i niszczyciele nie były zbyt ekranowane i padła każda jednostka choćby zahaczona promieniem śmierci. Wzięliśmy to prawdopodobieństwo pod uwagę i dlatego wyposażyliśmy je tylko w normalną łączność radiową. Żadnego zaawansowanego SUDDAR-u, UNOP-a, nie ma szans, że coś takiego wpadnie w ręce wroga.

Druga fala uderzyła od razu, żeby nie dać Innym czasu na przegrupowanie. Podeszli także pod kątem trzydziestu stopni względem ich kursu, tylko z przeciwnej strony. Patrzyłem w okienko statusowe nadawane przez dowódcę eskadry.

Druga fala przeleciała przez armadę Innych równie szybko jak my, ale spotkała się z o wiele słabszym zorganizowanym oporem. Udało im się trafić kilkoma bombami w parę wielkich transportowców, a nawet w jedną z asteroid śmierci. Musiała trafić w jakiś naładowany akumulator, bo pokaz pirotechniczny był naprawdę imponujący, o wiele większy, niż można by się spodziewać po niewielkiej bombie jądrowej. Ze statku wytrysnęły w dwóch przeciwnych kierunkach strumienie rozżarzonej do białości plazmy, jarzące się aż po pasmo rentgenowskie. Powierzchnia asteroidy złuszczyła się, a potem całość się rozsypała, syjąc odłamkami na wszystkie strony. W okienkach wideo rozbrzmiały wiwaty.

Inni odpowiedzieli falą czegoś – może dronów, może rakiet – wycelowaną w odlatującą eskadrę napastników. Te obiekty miały naprawdę niewiarygodne przyśpieszenie, rzędu setek g. Już po chwili przekonaliśmy się, co to jest.

Bomby termojądrowe.

Druga eskadra szła w ciasnym szyku – według dotychczasowej wiedzy nie było potrzeby się rozpraszać. Błyskawicznie zamieniła się w stopiony żużel. Straciliśmy dwadzieścia pięć pancerników i kilkaset dronów. Bobowie popatrzyli po sobie oszołomieni.

Nie było czasu na żałobę, bo nadlatywała trzecia grupa. Wysłałem szybką wiadomość do jej dowódcy, każąc im rozproszyć się przy końcu podejścia.

Inni zaczęli przesuwając swoje środki obrony do punktu oddalonego o kolejne 120 stopni, tam gdzie się nas spodziewali po dwóch symetrycznych atakach.

Zrobili dokładnie tak, jak przewidywał Butterworth.

Jednakże nasza trzecia eskadra nadleciała pod kątem tylko dziesięciu stopni od kursu pierwszej grupy, 130 stopni od punktu, gdzie montowali obronę, całkowicie ich zaskakując. Pancerniki i drony przedarły się przez obronę jak przez papier. Wypuszczone bomby zdjęły dwa transportowce i kolejną asteroidę śmierci.

Wylatując po drugiej stronie, eskadra się rozproszyła. Inni wypuścili za nimi kolejną falę dronów termojądrowych. Bobowie mieli przewagę dystansu, za to ścigający dysponowali tym absurdalnym przyspieszeniem. Tego wyścigu nie mogliśmy wygrać.

Wszyscy skupili się na dramatycznym pościgu, co zostawiło furtkę dla kolejnej sugestii Butterwortha. Trio samotnych bomb jądrowych, na balistycznych torach, praktycznie zeroemisyjnych, przypląnęło z kierunku, gdzie Inni oczekiwali na trzeci atak. Trzy rozbłyski i dwa kolejne transportowce zaczęły dryfować pozbawione napędu.

Wyobrażałem sobie, że gdzieś w którejś asteroidzie śmierci jakiś generał Innych obrzuca swoich podwładnych inwektywami, a na czole i szyi pulsują mu żyły. Czy jakiś lokalny odpowiednik. W każdym razie Inni w końcu postanowili potraktować nas poważnie. Ich flota wyemitowała potężny ciąg impulsów SUDDAR-u oślepiający nasze odbiorniki. Moc sygnału była naprawdę niesamowita, aż szczeka mi opadła, gdy zobaczyłem pomiary. Zerknąłem na innych Bobów. Sama ta moc, lepiej niż cokolwiek innego, co zrobili, mówiła, że jesteśmy dla nich jak muchy.

A co ważniejsze, rozświetliła jak latarnię każdy statek i każdego drona w okolicy. Za parę minut dowiemy się, czy wykryli naszą ostatnią niespodziankę.

Wykryli.

Wystrzelili kilkanaście dronów termojądrowych dokładnie w kierunku, z którego zbliżało się kilka kolejnych zamaskowanych bomb. To miał być nasz decydujący cios. A tak wyszedł tylko ostatni podryg.

Kazałem nadlatującym bombom rozpocząć uniki. Może nie będą

w stanie w trybie ciągłym namierzać zamaskowanych jednostek.

Drony Innych rozstawiły się w prostokątną siatkę i równocześnie się wysadziły.

– Nieźle... – mruknął Charlie. – Całkiem nieźle to wyliczyli.

Sprawdziłem status.

– Zniszczyli dwie nasze bomby. Ostatnia na oko jeszcze działa. Z nią już chyba nie zdążą nic zrobić. Co jest ciekawe: już nie powtórzyli takiego impulsu jak ten poprzedni...

– Pewnie muszą się naładować, tak jak z tym impulsem gamma...

Kiwnąłem głową rozkojarzony, bo jednocześnie prowadziłem ostatnią niewidoczną bombę termojądrową. Prosto w jedną z asteroid śmierci. Trafiła idealnie. Kiedy rozbłysk wygasł, została tylko rozproszona chmura odłamków.

* * *

To był koniec. Wyprztykaliśmy się ze wszystkiego. Nasze eskadry, czy raczej niedobitki, oddalały się od Innych z prędkością o wiele zbyt dużą, żeby móc w rozsądnym czasie zawrócić. Zanim wrócimy z powrotem do gry, Inni już zajmą się planetą Pawonisów.

Osiem asteroid śmierci i jednaście transportowców wciąż miało działające napędy. Jeśli postanowią kontynuować i odbudować swoje siły w układzie, nic na to nie poradzimy. Wstrzymaliśmy oddech, podczas gdy mijały sekundy.

Żadnych zmian.

Siedziałem oszołomiony, a Inni posuwali się w kierunku Delt Pawia i Pawonisów.

Przeegraliśmy.

[Wiadomość przychodząca. Po mandaryńsku]

Prawie zgąłem się wpół od mdłości, ale logicznym posunięciem było dowiedzenie się, co mają do powiedzenia.

– Dawaj, Gupiku.

Okazaliście się czymś więcej niż tylko pożywieniem. Jesteście szkodnikami. Mimo waszych żalosnych prób obrony zrobimy zbiory w tym układzie. A potem w waszym Układzie Słonecznym i Epsilonie Eridani. I wasz gatunek zakończy istnienie w naszych chłodniach.

Kurwa mać.

Próbowałem otworzyć okienko czata z Jacques'em, ale nie udało się. Pingnąłem za to Andrew.

– Ej, Andrew, masz pojęcie, co z Jacques'em?

– Cześć, Bill, przykro mi. Jacques zginął podczas ataku jego grupy. Mamy parę minut wcześniejszą przyrostówkę, więc odtworzymy go, jak

tylko zrobi się nowy statek.

– Cholera. – Potarłem czoło. Mieliśmy parę zapasowych macierzy, ale i tak miną dni, zanim uda się to zrobić.

Andrew wyrwał mnie z zamyślenia.

– A nie wiesz... Udało mu się dopracować ten plan porwania pewnej liczby Pawonisów?

– Tak. W ramach przygotowania na najgorszą ewentualność. Już go wdrażamy w życie. Zdążymy wywieźć na górę dwadzieścia tysięcy Pawonisów, zanim dotrą do nich Inni. Ale to będzie brutalne. Nie możemy sobie pozwolić na dyskusję i szukanie ochotników.

Pawonisi byli teraz zagrożonym gatunkiem. Miałem tylko nadzieję, że Jacques zebrał próbki roślin, zwierząt i innych takich.

3 Przełożyła Monika Wyrwas-Wiśniewska (przyp. tłum.).

73. Porwanie

Fineasz, luty 2217, Delta Pavonis

Rozłączyłem się z Billem i skontaktowałem z Ferbem. Obrona Delt Pavonis zakończyła się klęską i trzeba będzie dopełnić ten deficyt karmy, porywając siłą z domów dwadzieścia tysięcy istot.

Jacques dokładnie wszystko przemyślał, a my z Ferbem po przebudzeniu dopracowaliśmy jeszcze ten plan. Ładnie to nie będzie, ale nie było czasu na wyjaśnienia i debaty. Fakt, że ludzie, których porywamy, inaczej w ogóle by zginęli, powinien nam trochę dodawać otuchy. Niestety nie dodawał.

Jacques wybrał dwie miejscowości o odpowiednim rozmiarze, położone z dala od siebie, żeby zmaksymalizować różnorodność genetyczną, ale jednocześnie zachować wspólnotę. W ładowniach mieliśmy gotowe do akcji wyspecjalizowane drony.

W środku nocy zawisłem nad moim miastem, Mheidźrkwą. Gdyby to była Ziemia, byłaby mniej więcej trzecia w nocy. Zaszczekał pies – no, miejscowy odpowiednik psa odezwał się miejscowym odpowiednikiem szczekania – ale poza tym był spokój. Ponieważ nie mieli sieci elektrycznej, kiedy kładli się spać, wszędzie robiło się prawie całkowicie ciemno.

Wysłałem pierwszą falę dronów. Były wyposażone w butle opracowanego przez nas ciężkiego, bezzapachowego gazu. Miały pozabawić ofiary przytomności na maksymalnie cztery godziny. Liczyliśmy, że do tego czasu zdążymy umieścić je w hibernacji.

Drony wykonały zadanie i wróciły do ładowni, wtedy wyleciała druga fala dronów, żeby zebrać ciała. Każdy był w stanie unieść dwóch dorosłych Pawonisów. Do zebrania dziesięciu tysięcy ludzi potrzeba było około pięćdziesięciu przelotów na drona.

Miałem nadzieję, że wyjdzie nam w sumie nieco poniżej dziesięciu tysięcy – inaczej trzeba będzie część ludzi zostawić na pastwę innych. Aż wzdygałem się na samą myśl, co by musieli przejść. Zbudzą się i stwierdzą, że prawie cała ludność miasta zniknęła. Będzie to dla nich druzgocące, nawet nie licząc nieuniknionych podejrzeń, których nabiorą.

Operacja udała się bez zarzutu.

Kilka uwag rzuconych na UNOP-ie przez Ferba wskazywało, że na

jego końcu wcale nie idzie tak gładko. Uśmiechnąłem się, myśląc o tym, jak sobie na nim potem użyję. Potem jednak uśmiech zniknął – uświadomiłem sobie, że żadnemu z nas nie będzie do śmiechu.

Opróżniłem całe miasteczko, naliczywszy 9273 osoby. Zapytałem Ferba o jego liczbę. Też wychodziło mu mniej, wdrożyłem więc jeden z planów awaryjnych. W promieniu kilkuset kilometrów było sporo baz, gdzie stacjonowały albo stała armia, albo coś w rodzaju sił pokojowych. Napadłem na trzy z nich i uzupełniłem stan, mając tylko setkę poniżej mojej maksymalnej pojemności. Przyda im się zresztą trochę zawodowych wojskowych.

Gaz, którego użyliśmy, miał za parę godzin ulec biodegradacji. Zanim przyjadą jacyś śledczy, nie pozostanie nawet zapach. O ile w ogóle zdążą zadziałać, nim doleczą do nich Inni.

Pingnąłem Ferba.

– Gotowy?

Nie odpowiadał przez parę milisekund. Już otwierałem usta, żeby powtórzyć pytanie, gdy zareagował.

– Na to wygląda. Hura.

Kiwnąłem głową. Hura, zaiste hura.

74. Obserwacja procesu Bill, maj 2217, Delta Pavonis

Inni nie zwracali na nas uwagi.

Trudno wyczuć: wiedzieli, że nic nam nie zostało, czy po prostu nie obchodziliśmy ich, póki nie atakowaliśmy. Tak czy owak, nie wygonili nas z układu ani nie starali się sprzątnąć naszych jednostek.

Kilkanaście zamaskowanych dronów wciąż działało, więc rozmieściliśmy je tak, by rejestrowały proces eksploatacji. To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu, ale potrzebowaliśmy mieć o nich jak najwięcej informacji.

Rozłożenie się wokół Deltę Pavonis zajęło Innym tydzień. Potem asteroidy śmierci zaczęły omiatać planetę wiązką, w końcu pokrywając całą jej powierzchnię. Nie mogliśmy zbliżyć się na tyle, żeby obserwować optycznie, wiedzieliśmy jednak, co się dzieje. Mordowali prawie miliard samoświadomych istot, żeby służyły za pokarm, i żeby oczyścić drogę do sprawnego wydobywania.

W ciągu następnych tygodni intensywnie produkowali ogromne drukarki. Trudno było powiedzieć na pewno, ale wyglądało na to, że niektóre z nich będą budować nowe transportowce.

Pozamykałem okienka i kazałem Gupikowi informować, jeśli coś będzie wymagało mojej uwagi. Pingnąłem Jacques'a i dostałem zaproszenie na wizytę.

Jacques miał dziesięć lat na przygotowanie się na przybycie Innych i wszystko stosownie zaplanował. Zbudował dwa statki-kolonie przystosowane dla Pawonisów w roli pasażerów. Zawierały teraz dwadzieścia tysięcy hibernujących Pawonisów. W tym stanie mogliśmy ich trzymać tyle, ile było konieczne. W końcu Inni odlecą. Spróbujemy na nowo uruchomić ekosystem, potem ich wybutlujemy. Nie cieszyła mnie perspektywa tej rozmowy.

Jacques zbudował także kilka zapasowych macierzy i umieścił je w statkach-kolonjach, gotowe, by przyjąć ewentualne ofiary ataku. Sam zapewne się nie spodziewał, że zostanie jedną z nich. Był teraz pasażerem pozbawionym własnego statku.

Chociaż przy obecnym poziomie naszej technologii wirtualnej rzeczywistości i łączności nadświetlnej nie było to poważne upośledzenie. Raczej niedogodność.

Wskoczyłem do niego.

– Cześć, Jacques. Jak tam życie pasażera?

Wzruszył ramionami.

– A tam. Ostatnio bardziej zarządcy. Próbuję posprzątać, zorganizować ocalałych Bobów i sprzęt, zinwentaryzować. Nic nam nie zginęło, więc nie musimy się obawiać, że Inni dostaną w łapy UNOP-a czy coś podobnego.

Machnąłem ręką.

– To już dawno sprawdziłem. Bardziej się martwię tymi Pawonisami. Może trzeba rozważyć przeniesienie ich do innego układu?

– Wiem, Bill, co masz na myśli. Tutaj wrócą na martwą planetę. To może być załamujące psychicznie. Mamy dość nasion i DNA, żeby odbudować podstawy ekosystemu, ale dziewięćdziesiąt procent bioróżnorodności przypadło na zawsze.

– No właśnie, to czemu nie inny układ? Poza problemami psychologicznymi... jak Inni skończą, nie będzie tu w ogóle metalu.

– Hm, Inni nie są aż tak dokładni. Zabierają jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent, ale nie wykopują wszystkiego do ostatniego grama. Niemniej to będzie problem, jeśli Pawonisi zechcą odbudować cywilizację przemysłową. Uda się im ściągnąć surowce spoza układu?

Westchnąłem i pokręciłem głową.

– Teoretycznie to pewnie, że tak. Ale uzależnimy od siebie kolejną rasę. Kolejną *kliencką* rasę. Naprawdę chcesz zostawać panem i władcą?

– Cholera. – Jacques usiadł prosto i potarł czoło. – A gdzie nasz plan, żeby lecieć w kosmos i eksplorować? Wyraźnie pamiętam, taki był plan, kiedy Bob 1 leciał na samym początku do Epsilon Eridani.

– Wiem. Nikogo nie możemy winić poza nami samymi. Może kiedyś do tego wrócimy. A póki co mamy wszystkie te problemy i nie możemy sobie po prostu pójść.

– No tak, tak. – Zerknął na mnie krzywo, z uniesioną jedną brwią. – Ale ten tekst Ala Pacino robi się coraz mądrzejszy.

– Aha. Posłuchaj, wszystko to jest w agendzie na następne Zgromadzenie. To nie będzie przyjemne spotkanie.

* * *

Klimat nie był radosny.

Właśnie byliśmy świadkami śmierci pół miliarda do miliarda istot. My, Bobowie, z natury jesteśmy pogodni i optymistyczni, ale to naprawdę dało nam po głowie.

– Cały czas sobie powtarzam, że to nie jest pierwszy gatunek, który zniszczyli – powiedział Howard w powietrze. – Ale nie pomaga.

– Bo to jest pierwszy, który widzieliśmy – odparł Tony. – Dlatego to jest dla nas bardziej realne.

Inni pokiwali głowami i zapadła długa cisza.

Z tyłu ktoś mruknął:

– Trzeba ich eksterminować.

Wszyscy zamruczeli na zgodę. Zerknąłem w kierunku tego głosu.

– To poważna decyzja. Ale nie mam ochoty się spierać. Poczekajmy parę dni, niech opadną emocje i zagłosujmy.

– Nieustalony jest tylko drobny szczegół – odezwał się Thor. – Jak właściwie to zrobić.

I zapadła kolejna długa cisza. Nikt nie był w nastroju do głębokiego namysłu. Trzeba było zostawić ten temat na kolejny dzień.

* * *

Orbitowałem nad Ragnarökiem, patrząc niespokojnie przez dziobową kamerę na obracającą się pode mną planetę.

Po Zgromadzeniu przyszło mi do głowy, żeby popracować trochę nad moim androidem, ale nie byłem w stanie wykrzesać z siebie energii. To zabawne – odkąd Bob 1 wiele lat temu obudził się w Nowym Handeltown, zawsze wyglądało na to, że wszystko w miarę ogarniamy. Pewnie, były różne zagrożenia, chwilami człowiek się bał. Pamiętałem, jak nie byłem pewien, czy wyjdę żywy z potyczki z Medeirosem. I pamiętałem, że w zasadzie nie byłem zdziwiony, kiedy przegrał.

A tutaj po raz pierwszy ponieśliśmy niekwestionowaną i całkowitą porażkę. Kompletny pogrom. Nie dawało się z tego wycisnąć nawet odrobiny zwycięstwa moralnego. Co gorsza, nie widzieliśmy żadnego sposobu, żeby jednak uzyskać tę przewagę.

Patrzyłem, jak pode mną przesuwają się krater Dziesiątka. Był teraz słodkowodnym morzem z wyspą na środku. No jasne, to też była swego rodzaju porażka.

Inni opędzali się przed nami jak przed muchami. Powiedzieli, że zamierzają zaatakować Ziemię i jeśli wtedy spróbujemy ich powstrzymać, pewnie po prostu tak samo nas odgonią. Nie ma mowy, żeby Will wyrobił się z wywiezieniem wszystkich z Ziemi przed ich przybyciem. Czy choćby znacznej części.

Jeśli rzucimy tam wszystkie siły, może zabierzemy ze dwa miliony. Nic ponadto. I tylko odwlecemy to, co nieuniknione. Inni mają na celowniku wszystkie możliwe domy ludzkości. Póki oni istnieją, jesteśmy zagrożonym gatunkiem.

Wpadł Garfield, zamieniliśmy parę słów. Nie był w lepszym nastroju niż ja. Dziś nie będziemy wiwatować. Nikt nie będzie. Usiadł i wpatrzył

się razem ze mną w okienko wideo.

Czas minął, a my prawie nie zauważyliśmy. Wreszcie wróciła Dziesiątka i przeleciała przez moje pole widzenia, szyderczo przypominając mi o mojej omyłności. Kiedy chcesz zrobić dziurę w planecie, nie ma to jak dwieście tysięcy ton lodu.

Nie ma to jak dwieście tysięcy ton... Usiadłem nagle i zmarszczyłem czoło.

Garfield zdziwił się moim nagłym ruchem.

Może my na to wszystko patrzymy ze złej strony?

75. Spotkanie

Howard, styczeń 2216, HIP 14101

Szlag, a ja myślałem, że poprzednim razem miałem ciężką tremę. Gapilem się na wewnętrzną stronę wrót ładowni, zdaje się, przez całą wieczność. Bridget na pewno już dawno zrezygnowała i poszła spać.

Sprawdziłem czas. Minęły trzy sekundy. A niech to...

Czując jakby rezygnację, kazałem wrotom się otworzyć i wyszedłem z ładowni.

Bridget stała na ganku i czekała. Uśmiechnęła się i krótko pomachała, gdy się do niej odwracałem. Ruszyłem w stronę patio, katalogując wszystkie wrażenia przekazywane przez Mańka – chłodny wieczorny wietrzyk, delikatne nierówności podjazdu, ubranie ocierające się o ciało podczas ruchów. Oraz odległość do niej, znikającą centymetr za centymetrem. Jakbym spadał w głąb studni grawitacyjnej.

Wreszcie po jakimś milionie lat pokonałem dwa drewniane stopnie, zatrzymałem się przed nią i wyciągnąłem ręce. Ujęła je i powiedziała:

– Dobrze wyglądasz, Howard.

Uśmiechnąłem się – sprawdzałem kilkadziesiąt razy w lustrze, uśmiech wyglądał w miarę normalnie. Odpowiedziałem:

– Cieszę się, że znowu cię widzę.

Bridget miała teraz fizycznie pięćdziesiąt siedem lat. Przestała farbować włosy, ukazując naturalną siwiznę. Wokół oczu miała kurze łapki i początki drugiego podbródka.

Nic a nic mi to nie przeszkadzało. Nic a nic.

76. Pogrzeb

Bob, listopad 2220, Delta Eridani

Stałem z boku, a Archimedes tulił Niszczyciela oraz jego rodzeństwo, Rosę i Pete'a. W nocy umarła Diana. We śnie, dzięki, o wszechświecie. Deltanie w naszym rozumieniu nie płakali, ale odpowiednik tego zachowania był równie rozdzierający.

Złożyli ją ostrożnie do grobu, potem Archimedes i dzieci włożyli jej w objęcia po białym kwiatku. Gdy odeszli, następni z długiej kolejki potomków zrobili to samo.

Całkiem nieźle udało im się rozprzestrzenić własne geny. Gdy kolejka dobiegła końca, w ramionach miała okazały bukiet złożony z trzydziestu jeden kwiatów. Rodzina zasypała grób i przykryła kilkoma wielkimi kamiennymi bryłami, żeby ochronić go przed padlinożercami.

Gdy skończyli, wszyscy oprócz Archimedesesa odstąpili od grobu. Powoli opadł na kolana, pochylił się i objął ramionami. Zawył, przeciągle i nisko, powoli się kołysząc.

* * *

Uciekłem do VR-ki, trzęsąc się i robiąc głębokie oddechy. Charlie da sobie przez chwilę radę na autonomicznym sterowaniu, a ja już prawie straciłem kontrolę. Potarłem oczy z całej siły, wymamrotałem parę przekleństw i wskoczyłem z powrotem.

* * *

Tłum się powoli rozpraszał, zostawiając Archimedesesa i dzieci, by mogli w spokoju ją opłakiwać. Skorzystałem z okazji, żeby mu się przyjrzeć. Oczywiście wiedziałem, ile mniej więcej ma lat, pojawiając się na planecie, ale z tego wychodziło, że ma teraz około siedemdziesiątki – trochę więcej, niż miał Mojżesz, kiedy zmarł. A Mojżesz był uważany za matuzalema.

Wszystko to oznaczało, że pewnie niedługo czeka mnie kolejny

pogrzeb. Przysięgłem sobie, że to będzie ostatni.

77. Dokończenie

Bill, kwiecień 2221, Delta Pavonis

Wyeksploatowanie Deltę Pavonis zajęło Innym nieco ponad cztery lata.

Niesamowita szybkość, jeśli nie wie się, że chodzi o postęp wykładniczy. Przywieźli ze sobą gigantyczną liczbę autofabryk, w których wyprodukowali sprzęt do wydobywania surowców do produkcji kolejnej partii takiego sprzętu. W pewnym momencie przestali produkować sprzęt i zaczęli ładować surowce do statków transportowych. Na koniec rozmontowali na surowce większość swojego sprzętu. Odlatująca armada składała się wyłącznie z transportowców i asteroid śmierci.

My weszliśmy badać szkody, gdy tylko odlecieli. Pas asteroid i wszystkie mniejsze księżycy w układzie oczywiście zostały wyeksploatowane. Ale naprawdę bolało patrzeć na Deltę Pavonis 4.

Inni nie przejmowali się oczywiście uszkodzeniami ekologicznymi. Zrobili z planety brudną błotnistą kulę i tak to zostawili. Cała zieleń uschła, zmieniając się w szary brąz. Błękit oceanów zastąpiła plamista szarość, a polarne czapy lodowe stopiły się albo pokryły pyłem i sadzą.

Zburzyli wszystkie większe miasta. Ulgę, w pewnym sensie, stanowił brak trupów. Widok był jednak upiorny, widmowy – doskonale nadawałby się do dowolnego z setek postapokaliptycznych filmów.

Patrzyłem na to, ile byłem w stanie, potem wyłączyłem obraz, ukryłem twarz w dłoniach i się rozplakałem.

* * *

Jacques zgadzał się, że rehabilitacja Deltę zajmie dużo czasu, ale całkiem rozsądnie zauważał, że przewiezienie Pawonisów do innego układu planetarnego, położonego wystarczająco daleko od Innych, zajmie pewnie równie długo. Jednego potencjalnego kandydata mieliśmy – wędrowny Bob znalazł nadający się do kolonizacji układ HIP 84051. Znajdował się ponad czterdzieści lat świetlnych od Słońca i nawet nie zasłużył sobie na nazwę. Ot, taka tam podrzędna gwiazda w gwiazdozbiornie Ary.

Wpadłem do Willa.

– Cześć. Trzymasz się jakoś?

Riker wciąż miał udręczoną minę. Samobójstwo Homera przeżywał bardziej, niż ktokolwiek się spodziewał. A kiedy ma się, jako replikant, idealną pamięć, czas nie leczy ran. Zemsta, której dokonał, trochę mu pomogła, jednak w Bobiwersum zawsze już pozostanie luka.

Rzucił mi blady uśmiech.

– Jakoś się trzymam. Chcesz pogadać o HIP-ie 84051-2?

Gdy skinąłem głową, ciągnął:

– Punkt był na agendzie i kiedy podsumowałem sytuację, ONZ postanowił pozostawić go uchodźcom z Deltę Pawia. Szczerze, to i tak jest trochę za daleko od Słońca, żeby być atrakcyjnym celem.

Usiadłem, zmateriałizowałem sobie kawę i chwilę się rozglądałem. Will dawno zrezygnował z motywów ze *Star Treka* i posługiwał się swoim imieniem, nie nazwiskiem – ściśle rzecz biorąc, imieniem Numeru 2. Przynajmniej przez większość czasu. Tak go nazywali na przykład nasi krewni.

VR-ka przypominała moduł mieszkalny z Wolkana, choć rozpoznałem też parę elementów wystroju i durnostojek z mieszkania Pierwszego Boba. Uśmiechnąłem się na widok wiszącej na ścianie plakietki z Limited Edition Spock, podpisanej przez samego Leonarda Nimoya.

– Życie nic, tylko bardziej się komplikuje, nie? – Uniosłem kawę do toastu.

– Tak wygląda. – Przeciągnął się, potem sobie też zmateriałizował kawę. – Zaczynam myśleć, że to Bob 1 dobrze myśli. Bo ostatnio znowu zastanawia się nad wylotem. Odkąd zmarł mu Archimedes. Wycelować statek gdzieś i dać na chwilę gaz w podłogę.

Westchnąłem i pokiwałem głową. Generacji Bobów mieliśmy teraz... ile? Osiem do dziesięciu? Bob 1 miał wśród nich status legendy. W zasadzie prawie nie pokazywał się na Zgromadzeniach, a gdy już się zjawił, to jakby pokazał się William Shatner. W sumie go rozumiałem. On jako pierwszy zaangażował się emocjonalnie w relację z efemerydami i do czasu Jacques'a i Pawonisów najgorzej na tym wyszedł.

– Rozumiem, że zbudzisz paru Pawonisów i im zadasz to pytanie – powiedział.

– Eee, tak. Moim zdaniem Jacques jest nierozsądnie przywiązany do pomysłu rekolonizacji Deltę. Ale jest na tyle racjonalny, że to widzi.

Will odpowiedział jednym z rzadkich u niego szerokich uśmiechów.

– No bo wiesz, Bill.

Roześmialiśmy się obaj, a ja ciągnąłem:

– Damy im wybór. Rekolonizacja Deltę, albo lot na nowy świat, który już ma funkcjonujący ekosystem. Biozgodny, bo najwyraźniej taka jest

norma. – Zachichotałem. – Naprawdę szkoda, że nie da się wrócić i porozmawiać z doktorem Carlisle'em. Byłby mile połączony, że jego teorie się tak spektakularnie potwierdziły.

Will skinął głową, ale nic nie powiedział. Ja rozsiadłem się wygodnie i popijaliśmy w milczeniu kawę, po prostu ciesząc się własnym towarzystwem i chwilową przerwą w egzystencji.

* * *

Pawoniska kuliła się w rogu i pojękiwała. Spodziewałem się pewnego poziomu strachu, ale jej reakcja była na pograniczu ksenofobii.

Nie wyglądało jednak na to, że ten, hmm... werbunek opierał się na wspólnej dyskusji i zgodzie. Bardziej adekwatnym określeniem było porwanie. Stojący przed nami osobnik pewnie wciąż był strauumatyzowany.

W tym momencie otworzyły się drzwi do pomieszczenia i przyczłapało trzech kolejnych Pawonisów. Nadal cierpieli na dezorientację pohibernacyjną, ale zareagowali na swój instynktowny sposób, to znaczy zbili się w gromadkę z pierwszym osobnikiem. Ich obecność natychmiast ją uspokoiła.

Przez następne kilka godzin budziliśmy kilku kolejnych Pawonisów i wprowadzaliśmy ich do pokoju. Ta liczba była wybrana arbitralnie, choć badania socjologiczne Jacques'a sugerowały, że ich grupy rodzinne liczą maksymalnie ośmioro dorosłych. Mieliśmy więc nadzieję, że ósemka jest dla nich jakoś ważna.

Gdy zaczęli się zachowywać spokojnie i wymieniać przemyśleniami, postanowiłem, że pora na oficjalny pierwszy kontakt.

– Dzień dobry.

Ośmioro Pawonisów zajęło czujną postawę. Podobieństwo do surykatek było jeszcze bardziej uderzające niż zwykle – w innej sytuacji rozśmieszyłoby mnie to.

– Kim ty jesteś? Gdzie my jesteśmy?

O, to nie będzie łatwe.

– Ja nazywam się Bill. Jestem jednym z BobNetu. – Nazwy własne translator przekładał fonetycznie. Te dźwięki nic dla nich nie znaczyły. – A kim jesteśmy – to bardzo długa historia. Gdzie wy jesteście, i dlaczego, to historia dużo krótsza i bardzo nieprzyjemna.

Opisałem im Innych i wyjaśniłem ich zwyczaj rabowania systemów i mordowania całych planet. Monitor na jednej ścianie pokazywał obrazy Innych, wyeksploatowaną Zetę Tukana i wreszcie zniszczenie Deltę Pavonis 4.

Kiedy na ekranie zaczęły błyskać obrazy martwych miast, oceanów

i lasów, Pawonisi zawyli. Z trudem to z nimi przetrzymałem, było to jedno z najboleśniejzych przeżyć w moim życiu, ale miałem moralny obowiązek to przejść.

Potrwało to kilka godzin, ale w końcu udało się przekazać całą historię. Wydawali się zmieszani.

– Chcecie, żebyśmy zdecydowali? Wracać na Asdzian czy zasiedlić inny świat?

– Dokładnie.

Znów zbili się w gromadkę i przez chwilę dyskutowali ściszymi głosami.

Hazdżar, która jakby objęła rolę ich rzecznika, zapytała:

– Dlaczego?

– Bo nie znamy was na tyle, żeby wiedzieć, co będzie dla was najlepsze?

– Dlaczego?

– Bo nie badaliśmy was wystarczająco długo.

– Dlaczego?

Niech mnie...

– To nieistotne. Jeśli nie chcecie, podejmiemy tę decyzję za was, ale najpierw chcieliśmy wam dać tę opcję.

– I jest nas tylko dwadzieścia tysięcy? Dlaczego nie więcej?

– Tyle zmieściło się do dwóch statków, które zdążyliśmy zbudować.

– Dlaczego?

Czy ty jesteś jakimś czterolatkiem? Trzeba to ukrócić, zanim strzeli mi jakiś tranzystor czy coś w tym rodzaju.

– To też nie jest teraz istotne. Czy będziecie w stanie podjąć tę decyzję? Jeśli nie, powiedzcie i my się tym zajmujemy.

– Zaraz to omówimy. Czy jest jedzenie?

– Na nowej planecie? A nie, teraz... Tak. Przepraszam. Zaraz będzie.

Na szczęście Jacques zatroszczył się o zapasy ich standardowego pożywienia i napojów. Wybutlowałem małą porcję i dostarczyłem im. Rzucili się na nią, jakby nie jedli od tygodnia.

Gapilem się zszokowany na bijatykę wszystkich ze wszystkimi. Na razie nikt na oko nie stracił żadnej kończyny, ale to mógł być przypadek.

Jacques zachichotał, widząc moją minę.

– Nie, nie, to u nich jest mniej więcej normalne zachowanie podczas przyjmowania pokarmów. Savoir-vivre nigdy by się u nich nie przyjął.

Pokręciłem głową.

– Ale jak skończą, to ich przelicz, dobra? Sprawdź, czy nadal jest osiem sztuk.

Na prośbę Hazdżar pokazaliśmy im zdjęcia proponowanej planety. Miała odrobinę silniejsze ciśnienie i odpowiednio gęstszą atmosferę, ale była na tyle podobna do Asdzian, że adaptacja nie nastęrczałaby problemu. Flora i fauna oczywiście były dla nich kompletnie obce, ale nie zawierały niczego zbyt dużego, z czym by sobie nie poradzili.

Obiecaliśmy Pawonisom wszelką pomoc, niezależnie od ich decyzji. To bardzo ich ucieszyło, a ja w myślach westchnąłem z ubolewaniem. Znowu będziemy odpowiedzialni za kolejną rasę kliencką. Jeśli Jacques ma ochotę się zaangażować, nie ma sprawy. Ja postanowiłem trzymać się na dystans.

* * *

– Wybierzemy ten nowy świat. – Hazdżar stanęła prosto i oświadczyła to pewnym tonem.

Wiedziałem, że decyzja nie była łatwa ani jednogłośna, ale zaimponowało mi, że w ogóle są zdolni do jej podjęcia.

Spuściła wzrok i dodała ciszej:

– Nie odpowiada nam stan, kiedy wy nam wszystko dostarczacie. Bez urazy, ale nie znamy was.

Wyszczrzyłem zęby do Jacques'a, który odpowiedział uśmiechem i wzruszeniem ramion.

– Nie ma problemu, Hazdżar. Zaraz startujemy. Trzeba was będzie ponownie uspić. Ale tym razem zrobimy to delikatniej.

Kiwnęła głową. Czystym zbiegiem okoliczności kiwnięcie głową znaczyło u nich to samo, co u nas.

– Kiedy się obudzimy, już tam będziemy?

– Tak. I zbudujemy dla was obóz, żebyście mieli gdzie mieszkać, póki sami sobie czegoś nie zbudujecie.

Hazdżar przekrzywiła głowę.

– To mnie ciekawi. Czemu wy to robicie? Kto wam płaci? Może oczekujecie, że my wam zapłacimy?

Zachichotałem, co tłumacz przełożył na pawonisowe wyrażenie humoru. Całe szczęście, bo kto wie, jak by w ich uszach zabrzmiał ludzki śmiech.

– Hazdżar, my nie używamy pieniędzy. Nie są nam potrzebne.

To wywołało wstrząśnięte miny. Najwyraźniej w kulturze Pawonisów kapitalizm miał się świetnie. Pogapiwszy się parę sekund w monitor, Hazdżar odwróciła wzrok, mrużąc coś, co brzmiało jak „Dożagrijl”. Program tłumaczący przełożył to jako „stwory z uszkodzonymi mózgami”.

Pawonisi ociągali się z powrotem do komór hibernacyjnych,

zachowując się zupełnie jak gromada dzieciaków starających się odwlec pójście spać. W końcu jednak udało mi się zagonić ich do sali przygotowawczej. Po godzinie wszyscy byli już ogarnięci.

– No, Bill, to chyba wszystko.

– Jeszcze nie. Paru naszych pozbierało trochę surowców. Udało się zgromadzić tyle, żeby dało się zbudować *Nieba v3* dla ciebie i innych Bobów, którzy jeszcze nie mają ciał. Zajmie to parę miesięcy, ale przynajmniej będziesz leciał jako eskorta, a nie jako towar w ładowni.

Jacques kiwnął głową.

– Dzięki, Bill. Tak zrobimy.

* * *

Wreszcie nadszedł dzień odlotu. Dwa statki z uchodźcami, oficjalnie nazwane *AZYL 1* i *AZYL 2*, dały pełny ciąg *SURGE*'em i wycelowały dziobami w HIP 84051. Oglądałem to z kamery jednego z Bobów, który pozostał w układzie.

Po odlocie statków nie było już powodu dla naszej obecności w układzie. Symbolizował naszą największą porażkę i wielu Bobów narzekało, że ma wrażenie, że jest pełen duchów. Każdy, kto nie miał powodu, by zostać, dawno odleciał, teraz miała odlecieć reszta. Paru Bobów ósmego pokolenia zgłosiło się, że zostaną i zbadają sytuację po inwazji.

Patrzyłem na Andrew, czekając, aż się odezwie. Wreszcie wziął głęboki wdech, pochylił się i położył łokcie na stole.

– Wszyscy zbierają się w Gammie Pavonis. Może i nam grożą, ale przecież budują sobie tę sferę Dysona. Nie wstrzymają wszystkich prac, żeby maszerować na Słońce. Następnym razem musimy być gotowi.

Wpatrzyłem się w przestrzeń, kiwając głową.

– Na razie Riker zaczął budować pancerniki w Układzie Słonecznym, a ja flotę w Epsilonie Eridani. To samo Oliver w Alfie Centauri. Maskowanie już mamy opanowane, więc tym razem bardziej damy się im we znaki. Ale główny problem jest nadal ten sam: jak naprodukować dość uzbrojenia, żeby w ogóle im zadać jakieś liczące się szkody. Problem skali dalej nas przerasta.

– Ale to wszystko to tylko gra na zwłokę. – Andrew pokręcił ponuro głową. – Póki pierwszy ruch zawsze należy do Innych, nigdy z nimi nie wygramy. Wystarczy, że wycofają się na dziesięć czy dwadzieścia lat, odbudują się, i wracamy do punktu wyjścia. Musimy ich tam zaatakować.

– To prawda, zresztą sam dobrze wiesz, że dyskutowaliśmy o tym na wielu zgromadzeniach. – Łypnąłem na niego. – Mam pewien pomysł,

pracuję nad nim, może być częścią ostatecznego rozwiązania, ale na razie nie jestem nawet pewien, czy da się praktycznie zastosować. Jeśli tak, to też długo potrwa. A tymczasem próbujemy zbudować flotę inwazyjną. Może uda się jednak wpaść do Innych i się przywitać.

Andrew tylko uśmiechnął się drapieżnie.

Słowniczek skrótów

GUPIK – Główny/Uniwersalny Peryferyjny Interfejs Komunikacyjny.

MSI – Maszynowa Sztuczna Inteligencja.

NIEBO – Niebiologiczny Inwestygator Egzoplanet Biologicznie Obiecujących.

SUDDAR – Subspace Deformation Detection And Ranging – Wykrywanie i Namierzanie dzięki Deformacji Podprzestrzeni.

SURGE – Subspace Reactionless Geotactic Emulation – Podprzestrzenna Bezładnościowa Emulacja Geotaktyzmu.

SzCzaP – Szacowany Czas Przeżycia (na Ziemi).

SZLAG – Samoistne Zaniknięcie Ludzkości – Alternatywna Genezis .

UNOP – Uniwersalny Nadajnik-Odbiornik Podprzestrzenny.

WIARA – Wolna i Autonomiczna Religijna Ameryka.

Postacie

Archimedes – Deltański tubylec, z którym zaprzyjaźnia się Bob.

Arnold – Potężny deltański wojownik.

Artur – Klon Rikera. Ginie w wypadku podczas odzyskiwania surowców.

Bart – Klon Calvina. Przez krótki czas rezydent Bobów w układzie Alfya Centauri.

Belinda – Partnerka Niszczyciela.

Bender – Klon Boba z Deltą Eridani.

Bill – Klon Boba z pierwszej grupy klonów. Tworzy Skunk Works w układzie Epsilon Eridani i działa jako główny punkt wymiany wiadomości i informacji.

Bob Johansson – Inżynier i właściciel firmy, który ginie w wypadku drogowym i budzi się jako program komputerowy. Później Bob 1, pierwszy statek klasy NIEBO.

Brodeur, Stéphane – Szef bezpieczeństwa na Wolkanie i najlepszy przyjaciel Howarda.

Butterworth, George, pułkownik – Przywódca powojennej enklawy Zjednoczonych Stanów Europy i kolonii ZSE na Wolkanie.

Calvin – Klon Billa. Calvin i Goku walczą i zwyciężają z Medeirossem na Alfie Centauri.

Charles – Jeden z pierwszych klonów Rikera.

Charlie – Stworzony przez Boba android o konfiguracji deltańskiej.

Cranston, Michael, pastor – Przywódca powojennej enklawy WIARY i kolonii WIARY na Romulusie.

Cruella – Deltańska znachorka.

Dexter – Klon Charlesa, który zastępuje Howarda na Omikronie-2 Eridani.

Diana – Deltanka, partnerka Archimedesy.

Donald – Deltanin, syn Arnolda.

Gapcio – Klon Maria. Członek grupy pracującej nad ustaleniem zasięgu Innych.

Garfield – Pierwszy klon Billa i jego pomocnik w Epsilonie Eridani.

Gburek – Klon Billa, członek drugiej ekspedycji do 82 Eridani, mającej na celu zniszczenie Medeirosów.

Głodek – Klon Maria, członek grupy pracującej nad ustaleniem

zasięgu Innych.

Goku – Klon Billa. Razem z Calvinem walczą i zwyciężają z Medeirosem na Alfie Centauri.

Gupik – Personifikacja interfejsu GUIPIK zrobiona przez Boba. Różni Bobowie dają Gupikowi różny dostęp do zasobów swojego systemu, przez co Gupiki różnią się nieco zachowaniem.

Hal – Klon Maria, członek grupy pracującej nad ustaleniem zasięgu Innych.

Hoffa – Deltanin, przywódca rady starszych w Camelocie.

Homer – Pierwszy klon Rikera, pomaga w Bitwie o Układ Słoneczny i wymyśla Obwarzanki Rolnicze.

Howard – Klon Charlesa. Eskortuje dwa pierwsze statki-kolonie do Omikrona-2 Eridani i zostaje tam replikantem-rezydentem.

Howie – Syn Bridget i Stephane’a, nazwany na cześć Howarda.

Linus – Klon Billa. Leci na Epsilonu Indi i znajduje Henry’ego Robertsa, australijskiego replikanta-sondę.

Luke – Klon Boba z Delti Eridani.

Maniek – Pierwszy antropomorficzny android, używany przez Howarda na Wolkanie.

Mario – Jeden z pierwszych klonów Boba. Jest nieco mizantropiczny i wyrusza na Gliese 54, gdzie odkrywa Innych i rozpoczyna program ustalania ich zasięgu.

Marvin – Klon Boba z Delti Eridani. Marvin zostaje tam i pomaga Bobowi.

Medeiros, Ernesto, major – Replikant Cesarstwa Brazylii. Brazylia wysłała dużą liczbę jego kopii, które przez cały czas pojawiają się i nękają Bobów.

Milo – Jeden z pierwszych klonów Boba z Epsilonu Eridani. Leci na Omikrona-2 Eridani, gdzie odkrywa podwójne planety, które nazywa Wolkan i Romulus. Potem leci na 82 Eridani, gdzie trafia na Medeirosa.

Mojżesz – Deltanin, starzec, który uczy Archimedesza obrabiać krzemień.

Nieśmiałek – Klon Maria. Członek grupy pracującej nad ustaleniem zasięgu Innych.

Niszczyciel – Najstarszy syn Archimedesza.

Oliver – Klon Billa, który instaluje się w Alfie Centauri po odlocie Barta.

Riker – Jeden z pierwszych klonów Boba z Epsilonu Eridani. Podejmuje się powrotu na Ziemię, żeby sprawdzić, co się tam wydarzyło, i w końcu staje się odpowiedzialny za proces emigracji z Ziemi.

Roberts, Henry – Australijski replikant.

Rocky – Próbnny latający android, zrobiony przez Garfielda.

Sam – Replikant kierujący statkiem *Exodus 3*.

Sharma, minister – Delegatka Malediwów na powojennej Ziemi.

Sheehan, Bridget – Główna Biolog w kolonii Wolkan i późniejsza ukochana Howarda.

Superktoś – Eksperymentalny android Billa.

Śpieszek – Klon Maria, członek grupy pracującej nad ustaleniem zasięgu Innych.

Valter, Gudmund – Przywódca enklawy Spitsbergen na powojennej Ziemi.

Verne – Klon Billa, członek drugiej ekspedycji do 82 Eridani, mającej na celu zniszczenie Medeirosów.

Vickers, Bertram – Przywódca SZLAG-u.

Victor – Jeden z późniejszych klonów Boba na Delcie Eridani. Leci za Benderem, żeby się dowiedzieć, co się z nim stało.